

PIERWSZA POWIEŚĆ Z SERII O THORKILDZIE ASKE

ZATĘSKNIĘ ZA TOBĄ JUTRO

HEINE
BAKKEID



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

HEINE BAKKEID
ZATĘSKNIĘ
ZA TOBĄ
JUTRO

Z języka norweskiego przełożyła
Karolina Drozdowska



Tytuł oryginału:
JEG SKAL SAVNE DEG I MORGEN

Copyright © Heine Bakkeid 2016
Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz, Małgorzata Hordyńska

This publication of this translation has been made possible through the financial support of NORLA,
Norwegian Literature Abroad.

Publikacja tej książki była możliwa dzięki finansowemu wsparciu NORLA - Norwegian Literature
Abroad.



ISBN: 978-83-8110-265-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Motto

Siedem minut

Środa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Czwartek

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Piątek

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Sobota

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Niedziela

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

Poniedziałek

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

Wtorek

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

Środa

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Czwartek

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Są takie dni, gdy się nie widzi, że góry jeszcze stoją.

Przychodzą godziny, gdy wszystko tonie
w przypiwle na czarnym morskim piasku.

Chwile, gdy nie zna się nikogo.

Wassmo

Siedem minut

Trzy minuty po piątej zaczynam nagle żałować. Żal jest gwałtowny, paniczny, szarpie moim ciałem, gdy rozpaczliwie próbuję zaczerpnąć powietrza. Miotam się, trzęsę i wierzgami nogami, bezskutecznie usiłując się uwolnić.

Dwie minuty później płuca porzucają wreszcie desperacką walkę. Nie potrzeba mi już tlenu, wiszę po prostu na linie i czuję, jak wyłączają się kolejne podzespoły.

Osiem po trzeciej słyszę, jak o kafelki pod moimi stopami uderza woda. Z gardła dobywa się ochryply skowyt, łzy albo para wodna ściekają po policzkach, spłukując to, co ze mnie zostało, do odpływu w podłodze. Marznę.

I wtedy ją widzę. Stoi przede mną, szara jak reszta pomieszczenia. Chcę się śmiać, krzyczeć z radości, że znów jesteśmy razem. Próbuję otworzyć usta, by jej o tym powiedzieć, wyznać, że jestem tak szczęśliwy, jak tylko potrafi być człowiek. Ale zamiast tego słyszę łoskot i w następnej chwili leżę na podłodze. Woda z więziennego prysznica obmywa mi twarz, a czarna wskazówka ściennego zegara przesuwa się o kolejną minutę.

Dziesięć po piątej.

Środa

Rozdział 1

Stavanger to miasto miękkich psich kup. Wyrastają z ziemi niczym małe asfaltowe grzyby, barwiąc okolicę różnymi odcieniami brązu na ten swój własny, zasrany sposób.

Przeskakuję nad kolejnym asfaltowym grzybem, spiesząc ulicą Pedersgata w kierunku centrum. Urząd Pracy mieścił się wcześniej na parterze, wielkie okna otwartej biurowej przestrzeni wychodziły na Klubbgata i jezioro Breiavatnet. Przechodnie mogli dzięki temu spoglądać na siedzących w środku biedaków, rozpaczliwie usiłujących kryć się przed sąsiadami i znajomymi za sztucznymi roślinami w doniczkach, biurowymi przegrodami i abażurami lamp, a jednocześnie próbujących wyjaśnić, czemu nie mają pracy. Odkąd ostatni raz byłem w mieście, ten teatr społecznych jednostek zdążył zmienić nazwę i otworzyć swe podwoje w nieco bardziej tradycyjnie urządzonej lokalu tuż po sąsiedzku.

Pobieram numerkę z automatu i siadam na czerwonej sofie w pomieszczeniu bez okien i tlenu – czymś w rodzaju naziemnego bunkra, gdzie woń potu, brudnych stóp i generalny smród życiowej porażki wydzielany przez klientelę atakują zmysły już od progu. Pomimo wszystkich otaczających mnie ludzi panuje tu cisza jak makiem zasiał. Zakłóca ją tylko sporadyczny szmer zażenowanych głosów i stukanie w klawisze.

– Trzydzieści osiem?

Urzędniczka wychyla się zza drzwi biura i toczy wzrokiem po poczekalni. Gdy tylko do niej podchodzę, podaje mi na powitanie wiotką dłoń i wpuszcza mnie do środka.

– Jestem Iljana – mówi z silnym wschodnioeuropejskim akcentem, opadając na fotel. – Proszę siadać.

– Dziękuję – odpowiadam, zajmując miejsce.

Iljana ma czarne sztywne włosy upięte nad karkiem. Ubrana jest w szary kostium z wielkimi ciemnymi guzikami, takimi, z jakich robiło się kiedyś oczy pluszowym misiom.

– W czym mogę panu pomóc?

Podaję jej numer ewidencyjny i osobowy, Iljana odwraca się ode mnie i zaczyna stukać w klawiaturę.

– Thorkild Aske?

– To ja.

– Rejestrował się pan już wcześniej jako osoba poszukująca pracy?

– Nie.

Podaję jej pismo od kuratora społecznego z więzienia w Stavanger.

Iljana czyta, pochylając się nad biurkiem. Kiedy wreszcie kończy, posyła mi nieznaczny uśmiech. Ma drobne zęby, nienaturalnie drobne, prawie jak dziecięce mleczaki, i oczy tak szare jak jej kostium.

– No dobrze, Thorkildzie. – Składa dłonie na kolanach. – Kurator pisze, że zdecydowałeś się wziąć udział w programie ponownej socjalizacji po odbytych wyroku. To świetnie. – Kładzie nacisk na *świetnie* i znów się uśmiecha.

Kiwam głową.

– Byłem na spotkaniu w Urzędzie do spraw Reintegracji Społecznej, znaleźli mi mieszkanie, przydzielili psychiatrę i lekarza rodzinnego, przeszedłem najróżniejsze badania. Zapisali mnie do grupy terapeutycznej, żebym mógł rozmawiać o przeszłości, zacząć planować przyszłość i zerwać z życiem kryminalisty. Jakby kto mnie zapytał, to jestem w stu procentach zresocjalizowany.

Moja rozmówczyni nie widzi w moich słowach nic zabawnego i odwraca się do monitora.

– Skończyłeś akademię policyjną.

Przeogląda moją kartotekę, nie przestając mówić.

– Funkcjonariusz policji, aspirant, komisarz, wybrany do pracy w Biurze Kontroli, potem zatrudniony na stałe w Jednostce Specjalnej do spraw Policji. – Waha się, dotyka drobnych siekaczy koniuszkiem języka, po czym znów się do mnie odwraca.

Wyprzedzam ją.

– To taka policja ścigająca policjantów.

– Ach tak. – Kiwa głową. – W takim razie to naturalne, że gdy już będziesz gotowy, zaczniemy szukać podobnej pracy, prawda?

Odwzajemniam jej uśmiech.

– Utrata stanowiska – mówię, czując, jak wracają ból w policzku i mrowienie w żołądku. Mam tak sucho w ustach, że mówienie sprawia mi

trudność.

– Słucham?

Odkręcam butelkę wody, którą ze sobą przyniosłem, i piję w nadziei, że to mi pomoże.

– Zostałem skazany również na utratę stanowiska.

– Na jak długo?

– Na tak długo, jak żyję – odpowiadam, zakręcam butelkę i stawiam ją na podłodze przy krześle. Mrowienie twarzy przechodzi powoli w tępy, pulsujący ból. – I jeden dzień dłużej.

– Co w takim razie planujesz zrobić?

– Miałem nadzieję, że pani mi to powie. – Podnoszę znów butelkę, zaciskam na niej palce. Ból, zapach, światło, niedostatek tlenu, fakt, że muszę tu siedzieć i rozmawiać z kolejnym obcym, decydującym o moim losie człowiekiem, sprawiają, że ogarnia mnie niepokój. Tęsknota za pomieszczeniem bez powierzchni odbijających światło. Mimo to wiem, że muszę przez to przejść, by wypłynąć po drugiej stronie. Ulf mówi, że inaczej się nie da.

Iljana znów spogląda na pismo od kuratora, po czym pochyła się nad klawiaturą.

– Tu jest napisane, że chce się pan ubiegać o zasiłek przejściowy na okres leczenia?

Kiwam głową.

– Wciąż jest pewien kłopot z ustaleniem, w jakim stopniu jestem zdolny do pracy po moim – kreślę w powietrzu znak cudzysłowu – *wypadku*. Mimo to, razem z funkcjonariuszami więziennymi, kuratorem, personelem szpitala, kapelanem, lekarzem rodzinnym, psychologiem i moim przyjacielem psychiatrą, doszedłem do wniosku, że powinienem postarać się w dłuższej perspektywie czasu wrócić do życia zawodowego.

– Wypadku?

– To chyba też jest tam gdzieś odnotowane? – Wskazuję na pismo. – Istota ludzka Thorkild Aske próbowała się powiesić na rurze wspólnego więziennego prysznicza po kilku miesiącach odsiadki. I to jeszcze w samym środku ferii zimowych.

– I co się stało? – pyta moja rozmówczyni zbita z tropu.

– Rura pękła.

Iljana wbija we mnie wzrok, jakby się bała, że w każdej chwili mogę ją,

albo samego siebie, zaatakować plastikowym bananem z misy na jej biurku.

– Cóż – zaczyna z wahaniem. Nabiera powietrza i chrząka. – Zastanawiasz się w takim razie nad przyuczeniem do innego zawodu?

– A niby jakiego? – Ściskam ścianki butelki, aż po moich palcach zaczyna ściekać woda, kapiąc na podłogę. – Czterdziestoczteroletni inżynier przemysłu naftowego z uszkodzeniem mózgu? A może makler giełdowy? Asystent dentystyczny?

Iljana zerka ukradkiem na zegar w prawym rogu komputerowego ekranu i mówi z nowym entuzjazmem:

– Proponuję poczekać na rozpatrzenie podania o zasiłek przejściowy. Tymczasem rozejrzemy się za możliwymi drogami powrotu do pracy zarobkowej, wyłączając zawody policyjne. – Naciska znów kilka klawiszy, klika myszką, coś gdzieś wpisuje, wreszcie kończy zadowolona i odwraca się do mnie: – A co myślisz o stanowisku w *call center*?

Rozdział 2

Postanawiam spróbować zająć ból w policzku i brzuchu i kupuję sobie kanapkę w kafejce zaraz obok Urzędu Pracy. Obieram następnie kurs w górę Hospitalgata i dalej przez Pedersgata, kierując się do kawalerki niedaleko mostu, którą przydzielili mi w Urzędzie do spraw Reintegracji.

W skrzynce pocztowej znajduję katalog firmy meblowej i zaadresowany do mnie list. Wiem, co jest w kopercie. Zawsze przychodzi to samo, jedyne, co się zmienia, to wiek dzieci. Rosną, mimo że ich twarze nigdy nie są identyczne. W pierwszym liście dostałem zdjęcia niemowlaków z czasopism i katalogów. Na początku przysyłała mi też wycinki z dziecięcymi łóżeczkami, grzechotkami, butelkami ze smoczkiem i pompkami do odciągania pokarmu.

Zabieram katalog i list, wspinam się po schodach i wchodzę do kawalerki. Kładę pocztę na stole między sofą i ławą pod telewizor, na której brakuje telewizora, po czym idę do aneksu kuchennego i wyciągam dozownik do leków z szafki nad kuchenką turystyczną. Otwieram środkowy pojemniczek, wysypuję zawartość środkowej przegródki na dłoń, łykam tabletki i popijam je wodą z butelki. Włączam ekspres do kawy i siadam z listem na sofie.

Tym razem w kopercie leżą dwa wycinki. Jeden z nich przedstawia siedmio- albo ośmioletniego chłopca o lekko kręconych włosach, ubranego w kolorowy T-shirt z nadrukiem rybki w kapeluszu i z maską nurka, pływającej wokół rafy koralowej. Tekst pod spodem głosi: „Ubrania stworzone, by świetnie się w nich bawić – džinsy, T-shirty, kurtki i wiele innych. Kolorowa i trwała odzież, która zachwyci każde dziecko”.

Na drugim wycinku widnieje dziewczynka w tym samym wieku. Ma na sobie, według podpisu, krótką kurteczkę w kolorze pudrowego różu z odpinanym kołnierzem ze sztucznego futerka, džinsy rurki i pasujący do nich T-shirt. „Mamy spodnie na co dzień i od święta, praktyczną odzież idealną do zabawy, stroje na specjalne okazje i nie tylko...”

Wkładam wycinki z powrotem do koperty, którą razem z katalogiem

przesuwam na skraj stołu, po czym rozpieram się na sofie i przymykam oczy.

Dzwoni telefon.

– No i? – odzywa się chropowaty męski głos silnym bergeńskim dialektem. Jego właściciel zaciąga się chciwie, niemal lubieżnie, dymem z papierosa. Ulf Solstad jest lekarzem psychiatrą i liderem mojej nowo powołanej grupy wsparcia. – Jak ci poszło na spotkaniu?

Poznałem Ulfa pod celą w więzieniu w Stavanger, gdzie odsiadywał wyrok osiemnastu miesięcy za wymuszenie, co najwyraźniej nie wpłynęło wcale negatywnie na liczbę jego klientów. Wręcz przeciwnie, jest teraz przez miejscowych bogaczy z problemami poważany jeszcze bardziej, niż zanim trafił za kratki.

– Super – odpowiadam kwaśno. – Wróży mi się świetlaną przyszłość w sektorze *call center*.

– Weź się w garść. – Ulf nienaturalnie przeciąga „a”, nawet jak na bergeńczyka. – Po prostu zaciśnij zęby i biegnij z innymi szczurami przez ten labirynt zbudowany dla takich jak ty. To wszystko po to, żeby odsiać słabsze osobniki. Obiecuję, że jak już wywalczymy zasiłek przejściowy, to nie minie wiele czasu, nim na stałe zasilisz szeregi jednostek społecznych. A tymczasem: trzymaj się na socjalu.

– Co?

– Słuchaj – rzuca Ulf, podczas gdy ja wyzwalam się z miękkiego uścisku sofy w poszukiwaniu butelki z wodą. – Jestem zaszczycony, że zaprosiłeś mnie do swojej grupy wsparcia, i obiecuję, że zrobię, co do mnie należy, byś wrócił do życia, którego pragniesz, Thorkildzie. – Słyszę, jak skwierczy żar papierosa.

– Potrzebuję więcej sobrilu. – Chwytam butelkę z wodą, która spadła na podłogę i wtoczyła się pod sofę. – Zaraz mi się skończy. Poza tym musimy zwiększyć dawkę oxycotinu.

– Bóle się nasiliły?

– Tak – mówię. – Na dodatek mam skurcze w nogach, kiedy chodzę.

– Może lepiej zastanowimy się nad dawkowaniem neurontinu?

– Nie – ucinam, przyciskając palec do poszarpanej tkanki policzka. Już po chwili czuję, jakby płonęła mi cała twarz. – Boli mnie od niego głowa. Od risperdalalu zresztą też. Źle reaguję na te leki.

– Thorkildzie, już o tym rozmawialiśmy. Neurontin to środek na nerwobóle, najprawdopodobniej będziesz musiał go brać już do końca życia.

A risperdal jest lekiem przeciwpsychotycznym, którego nadal potrzebujesz. I to bardzo. Ludziom się zawsze wydaje, że dobrze im zrobi więcej benzodiazepin. Bo działają przeciwlękowo, podobnie zresztą jak oxy. Zawsze tak jest, ale wiesz przecież, że to są leki silnie uzależniające. To od nich zaczniemy zmniejszać dawki i będziemy stopniowo obserwować, jak się odnajdujesz z powrotem na wolności, prawda?

– Nie mogę spać – odburkuję i spycham pocztę na podłogę obcasem buta. Wiem, że mój rozmówca ma rację, i strasznie mnie to irytuje.

– Na pewno możesz – odpowiada Ulf spokojnie. – Po to przecież ci zapisałem sarotex. – Kaszle chwilę, po czym ciągnie: – Wciąż wszystkie bierzesz, prawda?

– Co masz na myśli?

– Leki. Bierzesz je?

– Oczywiście.

– Risperdal też?

– Tak.

– Wiesz, że ich potrzebujesz, Thorkildzie?

– Tak, wiem – odpowiadam z przesadnym pośpiechem.

– Daj spokój! – wcina się Ulf. – Nie jestem tym twoim pieprzonym garbatym kapelanem, który ciągnie ludzi na siłę do nieba. – Znów brakuje mu tchu. Popsułem mu jego papierosowy rytuał, z pewnością zacznie od początku, kiedy tylko poczuje, że zaczyna już palić filtr.

– Mówił, że jestem jak pszczoła bez kwiatów.

– Kto?

– Kapelan.

– Żartujesz sobie?

– Nie.

Ulf zapala kolejnego papierosa, wzdychając do słuchawki.

– Opowiedz mi tę historię, Thorkildzie. Zrobisz to dla mnie?

Postanawiam nie psuć mu tej chwili i opowiadam.

– Jestem pszczołą w świecie bez kwiatów i to moja decyzja, na co spożytkuję czas, który mi został do zimy.

– Zimy? – Ulf się zaciąga i wypuszcza dym w harmonijnym rytmie. Słyszę to przez słuchawkę. Wdzięczność w każdym wdechu i wydechu.

– Zimy, która wcześniej czy później nadejdzie w życiu każdego z nas – ciągnę, czując, jak moje mięśnie zaczynają się rozluźniać. Zapadam się

w sofę, pozwalam, by mebel wciągnął mnie między swoje poduszki. Błogosławione tabletki sprawiają, że ból rozpuszcza się powoli i znika.

– Żartujesz sobie ze mnie, prawda? Powiedz, że sobie żartujesz, Thorkildzie.

– Nie. Nie żartuję. – Zupełnie jakbym słuchał rozbijających się o skały fal. *Szzzzp... Puuuuuuh... Szzzzp... Puuuuuuh.*

– W życiu nie słyszałem takich bzdur. *Szzzzp... Puuuuuuh.* Mogę to wykorzystać?

– Proszę bardzo!

– Słuchaj – zaczyna Ulf w chwili, kiedy mam się rozłączyć. Ton jego głosu podnosi się na tyle, by popsuć miły nastrój. – Chciałbym z tobą o kimś pomówić.

– Ach tak?

– O kimś, kogo znasz. Od dawna.

Waha się, przeciąga zdania, jakby jeszcze nie był do końca pewien, czy to coś, o czym powinien mi mówić, zanim cała grupa wsparcia rozpatrzy sprawę.

– Kto to?

– Wuj Frei – mówi w końcu Ulf i dodaje: – I jego była żona, Anniken Moritzen.

– Arne Villmyr? – Czuję, jak ogarnia mnie niepokój. Natychmiast zasycha mi w gardle, a światło przeciskające się do środka zza wiszącego w oknie polarowego koca razi mnie w oczy. – A o co chodzi?

– Nie o Frei – odpowiada Ulf niechętnie, jakby wciąż nie był do końca przekonany do tego, co ma zaraz zrobić. – Arne i jego była żona mają syna...

– Arne jest gejem – przerywam mu ze złością. Nie podoba mi się kierunek, który przybiera ta wymiana zdań, rośnie we mnie chęć, by po prostu się rozłączyć i odciąć od światła i dźwięków.

– Tak czy inaczej – odpowiada spokojnie Ulf, nie dając mi pretekstu do zakończenia rozmowy – ma byłą żonę i syna...

– A co mnie to obchodzi? – Zaciskam powieki, odwracam twarz od koca i wdzierającego się do środka światła.

– Daj mi, proszę, skończyć – szepce Ulf, wydmuchując głośno dym. – Jest tak: Anniken Moritzen to moja pacjentka. I potrzebuje... – Waha się przez chwilę, zaciąga papierosem i kończy: – Oni oboje potrzebują pomocy. Ich syn zaginał.

– Nie jestem prywatnym detektywem.

– Nie, broń Boże – zgadza się Ulf. – Ale Anniken to moja przyjaciółka i nie wiem, ile w tej sytuacji jestem w stanie dla niej zrobić. Poza tym macie z Arnem swoją historię, od której i tak nie uciekniesz, a on mnie teraz prosi, żebyś się z nimi spotkał. Tyle chyba jesteście mu winien?

Zaczynają mnie boleć twarz, oczy i głowa.

– Proszę – syczę przez zaciśnięte zęby. – Nie dzisiaj, nie teraz.

– Pogadaj z nimi. Posłuchaj, co mają do powiedzenia.

– Nie mam ochoty.

Ulf znowu wzdycha.

– Wyciągnąłeś los, Thorkildzie, zszedłeś do piwnicy i wróciłeś na powierzchnię. Odmieniony. – Znowu z trudem łapie oddech i gasi papierosa. Wypalonego zaledwie do połowy, zniszczonego. – Nie pozwól, by ta kawalerka stała się twoją kolejną więzienną celą. Musisz w końcu wyjść do ludzi i ustalić, kim chcesz być w tym swoim nowym życiu na wolności.

– Wiem – odpowiadam niechętnie i znowu zapadam się w sofę. Otwieram oczy, zmuszam się, by spojrzeć na płonące za kocem światło, i odwracam wzrok dopiero wtedy, gdy zaczynają łzawić mi oczy.

– Co powiedziałaś?

– Że wiem.

– Na pewno? – Ulf Solstad zniża głos, który przybiera terapeutyczny ton.

– OK – mówi po chwili czekania na moją odpowiedź. Oddech ma nieco spokojniejszy. – Zajrzyj do mnie później, to porozmawiamy przy okazji o dawkowaniu leków. Chcesz? Przyjdiesz?

Trzecie podejście do spokojnego wypalenia papierosa Ulf Solstad będzie musiał zrobić sam.

Rozdział 3

Arne Villmyr stoi obok Anniken Moritzen, siedzącej w biurowym krześle z dłońmi splecionymi na blacie biurka. Za plecami mają trzy okna zajmujące całą ścianę, za którymi rozciąga się widok na przemysłową dzielnicę Forus z jej hałaśliwymi autostradami, fragmentami miejskiej zieleni i obiektami komercyjnymi. Arne jest ubrany ze smakiem, tak samo jak przed niemal czterema laty, gdy spotkałem się z nim po raz pierwszy w jego willi w Storhaug. Od tego czasu przerzedziły mu się włosy, a twarz pobladła.

– Thorkild Aske? – pyta Anniken Moritzen, nie wstając z krzesła.

– Tak – odpowiadam i zbliżam się do niej niechętnie.

– Miło mi – mówi tonem sugerującym coś wręcz przeciwnego. Biją od niej obojętność i lekka pogarda, a gdy w końcu podaje mi dłoń na powitanie, prawy kącik jej ust nie reaguje na impuls wysłany z mózgu i nie wędruje do góry. Zamiast uśmiechu na jej twarzy pojawia się bolesny grymas.

Wyciągam rękę do Arnego Villmyra, ale on najwyraźniej nie zamierza odwzajemnić tego gestu.

– Mam jego zdjęcie. – Anniken Moritzen wyciąga fotografię z szuflady biurka.

– Świetnie! – Siłę się na entuzjazm, pochylam nad nią i chwytam zdjęcie w obie dłonie, tak by nie wyslizgnęło mi się z rąk i nie spadło na podłogę.

– Zostało zrobione pięć miesięcy temu, kiedy byliśmy z wizytą u moich rodziców na Jutlandii. – Anniken mówi dialektem z dzielnicy Eiganes, nie próbując jednocześnie ukrywać swojego duńskiego pochodzenia. Ma jakieś pięćdziesiąt pięć lat, jest ubrana w granatową marynarkę i pasującą do niej spódnicę oraz białą koszulę, której dwa górne guziki są rozpięte. Uświadamiam sobie, że musi być o głowę wyższa od swojego byłego męża.

– Wygląda na świetne miejsce do wychowywania dziecka.

Spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć, że doskonale wie, co kombinuję, ale w końcu puszcza moją uwagę mimo uszu.

– To ostatnie jego zdjęcie, jakie mam. – Wbija wzrok w fotografię, jakby jej syn wciąż tam był, w ogródku jej rodziców, stał przy grillu i popijał wodę

z syropem. Rasmus ubrany jest w czerwone szorty z logo Liverpoolu, sandały i białą czapkę kucharza. Ma opaloną twarz i atletyczną budowę ciała. Jego dziadek unosi kieliszek w geście toastu, a Anniken Moritzen siedzi na krześle i macha do obiektywu.

– Rasmus i jego koledzy ze szkoły pożeglowali w zeszłym roku dookoła świata. – Anniken spogląda rozmarzona na zdjęcie w moich rękach, jakby próbowała wycisnąć z niego ostatnie resztki drzemiących w nim wspomnień. – Ale po krótkim pobycie na północy Norwegii Rasmus wpadł na pomysł wyremontowania dawnego centrum konferencyjnego w tamtejszej latarni morskiej i otwarcia tam hotelu z atrakcjami.

– Atrakcjami?

– Nurkowanie wrakowe, łowienie ryb z harpunem, sporty na świeżym powietrzu. Rasmus mówi, że to teraz strasznie modne za granicą.

– Ile on ma lat? – pytam, chociaż znam odpowiedź. W autobusie do Forus przeczytałem artykuł z internetowego wydania lokalnej gazety z Tromsø, w którym pisano, że zaginiony dwudziestosiedmioletni mężczyzna najprawdopodobniej utonął, nurkując niedaleko miejscowości Skjellvik w gminie Blekøyvær.

– Nasz Rasmus ma dwadzieścia siedem lat.

– A kiedy tam pojechał?

– Anniken kupiła dla niego ten obiekt w lecie – mówi Arne. W oknie za jego plecami widzę, że wieczorna bryza zaczyna znów ściągać deszczowe chmury znad morza. Ich blade, szare kłęby pędzą na południowy wschód.

Anniken kiwa głową, nie patrząc na żadnego z nas.

– Centrum konferencyjne zamknięto w latach osiemdziesiątych, od tego czasu latarnia i cała wysepka, na której ją zbudowano, były opuszczone. Rasmus pojechał tam, jak tylko dobiliśmy targu, razem z kilkoma kolegami, którzy przez wakacje mieli mu pomóc w remoncie.

– Kiedy zaginął?

– Ostatni raz rozmawiałam z nim w piątek, przed pięcioma dniami. Policja znalazła jego łódź wczoraj rano. Są zdania, że wypłynął nurkować w sobotę albo w niedzielę.

– A ty? – Przenoszę spojrzenie na Arnego Villmyra, który spogląda przed siebie pustym wzrokiem, jak stojący na baczność żołnierze. Za jego plecami o szyby zaczynają bębnić pierwsze krople deszczu.

Arne kręci nieznacznie głową, w tej samej chwili chmury nad nami

otwierają się z głośnym hukiem i woda zaczyna spływać po oknach szerokimi strumieniami.

– Nie mają ze sobą szczególnie dobrego kontaktu – odpowiada Annike, krzyżując ramiona na piersi, jakby siedziała na dworze, w deszczu, i próbowała się ogrzać.

– Był sam, kiedy zaginął? – pytam, odrywając wzrok od zdjęcia i przenosząc go na szary krajobraz za szybami.

– Tak, ostatni miesiąc spędził tam już bez kolegów.

– Dlaczego policja jest zdania, że utonął?

„Jeszcze trochę, Thorkildzie – powtarzam sobie w myślach w takt kropli bębniących o przemysłowe szkło. – Tylko kilka pytań i będziesz mógł wrócić do domu”.

– Nie znaleźli w łodzi sprzętu do nurkowania. Rasmus wypływa na szkiery niedaleko latarni i nurkuje przy nich, kiedy tylko ma wolną chwilę. W piątek powiedział mi, że wybierze się tam w weekend, jeśli pozwoli na to pogoda.

– Czy macie powody, by podejrzewać, że stało się z nim coś innego, że to nie był wypadek przy nurkowaniu?

– Nie. – Widzę malujące się na jej twarzy poirytowanie. Pewnie przerwałem jej w tym samym miejscu co wszyscy inni, z którymi kontaktowała się od dnia zaginięcia syna.

Ogarnia mnie chęć, by podejść do niej i mocno nią potrząsnąć, powiedzieć, że czas się obudzić. Skończyć śnić. Bo to, co robi, doprowadzi donikąd, złamie jej tylko serce i ją zniszczy. Jak wszystkie sny, które śnimy z otwartymi oczami.

– Pojechałam tam, gdy tylko straciliśmy z nim kontakt. Czułam, że coś jest nie tak. – Anniken Moritzen odwraca się do swojego byłego męża. – Mówiłam ci przecież. Gdyby wszystko było w porządku, toby oddzwonił. Zawsze oddzwania.

Arne kładzie ostrożnie dłoń na jej ramieniu i kiwa w milczeniu głową.

– Ale była tam straszna niepogoda – ciągnie Anniken. – Lensmann i jego zastępca nie chcieli mnie zabrać do latarni, obeszl się ze mną jak z jakąś rozhisteryzowaną babą, którą można najwyżej skierować do hotelu w Tromsø, sto kilometrów dalej, a sami siedzieli w swoich biurach z założonymi rękami. Nikt nie chciał mi pomóc, nikt nic nie robi. Tylko sobie siedzą, rozumiesz? Siedzą i próżnują, a mój chłopiec jest gdzieś tam na

morzu i potrzebuje pomocy! – łka z goryczą. – To dlatego wróciłam do domu, Arne – szepce ze łzami w oczach. – Bo powiedziałeś, że znajdziesz kogoś, kto nam pomoże. Kogoś, kto będzie chciał słuchać. Pamiętasz? Obiecałeś, że znajdziesz pomoc.

Arne przymyka oczy i kiwa głową, raz za razem. Anniken Moritzen znów się do mnie odwraca.

– To ty, Aske. – Robi głęboki wdech i ociera oczy grzbietem dłoni. – Z tobą będą chcieli rozmawiać, jestem pewna. Ty go znajdziesz – mówi i uśmiecha się serdecznie do swoich myśli. Uchwycona rozpaczliwie iluzji, że jeszcze jest czas. – Tak, znajdziesz mojego Rasmusa.

Znów zerkam na mężczyznę na zdjęciu. W wieku Rasmusa byłem policjantem w Finnmarku i marnowałem czas, przekonując pijanych kierowców skuterów, by może jednak nie strzelali do znaków drogowych ze strzelb.

– Nie jestem prywatnym detektywem – zaczynam, odkładając fotografię na blat biurka.

– Zapłacimy ci – wtrąca Arne Villmyr. – Jeśli niepokoisz się o pieniądze.

– Nie chodzi o to – szepczę. Mam już powiedzieć, że jest za późno. Że nikt nie znika na morzu w takich okolicznościach, by powrócić nagle tydzień później. Ale Arne Villmyr zdążył tymczasem zwolnić uścisk na oparciu krzesła i rusza do mnie, okrążając biurko.

– Chodź – mówi, chwytając mnie za ramię. Zdecydowanym gestem wskazuje na drzwi. – Dokończmy rozmowę na zewnątrz.

Zostawiamy Anniken Moritzen i wychodzimy na korytarz. Zatrzymujemy się dopiero przy windzie.

– No – mówi Arne, puszczać moje ramię. Wciska guzik windy i odwraca się do mnie: – Pomówmy w cztery oczy.

– Słuchaj... – zaczynam, ale on wchodzi mi w słowo.

– Mój syn nie żyje – oświadcza Arne Villmyr spokojnie, poprawiając swoją elegancką koszulę. – Nie ma tu czego badać – ciągnie. Spogląda na mnie. – Jedź tam, znajdź jego zwłoki i sprowadź je do domu.

– Boże. – Rozkładałam bezradnie ramiona. – Ale jak?

– Pływaj, nurkuj, skacz przez płonące obręcze, w dupie mam, jak to zrobisz. Straciłem Rasmusa, odchodząc od mojej rodziny przed wieloma, wieloma laty. Ale on nie może tak po prostu zniknąć, jakby nigdy nie istniał. Musimy mieć grób, który będzie można odwiedzać. – Arne zaciska szczęki,

jego spojrzenie staje się twardsze. – Zdołałem przekonać samego siebie, że ty jesteś w stanie nam to dać. Nazwij to splatą starego długu czy jak tam sobie, kurwa, chcesz, po prostu znajdź go i przywieź do domu.

– Arne – zaczynam znowu. – Bardzo cię proszę. Nie wykorzystuj teraz tego, co się stało z Frei. Nie w ten sposób...

– Starczy, Thorkildzie – mówi Arne spokojnym, opanowanym głosem, mimo że widzę, jak jego pierś unosi się i opada pod koszulą. – Nie będziesz o niej mówił – ciągnie. – Jeszcze nie. Dopiero kiedy znajdziesz Rasmusa i sprowadzisz go do domu. Wtedy będziesz mógł wpełznąć z powrotem do nory, z której się wyczołgałeś, i robić przez resztę życia, co tylko uważasz. Ale do tego czasu ty szukasz, a ja płacę. OK?

Winda zdążyła przyjechać i wrócić na dół. Arne odwraca się i idzie do biura Anniken Moritzen. Zatrzymuje się w drzwiach zwrócony do mnie plecami. – Daj nam grób, Aske – mówi, kładąc rękę na klamce. – Kolejny grób. Do jasnej cholery, chyba nie żądam zbyt wiele?

Rozdział 4

W mojej kawalerce najbardziej szaro jest zawsze wieczorem. Słabe światło przedzierające się przez polarowy koc, który zawiesiłem w oknie salonu i jednocześnie sypialni, wzmacnia tylko trupi kolor wypełniający pokój od podłogi po sam sufit. Zza okna dochodzą do mnie szum deszczówki w rynnie i warkot aut jeżdżących w tę i z powrotem przez wantowy most między miastem a Grasholmen, Hundvåg i okolicznymi wyspami.

Leżę na sofie. Trzaski radia docierają do mnie jak z oddali, razem z miarowym chlupotem ekspresu do kawy.

Słyszę, jak Leonard Cohen oświadcza ochryple: *...You who wish to conquer pain, you must learn what makes me kind...* Ulf już na wczesnym etapie terapii zaproponował, żebym po wieczornej dawce leków włączał muzykę, by zapewnić ciału jak najwięcej ratujących przed bezsennością, uspokajających bodźców. Zazwyczaj wybieram radio i nieprzewidywalność, którą ze sobą niesie.

Przetaczam się na bok, odwracam twarz ku ciemności i krzesłu między ścianą a aneksem kuchennym, skąd dochodzi jakiś odgłos.

– Frei – wzdycham i siadam na sofie, w tej samej chwili, niczym dźwięk perfekcyjnie nastrojonej wiolonczeli, rozlega się znów głos Cohena: *...You say you've gone away from me, but I can feel you when you breathe...*

Cały pokój wypełnia się nagle ziemistym, kwaśnym zapachem. Wstaję ostrożnie z sofy. Czuję mrowienie w całym ciele. Podniecenie, radość na myśl o tym, co się za chwilę stanie.

Podchodzę do krzesła i wyciągam rękę w kierunku ciemności przede mną, radio znów trzeszczy i w miejsce muzyki dobywa się z niego zgrzytanie, a wreszcie szum, wplatając się harmonijnie w odgłosy jesiennej ulewy za oknem.

Tańczymy. Ciasno objęci, w takt szmeru lodówki w ciasnym aneksie kuchennym. Żadnej muzyki ani światła, tylko szelest deszczu i zachmurzone niebo nad nami. Nie czuję już pulsującego bólem policzka. Widzę tylko jej wargi, drżące lekko do rytmu, w którym delikatnie kołysze się jej ciało.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę – szlocham konwulsyjnie i w tej samej chwili, gdy łzy zgromadzone w zmiażdżonych kanalikach wreszcie zaczynają płynąć, coś eksploduje pod skórą mojej twarzy.

Nieujarzmione włosy o barwie zboża straciły swoją barwę i połysk. Aromat nieznanymi mi ekstraktów roślinnych, przypraw i wanilii zniknął, zastąpiła go ostra woń środków dezynfekujących i zimnej ziemi. Jej zapach, nasz zapach, wyparował, zmyty przez czas, który spędziliśmy z dala od siebie.

– Ale wróciłaś. – Splatam palce z jej palcami, przyciągam ją bliżej do siebie i próbuję zatopić twarz w jej włosach, oddychać jej zapachem, ale jej głowa opada ciężko na moją pierś.

– Chodź – wzdycham zmęczony, obejmuję ją w pasie i przytulam jeszcze mocniej.

Zataczamy się w kierunku sofy, z której ściągamy koc i zakładam go sobie na ramiona niczym pelerynę, po czym także się kładę. Przyciskam do siebie jej zimne ciało i czuję, że drzę.

Drzę z radości.

Rozdział 5

Pierwszy dzień z Frei, Stavanger, 22 października 2011

Dopiero co wróciłem do pracy w Jednostce Specjalnej w Bergen po niemal rocznym pobycie w Stanach. Dostałem zlecenie w Stavanger i stałem właśnie na schodach willi w zachodniej części dzielnicy Storhaug, gdzie miałem się spotkać z adwokatem prowadzącym obie sprawy, którym miałem się tu przyjrzeć.

Pierwsza z nich dotyczyła pracownika sądu podejrzewanego o naruszenie tajemnicy służbowej w związku ze sprawą o odszkodowanie, w którą zaangażowane były dwie działające w mieście zagraniczne spółki naftowe. Druga sprawa była o wiele poważniejsza. Pewien funkcjonariusz z komendy w Stavanger oskarżył swojego kolegę o wielokrotne złamanie przepisów kodeksu karnego oraz ustawy o broni i amunicji. Miałem przesłuchać podejrzanego policjanta jeszcze w tym samym tygodniu.

– Kim pan jest? – zapytał ktoś za moimi plecami w chwili, gdy miałem zadzwonić do drzwi. Świeciło słońce, powietrze było ciepłe, mimo że jesień zdążyła już odcisnąć swoje piętno na liściach drzew. Odwróciłem się gwałtownie. Oczy miała wąskie, wyraziste, twarz owalną, okoloną lokami związanymi w całą serię węzłów.

– Thorkild Aske – odparłem, odsuwając się nieco na bok. – A pani?

– Frei – powiedziała, wspięła się na schody i stanęła obok mnie. Frei miała niewiele ponad dwadzieścia lat i niemal dorównywała mi wzrostem. – Co pan tu robi?

– Mam na godzinę piątą umówione spotkanie z Arnem Villmyrem. On tu mieszka, prawda?

– Jest pan z policji?

– W pewnym sensie.

Frei położyła dłoń na poręczy i odchyliła się lekko w tył, patrząc na mnie płonącym młodzieńczym spojrzeniem, aż musiałem się odwrócić, zawstydzony moim wiekiem i fizycznymi brakami.

– W jakim?

– Pracuję w Jednostce Specjalnej do spraw Policji, to taki urząd...

– Wcześniejsze Biuro Kontroli. – Uśmiechnęła się krzywo, zanim zdążyłem dokończyć, i otworzyła drzwi wolną ręką. – Co pan właściwie robi u wujka Arnego? Aresztuje go pan?

– Jak już mówiłem, jestem...

– Frei, to ty? Wchodź do środka i zamknij za sobą drzwi – rozległ się męski głos z wnętrza domu. – Chyba mamy pod werandą gniazdo os, nie chcę, żeby te cholery wleciały mi do salonu.

Mój wzrok powędrował na chwilę ku rozświetlonemu niebu, po czym znów spoczął na Frei. Dziewczyna weszła do środka, zdjęła sandały i ruszyła boso do salonu na końcu jasnego, wyłożonego parkietem korytarza.

– Jest tu jakiś facet – powiedziała na tyle głośno, bym mógł ją usłyszeć. – Policjant, chce z tobą rozmawiać...

Czwartek

Rozdział 6

Istota, która spogląda na mnie rano z lustrzanego odbicia, przypomina upiora z zaświatów. Cerę ma niezdrową i ziemistą od braku światła słonecznego i witamin. Oczy wąskie, podkrążone, i powieki, które dają się uchylić tylko do połowy.

Myję twarz i mokrymi opuszkami palców muskam ostrożnie bliznę pod okiem, mającą kształt półksiężyca, podążając za nią ku poszarpanej skórze na policzku, badam każdy krater i każdą wypukłość. Ból pojawia się niemal natychmiast.

– Nie mogę – szepczę do twarzy w lustrze, sięgając drżącymi dłońmi po dozownik z poranną porcją leków. – Przecież on wie. Nie jestem gotowy.

Połykam tabletki, ubieram się i podchodzę do okna, odsuwam polarowy koc, wyglądam na świat. To jeden z tych dni, słońce nie świeci, nie pada deszcz, wszystko jest niebieskawoszare, jakby światło dnia nie chciało się do końca włączyć.

Mam się już odwrócić, gdy moje spojrzenie pada na mężczyznę w kasku, ciasnym T-shircie i spodenkach kolarskich, zbliżającego się do mojego bloku na rowerze. Zatrzymuje się przed klatką schodową, podnosi wzrok, spoglądając na okno, w którym stoję, i wyjmuje komórkę. Ulf Solstad to potężny facet, mierzy niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest prawie zupełnie łysy. Z tyłu głowy ma kępę gęstych rudych włosów, które wiązuje w kucyk przywodzący na myśl fryzurę samuraja.

Wypuszczam z rąk róg koca i cofam się w kierunku sofy. W tej samej chwili zaczyna dzwonić telefon.

– Dzień dobry, Thorkildzie – mówi zdyszany Ulf, gdy wreszcie odbieram. – Anniken Moritzen do mnie dzwoniła. Twierdzi, że właśnie dostała od ciebie SMS-a.

– Tak – opadam na sofę i próbuję się skupić na mrowieniu w policzku, wywołać je z kolejki bólu i pozwolić, by przejęło nade mną kontrolę.

– Nie mogę jechać.

– Czemu?

– Nie ma sensu.

– Bo?

– Arne mówi, że ich syn nie żyje.

– Pewnie ma rację.

– Boże – jęczę zrezygnowany. – To czego, do cholery, ode mnie oczekujesz?

– Robimy to dla Anniken – odpowiada spokojnie Ulf. – Pewnego dnia znajdą jej syna. Opuchniętego, obrzydliwego po całym tym czasie spędzonym w morzu z głodnymi rybami i krabami. Ale to wciąż jej dziecko, rozumiesz? Mówię ci, ona nie jest w stanie stawić czoła temu, co niedługo nastąpi. Znasz policyjny język, wiesz, jak się rutynowo postępuje w tych sprawach, orientujesz się co i jak. Dla niej to chyba przede wszystkim sposób, żeby udowodnić samej sobie, że się nie poddaje. A nikt nie rezygnuje, dopóki nie wie na pewno, Thorkildzie. Dopóki nie wypróbuje wszystkich możliwości. Zgodzisz się ze mną?

Nic nie mówię, siedzę tylko z komórką przyciśniętą do ucha, gapiąc się na polarowy koc w oknie.

– Zejdź do mnie, Thorkildzie – ciągnie Ulf, gdy nie odpowiadam.

– Nie. – Głos mi się załamuje, łązy w zmiażdżonych kanalikach nie znajdują drogi do oczu.

– To wpuść mnie, wejdę do ciebie.

– Nie chcę.

– Nie ruszę się stąd, dopóki do mnie nie zejdiesz albo nie wpuścisz mnie do środka.

– Nie możesz tak stać cały dzień – odparowuję, bo nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. – Musisz iść do pracy.

– Wystawię ci fakturę za dzisiejsze przedpołudnie – odpowiada Ulf, wciąż nie tracąc nad sobą kontroli, nie odpalając papierosa. Nie poddając się.

– Kurwa! – Zrywam się z sofy. – Że też można być tak upartym! Nie pojmuję. Mam tam niby jechać i wiosłować dookoła tej przekłętej wyspy w poszukiwaniu faceta, o którym wszyscy wiedzą, że nie żyje, utonął i zniknął na zawsze?

– Jest jeszcze inny powód, dla którego chcę cię tam posłać.

– Mianowicie?

– Elisabeth.

– Moja siostra? A co ona ma z tym wspólnego?

– Nic.

– Właśnie.

– Kiedy ostatnio się z nią widziałeś?

Wzruszam ze złością ramionami.

– Chcę, żebyś z nią pomówił, jak już tam będziesz.

– O czym?

– O sobie, o tym, przez co przeszedłeś.

– Czemu?

– Spójrz na to jako na niezbędną część twojego nowego życia, Thorkildzie. Nie jesteś już oficerem śledczym, tamten człowiek umarł, stracił twarz i stanowisko. Żyjesz teraz jak my wszyscy: nie zbierasz informacji, musisz ich udzielać. Nieważne, jak bardzo to dla ciebie bolesne.

Brutalność pedagogicznych przemów Ulfa może być trudna do zniesienia dla ludzi o delikatnym ego i zachwianej wierze w siebie. Całe szczęście, że moje ego jest martwe, a wiara w siebie dawno już się wyprowadziła w poszukiwaniu lepszych warunków rozwoju.

– Powinieneś otaczać się ludźmi, którym na tobie zależy – ciągnie Ulf. – Ale jednocześnie musisz funkcjonować w rozsądnych ramach poza swoim kołem terapeutycznym. Pierwszą osobą, którą wciągniemy w ten projekt, jest twoja siostra Liz, którą kochasz bardziej, niż być może chcesz się do tego przyznać przed samym sobą. Poza tym zastanowiłem się nad tym, o czym mówiliśmy wczoraj, i wypiszę ci receptę na oxynorm – gładzi dalej. – Będziesz go miał pod ręką, na wypadek gdybyś potrzebował czegoś o szybkim działaniu. Co o tym sądzisz?

Czuję w brzuchu mrowienie wędrujące powoli w górę kręgosłupa aż do potylicy, zaczynają pracować ślinianki.

– Ile?

– Tyle samo co ostatnio.

– A jeśli będę musiał tam zostać dłużej niż tydzień?

– Prześlę ci nową receptę mailem.

Odkładam telefon na ławę pod telewizor i przyciskam pięść do ust. Ból w policzku ustąpił, zniknął w tym jedynym cholernym momencie, w którym by mi się przydał.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – syczę sobie w kułak i przygryzam palce, w końcu nabieram powietrza i sięgam po komórkę. Znów odsłaniam okno.

– OK – szepczę do telefonu. – Pojadę. Chodź na górę.

Ulf rozłącza się dopiero wtedy, gdy otwieram mu drzwi. Kiwa mi głową i wchodzi bezceremonialnie do środka, zrywa polarowy koc z okna, po czym opada na sofę, która wydaje z siebie żalosny jęk protestu.

– No dobrze, to kiedy ruszasz do Tromsø? O wpół do czwartej? OK. – Pstryka palcami i wskazuje skinieniem głowy aneks kuchenny.

Wzruszam ramionami.

– Co?

– Popielniczka, do cholery! – Ulf zdejmuję plecak, wyławia z niego portfel i paczkę Marlboro Gold, chwytając kartę Visa i papierosa, którego zapala jednym niecierpliwym ruchem i zaciąga się chciwie. – Bilet w jedną stronę.

Kwaśny zapach tytoniu wciska mi się w nozdrza, zatrzymuje pod skórą policzka. Odwracam się i idę do łazienki, sięgam po kosmetyczkę, wkładam do niej maszynkę do golenia, dozownik i torebkę z lekami, szczoteczkę do zębów oraz resztę kosmetyków. Wracam do kuchni, by spakować ekspres do kawy i radio turystyczne. Ulf kończy właśnie rozmawiać przez telefon.

– Hej, hej, hej! – woła z sofy osnuty chmurą dymu, gdy jego spojrzenie pada na ekspres, który owijam troskliwie ręcznikiem. – Nie potrzebujesz go. Na północy Norwegii też mają kawę.

– Ale ja lubię swoją – protestuję.

– Do jasnej chole... Chociaż niech ci będzie. – Macha na mnie ręką i wykrzywia usta. – Weź go sobie, spakuj jeszcze papier toaletowy, szczotkę do mycia naczyń i suszarkę do butów, mam to gdzieś. – Wraca do rozmowy przez telefon. – Tak, halo? Mówił pan, że ile to wyjdzie?

Kończy wreszcie, zapala kolejnego papierosa, odwraca się do mnie i kiwa głową, przytrzymując dym w płucach.

– Wiesz co – mówi w końcu, wydmuchując dym. – Myślę, że ta podróż dobrze ci zrobi. Naprawdę dobrze...

Rozdział 7

Jest już ciemno, gdy samolot ląduje w Tromsø. Na ziemi leży cienka warstewka świeżego śniegu. Odbieram mój plecak i wychodzę na ziąb w poszukiwaniu taksówki. Kwadrans później siostra patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Thorkild? – Przytula mnie mocno.

– Cześć, Liz! – Dobrze jest móc ją objąć, wcale nie mam ochoty puszczać, kiedy ona chce się już uwolnić z uścisku.

– Wszystko z tobą dobrze? – Muska mój policzek swoim pulchnym palcem i mierzy mnie od stóp do głów spojrzeniem okrągłych oczu.

– Bombowo – odpowiadam.

– Kiedy wyszedłeś?

– Przed paroma dniami.

– Co tu robisz?

– Mam sprawę – odpowiadam.

– Sprawę? Wróciłeś do policji?

– Nie.

– A... ale – jąka się moja siostra, potrząsając głową.

– Mogę wejść?

– Ależ tak, oczywiście! – Liz wpuszcza mnie na korytarz. Przystajemy tam, patrząc na siebie w milczeniu. Wydaje się stara i zmęczona. Kończy w przyszłym roku pięćdziesiąt lat, ale wygląda na więcej. Oczy ma opuchnięte, jakby niedawno płakała. Jej ręce są grube i galaretowate, wciąż waży za dużo. Oboje się postarzeliliśmy od naszego ostatniego spotkania.

– Jesteś smutny, Thorkildzie.

– Nie ma o czym mówić. A jak ty się miewasz?

Odsuwa się ode mnie nieznacznie.

– Bardzo dobrze.

– Nadal cię bije?

– Thorkildzie, obiecaj mi, że nie... – Widzę, jak w jej oczach wzbiera desperacja, i czuję, że coś się we mnie przewraca.

– Pytam tylko, czy twój mąż nadal cię leje. Sądząc po siniakach, które masz na szyi i twarzy, osiąga w swoim hobby kolejne poziomy.

– Nie mam teraz na to siły. Układa nam się z Arvidem całkiem nieźle, nie możesz tego zepsuć. Nie chcę... Nie pozwolę na to.

Kręcę głową i wchodzę w butach do salonu.

– Gdzie on jest?

– Thorkildzie! – piszczy moja siostra drżącym od hysterii głosem, jakiego dorobiła się przez lata małżeństwa z agresywnym kierowcą tira, który nie potrafi trzymać łap przy sobie, i to w całkiem niewłaściwy sposób.

Słyszając skrzypienie podłogi na piętrze, wbiegam na górę, przeskakując po trzy, cztery stopnie naraz. Otwieram z impetem drzwi sypialni.

Arvid siedzi na łóżku ze zgarbionymi plecami i zerka na mnie niechętnie zza tłustych strąków ciemnych, brudnych włosów.

– Co tu robisz, do diabła? – udaje mu się wydusić, zanim go dopadam i wymierzam mu kopniaka w twarz. Arvid upada w tył i stacza się z łóżka, zamiera na podłodze z głową pod nocnym stolikiem.

W następnej chwili do pokoju wpada zdyszana Liz i zaczyna szarpać mnie za kurtkę, jęcząc i krzycząc.

– Co ty zrobiłeś?! Co ty zrobiłeś?!

Arvid podnosi się wreszcie, zasłaniając ucho dłonią. Wbija w Liz świdrujące spojrzenie.

– Widzisz? Widzisz, co zrobił? Ten kretyn jest groźny, mówiłem ci przecież. To potwór, rozumiesz?

Spluwa krwią i wyciera ręce w kamizelkę.

Liz odrywa się ode mnie i podbiega do męża. Gładzi go po twarzy, szepcząc uspokajające słowa.

Arvid odtrąca jej rękę i zbliża się do mnie.

– Lepiej, kurwa, uważaj, bo zgłoszę to na policję i wrócisz prosto za kratki, ty pieprzony morderco – warczy, mijając mnie. – Jeśli tu będziesz, jak wrócę, to ja nie ręcę za to, co się stanie.

Wbija mi łokieć pod żebro i trzaska drzwiami, wychodząc.

– Czy naprawdę tego chcesz od życia, Liz? – Siostra podała mi kawę, ciastka i słodkie podplomyki; siedzimy na sofie w salonie, który nie zmienił się od mojej ostatniej wizyty. Jedyne nowe elementy stanowią skórzany fotel przed telewizorem. Niewątpliwie należący do Arvida.

– Nie jest tak, jak myślisz. – Liz spogląda na mnie i najwyraźniej postanawia skierować rozmowę na inne tory: – Widziałeś się z matką po tym, jak wyszedłeś? Zawsze o ciebie pyta, kiedy do niej dzwonię.

– Nie miałem jeszcze czasu.

– Mówią, że ostatnio jej się pogorszyło. – Liz zerka na półmisek z ciastkami. – Gdyby tylko te samoloty do Oslo nie były takie drogie. Teraz, jak Arvid jest na rencie...

– A ojciec?

– Nadal robi swoje. Jakiś czas temu widziałam go w wiadomościach w związku z budową nowej huty aluminium na Islandii. Podobno jest liderem kolejnej grupy aktywistów. Taka ekologiczna partyzantka. Nazywają się *Kæfa Ísland*.

– Zdław Islandię? – śmieję się, widząc przed sobą płonące spojrzenie i długie srebrzyste włosy człowieka wrzeszczącego w historycznej euforii za każdym razem, gdy policja próbuje odciągnąć jego i jego kompanów od kolejnego obiektu przemysłowego, kolejnej akcji protestacyjnej przeciwko kapitalistycznym siłom dominującym na naszej wulkanicznej wyspie. – Nic się nie zmienia.

– Przypominasz mi go. – Liz omiata spojrzeniem sieć blizn na moim policzku, po czym znów zagląda mi w oczy. – Prawie jakbym na niego patrzyła, tak go pamiętam z czasów, kiedy byliśmy mali. – Chichocze, całe jej masywne ciało faluje. – Rzecz jasna z wyjątkiem włosów. Czemu strzyżesz je tak krótko?

– W jakim sensie? – pytam głosem bez wyrazu, widząc, jak jej chwilowa radość przygasa. – W jakim sensie jesteśmy do siebie podobni? Chyba mówisz o tej wyjątkowej chemii, która nas łączy. Tej rdzy, którą obaj się pokrywamy, która nas zżera i niszczy wszystko i wszystkich, którzy wchodzą z nami w reakcję. To właśnie dostrzegasz?

– Thorkildzie, nie to miałam na myśli, przecież wiesz. Ty przecież nigdy byś... To, co się stało... Ty przecież nie...

– Więc o co ci chodzi?

– Ja tylko... – Liz sięga po podpłomyk. Jej wzrok znów wędruje w kierunku mojego policzka i blizn. – Zawsze byłeś taki przystojny – szepce i ukrywa twarz w dłoniach.

– Daj spokój, Liz – mówię, kładąc rękę na jej ramieniu i próbując bezboleśnie się uśmiechnąć. – Nie każdy może wyglądać po czterdziestce tak

pięknie jak ty.

– Boże, przestań, Thorkildzie – piszczy moja siostra i spogląda na mnie pomiędzy palcami. – Nie żartuj sobie ze mnie, to nie jest miłe.

– Co? – Rozkładam ręce. – Ależ ja mówię poważnie.

Liz w końcu odsłania twarz.

– Słuchaj – zaczyna, dojadając podpłomyk i wycierając palce w spodnie.
– Chyba nie możesz tu zostać.

– Spokojnie, Liz, nie mam takiego zamiaru – mówię. – Zabrali mi prawo jazdy, potrzebuję pomocy w wynajęciu auta.

– Arvidowi też nie jest łatwo. – Jej spojrzenie pada na pustą tacę, jakby to na niej, między okruszkami, spodziewała się znaleźć siłę, by nadal powtarzać sobie te wszystkie kłamstwa, bez których poszłaby na dno. Nieważne, ile kopniaków wymierzyłbym temu leniwemu troglodycie, on nadal będzie ją bił, a ona nadal będzie szukać ratunku i sił, by brnąć w to dalej w stosach ciastek. Liz wciąż wierzy, że to tylko faza, którą muszą przetrwać, że jeśli tylko przestanie robić te wszystkie rzeczy, które sprawiają, że on ją bije, to wszystko będzie dobrze.

Rozdział 8

Zatrzymuję auto z wypożyczalni, które załatwiła dla mnie Liz, na oznaczonym hotelowym parkingu i idę do recepcji. Melduję się i proszę o kartę parkingową. Podróż z Tromsø do gminy Blekøyvær, gdzie Arne Villmyr umówił mi na następny rano spotkanie z lensmannem, zajmie trzy godziny, wliczając w to dwie przeprawy promem.

Dostałem pokój z czymś w rodzaju widoku. Na klockowate budynki, latarnie uliczne i asfalt. Paryż Północy skrywa się pewnie gdzieś wśród mroków za szybą. Zaciągam zasłony, otwieram plecak i wyciągam z niego ekspres do kawy, mimo że mam w pokoju elektryczny czajnik.

Jest już późno. Minęło wpół do ósmej i boli mnie całe ciało. Desperacka potrzeba pozbycia się przykrego mrowienia i niepokoju sprawia, że drżą mi dłonie, gdy sięgam po dozownik i otwieram przegródkę z wieczorną dawką leków.

Tabletki wyglądają na mojej dłoni jak małe jaja owadów. Wybieram dwa pomarańczowe risperdale o działaniu przeciwpsychotycznym i wrzucam z powrotem do dozownika, resztę połykam za jednym zamachem. Sięgam po filtr i torebkę z kawą, nalewam wody z kranu w łazience i włączam ekspres.

Gdy do szklanego dzbanka zaczynają kapać pierwsze krople, włączam turystyczne radio i po kolei gaszę wszystkie światła.

Rozbieram się i wpełzam pod kołdrę. Moje ciało zaczęło się już rozluźniać. Mętna ciemność zapada w pokoju, zapuszcza we mnie korzenie, otwiera drzwi, których nie potrafię ruszyć bez jej pomocy.

– Wreszcie – wzdycham, przyciskając kolana do klatki piersiowej. – Wreszcie jestem gotowy.

Leżę chwilę w oczekiwaniu, ale nic się nie dzieje. Klimatyzacja szumi, zimne światło ulicznych latarni wciska się przez zasłony, a ja utknąłem w miejscu.

W końcu siadam w łóżku i sięgam po opakowanie działających błyskawicznie oxynormów. Wyciskam z blistra dwa owadzie jaja, łykam je i znów się kładę.

Po kolejnym długim czasie oczekiwania, kolejnych tabletkach i kilku zrozpaczonych okrzykach ubieram się w końcu i wychodzę.

Widzę Arktyczną Katedrę po drugiej stronie mostu, na tle ciemnego, zimnego, polarnego nieba. Moja trasa wiedzie na nabrzeże i kończy się w centrum handlowym niedaleko przystani.

Idę prosto do perfumerii. Podnoszę ostrożnie flakoniki na wystawie i obwąchuję każdy z nich. Po zbadaniu w ten sposób wielu różnych buteleczek wybieram w końcu przezroczysty szklany flakon z czarną oleistą zawartością i srebrną zatyczką przywodzący na myśl mały zwęglony kawałek drewna opakowany w szkło i srebro, po czym idę z nim do kasy.

– Zapakować? – pyta ekspedientka, starannie umalowana kobieta po pięćdziesiątce z farbowanymi na czarno włosami, ciemnymi oczami i karminowymi wąskimi wargami.

Kiwam głową w roztargnieniu.

– Na pewno jej się spodoba. – Kobieta się uśmiecha i podaje mi torebkę z zapakowanym flakonem.

– Tak. – Zerkam do torebki i oglądam czerwony papier. – Może nie powinna była pani jednak pakować – zaczynam, ale ekspedientka chrząka, a do lady podchodzi starsza dama w puchowej kurtce, niosąc buteleczkę perfum z rysunkiem pszczoły i słowem *honey* wykaligrafowanym na szkle cienkimi czarnymi literami.

– Aha... – Ekspedientka zerka na mnie. – Może pan przecież wyjąć flakon z papieru, zanim pan go jej wręczy. – Mruga dwukrotnie i odwraca się do kobiety ze słojem miodu. – Na pewno je pani polubi – mówi z uśmiechem. – Zapakować?

Biorę torebkę i wychodzę.

Zaraz po powrocie do hotelu umieszczam pakunek na łóżku, tuż przy poduszce. Rozbieram się szybko i kładę, odklejam taśmę i zdejmuję papier.

Zapach perfum dobiega do moich nozdrzy z pudełka, zanim jeszcze je otworzyłem. Czuję, że powieki mam ciężkie, a mrowienie w nogach powoli zamiera. Muszę się spieszyć, wyciągam flakon drżącymi dłońmi, próbując jednocześnie zapanować nad zdenerwowaniem i podnieceniem.

Srebrny korek poddaje się bez oporu, odbezpieczam zamek blokujący atomizer. Naciskam go i z rozpylacza strzela mi prosto w twarz strumień perfum. Kicham, rozpylam ich jeszcze trochę, po czym osuwam się na łóżko i zamykam oczy.

Leżę z twarzą wciśniętą w poduszkę i czekam. Po dłuższej chwili otwieram oczy, siadam na łóżku. Klimatyzacja zasysa wszystkie zapachy z pokoju, sącząc w zamian do środka sterylną, zimną, hotelową woń.

Wstaję i sprawdzam, czy okna faktycznie są zamknięte, po czym znów wpełzam pod kołdrę i jeszcze raz zraszam sobie twarz perfumami. Rozpylam je też na dłonie i włosy. Leżę przez chwilę bez ruchu.

– Kurwa mać! – Zrywam się, chwytam flakon, wyrywam atomizer i podnoszę buteleczkę do ust. Wonna oleista ciecz spływa mi po języku do gardła. Rzucam flakon i łkając, opadam na łóżko, naciągam kołdrę na głowę.

– Czemu nie chcesz przyjść? – szlocham, przyciskając twarz do prześcieradła i zwijając się w kłębek. – Nie rozumiesz, że cię potrzebuję?

Rozdział 9

Pierwszy dzień z Frei, Stavanger, 22 października 2011

Jeziro Hillevågsvatnet migotało za wychodzącymi na zachód oknami willi w Storhaug. W promieniach słońca, które wpadały przez nie do środka, między meblami, podłogą a sufitem tańczyły drobinki kurzu. Kończyłem właśnie rozmawiać o szczegółach sprawy z wujem Frei, Arnem Villmyrem, radcą prawnym w spółce naftowej występującej z roszczeniami. Siedzieliśmy w salonie po przeciwległych stronach szklanego stołu, Frei póżełała w fotelu pod oknem, czytając książkę, na jej kolanach spoczywał odtwarzacz MP3.

– Píše właśnie pracę zaliczeniową. – Arne Villmyr miał pięćdziesiąt kilka lat i modnie opaloną twarz. Jego włosy były cienkie, ale czarne, bez jednego siwego pasma, zaczesane do tyłu tak, że przylegały do czaszki.

– Ach tak. – Odwróciłem się do skąpanej w słonecznych promieniach Frei. – Co studiujesz?

Nie odpowiedziała, nie podniosła nawet wzroku znad książki.

– Prawo – odpowiedział Arne Villmyr. – Tu, na uniwersytecie w Stavanger. – Potarł gładko ogolony podbródek i skinął na siostrzenicę.

– Frei!

– Co jest? – Dziewczyna wyłączyła muzykę i wyprostowała się w fotelu.

– Pisziesz w tej swojej pracy coś o brutalnych akcjach policji w Bergen w latach siedemdziesiątych, dobrze pamiętam?

– A co?

– Nasz przyjaciel z Jednostki Specjalnej wie pewnie o tej sprawie to i owo.

– Ech – chrząknąłem, opuszczając klapę laptopa. – Nie wiem, na ile byłbym w stanie pomóc. Te sprawy z Bergen były w końcu jedną z przyczyn zmian procedur okresowej oceny pracowników policji i prokuratury pod koniec lat osiemdziesiątych, to między innymi właśnie dlatego powołano do życia Biuro Kontroli. Ale niestety nie wiem w tej sprawie nic, czego nie można by wyczytać w książkach i opracowaniach.

Arne pokiwał głową w roztargnieniu, Frei zaś spojrzała na mnie

zmrużonymi oczami.

– Wiesz co? – powiedziała, bawiąc się nerwowo przewodem od słuchawek. – Może jednak mógłbyś mi pomóc.

– Tak? – zwróciłem się w jej stronę.

– Mogłabym przeprowadzić z tobą wywiad.

– Na jaki temat?

– Jeszcze nie wiem. Ale możliwe, że jesteś bardziej interesujący, niż się wydajesz na pierwszy rzut oka. Mógłbyś rzucić trochę nowego światła na moją pracę albo – zawahała się, po czym posłała mi szeroki uśmiech – może takie z nas typy, że byśmy się w sobie zakochali?

– Boże, Frei! – Arne rozłożył ramiona w geście rezygnacji. Miał coś dodać, ale Frei ze śmiechem odwróciła twarz, włączyła muzykę i otworzyła książkę.

– Przepraszam. – Arne upił łyk kawy i cmoknął. – No cóż. Może już kończmy? Jestem pewien, że ty też masz dzisiaj jeszcze dużo innych rzeczy do zrobienia.

Uporaliśmy się z zeznaniami świadków i przejrzelśmy zażalenie złożone przez spółkę naftową Arnego Villmyra na sędziego, który orzekał w przegranej sprawie o odszkodowanie. Już na tym etapie byłem pewien, że zażalenie zostanie oddalone. Za oknem zaczynało się chmurzyć, na gładkiej tafli jeziora pojawiły się pierwsze drobne zmarszczki. Spakowałem laptop, podziękowałem za kawę i miałem już wychodzić, gdy Frei wyjęła nagle z ucha słuchawkę i zmierzyła mnie wzrokiem:

– No i? Co ty na to?

– Na co?

– Spotkamy się w Café Sting jutro o szóstej?

– Ja... ja... – Chciałem dodać coś jeszcze, ale Frei wcisnęła słuchawkę z powrotem do ucha i przeniosła wzrok na karty książki. Arne Villmyr zniknął w kuchni.

Mogłem powiedzieć jej wszystko już wtedy. Wyznać, że wiem. Że cały czas wiedziałem. Ale tego nie zrobiłem. Odwróciłem się w milczeniu i po prostu wyszedłem.

Piątek

Rozdział 10

Słyszę, jak miasto za oknem powoli budzi się do życia. Boli mnie gardło, język mam spuchnięty i suchy. Jej zapach wyparował, został tylko smak olejków eterycznych i rozpuszczalnika wypalony w moich ustach.

Wyłączam budzik, wypełzam z łóżka, podchodzę do ekspresu i nalewam sobie kubek kawy zaparzonej poprzedniego wieczora. Dostałem SMS-a od Anniken Moritzen, która prosi, bym zadzwonił, gdy dotrę do latarni morskiej.

Godzinę później siedzę już w wynajętym aucie i pędzę przez most na północ. Widzę świeży śnieg na górskich szczytach, niebo jest szare, ziemia usłana suchymi liśćmi i porośnięta pożółkłą trawą.

Kilka godzin i dwie przeprawy promem później jestem już w centrum gminy Blekøyvær składającym się z kilku różnych budynków użyteczności publicznej, dwóch spożywczaków, warsztatu samochodowego, sklepu z włóczkami i solarium w piwnicy oraz jednego ronda.

Biuro lensmanna mieści się w płaskim, sześciennym, piętrowym gmachu. Wpływy radzieckiej powojennej architektury są tu przytłaczające. Budynek jest zielony, z białymi parapetami. Kobieta w recepcji mówi mi, że lensmann dzieli go z Wydziałem Spraw Społecznych, mieszczącym się na piętrze.

– Bendiks Johann Bjørkang – przedstawia mi się lensmann, który ma sześćdziesiąt kilka lat, silny dialekt, krótko ścięte brązowe włosy oraz imponujące wąsy. Podaje mi szeroką, silną dłoń.

– To pan jest Thorkild Aske?

– Tak mówią.

– Kto?

– Ci, co tak mówią.

Żartowanie nie za bardzo nam wychodzi, więc lensmann pociera podbródek i zaprasza mnie do swojego biura.

– Ktoś w rodzaju... prywatnego detektywa? – pyta mnie, rozsiadając się na krześle za biurkiem i splatając dłonie na brzuchu.

– Nie – odpowiadam, zajmując miejsce na niewygodnym stołku z jasnego drewna, ze złożoną gazetą wciśniętą pod jedną z nóg.

– No to co pan tu robi? – Lensmann bębni palcami o otłuszczony brzuch.

– Można powiedzieć, że pewien jednostkowy przypadek zmusił mnie do opuszczenia ram, w których na co dzień funkcjonuję, i zaakceptowania obecnych okoliczności, głównie na skutek niedostatecznej asertywności i dotkliwego braku pieniędzy.

– Aha – wzdycha ciężko lensmann Bendiks Johann Bjørkang. – Szuka pan tego Duńczyka, tak?

– Zgadza się.

– W imieniu jego rodziców?

Kiwam głową.

– Cóż, jesteśmy tu, by panu pomóc – cmoka mężczyzna pod wąsem. – Ale nie sądzę, by cokolwiek pan znalazł.

– To podobnie jak ja.

– Zniknięcie Duńczyka to jedyna sprawa, która się obecnie u nas toczy. Wczesną jesienią mieliśmy sztorm i niedaleko na północ stąd zatonał rosyjski trawler. Ale cała załoga dotarła na ląd. Poza tym cicho jak w grobie. – Lensmann zaplata palce na brzuchu. – Jak w grobie.

Młody, dwudziestokilkuletni wąsaty funkcjonariusz wchodzi do środka i przenosi spojrzenie ze mnie na swojego przełożonego z idiotycznym wyrazem twarzy, jakby właśnie nakrył nas w intymnej sytuacji i nie był do końca pewien, czy ma spadać, czy może się przyłączyć.

– Ech – chrząka lensmann i zatacza dłonią półkole pomiędzy mną a sterczącym w drzwiach młodzieńcem. – To Arnt Eriksen, a to Thorkild Aske. Przyjechał tu w sprawie tego Duńczyka. Arnt porzucił wielkowiejskie życie w Tromsø i przeniósł się tu niecały rok temu ze swoją dziewczyną. Po świętach zajmie moje miejsce, a ja pójdę na emeryturę.

– Cześć. – Funkcjonariusz wyciera dłonie w nogawkę spodni i podaje mi wilgotną rękę. Uśmiecha się krzywo, próbując pokazać, że ma świadomość odpowiedzialności, przed którą postawiło go życie. – Jestem Arnt.

– Tak, już słyszałem – odpowiadam, ściskając jego dłoń do momentu, aż chłopak zaczyna czuć się niezręcznie. – Powiedz – ciągnę, nie puszczając – jak tam sobie radziłeś w wielkim Tromsø?

Arnt patrzy na mnie i na nasze ręce w oczekiwaniu, aż dopełnię grzeczności i zwrócę mu jego dłoń.

– Problemy są tam takie jak w każdym innym mieście – zaczyna, odchrząknąwszy. – Przystępczość finansowa i coraz więcej poważnych spraw

związanych z narkotykami. W ostatnich latach było też sporo problemów z prostytutką, ale...

– Wieść gminna niesie, że pracował pan wcześniej w Jednostce Specjalnej? – przerywa Bjørkang, próbując odzyskać kontrolę nad uprzejmościami. Kładzie nacisk na słowo *wcześniej* i znacząco kiwa głową, spoglądając na młodszego funkcjonariusza, który próbuje usiąść, wciąż trzymany przeze mnie za rękę.

– Wieść gminna? – pytam, puszczając wreszcie biedaka.

– Ach, wie pan, co prawda o pańskiej sprawie nic nie było w mediach, ale w naszym środowisku plotki rozchodzą się jak ogień w lesie. Nie co dzień łapie się oficera śledczego z Jednostki Specjalnej z łapą w puszcze z ciastkami. Sprawa wywołała oburzenie w pewnych kręgach i zachwyty w innych. Tak przynajmniej słyszałem.

– Nie wątpię – odpowiadam.

– Czy nie było zresztą tak, że jeden z naszych, wsadzony przez pana do więzienia, próbował wnosić o ponowne rozpatrzenie sprawy właśnie z uwagi na to, co się stało?

– I co, dał radę? – pytam kwaśno.

Bjørkang kręci głową, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Wiedziałeś, Arnt? – Lensmann odwraca się do swojego zastępcy, którego twarz zdążyła na powrót przybrać wyraz tępego zaskoczenia. Chłopak przenosi spojrzenie ze mnie na szefa, gapiąc się na tego, kto akurat zabiera głos. – Tacy jak on są specjalnie przeszkoleni, by łamać policjantów, którzy nie potrafią się zachować na służbie. Więc lepiej uważaj.

Arnt posyła mi debilne spojrzenie, a Bjørkang wybucha nienaturalnym śmiechem, który zamiera zbyt wcześnie.

– Nazywaliśmy to wywiadami – mówię.

– No właśnie – stwierdza Bjørkang, poważniejąc. – Proszę mi powiedzieć: kto przesłuchiwał pana, jak pana złapali?

– Sprowadzili instruktora z akademii policyjnej – odpowiadam. – Wykształconego w Wielkiej Brytanii, eksperta od poszczególnych etapów przesłuchania i taktyki pracy z podejrzanym, etyki i komunikacji, aspektów psychologicznych i przeróżnych technik stymulujących pamięć. Przyjemny facet.

– Złapali? – pyta funkcjonariusz Arnt, który najwidoczniej dopiero teraz odzyskał głos.

– Ach, nie wiedziałeś? – Bjørkang mruga do mnie. – Czego oni was teraz uczą w Akademii? Thorkild Aske dopiero co wyszedł na wolność po trzyletniej odsiadce w Stavanger.

– Proszę nie zapominać o czasie w psychiatryku – dodaję, nie spuszczać wzroku z chłopaka.

– Co pan zrobił? – pyta Arnt, wyraźnie mną rozczarowany.

– Zabił młodą dziewczynę w wypadku samochodowym jednego wieczora po pracy – wtrąca lensmann Bjørkang pomocnym tonem. – I... zdaje się, że był naćpany?

Funkcjonariusz Arnt nadal się na mnie gapi, ale teraz już z innym wyrazem w oczach. Wyrazem, który rozpoznaję. To obrzydzenie, które czujemy, widząc jednego ze swoich, przechodzącego na przeciwną stronę.

– Kwasek gamma-hydroksymasłowy, czyli GHB – odpowiadam, myśląc o tym, co Ulf powiedział mi w aucie w dniu, kiedy wyszedłem z więzienia: że teraz to ja zasiądę po drugiej stronie stołu. Że będę musiał dopasowywać się do warunków stawianych przez innych, nie będę mógł sam ich dyktować. Nazwał to moją pielgrzymką. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, ile mnie ona będzie kosztować.

– Domyślam się, że to jest pamiątka? – Lensmann wskazuje skinieniem głowy blizny na mojej twarzy, rozciągające się cienkimi jak pajęczyna pasmami od oka wzdłuż kości policzkowej aż do ust.

– Miałem szczęście. Uderzyłem głową w kierownicę.

– Cóż – zaczyna Bjørkang nieco łagodniej. – Co się stało, to się nie odstanie. Cała reszta to już sprawa między panem a szefem tam na górze.

– Kierownikiem Wydziału Spraw Społecznych?

Lensmann uśmiecha się sucho.

– Nie jestem tu po to, by osądzać ludzi, ale lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. – Kiwa głową na Arnta, jakby chciał mu powiedzieć, że to, ta rozmowa, której jest teraz świadkiem, to właśnie *man management* na najwyższym poziomie. – Jestem także głęboko przekonany, że człowiek, który odbył karę, zaczyna życie z czystą kartą. Gdybym w to nie wierzył, nie miałbym na tym stanowisku nic do roboty.

Bjørkang dźwiga się z krzesła i odsyła Arnta z biura autorytatywnym skinieniem głowy.

– OK, dość uprzejmości. – Daje mi do zrozumienia, że czas się zbierać. – Jedźmy do Skjellvik i spójrzmy na łódkę Duńczyka, zanim ucieknie nam

reszta dnia.

Opuszczamy biuro lensmanna i wsiadamy do radiowozu. Zostawiam auto z wypożyczalni przed budynkiem biura. Pada, kałuże na zmarzniętej ziemi połyskują, wiatr szeleści w liściach, które wciąż trzymają się gałęzi w ten zimny październikowy dzień. Znad morza nadciągają granatowe chmury.

– Praktycznie cały dzień jest ciemno – mówi funkcjonariusz Arnt, zerkając na mnie w lusterku. – Nie wszyscy dobrze to znoszą.

Rozdział 11

Trasa w głąb wyspy wiedzie przez dolinę ze stromymi górskimi zboczami po obu stronach, potem wyboista droga prowadzi nas z powrotem do morza. Mijamy pojedyncze powojenne domy pokryte zielonymi, białymi albo żółtymi eternitowymi płytami, z dachami z blachy falistej. W niektórych oknach nadal pali się światło, na krańcach niewielkich uprawnych poletek leżą okrągłe beły siana owinięte w biały plastik, ale większość zabudowań stoi opustoszała, dawno już oddana we władanie deszczu i wiatru.

W końcu urywa się także asfalt, dając miejsce żwirowi, a my wjeżdżamy na szczyt wzgórza, z którego roztacza się widok na szeroką zatokę. Gdzieś tam tylko dają się dostrzec pojedyncze budynki.

– Nurkuje pan? – W lusterku pojawia się twarz młodego funkcjonariusza.

– Co?

– Pytałem, czy pan nurkuje.

Bjørkang prychnął i potrząsa głową.

– O co chodzi? – pyta jego podwładny rozczerwanym tonem.

– Facet dopiero co wyszedł z kicia, do diabła. Jakim niby cudem miałby według ciebie nurkować? – Lensmann zdejmując policyjną czapkę i przeczesując palcami resztki włosów. – Niezły z ciebie śledczy, co?

– Nurkowałem kiedyś w bazie Haakonsvern – mówię po chwili milczenia. – I potem, jakieś dwa czy trzy razy.

Oczy Arnta znów pojawiają się w lusterku.

– No i – pyta chłopak z zapalem – jak się panu podobało?

– To było coś strasznego – odpowiadam i widzę, jak żar w oczach chłopaka gaśnie już drugi raz w ciągu jednej minuty.

Na samym szczycie wzgórza stoi ciemnobrązowy budynek z wyasfaltowanym parkingiem i podjazdem dla wózków inwalidzkich oraz mniejsza podłużna budowla podzielona na trzy sekcje mieszkalne.

– Dom Opieki Skjellviktunet – wyjaśnia lensmann Bjørkang, gdy mijamy zabudowania. – Stoi tu od wojny. Dawne szwabskie koszary.

– Szwabskie?

– Niemieckie – wtrąca się funkcjonariusz Arnt, kolejny raz zerkając na mnie w lusterku. – Pana rodzina walczyła na wojnie?

– Ani trochę – odpowiadam, patrząc, jak morze wcina się w krajobraz. Na nieco oddalonej od brzegu wysepce widać biały budynek i stojącą na wzniesieniu tuż obok niego ośmiokątną latarnię morską.

– Latarnia Rasmusa Moritzena. – Lensmann Bjørkang wskazuje hangary na łódzie, stojące jedna przy drugiej w dole zatoki. – Jego łódkę zostawiliśmy w jednym z nich.

Zimny wiatr wdziera się pod ubranie, fale uderzają leniwie jedna o drugą, pieniając się biało. Kępy wodorostów wyciągają swoje zielone palce w kierunku nadbrzeżnych kamieni. Idziemy do hangaru na łódzie, przytrzymując kołnierze kurtek, z pochylonymi głowami, próbując osłonić twarze przed zacinającym deszczem. Trudno mi stąpać po wyslizganych kamieniach, czuję, jak mięśnie nóg napinają się z wysiłku aż do kości krzyżowej.

– Łódź przydryfowała do brzegu we wtorek rano. Zakładamy, że Duńczyk popłynął w weekend nurkować przy „Oku”. Jego matka, kiedy tu przyjechała, powiedziała nam, że rozmawiała z nim w piątek i że gdy dzwoniła znów do niego w niedzielne popołudnie, on już nie odebrał. – Lensmann Bjørkang potrząsa głową, gdy podchodzimy do hangaru na łódzie. W drzwiach czeka na nas niewiele młodszy ode mnie mężczyzna.

– Nie spieszyliście się za bardzo – mówi z silnym amerykańskim akcentem i chucha w dłoń. Ma na sobie brązową skórzaną kurtkę z wełnianym kołnierzem, podobną do tych, które w czasie wojny nosili brytyjscy lotnicy. Na głowę wcisnął robioną na drutach czapkę z napisem „Stop mobbingowi”, a pod pachą trzyma czarne skórzane rękawiczki. – Zgaduję, że to Arnt prowadził?

– Harvey, oto Thorkild Aske. Jest tu w imieniu rodziców Duńczyka. – Bjørkang odwraca się w moją stronę. – A to Harvey Nielsen. Musieliśmy wstawić łódź Duńczyka do jego hangaru.

Harvey Nielsen wyciąga rękę. Jest wysoki, ciemnowłosy, ma dołeczki w policzkach, gdy się uśmiecha.

– Mówiliście mu o latarni?

– Nie. – Arnt posyła Harveyowi, wyższemu od niego o całą głowę, spojrzenie pełne szacunku. – Nic mu na razie nie mówiliśmy.

Harvey Nielsen kładzie silną dłoń na moim karku i przekręca mnie

w prawą stronę, wskazując jednocześnie na skały otaczające wyspę.

– Hej! Skoro tak ładnie prosisz, to usłyszysz całą historię. – Obnaża zęby w uśmiechu i zaciska palce.

– Koniecznie.

– Było tak, że w latach osiemdziesiątych przyjechało tu kilkoro bogatych południowców i zrobili sobie na wyspie centrum konferencyjne dla miastowych japiszonów. Przebudowali kwaterę latarnika, otworzyli tam restaurację i bar, salę komputerową i siłownię. I wielką dyskotekę w piwnicy.

– I po zaledwie roku skończyły im się pieniądze – wtrąca lensmann Bjørkang, a funkcjonariusz Arnt skubie nerwowo wąsy, jakby chciał się upewnić, że wiatr ich jeszcze nie zdmuchnął. – Nie dali rady sprzedać budynku, więc podłożyli pod niego ogień w nadziei, że pożar ocali ich przed finansową ruiną.

– Od tego czasu wszystko stało puste – ciągnie Harvey. – Aż tego lata przyjechał Duńczyk i zaczął remont.

– Hotel z atrakcjami – prycha lensmann. – Co to w ogóle za pomysł?

– Dobrze sobie radził. Byłem tam, widziałem. Wziął starą tradycyjną łódkę i przerobił ją na stół, a bar... – Harvey szczerzy zęby w uśmiechu. – Bar był bajeczny.

– W życiu bym tam sam nie popłynął – oświadcza Arnt swoim wysoki głosem, spoglądając w stronę wyspy.

– Cóż, przyjrzyjmy się łodzi, zanim zapadnie zmrok. – Bjørkang klepie podwładnego po plecach, po czym wchodzi do hangaru. Ruszamy za nim z Harveyem.

Deszcz bębni w dach z blachy falistej, wiatr próbuje go zerwać. Bjørkang i Harvey zdejmują brezentową płachtę i kładą ją na klepisku.

– Oto i ona – mówi lensmann, poklepując gumową łódź.

Wdrapuję się do biało-niebieskiego RIB-a, sztywnej gumowej łodzi marki Zodiac Pro, z kadłubem z włókna szklanego. Ma około sześciu metrów długości i silnik Evinrude o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych. W łodzi leżą lina i butla nurkowa, a także drewniana skrzynia wypełniona znalezionym na dnie morza złomem.

– Niezła łódka, co? – Harvey podnosi skrzynkę oblepioną suchymi algami i małymi białymi muszelkami. Podaje mi ją.

– Duńczyk najwyraźniej zbierał śmieci – mamrocze lensmann Bjørkang, wskazując skinieniem głowy stare tranzystorowe radio, które trzymam

w ręku. Było kiedyś białe, z niebieską obwódką; w lewym rogu oblepionego muszelkami i algami aparatu znajduje ledwie widoczną cyfrę trzy i litery: P b K A.

– Nie było GPS-u? – pytam, wskazując skinieniem głowy pusty uchwyt obok steru.

– Może wypadł, kiedy RIB dryfował – odpowiada Bjørkang obojętnie.

– A dlaczego to nie wypadło? – pytam, demonstrując tranzystorowe radio. – Przecież wałało się w łodzi luzem, a GPS musiał być zamocowany do konsoli.

– Kto to wie. – Bjørkang wzrusza ramionami i wzdycha.

– OK. – Odkładam radio do RIB-a. – Powiedzieliście, że Rasmus najprawdopodobniej nurkował w pobliżu miejsca zwanego „Okiem”. Gdzie to jest?

– „Oko” to podwodna skała pomiędzy latarnią morską a wyspami po drugiej stronie fiordu – mówi Bjørkang, zerkając na zegarek, po czym podchodzi do drzwi hangaru i wskazuje na wysoką żerdź z mrugającym światełkiem na szczycie, umieszczoną na jednym ze szkierów na morzu. – Oznakowanie zostało tam ustawione jakiś czas temu, by pomóc łodziom, które przybijają do brzegu od strony cieśniny Grøtsundet.

– Mówimy na to miejsce „Oko”, bo kiedy morze jest spokojne, skała wygląda tak, jakby ktoś zerkał z głębin na niebo. Przez lata wiele łodzi zatonoło po zbyt bliskim spotkaniu z tym szkierem, wielu ludzi straciło życie – wyjaśnia Harvey.

Bjørkang i Arnt kiwają zgodnie głowami, patrząc w zamyśleniu na morze.

– To pewnie dlatego Rasmus tam nurkował? Na dnie są wraki?

Wszyscy trzej zgodnie potwierdzają moje słowa.

– Nasi nurkowie szukali go tam, ale nic nie znaleźli – zaczyna lensmann Bjørkang po chwili milczenia. – Musimy poczekać – ciągnie. – Pozwolić działać naturze, ciało prędzej czy później wypłynie, zobaczycie.

– Jak skończą już z nim kraby – uzupełnia Harvey.

Zapada zmrok, niebo zasnuwa się czarnymi chmurami.

– Muszę tam popłynąć – mówię. – Do latarni.

Bjørkang znów zerka na zegarek.

– Chyba czas już kończyć z tymi bzdurami – mówi, spluwając. – Zapowiadają niepogodę na cały weekend. Wracaj do Stavanger, Aske. To

samo powiedziałem matce tego Duńczyka, kiedy tu była i robiła straszny raban, żeby w pełny sztorm zawieźć ją na wyspę, ryzykując życie całej załogi. Zadzwonimy, jak zguba się znajdzie. Ci topielcy zawsze prędzej czy później wypływają. Tyle że trochę to trwa.

– Jego rodzice chcą, żebym tam popłynął. I zrobię to, chyba że macie jakieś dokumenty, które uniemożliwiają to od strony prawnej.

– OK, OK. – Bjørkang rozkłada ręce w geście rezygnacji. – Jeśli zostanie pan tu i poczeka, to jak dla mnie w porządku. Nie możemy panu zabronić. Ale niech pan trochę uważa, to jedyne, o co proszę. Nie jest pan już policjantem.

– Jestem tu tylko po to, żeby pomóc – odpowiadam. – Tak samo jak wy.

– W porządku – prycha Bjørkang. – Ale proszę pamiętać: jeśli przyjdzie panu do głowy jeszcze coś, na co pana zdaniem powinniśmy tracić czas, to niech pan poczeka do poniedziałku. OK?

Kiwam głową, a Bjørkang ostatni raz konsultuje się z zegarkiem, po czym kiwa dłonią na Arnta, dając mu tym samym znak, że pora jechać.

– Koniak i akordeon – mruczy Harvey, gdy policjanci siedzą już w radiowozie. Spoglądają na nas przez przednią szybę, wymieniając między sobą krótkie zdania i monosylaby.

– Co pan powiedział?

– Bjørkang jest wdowcem – ciągnie Harvey. – W weekendy pije koniak i gra na akordeonie z innymi samotnymi facetami z okolicznych wysp. Wie pan, stróż prawa – śmieje się. – Przystępczość istnieje tu tylko w dni powszednie, między ósmą a szesnastą. Nie wiedział pan?

– Rozumiem – wzdycham, uświadamiając sobie, że zostawiłem swoje auto pod biurem lensmanna.

– Czemu właściwie chce pan płynąć do latarni? – pyta Harvey po tym, jak zamknął drzwi do hangaru na kłódkę. – Byłem tam z Bjørkangiem, kiedy znaleźliśmy łódź. Nic tam nie ma.

– Matka zaginionego sobie tego życzy. Ja chcę po prostu zamknąć tę sprawę. Zaraz zamarznię na śmierć.

– OK. – Harvey bębni lekko palcami w drzwi hangaru. – Jeśli pan chce, możemy popłynąć tam razem jutro rano. I tak mijam latarnię w drodze na farmę.

– Farmę?

– Omułki. – Mężczyzna znów się uśmiecha. – To w nich jest prawdziwy

pieniądz.

Rozdział 12

Harvey zaprasza mnie do swojego pikapa. Zgodził się, żebym u niego przenocował przed poranną wyprawą do latarni morskiej, dzięki temu udaje mi się uniknąć stukilometrowej podróży i dwóch promowych przepraw do hotelu w Tromsø. Dom Harveya jest nowym budynkiem, roztacza się z niego widok na fiord i wyspę z latarnią.

Wchodzimy i sadowimy się przy kuchennym stole. Harvey przynosi dwa kubki wypełnione do połowy kawą. Wokół nas biega jego żona, w pogoni za sześćioletnim chłopcem, którego usiłuje ubrać.

– Wychodzimy – mówi w końcu i ciągnie chłopca na korytarz, gdzie jedną ręką próbuje włożyć płaszcz.

– Chodź do mnie. – Gdy tylko żona się do niego zbliża, Harvey sadza ją sobie na kolanach i całuje we włosy. – To Thorkild Aske, były policjant, przyjechał tu, żeby szukać Duńczyka. – Znów obsypuje ją pocałunkami. – A to moja kochana małżonka Merethe.

Merethe podnosi się z kolan Harveya i podaje mi rękę.

– Cześć – mówię, próbując się uśmiechnąć oboma kącikami ust równocześnie.

– Cześć, Thorkild – odpowiada Merethe, po czym szybko puszcza moją dłoń i spieszy do korytarza, gdzie jej syn rozrzuca wokół siebie buty, naśladowując odgłosy pistoletowych wystrzałów.

– Merethe pracuje jako animatorka w domu opieki. Joga dla seniorów, leczenie energią, kryształoterapia i takie tam. Poza tym będzie z niej niedługo prawdziwa celebrytka, prawda, kochanie?

– Co?! – krzyczy kobieta z korytarza.

– Ty! Niedługo będziesz sławna! – odwrzaskuje Harvey. – Chodź tu i obejrzyj Thorkilda. Na pewno znajdziesz jakiegoś ducha, który się do niego przyczepił.

Merethe wstaje z kilkoma butami w rękach i rzuca jednym z nich w męża.

– Nie teraz, Harvey. Nie widzisz, że już jestem spóźniona?

Wychodzi w końcu z domu, ciągnąc za sobą chłopca, a Harvey znów się do mnie odwraca.

– W tej fazie cyklu zawsze jest duchowo rozchwiana. – Śmieje się głośno, uderzając dłońmi w kolana.

– Z czego jest znana?

– Z jasnowidzenia – odpowiada Harvey. – Zaangażowali ją do kolejnego sezonu *Wędrówki dusz*, może śledzisz ten program. Zaczynają kręcić w okolicach nowego roku. Na razie ma podpisany kontrakt na cztery odcinki. Super, co?

– Nie oglądam tyle telewizji, ile powinienem – zaczynam, ale Harvey zrywa się nagle z krzesła i znika w piwnicy. Pojawia się z powrotem z plastikowym pojemnikiem na elektrolit, który stawia na stole między nami.

– Wyglądasz mi na faceta, który nie odmówi kropelki czegoś mocniejszego. – Odkręca korek i rozcieńcza nam kawę przezroczystym alkoholem. – W twoich stronach pije się karsk?

– Owszem, na Islandii, jak najbardziej. Tyle że tam nie leją tak hojnie kawy.

Harvey wybuchą śmiechem. Pijemy w milczeniu, wyglądając przez okno na morze i zapadającą polarną noc.

– Czym by było życie bez dzieci – mówi wreszcie Harvey. – Masz jakieś?

– Nie.

– A żonę?

– Kiedyś miałem.

– I co się stało?

– Ja poleciałem do Stanów, a ona do Gunnara.

– Do Gunnara?

– Tak, Gunnara Ore. Mojego dawnego szefa z Jednostki Specjalnej.

– Kurwa, stary. Fatalna historia.

Wzruszam ramionami.

– Nie byliśmy razem szczęśliwi.

– I dlatego zostałeś prywatnym detektywem?

– Coś w tym rodzaju – odpowiadam zmęczonym głosem. Latarnia morska majaczy na wyspie w półmroku. Wszystko wydaje się szare. Wkrótce granatowa ściana ciemności staranuje i wyspę, i latarnię.

– Harvey Nielsen – zaczynam po kolejnej dłuższej chwili milczenia. – To

północnonorweskie nazwisko?

– *Absolutely*. – Harvey znów wybucha śmiechem. – Moi przodkowie wyjechali do Minnesoty w 1913 roku, pradziadek wrócił w czasie pierwszej wojny światowej i kilka lat później został zagazowany na froncie gdzieś na północy Francji.

– A ty? Jak odnalazłeś drogę powrotną do ojczyzny?

– Zatrudniłem się po college’u na kutrze rybackim i wylądowałem przypadkiem w Tromsø, gdzie poznałem Merethe. Pracowała wtedy w pubie.

– I zostałeś hodowcą omułek?

– Między innymi. Rodzina Merethe miała małe gospodarstwo, gdzie trzymaliśmy owce, a potem przypadkowo trafiłem na kurs dla hodowców omułek, jakoś w dwutysięcznym roku. Postarałem się o dofinansowanie z Funduszu Rozwoju Regionalnego i ruszyłem z interesem. Na początek miałem tylko jedną parcelę, kilka pojemników na elektrolit, stare sieci do połowu śledzi, części od traktora, przewody elektroluminescencyjne i betonowe obciążniki, które sam odlałem. Platformę też zbudowałem sam. Większość hodowli upadła w pierwszych latach, ale my wytrzymaliśmy, zacisnęliśmy zęby i wypłynęliśmy po drugiej stronie. *Changed* – uśmiecha się Harvey. – W maju oddaliśmy do skupu siedem ton małży. W przyszłym roku nastawiamy się na dziesięć.

– Gdzie leży ta wasza hodowla?

– W zatoce na północ od wyspy, tam gdzie rodzina Merethe miała gospodarstwo, zanim je zlikwidowaliśmy. Pracowaliśmy w nim jeszcze kilka lat po tym, jak rodzice przenieśli się do domu opieki, ale nie było z tego żadnych pieniędzy, tylko harówka.

– Tęsknisz za Stanami?

– Nie – odpowiada Harvey. – *Not at all*. Nie pasowałem tam, czułem to już od dziecka. Wiesz, chodzi o morze. Człowiek ma je w krwi, szumi mu w żyłach, woła i kusi. – Harvey stuka kubkiem o blat stołu i przenosi spojrzenie za okno, na światła ulicznych latarni migoczące w lodowatych jesiennych ciemnościach. – Nigdy nie mógłbym stąd wyjechać. Nigdy.

Czuje, że alkohol zaczyna płać figle mojemu błędnikowi. Całe ciało wypełnia się intensywnym ciepłem, którego nie czułem już od dawna.

– Mówiłeś, że byłeś w Stanach. – Harvey patrzy na mnie swoimi błyszczącymi szarymi oczami. – Co tam robiłeś?

– Rozwijałem się zawodowo – odpowiadam. – A może chciałem uciec

jak najdalej od zgliszczy małżeństwa. Minęło tyle czasu, że sam już nie jestem pewien.

Harvey unosi kubek w milczącym toaście.

– *Hear, hear!* – Pije i spogląda na mnie z półuśmiechem. – Po co tam właściwie pojechałeś? – pyta w końcu.

– W Norwegii policjanci stosują standardową technikę przesłuchań zwaną KREATIV – zaczynam.

– Co to takiego?

– KREATIV skupia się na tym, by podejrzany spokojnie opowiadał. Celem przesłuchania nie jest konieczność to, by delikwent się przyznał, nacisk kładzie się przede wszystkim na uniemożliwienie mu przedstawienia brzmiących wiarygodnie fałszywych wymówek i mijania się z prawdą. W Miami miałem wyjątkową możliwość poznania bardziej zaawansowanych technik przesłuchań i studiowania ich pod okiem samego doktora Titusa Ohlenborga.

– A co to za jeden?

– Słyszałeś o KUBARK?

– *Nope.*

– KUBARK to w sumie siedem podręczników z zakresu technik przesłuchań, stosuje się je w szkoleniach agentów CIA, wojskowych i komandosów z innych jednostek specjalnych. Pierwszy z nich opublikowano w 1963 roku, kiedy jeszcze trwała zimna wojna. Miał być narzędziem dla oficerów prowadzących przesłuchania, zwłaszcza tych z kontrwywiadu, i opisywał całą gamę technik, za pomocą których można łamać zdrajców, uchodźców, prowokatorów, agentów i podwójnych agentów, po to tylko, by sprawdzić, czy działają w dobrej wierze. Autorem tego podręcznika jest wspomniany przeze mnie doktor.

– *Spyshit? Really?* – Harvey przewraca oczami i uśmiecha się krzywo. – Nie wyglądasz mi na takiego.

Wzruszam ramionami.

– Ohlenborg jest z wykształcenia psychologiem i rozpoczął karierę, studiując interakcje między ludźmi przebywającymi w tych samych budynkach, dopiero później przeszedł do CIA. Prowadził potem kursy dla oficerów śledczych policji, ale też dla prywatnych firm zajmujących się bezpieczeństwem, na przykład Blackwater, DynCorp czy Triple Canopy.

– I dla norweskich gliniarzy?

Kiwam głową i daję gestem znać, że potrzebuję dolewki.

– Problem z podręcznikami takimi jak KUBARK i nowszymi europejskimi metodami, na przykład naszym KREATIV, jest zawsze ten sam.

– A mianowicie? – Harvey chwyta pojemnik na elektrolit, podnosi się zza stołu i dolewa mi spirytusu.

– Jak przesłuchiwać człowieka, który wie i potrafi dokładnie tyle co ty? Kogoś, kto może nawet ukończył te same kursy?

Mój gospodarz odstawia pojemnik na podłogę i osuwa się na krzesło.

– Rozumiem – mówi, kiwając głową. – Jak złamać jednego ze swoich.

– No właśnie. Ohlenborg przez lata jeździł po amerykańskich więzieniach i przeprowadzał wywiady z policjantami, którzy pracowali kiedyś na szczeblu lokalnym albo federalnym, odsiadującymi wyroki za najróżniejsze przestępstwa: od rozbojów i przemytu narkotyków po morderstwa na zlecenie, gwałty i seryjne zabójstwa.

– *Cops gone bad* – śmieje się Harvey, zaglądając do kubka. – Co za świat.

– Wywiad, wojsko i policja stają przed tymi samymi wyzwaniem w sytuacji przesłuchiwania jednego ze swoich. Ludzi, którzy w toku swojej kariery przeprowadzili setki, może tysiące przesłuchań, którzy znają metody, pewnie nawet zdążyli przez lata opanować je do perfekcji właśnie z myślą o dniu, kiedy zostaną złapani i będą musieli postawić wszystko na jedną kartę.

– No i co robicie, żeby ich złamać?

– W każdym przesłuchaniu kluczowe są doświadczenie, trening i wiara we własne umiejętności. Ale człowiek uczy się z czasem, że nikt, niezależnie od tego, jaki jest dobry i jak doświadczony albo co przeszedł w życiu, nie jest w stanie zamaskować swojego człowieczeństwa. To właśnie ono stanowi wytrych do rozgryzienia każdego z nas. Tylko tyle i aż tyle. Kropka.

– *You lost me, mate.* – Harvey kręci głową i mruży oczy.

– Każdym z nas kierują pierwotne instynkty. Jedyna różnica polega na tym, jak się kto zachowuje, gdy one dochodzą do głosu. Tak czy inaczej – ciągnę, obracając kubek w dłoniach i wpatrując się w mętną brązową ciecz – po dziewięciu miesiącach współpracy doktor Ohlenborg zachorował i musiał przejść agresywną radioterapię guza mózgu, a ja wróciłem do Bergen i Jednostki Specjalnej.

– To czemu odszedłeś z policji?

– Innym razem – szepczę. – Opowiem ci innym razem.

Deszcz za oknem zmienił się w twarde kulki lodu, które bębnią o parapet i odbijają się od niego, niknąc w ciemnościach.

– Mówiłeś, że najęli cię rodzice Duńczyka – odzywa się wreszcie Harvey.

Kiwam głową.

– Ale właściwie po co?

– Nie wiem – odpowiadam. – Żeby go szukał. Nadzieję można kupić.

– Nadzieję?

– Tak długo, jak mi będą płacić, ja będę szukał. A jak długo będę szukał... istnieje nadzieja, że coś znajdę.

– Niby co?

– Jakiś magiczny kluczyk, który można przekręcić i cofnąć czas. – Zaglądam do kubka, Harvey znów go napełnia. Zapach spirytusu wdziera mi się do nozdrzy i rozgrzewa, torując sobie drogę przez zmiążdżone kanaliki łzowe, przywołuje chmury, które kłębią się i zderzają gdzieś daleko z tyłu czaszki. Kiwam głową, rozdziawiam usta i połykam. Potężne hausty.

– A znajdziesz go kiedyś? – pyta Harvey przekornie i mierzy mnie wzrokiem. – Znajdziesz ten kluczyk?

– Nigdy – odpowiadam, wybuchając głośnym śmiechem.

Rozdział 13

Drugi dzień z Frei, Stavanger, 23 października 2011

Café Sting znajduje się nieopodal wieży Valbergtårnet, urządzona w starym drewnianym budynku z modnym rustykalnym klimatem, uwielbianym przez mieszkańców Stavanger. Stojąca za barem kobieta podała mi filiżankę kawy i szklankę wody z lodem. Zaniósłem je do stolika w głębi lokalu, przy którym siedziałem w oczekiwaniu na Frei.

Przyszła za kwadrans siódma. Wyglądałem przez okno, patrząc na kamienną wieżę atakowaną przez krople deszczu, które spływały po szybach niczym asymetryczne nici sonej pajęczyny.

– Co za pogoda – powiedziała, zdejmując parkę w kolorze khaki, z szerokim kołnierzem i zapinanymi kieszeniami. Powiesiła ją na oparciu krzesła i posłała spojrzenie w kierunku baru. Stojąca za ladą kobieta włączyła elektryczny czajnik, po czym zanurzyła dłoń w misie z torebkami herbaty. – Długo czekasz?

– Poczekałbym i dłużej, gdybyś tylko chciała.

Frei przekrzywiła głowę, przyglądała mi się przez chwilę bez słowa, a potem zrobiła w tył zwrot i podeszła do baru.

– Czemu przyszedłeś? – zapytała, siadając wreszcie na krześle z żelazną ramą, dokładnie naprzeciw mnie. Wyjąwszy z cukiernicy trzy brązowe kostki, wrzuciła je do herbaty o kolorze zielonego jabłka. Podniosła łyżeczkę i zaczęła mieszać leniwym gestem, aż cukier się rozpuścił, nadając zawartości filiżanki ciemniejszy, bardziej ziemisty kolor i czyniąc ją mętniejszą.

– Samotność – odrzekłem. – Bez wątpienia.

– Myślisz, że coś ci na to poradzę?

– Pewnie nie.

– To dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Bo mnie poprosiłaś.

– Wuj nalegał. – Zbliżyła ciepłą łyżeczkę do warg i zamknęła usta. –

Spodziewa się odwiedzin – dodała, odkładając łyżeczkę na spodek z plasterkami cytryny.

– O?

– Pewnego mężczyzny.

– Aha.

– Robert jest parę lat starszy ode mnie. Mógłby być moim bratem. Zabójczo przystojny. – Frei zaśmiała się cicho, chwytając filiżankę w obie dłonie. – Wuj Arne jest gejem. Nie zauważyłeś?

– A powinienem?

Teraz to ona wzruszyła ramionami.

– Wuj mówił, że jesteś z tych, co to czytają język ciała i wiedzą o nas dużo więcej, niż chcielibyśmy zdradzić. Nie miał racji?

– Ależ skąd – roześmiałem się. – W najmniejszym stopniu.

– To co właściwie potrafisz?

– Prowadzić przesłuchania i pisać raporty – odparłem, bawiąc się pustą filiżanką po kawie. Moje spojrzenie spoczęło przez chwilę na fusach na dnie, po czym powędrowało znów ku jej twarzy.

– Ale jesteś ekspertem od techniki przesłuchań, prawda? Arne mówił, że dopiero co wróciłeś ze Stanów.

Nachyliłem się nad stołem, splatając ręce.

– A skąd on o tym wie?

– Jest radcą prawnym w jednej z największych spółek naftowych w Ameryce Północnej. – Frei przeczesła palcami swoją chaotyczną fryzurę. – Lubi wiedzieć to i owo o ludziach, z którymi się spotyka zarówno prywatnie, jak i zawodowo.

– Co jeszcze wiesz?

– Jesteś w połowie Islandczykiem, twój ojciec skończył biologię morską, ale jest jakimś radykalnym ekologicznym aktywistą i działa na Islandii. Twój rodzice się rozwiedli, gdy byłeś jeszcze mały, matka wróciła do Norwegii, zabierając ciebie i twoją siostrę. I jeszcze to, że sam się niedawno rozwiodłeś.

– No to wiesz wszystko – stwierdziłem, sięgając po stojącą między moimi nogami torbę. Poświęciłem pół nocy na zebranie wszystkich dokumentów, które udało mi się znaleźć na temat sprawy bergeńskiej i powołania byłego Biura Kontroli. – Zobacz, może coś z tego przyda się do twojej pracy. Europejski Komitet do spraw Zapobiegania Torturom też opublikował w związku z tym raport i postawił sporo krytycznych pytań...

– Nic z tego nie potrzebuję. – Frei przyglądała mi się z filizanką ustawioną na otwartej dłoni, zupełnie jakby szykowała się do przyjęcia jakiejś dziwnej pozycji kwiatu lotosu, modnej w kręgach młodych bywalców miastowych kawiarni. – Skończyłam już pisać pracę.

Odwróciłem swoją filizankę do góry dnem, stawiając ją na spodku.

– To co tu właściwie robimy?

– Poznajemy się – odrzekła Frei. – Na twój własny sposób.

– Mój?

– Czy to nie jest właśnie twoja praca, nie w tym się specjalizujesz? Zbieranie faktów o człowieku, przedstawianie mu ich w kontrolowanym otoczeniu, w którym ty i twoi koledzy mogą dotrzeć do każdej naszej tajemnicy, każdej słabej strony i każdego braku? Chciałam po prostu, żebyśmy zaczęli od ciebie.

– Boże – jęknąłem, bębniąc kłykciami w dno odwróconej filizanki, i zaśmiałem się pod nosem. – Może masz rację – stwierdziłem wreszcie, podnosząc się, by odejść. – Albo wiesz co? Masz, cholera, zupełną rację. – Chwyciłem torbę z dokumentami i skłoniłem się lekko. – Moja gra, ty wygrywasz. *Adieu.*

Ruszyłem pospiesznie do wyjścia po wyłożonej szachownicą kafelków podłodze, ale w połowie drogi zrobiłem w tył zwrot i wróciłem do stolika.

– A zresztą, dokończmy grę... – Rozparłem się na krześle. – Co chcesz wiedzieć, Frei? Pytaj do woli.

– Chcę poznać twoje tajemnice i kłamstwa – odparła, nadal trzymając filizankę na otwartej dłoni. Odstawiła ją wreszcie na stół i splotła palce. – A potem pokażę ci swoje.

– OK. Od czego mam zacząć?

– Od czego chcesz.

– Moja matka była psychologiem dziecięcym, ale musiała zrezygnować z pracy, gdy zachorowała, teraz mieszka w domu opieki w Asker. Ma alzheimera, już od niemal dziesięciu lat. Dawno się z nią nie widziałem. Nie wiem dlaczego.

– Opowiedz o Islandii.

– Kiedy byłem mały, jeździliśmy od jednej huty aluminium do drugiej, między elektrowniami i zakładami metalurgicznymi. Ja, matka i Liz, żeby patrzeć, jak mój ojciec i jego ekolodzy przykuwają się do koparek i rurociągów, dźwigów i wywrotek, jak wrzeszczą z rozkoszy i sikają pod

siebie, żeby świat zrozumiał, że rodzaj ludzki wymknął się spod kontroli.

– Idealista.

Skinąłem głową w zamyśleniu.

– Czemu pojechałeś do Stanów?

– Po paru latach życia w separacji doszliśmy z moją byłą żoną do momentu, w którym nie byliśmy w stanie porozumieć się co do czegokolwiek, żadnego szczegółu, żadnego najmniejszego niuansu. Przeczytałem gdzieś o kursie i po prostu pojechałem.

– Żeby przesłuchiwać policjantów kryminalistów w obcym kraju?

– Właśnie.

– Czemu?

– Żeby się doskonalić w mojej pracy, żeby...

– Ich zrozumieć?

– Tak.

Frei posłała mi nagle szeroki uśmiech.

– Łamiesz policjantów dla swojego ojca, Thorkildzie?

– Pewnie tak – odpowiedziałem zmęczonym głosem. Za oknem deszczówka zbierała się w wąskie strumyki płynące w dół wzgórza drogami po obu stronach budynku kawiarni.

Frei wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś chodzącym stereotypem, Thorkildzie Aske – orzekła, łapiąc się za głowę. – Nie dostrzegasz tego?

– Ależ oczywiście, że dostrzegam. Jeśli któregoś dnia pójde do psychologa, na pewno zaznaczę, że postawiłaś tę diagnozę jako pierwsza.

Postanowiłem, że będę ciągnął tę zabawę, niezależnie od tego, jakie zada mi pytania i co będę musiał wyznać, by na nie odpowiedzieć. Rozwód z Ann-Mari i czas spędzony na amerykańskim południowo-wschodnim wybrzeżu z mężczyznami i kobietami przesłuchiwanymi przez doktora Ohlenborga za szybą z pancernego szkła dużo mnie kosztowały. Zbyt dużo. Siedząc teraz w kawiarni z tą młodą dziewczyną, zaczynałem czuć, że skorupa, w której się zamknąłem, zaczyna powoli pękać. Że w mojej głowie pulsuje coś nowego i żywego. Coś, czego nie doświadczyłem nigdy wcześniej.

Frei wahała się przez chwilę, z trudem powstrzymując uśmiech, po czym spytała:

– To dlatego się rozwiedliście? Bo odkryłeś ją całą i nie miałeś już czego szukać? Sporządziłeś szczegółową mapę, skończyłeś pracę i ruszyłeś dalej,

do kolejnego przypadku?

– Przypadku? Takiego jak... ty?

– Nie – odrzekła Frei. – O mnie nadal nic nie wiesz. Nie znamy się.

– Masz rację. Teraz moja kolej?

– Twoja kolej.

– OK – zacząłem, nachylając się nad stołem. – Opowiedz mi o sobie.

Frei siedziała jakiś czas w milczeniu, poruszały się tylko jej oczy, studiujące każdy por mojej twarzy niczym dwa migoczące bliźniacze słońca.

– Tańczę – powiedziała w końcu, wyławiając z miseczki kolejną kostkę cukru.

Sobota

Rozdział 14

– Hej! Hej, ty, co jest czerwone i robi blob-blob?

– C... co?

– Co jest czerwone i robi blob-blob?

– Boże, nie mam pojęcia – jęczę, próbując odwrócić głowę od tej małej istoty zadającej pytania z piekła rodem.

– Ha, ha! Czerwony blob blob, rzecz jasna!

Otwieram oczy i stwierdzam, że leżę na kuchennej podłodze, częściowo schowany pod stołem, przy którym piliśmy razem z Harveyem poprzedniego wieczora. Chłopiec, którego widziałem wczoraj, siedzi nade mną z uśmiechem. Dostrzegam stopy Harveya przy kuchence, dociera do mnie nagle zapach świeżo zaparzonej kawy.

– No proszę, nasz gość już wstał. – Harvey pochyla się i zagląda pod stół.

– Mhm – mrużę, próbując dźwignąć się z podłogi.

– Czemu śpisz pod stołem? – pyta chłopiec.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą, po czym walę głową o kant mebla.

– Jak na prywatnego detektywa nie najlepiej sobie radzisz z napojami dla dorosłych. – Harvey mruży oczy i stawia na blacie kubek gorącej kawy.

– Jeszcze zobaczysz – stękam, przytrzymując się krzesła, by wstać. – Daj mi tylko trochę czasu.

– Tato, czy on się wczoraj nachlał? – Chłopiec przenosi spojrzenie ze mnie na swojego ojca.

Harvey dźwiga mnie z podłogi.

– Cóż, chyba można tak powiedzieć – mówi z uśmiechem.

– Która godzina? – pytam, parząc sobie wargi kawą.

– Dochodzi wpół do szóstej – odpowiada Harvey. – Ruszamy za dziesięć minut.

Łupie mnie w głowie, zatoki mam jak zacementowane, policzek boli jak opętany.

– Zimno dziś na dworze – rzuca Harvey znad swojej kawy. Wydaje się

być w zaskakująco dobrej formie, biorąc pod uwagę, ile wczoraj wypiliśmy.
– Przygotowałem dla ciebie zmianę wełnianej bielizny, buty i czapkę – mówi z uśmiechem. – Żebyś nie zamarzł.

– Dziękuję. – Wyglądam przez okno i wzdrygam się mimowolnie. Na dworze jest nadal ciemno, tylko biała poświata nad najwyższymi szczytami może świadczyć o tym, że wstaje nowy dzień.

– *No problem, man.* – Harvey unosi kubek w geście toastu.

Wypijam jeszcze kilka łyków, po czym ból brzucha i ogólny niepokój, towarzyszący mi zawsze przed zażyciem porannej dawki leków, wyganiają mnie do łazienki.

Widok, który czeka na mnie w lustrzanym odbiciu, wystarczyłby z pewnością, by wystraszyć dowolnego demona z piekielnych rewirów. Łykam poranną porcję tabletek, popijając je wodą z kranu. Wyciskam sobie na palec pasemko zielonej dziecięcej pasty i podejmuję rozpaczliwą próbę umycia zębów. Reszty nawet nie ruszam. Po co poświęcać czas czemuś, co jest i tak nie do naprawienia?

Wychodzę z łazienki i znów wpadam na chłopca.

– Ej ty! – Mały, naśladując ojca, przenosi ciężar ciała na jedną nogę i krzyżuje ramiona na piersi. – Co jest czerwone i robi blob-blob?

Patrzę na niego zrozpaczony, w nadziei że moje spojrzenie przekona go, że jest szalony i powinien dać mi spokój, ale nic tym nie osiągam. Poddaję się więc, uśmiecham i odpowiadam:

– Hmm, a czy to nie jest przypadkiem blob blob w kolorze czerwonym?

– Głupek! Przecież to borówka z silnikiem. Ha, ha, ha, ha!

Na dworze wszystko jest sine. Wydaje się, że nawet okoliczne domy postradały wszystkie kolory. Na daszku wiszącego w ogródku karmnika siedzi sroka, przyglądając się nam z przekrzywionym łepkiem. Wzbija się w powietrze i odlatuje, gdy Harvey naciska guzik na kluczyku i otwiera drzwi pikapa. Uruchamia silnik i już po chwili jedziemy krętą drogą w kierunku hangarów na łodzie nad zatoką, mijając centrum.

Wczorajszy wiatr ucichł, zrobiło się za to zimniej. Powietrze jest ostre, trudno nabrać je do płuc, nie kaszłąc. Ból w policzku melduje się na swoim miejscu, pulsuje, kłuje, nie daje o sobie zapomnieć. Na dodatek muszę wreszcie przyznać się przed sobą, że mój układ trawienny zastrajkował i że dokuczające mi od kilku dni bóle brzucha raczej nie przejdą same z siebie.

– Przypłynę po ciebie, jak tylko zrobię swoje w hodowli.

– OK – odpowiadam i w tej samej chwili moje spojrzenie pada na starszego mężczyznę w plastikowej łodzi, który wiosłuje w kierunku lądu. Łódź przybija do brzegu, starzec wyskakuje z niej zwinnie i wyciąga ją z wody.

– Potrzebujesz pomocy, Johannesie? – Harvey podchodzi do mężczyzny, tamten kręci głową i wyjmuje z łodzi skrzynkę z rybami, które zaczyna patroszyć na nadbrzeżnych kamieniach. – Mam tu prawdziwego prywatnego detektywa – mówi Harvey, opierając się o burtę. Johannes rozpruwa brzuch sporego dorsza, wyrywa wnętrzności. Na stojaku do suszenia ryb naprzeciwko hangarów przysiadło kilka mew. – Przyjechał szukać Duńczyka, który kupił latarnię.

Johannes zerka na mnie, po czym kręci głową i rzuca wnętrzności do morza, w chwili gdy jedna z mew zrywa się ze stojaka i szybuje w naszym kierunku.

– Duńczyk nie żyje.

– No tak, ale... – zaczyna Harvey, ale Johannes wchodzi mu w słowo. Wrzuca świeżo wypatroszonego dorsza do skrzynki, sięga po kolejną rybę.

– Wiesz... – Zaciska wargi i przez chwilę wygląda, jakby przygryzał wnętrze policzka. – O tej porze roku Draug żegluje na grzbietach fal. Zapowiada się paskudna pogoda. – Rozcina nożem rybi brzuch, wyrywa jego zawartość i wrzuca ją do morza. – Dobrze pilnuj tego południowca. Pamiętaj, co się stało z rosyjskim trawlerem ostatnim razem, jak morze się kotłowało.

– To żaden południowiec – mówi Harvey, śmiejąc się cicho. – Tylko Islandczyk.

– Aha. – Johannes wyjmuje z łodzi skrzynkę z rybami, stawia ją na nadbrzeżnych kamieniach między nami. – A jest jakaś różnica? – Przykuca i wraca do patroszenia, a my ruszamy do hangaru na łodzi.

– Kim jest Draug? – pytam, gdy płyniemy już w kierunku latarni RIB-em Harveya, pokonując kolejne fale. Od kilku minut wieje, więc na wszelki wypadek chwytam się liny i mocno trzymam.

– Nie słyszałeś o upiorze, który żegluje roztrzaskaną łodzią ubrany w skórzany kaftan, przepowiadając śmierć?

– Brzmi jak przesympatyczny facet – mamroczę, naciągając czapkę na czoło. – Może to weselszy brat Johannes'a?

– Morze daje i morze odbiera. Tu, na północy, kiedy szaleje sztorm, bierzesz sobie do serca nawet takie stare przesady. Jest wiele rzeczy na niebie i ziemi, Thorkildzie Aske. Zwłaszcza na naszych szerokościach. Nie macie podobnych wierzeń na Islandii?

– Oczywiście, że mamy.

Harvey zmniejsza obroty silnika i odwraca się do mnie.

– Wierzysz w upiory, Thorkildzie?

– Upiory?

– Zjawy, dusze zmarłych wracające z zaświatów, tego typu historie?

– Ja... – mówię, ale nie kończę myśli. Przez chwilę siedzę nieruchomo, a zimny wiatr chłozcze moją twarz.

– Pamiętam, jak byłem mały... – Harvey zatrzymuje łódź, która kołysze się na niespokojnym morzu. – Z lasu niedaleko naszego domku letniskowego w Minnesocie dochodził dziecięcy płacz. Zawsze zimą, kiedy bagna i stawy zamarzały. Rozpaczliwe dziecięce łkanie, odbijające się echem od pni drzew, zawsze kiedy ścinał mróz. Włosy człowiekowi dęba od tego stawały, mówię ci.

– Aha – mamroczę, błędząc niespokojnie wzrokiem po zimnej, ciemnej tafli wody.

– W końcu osuszono kilka stawów, bo mieli tam budować nowe domki letniskowe. Robotnicy znaleźli w jednym z nich zwłoki dziecka, które ich zdaniem musiały tam przeleżeć jakieś sto lat. Potem już w lesie zrobiło się cicho. I co ty na to?

– Nie wiem. – Patrzę na niebo, ciemne chmury pędzą w kierunku lądu. Tuż przed nami znajdują się latarnia morska i zabudowania na wyspie. Na jednym ze wzniesień dostrzegam rzeźbę: klocek z kołem na szczycie, ustawiony na skałach tuż nad brzegiem. Ktoś zawiesił na nim jakieś szmatki, które łopoczą na coraz silniej wiejącym wietrze.

– Wdowa – wyjaśnia Harvey, uruchamiając ponownie łódź. Kieruje się do przystani, która majaczy przed nami w półmroku. – Sztuka współczesna, część cyklu, za który zapłaciła gmina, stawiając nam w okolicy różne takie atrakcje. Kilka lat temu przyjechał tu jeden Francuz, zostawił tę rzeźbę, zniknął i już nie wrócił.

– Często tu bywałeś?

– Nie, od lat osiemdziesiątych wyspa była właściwie opuszczona. Zajrzałem tu kilka razy po tym, jak Duńczyk przejął interes, ale to wszystko.

– Jaki on był?

– Dobrze sobie radził ze stolarką – odpowiada Harvey. – Pierwszy raz spotkałem go kiedyś wieczorem, wracając do domu z hodowli. Zobaczyłem go przy pomoście, jak dźwigał na plecach te pieprzone okna do głównego budynku, jedno po drugim. Potrójne szklenie, osłony przeciwszronowe i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Ciężkie jak jasna cholera. Musiały kosztować majątek. Pomogłem mu je wstawić w barze. *Fantastic*. Chłopakowi nie brakowało ambicji, to pewne.

– Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Kilka dni przed tym, jak zniknął. – Harvey pociera palcami szczecinę na policzkach. – Spotkałem go w wypożyczalni filmów. Pytał, jakiego cementu używałem do obciążników w mojej hodowli. Chyba myślał o wzmocnieniu przystani.

Patrzę, jak fale uderzają miarowo w nabrzeże przed nami. Wiele filarów pomostu wygląda mi na zbutwiałe, cała konstrukcja porusza się w takt falujących mas wody. Najdalej wysunięta w morze część już się odłamała, jej pozostałości sterczą niczym zgniłe pieńki zębów.

Havey spogląda na niebo i kręci głową.

– Nie wygląda to dobrze – mówi. – Ani trochę.

Chmury zbierają się nad nami, zasnuwając szczelnie niebo, mam wrażenie, że znów zapada ciemność, mimo że dzień dopiero się przecież rozpoczął. Burta łodzi trafia w gumowe przewody rozciągnięte wzdłuż pomostu, które trzeszczą, jakby zaraz miały się zerwać.

Gramolę się z łodzi i staję wreszcie na lądzie, czując ssanie w żołądku. Kręci mi się w głowie, przyciskam do piersi plecak i toczę dookoła wzrokiem w poszukiwaniu czegoś, czego mógłbym się przytrzymać. W następnej chwili zaczyna padać śnieg: duże, ciężkie płatki szybują w dół z ciemnych chmur i roztapiają się zaraz na ziemi.

– Wygląda na to, że Johannes miał rację – rzuca Harvey, który odbija od nabrzeża i znika mi powoli w coraz gęstszej zadymce.

– Co do czego?

– Zapowiada się niezła niepogoda!

Harvey mówi coś jeszcze, ale warkot silnika i wiatr znoszą jego głos w inną stronę. Łódź wydaje głośny ryk, po czym znika mi z oczu.

Chwyciwszy plecak jeszcze mocniej, ruszam w stronę głównego budynku, z wiatrem wiejącym mi w oczy.

Rozdział 15

Cała szara wysepka zdaje się nikać w śnieżnej zawiei, wiatr przybiera na sile. Ostatni kawałek do drzwi pokonuję biegiem, wyciągam z kieszeni spodni klucze, odnajduję ten opatrzony żółtą taśmą z napisem „Rasmus + Główny budynek” i wsuwam go do zamka.

Dawna kwatery latarnika to duży drewniany dom z początków dwudziestego wieku, o ścianach z pionowo ułożonych desek i oknach z białymi szprosami. Wygląda na to, że remont jego fasad był na ukończeniu. Jedyne nadal widoczne ślady po pożarze to nieliczne osmalone elementy deskowania i okien oraz dachówki leżące między domem a hangarem na łódź. Łupkowe pokrycie dachu zastąpiono blachą miedzianą, do której dobrano odpowiednie rynny. Nawet teraz, w śnieżnej zadymce, nowe elementy w ciekawy sposób odbijają światło.

Kręcę chwilę kluczem w zamku, który wreszcie ustępuje, i z ulgą wchodzę do środka. W domu unosi się zapach świeżo ciętych desek i trocin, z domieszką starego kurzu oraz jeszcze jakąś inną, niezidentyfikowaną wonią. Ściany i podłoga zabezpieczone są przezroczystymi płachtami folii. Została nimi przykryta nawet tradycyjna północnonorweska łódź, którą Rasmus odwrócił spodem do góry, odpiłował dno i przerobił ją na kontuar w recepcji.

Odsuwam foliową płachtę i wchodzę do pierwszego pomieszczenia na prawo od foyer. Jest dość przestronne, ma kształt litery L i zostało zaplanowane jako coś pomiędzy barem a salą konferencyjną. W kącie stoi welurowa sofa w kolorze różu, na niej zaś leży cały stos szarych, zakurzonych zasłon. Obok piętrzą się nowe pudła ze szklanymi lampami Murano na cienkich żelaznych przewodach, białymi marmurowymi kafelkami oraz taśmami LED, do tego jakiś tuzin białych krzeseł barowych na srebrnych, owiniętych plastikiem podstawach.

Wyciągam komórkę, wybieram numer Anniken Moritzen.

– Mówi Anniken – przedstawia się moja rozmówczyni ostrym tonem. – Z kim mam przyjemność?

– To ja, Thorkild Aske.

Słyszę, jak wstrzymuje oddech.

– Gdzie jesteś?

– Na wyspie. Stoję właśnie w barze Rasmusa. Piękne miejsce – mówię, mimo że nic tu nie jest jeszcze gotowe. Pomieszczenie zostało udekorowane w stylu lat osiemdziesiątych, geometryczne formy, zwinięte czerwone dywany, krzesła barowe obite tkaniną w gepardzie cętki i liliowa tapeta, odchodząca przy brzegach i na złączeniach. Nawet nowe panoramiczne okna są zasłonięte folią. – Knajpa z widokiem.

Podchodzę do baru, przed którym Rasmus rozstawił łóżko polowe. Na podłodze leżą czasopisma ze zdjęciami luksusowych jachtów, torba z ubraniami i kostka Rubika. Moje spojrzenie pada także na pudełko ulotek i starych kart menu z kuchni. Na ulotkach widnieje zdjęcie obiektu po pierwszej renowacji.

– „Centrum Konferencyjne Blekholmen” – czytam.

– Słucham? Co mówiłeś?

– Przepraszam. Znalazłem jakieś stare broszury z czasów, kiedy było tu centrum konferencyjne.

– Czytaj – szepce Anniken. – Chcę usłyszeć, co tam piszą.

– OK. – Otwieram broszurkę i widzę, że Rasmus zakreślił niektóre zdania długopisem, zupełnie jakby zaczął już myśleć nad nową reklamą swojego interesu. – „Oferujemy dwa pokoje do spotkań indywidualnych oraz salę konferencyjną mieszczącą od dziesięciu do trzydziestu osób. W naszym centrum możesz również wypocząć i zebrać siły na kolejny inspirujący dzień pracy”.

– To wszystko? – pyta Anniken, gdy zatrzymuję się na chwilę i waham nad fragmentem zakreślonym przez Rasmusa.

– Nie – odpowiadam i czytam ostatnie zdanie: – „Blekholmen dostarcza wrażeń, o których pamięta się długo po zakończeniu samej konferencji”.

Za jednym z zabezpieczonych folią panoramicznych okien dostrzegam nagle wynurzający się z półmroku trawler. Przypomina poziomą kreskę na sieniej tafli morza. Po chwili czuję też wibracje silnika wprawiające podłogę w lekkie drżenie.

– Opowiadaj dalej. Chcę wiedzieć, co przed sobą widzisz, Thorkildzie – mówi Anniken, wyrывая mnie z zamyślenia. Jej ton stał się nagle ostrzejszy, jakby miała się zaraz rozpląkać albo zacząć krzyczeć. Mam

ochotę jej powiedzieć, że doskonale wiem, jak to jest, gdy człowieka rozrywa paniczny strach. Że niebezpiecznie jest tłumić go w sobie zbyt długo, że pewnego dnia i tak wydrze się na zewnątrz. Ale nie mam odwagi. Nie jestem człowiekiem, który potrafi wesprzeć kogoś, kto czuje dokładnie to samo co ja.

Odkładam ulotkę i kucam przy połowym łóżku.

– Jest tu torba z ubraniami, książki, kosmetyczka, kilka golarek w białym plastikowym opakowaniu... – Zdejmuję śpiwór z łóżka i dostrzegam w nogach miniaturowy nadajnik radiowy Motorola oraz dwie zapasowe baterie. – I coś w rodzaju morskiego radia VHF, ale nie jestem pewien.

– Co jeszcze? – ponagla mnie rozmówczyni, kontynuując ten werbalny spacer po linie, w którym każde słowo, każdy wdech i wydech naciągają włókna cienkiego, rozpiętego nad otchłanią sznura. – Co jeszcze widzisz?

– Nic – mówię wreszcie, opierając się plecami o bar. Przymykam oczy, próbując skupić się na warkocie silnika płynącego w zadymce trawlera. – Nie ma go tu, Anniken – szepczę. Czuję, że kręci mi się w głowie, jestem zmęczony i nie mam siły uczestniczyć dłużej w tym seansie rozpacz. – Rasmusa już tu nie ma.

– Ale był tam – odpowiada moja rozmówczyni twardym tonem. – Niedawno. Jego zapach wciąż się tam unosi, po prostu go nie czujesz, bo nigdy nie przytulałeś go do siebie tak jak ja. Widzę go przed sobą, tam gdzie teraz jesteś, to jest właśnie najtrudniejsze. I nie mogę, nie jestem w stanie...

– Będę go dalej szukał – szepczę, prostując plecy; zbieram siły, by nadal w to brnąć. – Nie rozłączaj się, Anniken, pójdziemy dalej razem. OK?

– Latarnia! – mówi z nową mocą w głosie. – Dzwonił do mnie zazwyczaj ze szczytu latarni.

Wychodzę na podwórze i spieszę ku schodom latarni. Śnieżna zadymka ciągnie za sobą przytłaczającą, grobową ciemność. Wciąż jest wcześnie rano, a mimo to mam wrażenie, jakbym siedział w poczekalni, gdzieś między dniem a nocą.

Stopnie wykute są w skale, za poręcz służy zardzewiała stalowa konstrukcja. Latarnię morską wieńczy ośmiokątna żeliwna kopuła z szerokim czerwonym pasem namalowanym tuż pod jej czaszą. Biało-czerwona betonowa wieża zdaje się zlewać z otaczającą ją szarością.

– Tu będzie apartament – zaczyna Anniken, gdy zamykam za sobą drzwi i zaczynam się wspinać po krętych schodach. Na ścianach z otynkowanego

na biało betonu wiszą czarno-białe fotografie przedstawiające sztorm na morzu i niebo zasnuwane ciemnymi chmurami. Zrobione pewnie z myślą o turystach przybywających tu w poszukiwaniu takiej właśnie atmosfery. – Wyjątkowe miejsce między niebem a morzem, z widokiem we wszystkich kierunkach.

– Widzę. – Aparatura optyczna latarni na szczycie została usunięta, zamiast niej na środku pomieszczenia stoi antyczne łoże z baldachimem. Nowo wstawione okna wychodzą na wszystkie strony świata. Na suficie zamontowano taśmy LED, na podłodze zaczęto układać parkiet.

– Czyż nie jest tam pięknie? Rasmus przesyłał mi zdjęcia pokoju i widoku, robił je komórką.

– Ślicznie – odpowiadam, przesuwam pudło kafelków pod jedno z okien i siadam.

– A widok? Co myślisz o widoku? Rasmus mówi, że jest niezrównany.

– Ma rację. – Opieram łokcie o parapet, lustrując ścianę śniegu, który płynie z nieba równym strumieniem. Pada tak, że nie widzę już lądu. Szarówka pochłonęła nawet szopę na narzędzia tuż przed wejściem do wieży.

– Zupełnie niezrównany.

– Dziękuję. – Moja rozmówczyni wzdycha głośno.

– Anniken – zaczynam po dłuższej chwili milczenia, w której słuchamy tylko nawzajem swojego oddechu. – Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić.

– Wracaj do domu – odpowiada mi zmęczonym tonem. – Teraz i ja to wiem. Nie ma go tam. Boże. – Nabiera powietrza, uwalniając w końcu to, co tak długo trzymała w zamknięciu. – Jego już nie ma...

Siedzę z komórką przyciśniętą do ucha jeszcze długo po tym, jak się rozłączyła. Trawler zniknął z horyzontu, na dworze wyje wiatr, a fale bezlitośnie smagają wyspę. Przed moimi oczami wirują lekkie płatki śniegu, bez wysiłku, z gracją, niczym pary w egzotycznym tańcu.

Myślę o Frei.

Rozdział 16

Kurs tańca z Frei, Stavanger, 24 października 2011

Kolejny raz zobaczyłem Frei już następnego dnia po naszym spotkaniu w Café Sting. Przeciskała się przez tłum dzieci i dorosłych z wymalowanymi twarzami i dziwnymi fryzurami w domu kultury Sølvsberget. Zgodnie z plakatem wiszącym przy wejściu trwał w nim właśnie festiwal dla rodziców i dzieci w każdym wieku.

W foyer wzniesiono prowizoryczną scenę. Wśród publiczności tańczyły przebrane bajkowe postaci z pomalowanymi na czarno oczami i uśmiechniętymi pyszczkami drapieżników, podskakując i machając flagami ONZ.

Fakt, że się tam spotkaliśmy, nie był bynajmniej przypadkiem. Kręciłem się w pobliżu już od wielu godzin, spacerując nerwowo między domem kultury, wystawami i witrynami sklepów, czekając, aż wreszcie wybije szósta. Według kartki wiszącej na szklanych drzwiach na drugim piętrze, zaraz obok reklamy kursu origami dla dzieci, dwa razy w tygodniu odbywał się tu kurs tańca sportowego.

W rozpaczliwej próbie zabicia czasu obejrzałem nawet przedstawienie teatralne opowiadające historię chłopca i jego pluszowego węża, który ożywał, gdy byli tylko we dwóch, ale nieszczęśliwie mi to pomogło.

Frei miała na sobie ciemnoszare legginsy, bluzę z kapturem i czarne adidas. Biegła po schodach, nie zwracając na mnie uwagi. Tuż za moimi plecami ktoś włączył mikrofon, a pełen zapału kobiecy głos obwieścił, że w piwnicy domu kultury rozpoczynają się za chwilę warsztaty czarów i wiedzy tajemnej.

Uśmiechnąłem się przepraszająco do dorosłej kobiety przebranej za wiedźmę po tym, jak potrąciłem niechcący jej córkę, odzianą na tę okazję w robiony na drutach kostium pszczoły albo trzmiela, z raketkami do badmintona przyklejonymi na plecach taśmą, po czym pomknąłem w kierunku schodów.

Minąłem po drodze kramy rozstawione przy drzwiach biblioteki na

pierwszym piętrze, proponowano w nich między innymi kursy zaplatania afrykańskich warkoczyków i malowania henną. Z foyer zaczęły dochodzić rytmiczne dźwięki bębnow.

Przystanąłem na chwilę pod drzwiami studia tanecznego, jeszcze raz przeklinając swoje idiotycznie dziecinne zachowanie, a jednocześnie nie mając siły ani woli w jakikolwiek sposób go zmieniać. Następnie wszedłem do środka.

W przedsionku było tłoczno, dostrzegłem czarne adidasy i bluzę z kapturem Frei w ciżbie ubrań, szalików i butów. Szklane drzwi oddzielały przedsionek od sali, w której pod okiem instruktora wirowało już na parkiecie sześć par.

Frei tańczyła ze szczupłym, zadbanym mężczyzną o gęstych czarnych włosach zaczesanych do tyłu. Utrzymujący je w porządku żel zdawał się lśnić własnym blaskiem, gdy obracali się w swoich objęciach, unosili nad parkietem bez widocznego wysiłku, a każdy ich ruch był dopracowany do perfekcji.

– Elegancja i lekkość, moi państwo! – zawołała łamanym norweskim instruktorka, klaszcząc w dłonie i manewrując zgrabnie pomiędzy parami. – I obroty.

Tuż przy głośnikach stał czterdziestoletni na oko rudy mężczyzna i podpierając dłońmi brodę, wodził za tancerzami rozmarzonym spojrzeniem.

– Więcej obrotu. Jeszcze, jeszcze, jeszcze! – Instruktorka klasnęła, po czym odwróciła się do rudego faceta i przywołała go skinieniem dłoni: – *Señor Alvin*, zapraszam!

Alvin ruszył przez salę, bosy, drobnym kroczeniem, prosto w jej ramiona. Instruktorka objęła go w talii, wyciągając w bok lewe ramię z ugiętym łokciem i uniesioną dłonią. Poprowadziła go po półkolu pomiędzy innymi tańczącymi.

– No już, *temperamente*, przód, bok, razem. Tył, bok, razem. No już, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć! Wszyscy: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć!

Drzwi za moimi plecami otworzyły się nagle z impetem, do środka wpadła tęga, zdyszana kobieta.

– Rany Julek, już zaczęli? – pisnęła i przecisnąwszy się między mną a drzwiami, zajrzała do środka.

Zrzuciła adidasy i wyplątała się z trudem z poncho, przypominającego uszyty z kolorowych łat koc.

– Nie ma na co czekać. – Uśmiechnęła się, zwinęła usta w trąbkę i mrugnęła do mnie zalotnie. – *Bailar pegados!* – Otworzywszy drzwi, wmaszerowała na parkiet. – Alvin! Alvin, kochanie, przepraszam, że tak się spóźniłam.

Frei i jej partner o lśniących włosach zwolnili na chwilę w obrotach, widząc, jak Alvin i jego obszerna partnerka łączą się na parkiecie w namiętym uścisku. W tej samej chwili szklane drzwi, jak dotąd płynnie otwierane i zamykane fotokomórką, zasunęły się nie wiedzieć czemu gwałtownie, przytrzaszczając mi palce.

Ból przeszył moje ramię, musiałem zmobilizować całą siłę woli, by nie krzyknąć. Zamiast tego rozsunąłem drzwi na tyle, żeby uwolnić dłoń. Zrobiłem w tył zwrot i ruszyłem ku wyjściu. Do oczu cisnęły mi się łzy, podbiegnięte krwią opuszki palców pulsowały, jakby były trzonkowymi granatami gotowymi za chwilę eksplodować.

– Thorkild?

– O nie – jęknąłem, przystając na pierwszym stopniu schodów. Schowałem zranioną dłoń pod marynarkę i odwróciłem się powoli. – Frei... – W tej samej chwili z foyer na dole doszedł do moich uszu pełen zachwytu okrzyk, zagłuszony zaraz przez bicie afrykańskich bębnów i dźwięki innych instrumentów.

– Co ty tutaj robisz?

– Ważne policyjne sprawy – odparłem, przyciskając ramię do bolących palców ukrytych pod marynarką. – Przyszedłem w charakterze tajniaka.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nie słyszałaś?

– O czym? – zapytała Frei. Bicie w bębny przybrało na sile, publiczność zaczęła tupać i klaskać do rytmu.

– W mieście szaleje Morderca Origami. Straszliwa sprawa. Coś okropnego.

Frei zerknęła w kierunku otwartych na oścież drzwi sali, w której sześć- czy siedmioletni azjatycki chłopiec składał papierowe figurki razem z trzema na oko dziesięcioletnimi dziewczynkami i ich rodzicami. Przeniosła wzrok z powrotem na mnie. Oparła się o filar tuż przed wejściem do studia tanecznego i posłała mi półuśmieszek.

– Jak tam twoja ręka? – spytała wreszcie.

– Fantastycznie.

– Zawieźć cię na pogotowie?

– Nie.

– OK. Idziesz?

– Gdzie?

– Z powrotem. Potańczyć.

– Nie, ja...

– Nie masz ochoty?

– Ależ mam, ale co powie na to twój partner?

– Robert? – zaśmiała się Frei. – Mówiłam ci o nim przecież w Café Sting.

To partner wuja Arnego. Wspaniały tancerz, pewnie także nienasycony kochanek, nie sądzisz?

– Niewątpliwie – wymamrotałem, czując, jak moje palce zaczynają pulsować w rytm muzyki przepelniającej budynek od piwnic po dach.

– No chodź. – Frei wyciągnęła do mnie rękę. – Wiem, że chcesz.

Poszedłem za nią, zapominając o bólu. Czułem tylko jej dłoń w swojej i zapach jej włosów. Gdybym przysunął się nieco bliżej, jej loki musnęłyby mój policzek i wargi.

Rozdział 17

Drgam nerwowo, słysząc pukanie do drzwi na dole wieży. Podnoszę głowę z parapetu i patrzę na wilgotną, zaparowaną od mojego oddechu szybę. Zimno mi, ubranie mam mokre, a buty na nogach są sztywne i ciasne, jakby skurczyły się w czasie mojej krótkiej drzemki.

Gdzieś pod stopami rozlega się znów monotonne walenie. Głuche uderzenia wprawiające w drżenie całą konstrukcję, tak że odczuwam wibracje tu, gdzie siedzę, na samym szczycie, a na głowę sypie mi się tynk. Wycieram rękawem parę z okna i wyglądam: jest tak samo szaro jak wcześniej, nie sposób stwierdzić, czy to dzień czy noc. Za szybą wirują śnieżne płatki, morskie fale raz po raz uderzają w wyspę.

Moje spojrzenie pada nagle na człowieka stojącego między szopą z narzędziami a wejściem do latarni. Ma na sobie olejak, macha do mnie jedną ręką, drugą wskazując na morze, jakby próbował zwrócić moją uwagę na coś, co kryje się za ścianą śniegu.

Zbliżam twarz do okna, żeby lepiej mu się przyjrzeć, ale wtedy z dołu wieży dochodzi przeraźliwy huk. W następnej chwili zapada głucha cisza, jakbym nagle znalazł się w próżni. Odwracam się do okna i wyglądam: mężczyzna w olejaku zniknął.

Między hangarem na łodzie a przystanią pojawiło się nagle coś jakby wyrwa w zadymce, śnieg wiruje wokół niej niczym miniaturowe tornado. Dostrzegam z trudem jakiś kształt pośród kęp sklejonych wodorostów, leniwie falujących tuż przy morskim brzegu. Kształt nie pasuje do otoczenia formą, kolorem ani strukturą.

Podnoszę się i mam już iść do drzwi, kiedy z dołu latarni dochodzi kolejny przeraźliwy huk. Echo metalu uderzającego o metal śpiewa między ścianami, a wiatr za oknem wyje i popiskuje wściekle. Podchodzę do drzwi, delikatnie przekręcam klamkę.

W chwili gdy uchylam drzwi, uderza we mnie podmuch ostrego, słonego polarnego powietrza. Wychodzę na schody, opieram się o poręcz i próbuję spojrzeć w dół, na miejsce u stóp spirali schodów, z którego dochodzi to

dudnienie.

– Halo! – krzyczę, głos mi się załamuje i zaczynam przeraźliwie kasłać.

Nikt nie odpowiada, więc zaczynam schodzić po schodach. Drzwi na dole uderzają co jakiś czas o framugę, wprawiając całą wieżę w drzenie, a ja muszę przystawać, trzymając się kurczowo poręczy i próbując chronić uszy przed tym piekielnym hałasem.

Przedsionek zasypany jest śniegiem, metalowe drzwi stoją otwarte. Chwytam klamkę, zaczynam odgarniać śnieg nogami, po czym wychodzę i zatraskuję za sobą wejście do latarni.

Postać w zydwestce zniknęła, na śniegu nie widać śladów stóp. Zbiegam po kamiennych schodach, przytrzymując się poręczy. Wokół mnie zamieć zlewa się w jedno z morzem, uderza raz po raz w wyspę, fale opryskują pianą skały i zbutwiały pomost. Na podwórzu leży cienka warstewka świeżego śniegu. Znosi się na sztorm.

W połowie drogi przez podwórze przystaję. Nie ma żadnych dowodów na to, że na wyspie przebywał ktoś poza mną, ale moje spojrzenie pada na kształt leżący w wodzie. Wiatr się wzmacnia, w miarę jak podchodzę do brzegu. Powoli przestaje padać, przez zadymkę zaczynają się przedzierać światła z okien domów na lądzie.

Ostatni kawałek pokonuję zgięty przy ziemi, przytrzymując się kęp trawy i skał, by się nie poślizgnąć ani nie przewrócić. Światła na lądzie migoczą żółto niczym latarnie na starych statkach, po kilku chwilach śnieżycy znów przybiera na sile, oddzielając wyspę od reszty świata szarą ścianą.

Nabieram powietrza i czuję, jak usta wypełniają mi się smakiem soli. Wreszcie jestem na brzegu. Woda jest tu głęboka, czarna, z uderzającymi o skały grzbietami białych fal. Fal, na których kołysze się w morzu martwe ciało.

Trup leży twarzą do dołu. Widać tylko plecy i kilka oślizgłych pasm włosów, reszta jest pod wodą albo przykryta kępami wodorostów. Już mam się pochylić w poszukiwaniu jakiegoś wystającego z morza kawałka skały, który pozwoliłby mi zbliżyć się do ciała, gdy nagle wyrasta przede mną wielka fala. Odskakuję w tył, a morze chwyta trupa i wyrzuca go na brzeg, w miejsce, w którym przed chwilą stałem.

– Co do... – Ciało, które leży przede mną na plecach, powoli zaczyna zsuwać się po śliskiej skale z powrotem do wody. W końcu przewraca się na bok i wpada z pluśnięciem do morza. Po chwili wypływa znów na

powierzchnię między kępami wodorostów i kołysze się łagodnie, leżąc twarzą do dołu, z lekko rozłożonymi ramionami.

Otrząsam się, nabieram powietrza, po czym zaczynam czołgać się na brzuchu po skale w kierunku brzegu, wypatrując jednocześnie nowych fal. Brnę do przodu, przytrzymując się nierówności kamienia, w końcu jestem na tyle blisko, by móc dotknąć trupa końcami palców. Po kilku kolejnych chwilach chwytam ciało i zaczynam je wyciągać na ląd. Wstaję i wlokę je za sobą po skale w stronę hangaru na łodzie.

– Nie rozumiem – szepczę zdyszany, gdy wreszcie przystaję i układam zwłoki na ziemi. – To nie Rasmus. – Osuwam się na ziemię obok zimnego trupa, mokry i wyczerpany. – To przecież nawet nie jest mężczyzna.

Rozdział 18

– Bjørkang – odpowiada głos po drugiej stronie słuchawki, daje się w nim słyszeć zaciekawienie połączone z nieco przesadnym poczuciem wyższości. Odnoszę wrażenie, że Bjørkang jest pijany. W tle rozlegają się dźwięki akordeonu.

– Mówi Thorkild Aske. Przeszkadzam?

– Jest sobota, mam spotkanie w klubie akordeonistów. – Lensmann milczy przez chwilę, po czym dodaje: – Może pan jeszcze raz się przedstawić?

– To ja, prywatny detektyw. – Słyszę, jak Bjørkang zamienia z kimś kilka słów zniżonym głosem i akordeon cichnie. Zatykam sobie drugie ucho palcem, próbując zagłuszyć wycie wiatru. – Jestem przy latarni...

– Co pan, do diabła, wciąż tu robi? Nie widział pan prognozy pogody? Zapowiadają na wieczór sztorm.

– Tak, ale...

– Jest pan sam?

– Nie – odpowiadam, wstając. Zaczynam chodzić wokół leżącego na ziemi trupa, próbując pobudzić krążenie i trochę się rozgrzać.

– Dobrze – mówi lensmann i wzdycha ciężko. – W takim razie jak najszybciej się stamtąd zwijajcie, zanim będzie naprawdę źle.

– Znalazłem trupa – wyjaśniam. – W morzu.

– Duńczyka? – Słyszę, że szmer głosów w tle ustaje i robi się zupełnie cicho.

– Macie w okolicy jeszcze jakichś innych zaginionych?

– Nie – zaczyna Bjørkang.

– To nie Rasmus – przerywam mu. – Tylko jakaś kobieta.

– Mógłby pan zacząć jeszcze raz od początku? Co pan znalazł w morzu?

– Jakaś kobietę. Wygląda, jakby leżała w wodzie już od dłuższego czasu.

Lensmann milknie na kilka chwil, po czym znów słyszę jego głęboki głos.

– Jest pan pewien?

Stoję z telefonem w dłoni, słuchając ciężkiego, nerwowego oddechu lensmanna, moje spojrzenie znów pada na leżącą u moich stóp martwą kobietę.

Ciało jest spuchnięte, wydęte niczym plażowa piłka w ubraniu człowieka. Zwłokom brakuje twarzy, po wielu dniach spędzonych na morskim dnie przetrwały tylko półdługie włosy i skóra czaszki. Jedno ramię zostało oderwane na wysokości stawu łokciowego, w miejscu zuchwy ziele pustką czarna jama, z której wystają biała chrząstka tchawicy i czerwonosiny przełyk. Szary mięsień języka zwisa między piersiami niczym groteskowy krawat pod skórny kapturem czaszki.

Kobieta wydaje się młoda, ma na sobie cienką nocną koszulę i założony na nią T-shirt z wizerunkiem konia. Krew zebrała się w jej nogach aż do wysokości kolan oraz w karku, który przybrał siny kolor. Na ramieniu i kikutach oraz na piersi widać brązowe plamy opadowe. Skóra jest sztywna, nierówna, przywołuje na myśl oskubaną gęś.

– Halo, Aske! Jest pan tam? – Głos po drugiej stronie słuchawki wydaje się głuchy, rozlegają się trzaski, słyszę w tle głęboki bas, dwaj mężczyźni wymieniają ze sobą kilka słów, po czym Bjørkang wywołuje mnie jeszcze raz, wyraźnie zaniepokojony.

– Tak, jestem.

– Jest pan pewien, że...

– Nie mógłby pan tu po prostu przypłynąć, Bjørkang? – rzucam poirytowany. – To miejsce przestaje mi się podobać, chciałbym już się stąd zabierać. Tak szybko, jak się, kurwa, da.

– W porządku. Zarekwiruję tu komuś łódź i za chwilę do pana oddzwonię. OK?

– OK. – W słuchawce rozlega się ostatni trzask, rozmowa zostaje przerwana.

Stoję z komórką w dłoni, nie odrywając wzroku od kobiety bez twarzy. Śnieg pokrył ją cienką białą błoną, sprawiając, że zaczyna przypominać jakąś koszmarną wersję śniegowego anioła ze złamanym skrzydłem.

Podchodzę do stosu śmieci między domem a hangarem na łodzi i wybieram z niego dachówki, które układam wokół ciała. Potem idę do foyer głównego budynku, zrywam foliową płachtę wiszącą w drzwiach restauracji i zabieram ją ze sobą.

Owijam zwłoki w folię, którą zabezpieczam dachówkami oraz

fragmentami złomu. Gdy tylko kończę, ruszam z powrotem do wieży.

Wbiegam zdyszany po schodach, zatraskuję za sobą drzwi wejściowe i wspinam się na sam szczyt, gdzie znów zajmuję miejsce przy oknie. Po chwili dzwoni mój telefon. To podwładny Bjørkanga, funkcjonariusz Arnt Eriksen. On też jest zdyszany.

– Aske, to pan?

– Tak.

– Bjørkang właśnie do mnie dzwonił – zaczyna chłopak. Słyszę, że jest na dworze. Pod jego stopami chrzęści żwir, gdzieś w pobliżu jakaś kobieta rozmawia przez telefon.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie cofam się spod Sørøytoppen. Byliśmy z moją dziewczyną w drodze do naszego domku w górach, kiedy zadzwonił Bjørkang.

– Przypłyniecie po mnie?

– Tak – mówi Arnt. – Proszę się o nic nie martwić. Jak tylko zejdziemy do doliny, pojedę po Bjørkanga, do jego domu. Posłał chłopców z klubu akordeonistów do diabła i odstawił koniak do barku. He, he. – Śmiech chłopaka wydaje mi się sztuczny i wymuszony.

– Czemu dzwonisz?

– Zastanawiałem się... – zaczyna Arnt.

– Nad czym?

– Cóż, Bjørkang powiedział, że znalazł pan coś w morzu. Jakaś... kobietę?

– Zgadza się.

– A jak ona wygląda?

– Co masz na myśli? Wiesz, kim ona może być?

– Co? Nie. – Funkcjonariusz wydaje z siebie jęk. Stojąca przy nim kobieta zaczyna mówić ciszej, zupełnie jakby też się zastanawiała, czemu Arnt do mnie dzwoni. – Musiałem po prostu sprawdzić, czy lensmann się nie przesłyszał. To znaczy, w okolicy nie zaginął ostatnio nikt oprócz Duńczyka, więc...

– Więc co?

– Nie, nic takiego. Proszę spokojnie na nas czekać, niedługo będziemy.

Arnt Eriksen odkłada słuchawkę, a ja znów wyglądam przez okno. Daleko w dole widzę foliową płachtę i ciemną masę, którą ona przykrywa. Śnieg nie przestaje padać. Policzek boli, rwie przeraźliwie, wyciągam blister

z oxynormem i wyciskam z niego dwie tabletki. Czuję, że nie mam ochoty siedzieć tu w samotności, gdy na morzu szaleje sztorm. Myśl o kobiecie pod folią, Rasmusie, barze, tej latarni morskiej i całej wyspie sprawia, że zbiera mi się nagle na wymioty.

– Nie powinienem był w ogóle tu przyjeżdżać – szepczę sam do siebie, połykając kapsułki. – To się nie skończy dobrze.

Rozdział 19

– Myślałem, że to była ona, Frei – mówię, gdy Ulf wreszcie odbiera telefon. Siedzę tu, na szczycie latarni, i czekam już całą wieczność. Bjørkang ani Arnt nie dzwonią, na horyzoncie nie widać żadnej łodzi.

– Gdzie jesteś? – pyta Ulf, zapala papierosa, po czym wzdycha ciężko.

– Na wyspie tego Duńczyka. Wyciągnąłem właśnie z morza martwą kobietę. Zobaczyłem ją między wodorostami i przez chwilę myślałem, że to Frei.

– Czemu?

– Czemu? O co ci, kurwa, chodzi, nie słyszysz, co do ciebie mówię? Znalazłem właśnie w morzu kobietę bez twarzy!

– Ależ tak, słyszę – odpowiada Ulf. – Ale miałeś już wcześniej do czynienia z martwymi ludźmi, prawda? – Słyszę w jego głosie napięcie, które próbuje ukryć.

– No tak – odpowiadam i nabieram powietrza. – Po prostu nie byłem teraz przygotowany.

– Co to za jedna?

– Nie wiem. Jakaś młoda kobieta, może mieć dwadzieścia kilka lat. Nie mam pojęcia, kim jest. Lensmann mówi, że nikt im w okolicy nie zaginął.

– Jest teraz z tobą?

– Nie. Zawinąłem ją w folię i zostawiłem na skałach.

– Dobrze. – Ulf zaciąga się mocno papierosem, mrużąc z zadowoleniem. – Skoro czekasz, aż ktoś po ciebie przypłyynie, to może porozmawiamy o czymś innym? Bo ktoś zaraz przypłyynie, prawda?

– Tak, dałem znać lensmannowi. Jest w drodze.

– Doskonale. Może najpierw mi powiesz, dlaczego ci się zdawało, że to Frei? Bo ona leży przecież pochowana na cmentarzu w Tananger.

– Ja tylko... Jestem zestresowany – mówię wreszcie i robię głęboki wdech. – Wziąłem właśnie dwie tabletki oxy, jeszcze nie zaczęły działać.

– Niedługo – mówi Ulf beztroskim tonem, połykając kolejny kłęb dymu. – Już niedługo, zobaczysz.

– Nie – składam apelację, podnosząc wzrok na siny kaptur chmur nad moją głową. – Nic tu nie działa, nawet niebo jest zamknięte za ścianą z ciemności i śniegu.

– Niebo? – Ulf milknie na chwilę. Słyszę, że przytrzymuje dym w płucach, po czym wypuszcza go ostrożnie. – Co jest nie tak z niebem, Thorkildzie?

– Nic – odpowiadam kwaśno. Wiem, że powiedziałem już za dużo. – Rozmawiałem z Liz, tak jak chciałeś – mówię, próbując zmienić temat.

– Jak miło – rzuca Ulf spokojnie, mechanicznie. Pozwala mi mówić dalej, czekając na jakąś przerwę w rozmowie, by skierować ją na tory, które próbuję ominąć. – I jak ci poszło?

– Kopnąłem Arvida w głowę.

– Dlaczego?

– Bo jest dupkiem.

– Niewątpliwie. I co, pomogło?

– Bardzo.

– Świetnie, Thorkildzie. Porozmawialiście o rodzicach?

– Nie.

– Cóż, może innym razem.

– Boże! – Zaciskam zęby tak mocno, że ból w policzku sięga aż do gałek ocznych. Zamykam oczy, próbuję myśleć o preparatach, które pomogą mi się wyrwać z tej lodowatej komnaty bólu i przejść gdzieś indziej. – Ona nie chce przybyć – łkam, zaciskając dłoń na słuchawce. – Nie w taką pogodę. Nic tu nie działa, mówiłem ci przecież. Nawet wysrać się tu nie mogę.

– Posłuchaj mnie, Thorkildzie. Może poodychamy razem, uspokoimy się i porozmawiamy, czekając, aż leki zaczną działać? A potem kupisz sobie coś na brzuch, jak wrócisz na ląd. Duphalac. OK? Zrobimy tak? Chcesz?

– Tak – wzdycham. – Możemy tak zrobić.

– Świetnie. Zapalę papierosa i zaczniemy od początku. OK? W porządku?

– W porządku.

Ulf zapala papierosa, zaciąga się, słyszę skwierczenie przez słuchawkę. Przytrzymuje dym, wypełnia płuca aż do ostatniego pęcherzyka, po czym wydycha czystą rozkosz, wzdycha zadowolony i szepce:

– OK, Thorkildzie, pogadajmy.

Płatki śniegu mkną za oknem, podrywają się, opadają gnane podmuchami

wiatru, czasami zatrzymują się zupełnie, jakby szybowwały, swobodnie opadając, po czym dają się znów pochwycić wiatrowi i pędzą dalej przez noc. Morze napiera na wyspę ze wszystkich stron.

– Mówiłem ci o naszym spotkaniu? – pytam i przytulam policzek do zimnego szkła, by lepiej poczuć wibracje.

– Wiele razy, Thorkildzie. Wiele razy.

– Pojawiła się tam nagle, stała między strumieniami wody. – Czuję, że chce mi się śmiać, mimo że cały drzę z zimna. Jednocześnie coś we mnie puszcza. Rozplątują się włókna. Nerwy i mięśnie rozciągają się do pełnej długości, prowadzone przez małe białe płatki śniegu, które tańczą mi w brzuchu, niosąc ze sobą oksykodon, gnając go przez żyły ku głowie i czekającym tam na niego receptorom bólu. Każdy element wpada na swoje miejsce i składa mnie w środku w całość, kawałek po kawałku.

– To była ona, ale i nie ona, rozumiesz? Ona, ale taka, jaka jest teraz. To dlatego wiedziałem, że to nie sen.

– Powiedz mi lepiej, czemu poszedłeś wtedy pod prysznic, Thorkildzie. Opowiedz o spotkaniu z Robertem, partnerem Arnego Villmyra. Wiem, że odwiedził cię w więzieniu i że rozmawiałeś z nim tego dnia. Co on ci powiedział?

– Od razu ją rozpoznałem – ciągnę, nie zwracając wcale uwagi na jego pytania. Pada śnieg, nie tylko za oknem, ale też w środku. I to nie chaotyczny śnieg gnany wiatrem, ale wielkie płatki utkane z miękkich kryształów, niczym kaczy puch, który opada na mnie, pieszcząc każdy zmysł – idealne przeżycie, możliwe tylko wtedy, gdy umysł osiąga pełną przytomność.

– Powiedział ci o Frei i o kimś jeszcze?

– Nie – ucinam krótko. Równowaga została zburzona, czuję, że zaczyna wzbierać we mnie złość. – Nie chcę teraz o tym rozmawiać – mówię poirytowany.

– Jeszcze wcale o tym nie rozmawialiśmy – mruczy Ulf obojętnie, nie przestając palić papierosa. – Ale może to dobra chwila, żebyśmy razem się temu przyjrzeni, skoro i tak czekamy na łódź?

– Nie! – warczę do słuchawki.

– OK, Thorkildzie, nie chciałem na ciebie naciskać.

Za oknem zapada ciemność. Przez śnieżną zadymkę przedzierają się zimne pasma światła, padając na wyspę w pojedynczych punktach, cała reszta jest sina, tonie w bieli albo pozbawionej konturów szarości.

– Cicho... – Zasłaniam komórkę ręką. Zatrzymuję wzrok na samym końcu przystani.

– Co się stało? – Ledwie słyszę głos Ulfa, tłumiony przez moje palce. Światło pulsuje w rytm morskich fal wokół pomostu, z których wynurza się ludzka postać. Po chwili jest już na łodzi i toczy dookoła wzrokiem, odpoczywając chwilę z dłońmi opartymi na kolanach.

– Muszę iść – szepczę w chwili, gdy nieznajomy prostuje plecy i rusza w kierunku hangaru na łodzi, przed którym zostawiłem owiniętą w folię kobietę bez twarzy. – Ktoś tu jest.

Rozdział 20

Zebrawszy swoje rzeczy, zbiegam po schodach latarni. Na morzu rozszalał się sztorm. Wiatr pochwycił przewrócony dawniej maszt radiowy i bawi się nim, tocząc go w tę i z powrotem po betonowym fundamencie. Nieprzyjemny odgłos zgrzytania metalu o beton dźwięczy mi w uszach.

Nie widzę żywego ducha, przy pomoście nie ma żadnej łodzi, tylko czarne cienie wijące się na wietrze i zawiewający pod skosem śnieg, który spowija wszystko szarawą mgłą. Nad wyspą przechodzi prawdziwa zamieć, chwytam się poręczy i zaczynam schodzić po kamiennych schodach, kierując się w stronę centrum konferencyjnego i hangaru na łodzi.

Zwłok nie ma w miejscu, w którym je zostawiłem. Tylko odcisk w ledwie widocznej warstewce śniegu pokazuje, gdzie przed chwilą leżała głowa trupa. Stoję tam ogłupiały, patrząc na ślad po aniele z jednym skrzydłem, gdy nagle od strony nabrzeża dobiega mnie przeraźliwy trzask.

Odwracam się i widzę, jak kaskady wzburzonego morza raz po raz wałają w wyspę. Zbutwiały pomost kołysze się, trzeszcząc niebezpiecznie. Dostrzegam nagle stojącego na nim człowieka, w miejscu, gdzie w powietrze strzelają metrowe fale. To mężczyzna, jego ciało zlewa się niemal z otaczającą go ciemnością, jesteśmy od siebie oddzieleni ścianą śniegu. Ma na sobie skafander i maskę do nurkowania i zdaje się, że wlecze za sobą kobietę bez twarzy na skraj pomostu.

– Hej! – Wymachuję ramionami, robiąc parę kroków do przodu. – Zaczekaj!

Mężczyzna przystaje i spogląda na mnie zza śnieżnej kurtyny. Stoi tak przez chwilę, gapiąc się na mnie, po czym zmienia rękę i dalej ciągnie trupa do wody.

– Zaczekaj, do diabła! – Zaczynam biec w kierunku przystani. Widzę, że nurek jest już przy krawędzi pomostu. Stoi pochylony i patrzy na wodę, jakby zaraz miał do niej wskoczyć.

Znów trzeszczą filary pomostu. Cała konstrukcja kołysze się groźnie, jakby próbowała się wyrwać z uścisku stalowych elementów. Człowiek

w masce nurka stoi nad morską otchłanią z pozbawionym twarzy trupem w ramionach. Nie rusza się ani o centymetr, sterczy tam po prostu, pozwalając się batożyć strumieniom słonej wody.

W chwiejną drewnianą platformę uderza kolejna fala. Woda wzbija się kaskadą w powietrze, filary znów przeraźliwie trzeszczą. Gdy kolejny raz spoglądam w to miejsce, nurka już nie ma.

– Nie! – wrzeszczę, przestępuję kilka kroków w przód, po czym znów przystaję. Pomost wygląda, jakby miał się zaraz oderwać od skały. W następnej chwili filary poddają się z przeraźliwym jękiem i całe ustrojstwo unosi się na wodzie. Towarzyszy temu kakofonia łamanego drewna, pękających zamocowań i wyrywanej z miejsca stali zbrojeniowej. Pomost obraca się przed moimi oczami i ustawia na skos, kapitulują ostatnie wsporniki. Konstrukcja unosi się pionowo nad wodą, po czym opada ciężko na bok i zaczyna zsuwać się ze skały wprost do ciemnego morza.

Nagle znów go spostrzegam niedaleko oderwanego pomostu. Woda jest w tym miejscu płytsza, jaśniejsza niż gdzie indziej, i widzę dwa cienie, jeden z nich unosi się z zanurzoną głową, tak że nad wodną skorupą widać tylko plecy, drugi wisi tuż pod powierzchnią, jakby starał mi się przyjrzeć przez tę mętną błonę.

Stoję jak wryty przez kilka sekund, po czym puszczam się pędem w stronę skał i morskiego brzegu, patrząc, jak nieznajomy mężczyzna oddala się od wyspy, ciągnąc za sobą trupa.

– Hej, gdzie się wybierasz?! – krzyczę zrozpaczony. – Gdzie masz łódź?! – Ślizgam się na mokrej skale, moje stopy tracą oparcie. Upadam, uderzając głową i policzkiem o twardy kamień, ześlizguję się i zatrzymuję jakieś pół metra od brzegu.

Leżę zwrócony nogami w stronę lądu, z głową wciśniętą w wodorosty, woda przeciska się między nadbrzeżnymi kamieniami i obmywa mi twarz. Rozpaczliwie próbuję się uwolnić z tej upokarzającej pozycji, po plecach przebiegają mi raz po raz dreszcze bólu.

– Co tu się, kurwa, właśnie stało? – dyszę wyczerpany, gdy wreszcie udaje mi się odczołgać w bezpieczne miejsce. Tkwię na czworakach na skale jak przemoczony pies i z trudem chwytam powietrze. Pomost zniknął w ciemnościach. Zostało po nim tylko kilka pojedynczych betonowych elementów przytwierdzonych wciąż do oderwanych, sterczących z wody kawałków przerdzewiałej stali zbrojeniowej. Widoczne pod wodą cienie

zniknęły, jakby nigdy ich tu nie było, jakbym obudził się właśnie z jednego z tych snów, które wydają się takie prawdziwe.

Kładę się płasko na skale z twarzą zwróconą ku niebu. Śnieg wiruje w powietrzu, ciemność zapada nad wyspą niczym pokrywa nad kotłem. Leżę bez ruchu i powoli zdaję sobie sprawę, że drzwi hangaru na łodzie trzaskają lekko raz po raz.

Zbieram siły, próbuję zapomnieć o bólu w głowie i policzku, w końcu wstaję i idę w tamtym kierunku. Przykucam pod drzwiami i staram się zajrzeć do środka przez szparę między deską a progiem.

Dźwigam się z trudem, znajduję po omacku kłódkę. Wydaje się nowa, idę do kupy złomu i znajduję kawałek metalu na tyle płaski, by dało się go wcisnąć między skobel a drzwi.

Drewno trzeszczy, gdy wsuwam rurkę w szparę i ciągnę z całych sił, aż udaje mi się wyrwać metalową podkładkę i trzymając ją w miejscu cztery grube gwoździe. Drzwi otwierają się z impetem, pochwycone przez podmuch wiatru, i o mały włos nie przewracają mnie z powrotem na mokre kamienie. Wchodzę ostrożnie do hangaru, nie próbując ich nawet za sobą zamknąć.

Dostrzegam w środku kontury zupełnie nowego awaryjnego agregatu w skrzynkach, z których wypakowano i ułożono na podłodze tylko elementy systemu odprowadzania spalin, razem z kilkoma masztami oświetleniowymi z lekkiego metalu oraz obudową ogrodowego jacuzzi. Na jednej ze ścian wisi w rzędzie pięć skafandrów do nurkowania, każdy na swoim haczyku.

Płachta przezroczystej folii, którą owinąłem trupa, została przywiana tu przez wiatr i zatrzymała się na systemie odprowadzania spalin agregatu. Kolejne podmuchy szarpią folię, która furkocze, ocierając się o betonową podłogę. Podnoszę ją z ziemi.

Zbliżam płachtę do twarzy. Uderza mnie przytłaczająca woń gnijącego mięsa, skóry, mięśni i wnętrzości w stanie daleko posuniętego rozkładu, wciąż uwięziona w plastikowych włóknach. Ślady zwłok nadal są na niej widoczne, widać jaskrawożółte pasemka krwi i płynów ustrojowych tworzące kontury ludzkiej sylwetki.

Zwijam folię i wciskam ją pod jedną z rur agregatu. Dzwonię do Bjørkanga, ale nikt nie odbiera.

Arnt i Harvey też nie podnoszą słuchawki, a po chwili rozładowuje mi się telefon. Postanawiam poczekać na nich tu, w hangarze, znajduję w głębi pomieszczenia kilka skrzynek, na których przysiadam. Jestem przemarznięty

do kości, po upadku na skały strasznie boli mnie głowa. Ciało mam sztywne, nogi zdrętwiałe.

Wyławiam z plecaka butelkę z wodą i stawiam ją sobie między nogami, rozpaczliwie szukając w kieszeniach torebki z blistrami, tabletkami luzem, listkami, pigułkami i kapsułkami. Połykam leki, opieram się o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi, próbując się skupić na wyciu wiatru na dworze.

Niedziela

Rozdział 21

Gdzieś zza drzwi hangaru na łodzie dobiega do mnie warkot silnika. Wyciągam dłonie z rękawów kurtki, gramolę się ze skrzynki i wychodzę na podwórze.

W powietrzu wiszą jeszcze pojedyncze płatki śniegu, całą wyspę spowija żółtawa mgła. Warkot zaburtowego silnika staje się coraz głośniejszy, dostrzegam na morzu starszego mężczyznę w motorówce, która płynie w stronę latarni.

– O, jeszcze żyjesz?! – krzyczy Johannes, ustawiając łódź równolegle do brzegu wyspy.

– O tyle o ile – odpowiadam drżącym głosem, zatrzymując się nad betonowymi resztkami pomostu zabranego tej nocy przez morze, i czekam, aż Johannes do mnie podpływie.

– Co, do diabła? – pyta mężczyzna, widząc pozostałe na przystani kikuty.
– A gdzie reszta?

– Zniknęła w nocy.

– Harvey połączył się ze mną przez walkie-talkie i poprosił, żebym tu po ciebie przyплыwał, gdy tylko pozwoli na to pogoda. Oderwało mu się od dna kilka palików z omułkami, zaczęło je znosić na otwarte morze. Ciągłe jest w tej swojej hodowli. Na rano zapowiadają kolejny sztorm, musimy się spieszyć.

– Widział pan lensmanna?

– Bjørkanga? Nie, a czemu niby miałbym go widzieć? Dopiero wpół do piątej. Słudzy socjaldemokracji wstaną z łóżek za kilka godzin.

– Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem – wyjaśniam, gramoląc się mozolnie na pokład, gdy tylko łódź podpływa do brzegu między wystającymi z wody kawałkami stali zbrojeniowej i ciężkimi łańcuchami podzwaniającymi niespokojnie w wodzie. – Obiecał, że po mnie przyплыwie.

– Cóż, może miał ważniejsze rzeczy na głowie. – Stary rybak zaczyna odbijać od wyspy. Niebo nad naszymi głowami znów robi się szare. – Na pewno poradziłyś sobie tam jeszcze chwilę, jakbyś musiał.

– Znalazłem w morzu kobietę.

– Ach tak? – Johannes strzyka śliną przez zęby. Chwyta za ster i wrzuca bieg. Łódź zaczyna sunąć mozolnie przez niespokojne morze. – Jesteś pewien, że to była kobieta?

– Tak.

– To gdzie ona teraz jest? – pyta Johannes niemal obojętnie, zupełnie jakbym mu opowiadał o niekochanym chomiku albo chorej złotej rybce.

– Ktoś wyszedł z wody i ją ze sobą zabrał.

– Kto?

– Jakiś mężczyzna.

Johannes kiwa głową, starając się ominąć wysepkę z posklejanych wodorostów i plastikowych odpadów, tańczącą niespokojnie na coraz wyższych falach.

– Draug to topielec bez twarzy – zaczyna nagle. – Martwy rybak pływający po morzu albo żeglujący na wraku przepołowionej łodzi. Tym, którzy go zobaczą, przynosi śmierć i rozpacz.

– A zdarza się, że wkłada skafander do nurkowania i wychodzi na ląd, by zabrać zmarłych z powrotem do morza? – Próbuję się zaśmiać, ale śmiech więźnie mi w gardle. Wiatr chwyta ostatnie płatki śniegu i zaczyna je pędzić nad powierzchnią wody.

– Nie – odpowiada Johannes. – Raczej tego nie robi. – Twarz ma zaciętą, z siateczką sinych żyłek widoczną pod skórą.

– Tak właśnie myślałem.

Przybijamy do brzegu w Skjellvik o piątej rano. Wyskakuję na ląd i pomagam Johannesowi zaciągnąć łódź do hangaru. Ruszamy drogą na skraju zatoki, do stojącego przy nim starego domu z odłóżką ze ścian farbą. Nagi, nieosłonięty budynek oddany na łaskę i niełaskę deszczu, wiatru i morza.

– Masz może komórkę, którą mógłbym pożyczyć? – pytam, po tym jak Johannes zdejmuje w sieni buty i wkłada grube szare skarpety. Pachnie tu tranem i miodem. – Moja się rozładowała.

Johannes wskazuje palcem w głąb domu.

– Możesz skorzystać z telefonu stacjonarnego w salonie. Wyjdzie taniej. Zaraz ci dam ładowarkę.

Mokre skarpety lepią mi się do wykładziny. Podłączam swoją komórkę do ładowarki, po czym odnajduję telefon stacjonarny i wybieram numer

Bjørkanga.

Abonent niedostępny.

– Masz może numer do funkcjonariusza Arnta? Nie pamiętam nazwiska.

– Eriksen. Arnt Eriksen. Sprawdź w książce telefonicznej. – Johannes podaje mi opasy tom, siada w fotelu i przykrywa sobie nogi dziurawym kocem uszytym z łąt. – Chyba że wolisz chwilę poczekać, to złapiemy ich przez walkie-talkie.

– Walkie-talkie, pewnie – mamroczę. – Rasmus też je miał.

– Kto? – Johannes posyła mi pytające spojrzenie.

– Rasmus – powtarzam. – Duńczyk, ten od latarni.

– Owszem, tak jest najłatwiej. Wiesz, to nic nie kosztuje – mlaska. – Jak telefon, tylko za darmo.

– Ani kura za darmo nie gdacze – mówię, siadając na sofie z lat pięćdziesiątych w kolorze burgunda.

– Co takiego?

– Nieważne.

– Jako pierwszy na falach krótkich odzywa się Harvey. Wciąż jest w swojej hodowli i mówi, że wróci, kiedy tylko uda mu się zabezpieczyć paliki z omułkami.

Po rozmowie z Harveyem dzwonię na posterunek policji w Tromsø. Nie mieli żadnej wiadomości od Bjørkanga, ani w sprawie zarekwirowania łodzi, ani konieczności odebrania kogokolwiek z wysepki z latarnią. Informuję o kobiecie, którą znalazłem w morzu, funkcjonariusz po drugiej stronie słuchawki pyta, gdzie ona teraz jest, tłumaczę mu, że jakiś człowiek w skafandrze do nurkowania wynurzył się z morza i wciągnął ją ze sobą pod wodę, mężczyzna wzdycha i prosi, bym zadzwonił do biura lensmanna w godzinach pracy. Po czym się rozłącza.

Johannes wychodzi do kuchni, skąd przynosi mi kubek kawy. Idzie do sieni, by się ubrać.

– Znów zaczyna wiać – obwieszcza. – Muszę iść nad morze i przybić drzwi do hangarów gwoździami, ale zaraz wracam.

Podciągam pod siebie nogi i sadowię się na twardym meblu z lat pięćdziesiątych, próbując znaleźć wygodną pozycję.

– Myślisz, że wypłynęli po mnie w nocy i coś im się stało?

– Nie. Połóż się i trochę odpocznij – odpowiada Johannes ze stoickim spokojem. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował drzemki.

Widzę w jego oczach, że wcale nie jest taki spokojny, jak chciałby się wydawać. Przystaje na chwilę w drzwiach, przenosi wzrok ze mnie na huczące za oknem morze. W końcu się odwraca i wychodzi z domu. W następnej chwili zasypiam.

Rozdział 22

Facet z radiowej prognozy pogody mówi, że po południu zapowiada się sztorm z wiatrem dochodzącym w porywach do czterdziestu metrów na sekundę. Mieszkańcom sugeruje się, by w miarę możliwości nie opuszczali domów, unikali podróży samochodami i mostów. Prognoza długoterminowa wieszczy kolejne opady, chmury ciągną na północ. Potężny niż i pełnia księżycy zapowiadają wezbranie sztormowe, szacuje się, że poziom wody będzie statystycznie o pół metra wyższy niż zazwyczaj.

– Coś w tym jest – mówi Johannes, gdy otwieram oczy i rozglądam się otumaniony dookoła. Położył walkie-talkie na stole, obok dzisiejszego wydania lokalnej gazety i przezroczystej torebki z pączkami. – Ostatnim razem, jak mieliśmy wezbranie sztormowe, musiałem odpompowywać wodę z piwnicy i wykopać cały drenaż wokół domu. Strasznie wkurzające, mówię ci. Nie da się zarzucić sieci, bo zaraz są pełne różnego gówna.

– Która godzina? – Prostuję plecy i odstawiam na stół kubek z zimną kawą.

– Jedenasta przed południem – mówi Johannes. – Długo cię nie było, chłopcze. A ja nie chciałem cię budzić. Wyglądałeś, jakbyś potrzebował odpoczynku. – Johannes pochyla się i bierze sobie pączka, po czym podsuwa mi torebkę.

Sięgam po jednego, moczę go w kawie i odgryzam kęs. Usta mam jak zdrętwiałe. Smak kawy budzi przynajmniej receptory smaku na języku, które zaraz mnie informują, że to dość obrzydliwe śniadanie, a brzuch natychmiast dodaje, że coś trzeba wreszcie z niego wydalić, zanim wrzuci się coś nowego.

– Ktoś dzwonił? – pytam, odkładając nadgryzionego pączka na stół, obok kubka z zimną kawą.

– Nie – odpowiada Johannes. – Ale jakiś czas temu rozmawiałem z Harveyem. Płynię do nas.

– A lensmann?

Mój gospodarz połyka pół pączka jednym kęsem.

– Nie. – Wciska sobie do ust drugą połowę i podnosi do ust kubek

z parującą kawą. – Nic.

Włączam komórkę i widzę, że Ulf dzwonił do mnie pięć razy. Przychodzi także SMS od Anniken Moritzen, która prosi, bym odwiedził ją w jej biurze, jak tylko wrócę do Stavanger. Dolewam sobie gorącej kawy, po czym dzwonię do biura lensmanna. Automatyczna sekretarka informuje mnie o godzinach otwarcia i dodaje, że poza nimi wszystkie sprawy można zgłaszać na posterunku w Tromsø.

Dzwonię tam, ale nikt nie jest w stanie mi powiedzieć, gdzie są lensmann i jego podwładny; kobieta po drugiej stronie słuchawki nie ma ochoty spekulować, czemu nikogo nie ma u nich w biurze ani czemu żaden z nich nie odbiera telefonu.

– Pieprzone debile! – Odkładam komórkę na blat stołu.

– Mhm – cmoka Johannes i przebiera palcami stóp w wełnianych skarpetach, oblizując się i przyciskając do piersi kubek z kawą. – I tyłu ich jest na tym świecie – dodaje, mrugając do mnie. Jego krzaczaste brwi przypominają cierniste gałązki jakiejś rośliny. Siwą grzywę włosów ma krótko przyciętą na karku i zaczesaną na tył czaszki. Przypomina jednego z poszukiwaczy przygód, których ogląda się na czarno-białych zdjęciach, tych, którzy przed wielkimi wojnami zapuszczali się w arktyczne rejony, by odkrywać to i owo.

– Tyłu kogo? – pytam kwaśno, upijając łyk kawy. – Policjantów czy idiotów?

Johannes już ma mi odpowiedzieć, ale rozlega się głośne pukanie do drzwi, a zaraz po nim ciężkie kroki w korytarzu. W następnej chwili w drzwiach salonu staje Harvey z wymuszonym, zmęczonym uśmiechem na wargach.

– A, jesteście. – Zaciera ręce, próbując pewnie odzyskać w nich czucie.

– W kuchni jest kawa. – Johannes wskazuje przezroczystą torebkę. – I pączki.

Harvey znika w korytarzu.

– Widzę, że wróciłeś na ląd – zwraca się do mnie po powrocie. Wyławia pączka z torebki i siada obok mnie na sofie. Ubranie ma wilgotne, włosy sterczą mu na wszystkie strony. Jego twarz jest bardziej szara, niż ją zapamiętałem, a wargi wąskie, jakby odpłynęła z nich cała krew.

Kiwam w milczeniu głową.

– Co za noc – ciągnie Harvey, wzdygając się mimowolnie. – Niektóre

paliki były już przy wysepkach Steinholmene po drugiej stronie zatoki, zanim je złapałem. Przywiązałem je w końcu do pozostałych i obciążyłem starym kamieniem młyńskim, który znalazłem na łodzi. Będę musiał całe to tałatajstwo poustawiać na nowo, jak tylko pogoda się trochę poprawi.

– Południowiec mówi, że znalazł dziś w nocy w morzu kobietę. – Johannes znów porusza z rozkoszą palcami w ciepłych skarpetach, po czym wstaje i wyłącza radio.

– Ach – burczy Harvey. – A to na pewno nie był Duńczyk?

– On twierdzi, że ktoś po nią przyszedł, po tym jak on ją wyciągnął – wyjaśnia Johannes spokojnie. – Ktoś się wynurzył z morza.

Harvey przenosi spojrzenie ze mnie na Johannaesa, po czym kręci głową i zerka na mnie znad kubka z kawą.

– Nie dorwał się tam przypadkiem do barku?

– Widziałeś może lensmanna albo jego chłopaka? – pytam, puszczając mimo uszu insynuacje dotyczące mojego pijaństwa.

– Bjørkanga? Nie. A co? Popłynęli tam teraz?

– Mieli mnie odebrać wczoraj wieczorem, ale się nie pojawili.

– Trzeba ich przy okazji uprzedzić, że cały pomost oderwał się w nocy i dryfuje gdzieś po fiordzie – wtrąca Johannes. – Może napytać biedy, jeśli ktoś się na niego nadzieje łodzią.

– Dzwoniliście do nich?

– Nie odbierają. Ani swoich komórek, ani telefonu w biurze.

– Żaden z nich? – Harvey prostuje plecy, wyraźnie już zaniepokojony.

– Żaden.

Harvey wyciąga z kieszeni swoją komórkę i wybiera numer z listy kontaktów.

– Poczta głosowa – mówi i się rozłącza. – A próbowaliście może dzwonić do biura w Skjervøy? – Harvey sięga po kolejnego pączka. – Tam powinni przynajmniej wiedzieć, gdzie jest łódź policyjna.

Kręcę głową.

Harvey wybiera numer i zaczyna spacerować niespokojnie po salonie. Kończy rozmowę i wraca na sofę.

– Nie słyszałeś w nocy żadnej łodzi?

Znów kręcę głową.

– Tylko silnik trawlera, ale to było za dnia. Czemu?

– Lensmann w Skjervøy twierdzi, że łódź od kilku tygodni jest

zaczumowana tu, w porcie Blekøyhamn. Nie kontaktował się z nim przez weekend Bjørkang, Arnt ani nikt z Tromsø, nic mu też nie wiadomo o jakiejś nocnej wyprawie do latarni.

– Wcale mi się to nie podoba – mówię i opróżniam kubek jednym haustem. – Daleko do tego portu?

Harvey wstaje z sofy.

– Zawiozę cię.

Rozdział 23

Strugi deszczu chłoszczą auto Harveya, gdy mkniemy przez kałuże i leżący na drodze topniejący śnieg. Harvey musi raz po raz zdejmować nogę z gazu i ścisnąć kurczowo kierownicę w nadziei, że nie wypadniemy z kolein.

– Będzie źle – mówi, gdy jego samochód wjeżdża z mozołem na wzgórze z gnącymi się drzewami na szczycie. – Naprawdę źle. Muszę wracać do hodowli i wymyślić, jak przymocować paliki do dna, żeby mi znowu nie odpłynęły.

– Nie boisz się?

– *Fuck, yeah, I'm scared* – oświadcza Harvey. – Ale co mam zrobić? Jak stracę omułki, to będę musiał wbić zęby w ścianę.

– Myślisz, że Arnt i Bjørkang gdzieś tam są? W taki sztorm? – Fale uderzają raz po raz o leżące na brzegu kamienie, nawleczone na żyłkę suche rybie głowy obijają się o przydrożny stojak. Między szarymi chmurami majaczą mi Blekholmen i dach latarni morskiej.

– Nie wiem – odpowiada Harvey, gdy okrążamy szczyt wzgórza i jedziemy dalej, do centrum Blekøyvær i portu. – Nawet gdyby byli, to nasza łódź policyjna poradzi sobie przy każdej pogodzie.

Czuję, że wciąż nie jest ze mną najlepiej po tym wszystkim, co przydarzyło mi się tej nocy na skałach, jednocześnie z każdą minutą wzbiera we mnie niepokój, przekonanie, że to dopiero początek.

– Jak wygląda ta łódź? – pytam, gdy wreszcie skręcamy w węższą drogę prowadzącą stromo w dół, do sklepu z elementami drewnianymi i spożywcza.

– Jadowicie żółta – odpowiada Harvey, gdy auto mija powoli zgiętych wpół ludzi przeskakujących nad kałużami i błotem między sklepami a parkingiem. – Z białym podnośnikiem na pokładzie.

Jedziemy dalej, kierując się na nowy parking przy przystani, na której, tuż przy wejściu na kamienny falochron w kształcie podkowy, stoi hangar na łódzie z tabliczką głoszącą: „Związek Żeglarski Blekøyvær”.

– Nie ma jej – mówię, gdy zatrzymujemy się na parkingu przed

hangarem.

– No popatrz... – Harvey wyciąga komórkę. – Zadzwoń znowu do Skjervøy. Cześć! Łodzi nie ma w porcie – mówi do telefonu, bębniąc palcami o kierownicę. – Czekaj, zaraz sprawdzę. – Kiwa mi głową, wysiada z auta i kieruje się w stronę hangaru.

Gdy tylko znika mi z oczu, wyciągam własną komórkę, by zadzwonić do Anniken Moritzen.

– Gdzie jesteś? – pyta, gdy wreszcie odbiera. Ma głos, jakby dopiero co się obudziła. A może była u Ulfa i wyżebrała od niego więcej leków, więcej przeciwbólowych, nasennych preparatów podtrzymujących otępienie, rozdzielających od siebie kolejne dni i noce.

– Na przystani w Blekøyvær.

– Myślałam, że już wracasz do domu.

– Szukamy łodzi lensmanna i jego podwładnego.

– Czemu?

– Znalazłem w morzu martwą kobietę. – Wsuwam dłoń do kieszeni kurtki, otwieram paczkę oxynormów i wyłuskuję dwie kapsułki. – Niedaleko wieży Rasmusa. – Połykam je pospiesznie. – Lensmann i ten chłopak mieli mnie wczoraj wieczorem odebrać z wyspy, ale się nie pojawili.

– Kobieta – zaczyna Anniken z wahaniem, gdy kończę mówić. – Jesteś pewien?

– Tak. Leżała w wodzie już jakiś czas, ale chociaż niekiedy naprawdę trudno cokolwiek stwierdzić, to na pewno nie był on, Anniken. To nie był Rasmus. – Zaczynam żałować, że do niej zadzwoniłem. Minęło zbyt mało czasu, powinienem był się zastanowić i lepiej zaplanować tę rozmowę.

– Muszę ją zobaczyć. – Głos mojej rozmówczynie brzmi nagle dużo przytomniej, Anniken szybciej wyrzuca z siebie słowa, słyszę, że zaczyna panikować. – Może się mylisz, a matka...

– Nie myślę się.

– Ale skąd możesz wiedzieć, sam przed chwilą mówiłeś, że czasem trudno cokolwiek stwierdzić?

– Nie przyjeżdżaj – przerywam jej w chwili, gdy z hangaru wyłania się ciemna sylwetka i zaczyna biec w kierunku auta. – Jeszcze nie. Niczego tu nie znajdziesz. Zadzwoń, jak będę wiedział coś więcej.

– Nie, poczekaj – szepce Anniken zrozpaczona. – Nie rozumiem...

Rozłączam się.

– Pieprzony idiota – mamroczę sam do siebie, wkładając komórkę do kieszeni. – Co ty wyprawiasz, Thorkildzie?

Harvey wsiada do auta i zatrząskuje za sobą drzwi.

– Nikt nie może się z nimi skontaktować. Łódź policyjna stała w porcie cały tydzień, ale dziś, gdy do pracy przyszła pierwsza osoba, już jej nie było.

– Podkręca nawiew i chucha sobie w dłonie. – Lensmann ze Skjervøy rozmawiał z policją w Tromsø i z centralą pogotowia.

– Co teraz? – Czuję, że komórka wibruje mi w kieszeni, ale postanawiam ją zignorować.

– Przyślą do nas ludzi na poszukiwania – zaczyna Harvey. Jego oczy śledzą wycieraczki przesuwające się w tę i z powrotem po szybie. – Na pewno niedługo ich znajdą. Nasza łódź policyjna jest bardzo solidna, wyposażona w najnowszy sprzęt. Może mają po prostu jakieś kłopoty z silnikiem albo zagnało ich na jedną z dalszych wysp.

Próbuję spojrzeć za wycieraczki, zawiesić spojrzenie na sinym morzu i ciężkich deszczowych chmurach.

– Rozmawiałem właśnie z jego matką – mówię. – Matką Rasmusa.

– Co mówisz?

– Wydurniłem się.

– W jaki sposób?

– Dałem jej nadzieję.

Harvey opiera się o kierownicę i mierzy mnie wzrokiem.

– Słuchaj – zaczyna. – *I have to ask.*

– Pytaj, o co chcesz – mamroczę, nie odrywając spojrzenia od chłostanego strumieniami deszczu falochronu, zacumowanych przy nim łodzi i ciemnej wody.

– Co się właściwie stało tej nocy na wyspie? Z tą... kobietą, którą twierdzisz, że znalazłeś?

– Leżała w morzu. Młoda dziewczyna, najwyżej dwudziestokilkuletnia. Bez twarzy, z oderwanym przedramieniem. Ubrana w koszulę nocną i T-shirt. Bosa. Zupełnie jakby po prostu tam spała między kępami wodorostów.

– I twierdzisz, że ktoś się wynurzył z morza i ją zabrał?

– Tak.

– Widziałeś, kto to był?

– Nie.

– Byłeś narąbany?

Odwracam się do niego. Jego twarz lśni od deszczówki, włosy ma mokre.

– Nie.

– W porządku – odpowiada Harvey, bębniąc palcami o deskę rozdzielczą.
– Musiałem zapytać.

– Miałem jakiś czas temu wypadek – mówię, znów próbując się skupić na deszczu. – Doznałem uszkodzenia mózgu, niektóre struktury nie działają już tak, jak powinny. Zdarza się, że widzę rzeczy, których tak naprawdę nie ma. Czuję zapachy albo czyjąś obecność, mimo że jestem zupełnie sam. Człowiek zaczyna wątpić w samego siebie, w swoje zmysły. Ale to nie była jedna z takich chwil. – Ostatnie zdanie kieruję głównie do samego siebie.

– Hej! – Harvey unosi na chwilę rękę, po czym znów chwyta kierownicę.

– Nie myśl o tym. Wierzę w te wszystkie rzeczy, wiesz przecież. *All the way.*

Stojące w równym rzędzie łodzie zacumowane do mola kołyszą się leniwie, liny naprężają się na falach.

– Sądzisz, że to był jeden z nich? – pyta Harvey.

– Z kogo?

– Może to Bjørkang albo Arnt wyszli z morza i zabrali ze sobą zwłoki?

– Może to był Rasmus.

– Rasmus nie żyje – oświadcza Harvey.

– Jesteś pewien? Mamy tylko jego łódź, która przydryfowała do zatoki. Żadnych zwłok, żadnego miejsca zbrodni, nic.

Harvey przygląda mi się ze zdziwieniem.

– No dobra, przyznaję ci rację – zaczyna. – Ale czemu chłopak miałby ukrywać się na wyspie jak jakieś widmo?

– Może miał coś do czynienia z tą kobietą bez twarzy?

– I nie chciał, by ktoś się o niej dowiedział. – Harvey uśmiecha się, demonstrując dołki w policzkach. – Aha, *I see what you're doing. This is some real detective shit you're talking about.*

– Muszę się gdzieś zatrzymać. – Wyłuskuję kolejny oxynorm i wkładam do ust w nadziei, że ta właśnie kapsułka przeważy szalę i w końcu przestanie mnie boleć brzuch.

– Chcesz tu zostać?

– Zdaje się, że nie mam wyboru.

Harvey wyjeżdża z parkingu za hangarem na łodzie i jedzie z powrotem na główną drogę. W ustach mam zupełnie sucho, nie jestem w stanie zebrać

dość śliny, by połknąć kapsułkę, która przywarła mi do języka. Muszę ją oderwać przednimi zębami i zmiażdżyć w trzonowcach. Smak jest kwaśny, intensywny, staram się wyprodukować dość śliny, by przełknąć zawartość, po czym wypluwam resztki żelatynowej kapsułki na dłoń i wkładam je do kieszeni kurtki.

– Znasz może w okolicy jakiś pensjonat albo inne miejsce, w którym mógłbym wynająć pokój na kilka dni? – pytam, starając się wyczyścić zęby językiem. – Nie mogę przecież dojeżdżać z Tromsø, a wolałbym nie spać w samochodzie z wypożyczalni.

Harvey zatrzymuje się na skrzyżowaniu z główną drogą i znów na mnie spogląda.

– Możliwe, że mam rozwiązanie, które przypasuje nam obu – zaczyna. – Odbierzemy twoje auto i pojedziesz za mną.

Rozdział 24

Zatrzymuję auto z wypożyczalni obok pikapa Harveya i wysiadam na parkingu przed głównym wejściem do Domu Opieki Skjellviktunet. Przestało na chwilę padać, mimo że tu, na górze, wieje dużo mocniej niż nad zatoką.

– Żartujesz sobie?

– Nie. – Harvey wybuchając śmiechem, spoglądając na budynek naprzeciwko domu opieki. – Kupiłem go jakieś sześć czy siedem lat temu, w czasie wojny były tu prysznicze dla niemieckich żołnierzy. Gmina z niego nie korzystała, więc go wykupiłem, wyremontowałem i podzieliłem na trzy moduły mieszkalne, które wynajmuję teraz z powrotem gminie i opiece społecznej. Mam podobny projekt w Tromsø: sześć kawalerek, w których mieszkają lokatorzy.

– Brzmi jak dobry interes – mamroczę, opierając się o bagażnik auta.

– Grosz do grosza, sam wiesz. Tak czy inaczej: jedna z tutejszych kwater stoi chwilowo pusta, mógłbyś w niej zamieszkać za, powiedzmy, trzysta pięćdziesiąt koron dziennie.

– Cóż – zaczynam, zerkając sceptycznie na wznoszący się przede mną budynek. – Pewnie to lepsze niż spanie w samochodzie.

– Super! – Harvey wyciąga do mnie rękę. – Dasz mi zaliczkę, prawda? Przy okazji: będzie kłopot z wystawieniem faktury, ale zakładam, że ci to nie przeszkadza?

– Ależ skąd – odpowiadam i wyjmuję pieniądze. Na podwórzu wychodzi żona Harveya i kieruje się w naszą stronę. Ma na sobie rozpięty brązowy płaszcz z szarym futrzanym kołnierzem, białą czapkę, dzinsy oraz pasujące do całości zimowe buty, także obszyte szarym futerkiem.

– Cześć – mówi, zarzucając mężowi ramiona na szyję. – Wróciłeś z hodowli. Dzięki Bogu.

Harvey kiwa głową.

– Tak, musiałem poczekać na lepszą pogodę.

– Dawno przyplynałeś?

– Rano. Musiałem zajrzeć jeszcze z Thorkildem do Blekøyvær.

– Ach?

– Bjørkang i Arnt zniknęli.

– Zniknęli? – Żona Harveya uwalnia go z uścisku i cofa się o krok. – Co ty mówisz?

– Wypłynęli łodzią policyjną wczoraj wieczorem, mieli odebrać Thorkilda z wysepki. Nie dotarli na miejsce.

Merethe otula się kołnierzem, jej broda, usta i nos toną na chwilę w sztucznym futrze.

– Mam zadzwonić do Mari?

– *Not yet* – odpowiada Harvey. – Na pewno niedługo wszystko się wyjaśni. Poczekaj w każdym razie, aż wrócę.

– Co? – Merethe chwyta męża za ramię. – Znów się gdzieś wybierasz?

– Muszę, ale wrócę, jak tylko uda mi się zamocować paliki do dna. A ty do tego czasu pomożesz Thorkildowi się rozgościć, prawda? Wynajął na kilka dni stare mieszkanie Andora i Josefine.

– Nie wiem, czy możemy tak po prostu wynajmować kwatery, w końcu mamy podpisaną umowę z opieką społeczną.

– *Relax, honey*, to przecież tylko parę dni. A z tego co słyszałem, nie ma na razie co się spodziewać nowych mieszkańców.

Merethe kręci głową, puszcza ramię męża i podchodzi do mnie.

– Cóż, Thorkildzie, chodź ze mną, to pokażę ci twoje... apartamenty. – Odwraca się do Harveya i rzuca: – Uważaj na siebie.

– *Always* – odpowiada słodko jej małżonek. – Do zobaczenia, Thorkildzie. – Macha nam ręką na pożegnanie, po czym wsiada do auta i odjeżdża.

– Co właściwie robi animatorka? – pytam, gdy idziemy przez parking.

– Organizuję zajęcia dla naszych mieszkańców razem z wolontariuszami, na przykład rozgrywki bocce, terapię grupową czy wspólne wycieczki. W co trzecią sobotę zapraszam do świetlicy pastora, żeby odprawił nabożeństwo. Pełnię też w domu opieki dodatkowe dyżury, jeśli tylko jest taka potrzeba. Dzięki temu mogę spędzić trochę czasu z mamą, która została zupełnie sama po śmierci ojca, i przy okazji zarobić kilka koron.

– Twoja matka też tu mieszka?

– Tak, na oddziale dla pacjentów z demencją.

Merethe wyciąga z kieszeni klucz, otwiera nim drzwi jednej z kwater i wpuszcza mnie do środka.

– Proszę bardzo – mówi, podając mi breloczek. – Mężczyzna, który tu wcześniej mieszkał, zmarł w trakcie wycieczki do Szwecji. Zawał.

– A gdzie jego żona?

– Umarła tej samej nocy. *Of a broken heart* – wyjaśnia Merethe z amerykańskim akcentem. – To możliwe – dodaje, widząc moje sceptyczne spojrzenie. – Strasznie smutne, prawda?

– Tak, smutne – potwierdzam.

– Zawsze zbiera mi się na płacz, jak o tym myślę. W środę wyprawiamy im wspólny pogrzeb. Ich córka mieszka na południu Szwecji, nie chciała tu przyjeżdżać przed uroczystością, by zlikwidować mieszkanie. Wszystkie ich rzeczy są w schowku i w sypialni. Proponuję, żebyś spał na sofie.

Zdejmuję buty i natychmiast żałuję tego kroku. Podłoga jest lodowata, podobnie zresztą jak całe mieszkanie. W zimnym, ciemnym salonie stoją stara sofa, krzesło, barek, półka na książki i stolik pod telewizor. Chodniki zostały zwinięte i ułożone w kącie obok pudła opisanego jako „Książki” i innego, oznaczonego jako „Zdjęcia + Drobiazgi”.

– Harvey mówi, że jesteś kimś w rodzaju medium? – zaczynam, gdy Merethe podchodzi do skrzynki z bezpiecznikami. Ma niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, więc musi stanąć na palcach, by do niej sięgnąć.

– Raczej jasnowidzką, ale od czasu do czasu zajmuję się także termopunkturą i kryształoterapią.

– I niedługo będziesz w telewizji? W tym programie o polowaniu na duchy?

– Dusze. – Merethe wybucha śmiechem. – Nazywa się *Wędrownka dusz*. – Podchodzi do okna, odsuwa zasłonę i włącza elektryczny grzejnik. Po chwili salon wypełnia się zapachem palonego kurzu. – Zaczynamy nagrywać po świętach. Ekscytujące, prawda?

Kiwam głową i siadam obok niej na sofie. Merethe ma na palcach wielkie pierścienie z kolorowymi kamieniami.

– Ludzie potrafią się ze sobą porozumiewać za pomocą leczniczej energii. – Muska napięty dzins spodni opuszkami palców. – Energii, którą nosi w sobie każdy z nas i która przenika granice światów fizycznego, duchowego i psychologicznego.

– Rozmawiasz z duchami?

– Tak. Cały czas.

– Jak... one wyglądają?

– Co masz na myśli? – Merethe wbija sobie paznokcie w udo.

– Pytam...

– Czy widzę martwych ludzi, zmasakrowane zwłoki i tym podobne rzeczy?

Kiwam powoli głową.

– Nie, dzięki Bogu – oświadcza Merethe ze śmiechem i muska lekko moją nogę. – Przecież tak by się nie dało żyć.

– No właśnie – mamroczę.

– Każde życie otoczone jest osobnym polem energii, a niektórzy z nas potrafią je zobaczyć, czasami też komunikują się za jego pomocą. – Mruga do mnie i klepie mnie lekko po udzie. – Nasze ciała są naelektryzowane, Aske. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

Merethe kładzie na stole obie ręce skierowane wnętrzem dłoni do góry. Porusza lekko palcami, kamienie pierścionków uderzają o blat.

– Chcesz mi o niej opowiedzieć?

– O... o kim? – Drgam, wyrwany z zamyślenia.

– Spokojnie... – Merethe pochyła się nade mną i chwyta moje dłonie. Gładki metal pierścieni jest rozgrzany ciepłem jej rąk. – Poczułam ją już przy naszym pierwszym spotkaniu. Jest jak ciepły płaszcz, który cię otula, rozściela się wokół ciebie. Teraz też to czuję. – Przymyka oczy i gładzi moją dłoń kciukiem. – Byliście ze sobą?

– Nie. – Jej dotyk sprawia, że instynktownie cofam ręce. – Prawie w ogóle jej nie znałem.

Merethe otwiera oczy.

– A mimo to jesteś z nią związany?

Nie odpowiadam, rozpieram się na sofie i wsadzam rękę do kieszeni kurtki, próbując wymacać blister z oxynormem.

– Wydaje mi się, że ona jest na mnie zła – mówię wreszcie.

– Zła? – Merethe spogląda na mnie ze zdziwieniem. – Niby dlaczego?

– Nie chce już do mnie przychodzić. – Słyszę, że głos mi się łamie, złapanie oddechu jest coraz trudniejsze. – Staram się jak mogę, a ona nie chce przyjść.

– A więc wiesz, że ona gdzieś jest?

– Oczywiście. Przecież wróciła.

– Wróciła? – Merethe przekrzywia lekko głowę. – Co masz na myśli?

– Prowadziłem auto, ona zginęła, a potem wróciła – mówię, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Ale teraz nie chce do mnie przyjść. Nie wiem, co takiego zrobiłem, czy chodzi o to miejsce, czy może coś jest nie tak z moimi lekami. Wyrzuciłem już niektóre, bo nie działały.

Merethe wyciąga w moją stronę otwarte dłonie i daje mi znak, że mam zrobić to samo. Zostawiam blister w kieszeni kurtki i spełniam jej polecenie.

– Muszę z nią porozmawiać – szepczę. – Nie wiem, jak długo dam jeszcze radę tak żyć.

– Thorkildzie – zaczyna Merethe. – Jako jasnowidzka odbieram informacje w formie emocji, obrazów, zapachów i symboli, które mogę próbować odczytać i wyjaśnić temu, dla kogo prowadzę seans. To, o czym teraz mówisz, rola medium, to coś zupełnie innego. Medium udostępnia część siebie światowi duchów. To bardzo bolesne przeżycie, nie robię tego, gdyż boję się konsekwencji.

– Błagam – szepczę, zaciskając palce na jej dłoniach. – Muszę wiedzieć. Nie mogę dłużej tak żyć.

Merethe zagląda mi w oczy, po czym cofa ręce.

– OK – mówi, klepiąc mnie delikatnie po udzie. – Zastanowię się nad tym, Thorkildzie. – Wstaje z sofy. – Daj mi trochę czasu.

Po jej wyjściu siedzę nieruchomo jeszcze przez kilka minut. W końcu podchodzę do zlewu, nalewam wody do szklanki i popijam dwa oxynormy. Wracam na sofę. Próbuję myśleć o Frei, ale mi się nie udaje.

Rozdział 25

Dochodzi piąta, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Wstaję z sofy, na której drzemałem po wyjściu Merethe.

– Siv. – Stojąca na progu kobieta wyciąga do mnie nienaturalnie opaloną rękę. – Jestem pielęgniarką oddziałową w domu opieki. – Ma na sobie fartuch w kolorze jasnego fioletu, na stopach drewniaki. Jej jasne włosy sięgają ramion.

– Miło mi – odpowiadam, ściskając jej dłoń.

Siv jest drobna i niska, ma kościste ręce i obgryzione paznokcie. Może mieć najwyżej czterdzieści kilka lat, ale skórę ma cienką i pomarszczoną jak u nałogowego palacza, uzależnionego dodatkowo od solarium.

– Pokażę ci stołówkę.

– OK. – Biorę kurtkę, wkładam buty i zamykam za sobą drzwi.

– Dom Opieki Skjellviktunet ma trzy oddziały – zaczyna Siv, gdy przechodzimy w pośpiechu między dwoma budynkami. Mówi bez zaangażowania, mechanicznie, jakbym był jednym z krewnych jej pacjenta, staruszka z demencją czekającego na tylnym siedzeniu auta. A może jakbym sam był nowym pacjentem. Nie jestem pewien.

Główny budynek to podłużna drewniana konstrukcja składająca się z trzech oddzielonych od siebie skrzydeł – jedno z nich zwrócone jest w stronę drogi, dwa pozostałe mają okna wychodzące na tyły gmachu.

– Nasza oferta jest zróżnicowana, proponujemy pacjentom dzienną opiekę ambulatoryjną lub pobyt całodobowy – ciągnie Siv, gdy podchodzimy do głównego wyjścia. – Łącznie mamy tu trzydzieści dziewięć jednoosobowych pokoi, miejsca dla pensjonariuszy wymagających krótko- i długotrwałej rehabilitacji oraz takich, którzy trafiają do nas tylko na jakiś czas. Te dwa skrzydła na tyłach to oddziały opieki całodobowej, jeden dla pacjentów z demencją, a drugi to oddział chorób somatycznych. Leżą tam głównie pacjenci chorzy terminalnie.

Stołówka to podłużne pomieszczenie z dwunastoma stołami ustawionymi pod ścianami oraz czterema na środku sali. Siedząc przy nich, ma się widok

na tyły budynku, na okna dwóch opisanych właśnie przez Siv skrzydeł, wyjście awaryjne i metalowe schodki.

W środku, przy czterech stołach, siedzi jedenaścioro pensjonariuszy domu opieki. Dwie pary, każda przy swoim stole niedaleko wyjścia, a w rogu przy oknie czterech starszych mężczyzn z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu. Przy jednym ze stolików pod ścianą dostrzegam nagle Johannesesa w towarzystwie dwóch starszych pań.

– To jest Thorkild Aske – ogłasza Siv głośno, z wojskową precyzją zwracając się do obecnych. – Będzie przez kilka dni mieszkał w dawnej kwaterze Andora i Josefine.

– A Andor i Josefine gdzie będą spali? – rozlega się słaby głos od stolika Johannesesa. Właścicielka tego głosu jest drobna, siedzi skurczona w wózku inwalidzkim. Sztuczna szczeka tańczy w jej ustach za każdym razem, gdy próbuje coś powiedzieć.

– Przecież oni nie żyją – odpowiada druga kobieta. Ona z kolei jest pulchna i ma na sobie kwiecistą letnią sukienkę z krótkim rękawem. Jej srebrne faliste włosy sterczą z jednej strony, z drugiej zaś przylegają do czaszki, jakby starsza pani właśnie wstała z łóżka.

– To syn Agnes? – rozlega się cichy głos kobiety w wózku inwalidzkim.

– Nie, głupia kwoko – odpowiada jej towarzyszka. – Przecież syn Agnes ma mongolizm.

– Nie mongolizm, tylko autyzm – protestuje pierwsza kobieta i kiwa na mnie pobłaźliwie. – Biedaczek. Zgubiłeś się?

– Thorkild Aske – mówię tak głośno, jak tylko jestem w stanie, podchodzę do stolika, przy którym siedzą obie staruszki, i kłaniam się teatralnie.

– To Bernadotte – zaczyna Siv, przyłączając się do mnie. – A ta elegancka dama w wózku ma na imię Oline.

Witam się z kobietami i pozdrawiam Johannesesa skinieniem dłoni.

– Co tu robisz? – pytam, siadając obok niego. Siv odchodzi do innego stolika.

– Czasem odwiedzam tu moją siostrę na oddziale dla chorych na demencję, a przy okazji jem obiad – odpowiada Johannes. – Dziś po jedzeniu jest poza tym chwila dla uczczenia pamięci Andora i Josefine.

– Ależ ty wychudłeś. – Oline pochyla się w moim kierunku i kładzie mi na ramieniu zimną dłoń. – Agnes cię nie karmi? – Głodzi mnie po ręce,

przesuwając protezę w ustach i przyglądając mi się ze smutkiem. – Mój mały chłopiec... – Uśmiecha się i klepie mnie po dłoni, po czym zaczyna czegoś szukać w torebce, która leży na jej kolanach. – Masz – mówi, wciskając mi monetę. – Kupisz sobie potem lody.

– Dziękuję – zaczynam i już mam tłumaczyć, że nie potrzebuję dziesięciu koron i jestem na tyle dorosły, by móc kupować słodczye za własne pieniądze, ale Johannes wchodzi mi w słowo:

– Jedzenie nie jest tu takie jak kiedyś – mówi w chwili, gdy z kuchni wyłania się młody Azjata z wózkiem i zaczyna roznosić talerze.

– Ach tak? – pytam z udawaną ciekawością, zaciskając palce na monecie od Oline. Mój brzuch reaguje na zapach obiadu bolesnym skurczem.

– Kucharz... – Bernadotte pochyla się nad stołem do siedzącej po drugiej stronie Oline. – Tacy ludzie, sama wiesz. – Kręci głową, kiedy Azjata podchodzi do naszego stolika.

– To Babu. Jest z Birmy – objaśnia Oline, gdy na stół trafiają pierwsze talerze. – Nie, nie – protestuje z zapałem, kiedy Babu stawia przed nią posiłek, i wskazuje na mnie. – Daj to temu chłopcu. Ja tych rzeczy jeść nie będę.

– Przepraszam. – Powstrzymuję Babu w chwili, gdy podaje mi jedzenie i kładę dłoń na brzuchu. – Mam kłopoty z trawieniem.

– Oni nie mają pojęcia o rybach – ciągnie Bernadotte niezrażona. – Na tym polega cały problem. Widzicie, to zupełnie inna kultura.

– Mhm. – Kiwam głową zażenowany, a Babu dalej podaje nam jedzenie, zdając się nie zwracać uwagi na treść rozmowy.

Oline podnosi pokrywkę znad talerza, który wreszcie pozwala przed sobą postawić. Krzywi się, odkłada ją na miejsce i zwraca się do Babu z serdecznym uśmiechem:

– Kiedy do kuchni wróci Sofia? – pyta drżącym głosem.

– Macierzyński kończy jej się w styczniu – odpowiada mężczyzna łamanym północnym dialektem.

– Powiedz jej, że tęsknimy.

– Cicho, to on – przerywa jej Bernadotte i spogląda w stronę kuchennych drzwi, w których staje niski, krępy mężczyzna o sztywnych czarnych włosach. – To ten lapoński diabeł z Lakselv.

– Czego się dowiedzieliście z Harveyem? – Johannes przysuwa się do mnie, gdy Babu znika wreszcie w kuchni. – Jakież wieści o Bjørkangu albo

o chłopaku?

Kręcę głową.

– Musieli zabrać łódź wieczorem, potem nikt już nie miał o nich żadnej wiadomości. Mają wysłać na ich poszukiwanie ekipę ratunkową z Tromsø. Możliwe, że także helikopter.

Johannes mierzy mnie wzrokiem, pakując sobie do ust cały kartofel. Gryzie go pospiesznie i popija łykiem wody.

– Niedobrze – oświadcza, nabijając na widelec kolejnego ziemniaka. – Bardzo niedobrze.

Babu wraca po chwili z paczką suszonych śliwek, które podaje mi z uśmiechem.

– Na kłopoty z brzuchem. – Kłania mi się krótko i znika za kuchennymi drzwiami, zanim mam okazję podziękować.

– To pomoże – oświadcza Oline, zajadając deser z niewzruszoną miną. – Po śliwkach zawsze idzie gładko.

– Cóż, pójdę do mieszkania i spróbuję – oświadczam, wstając od stołu.

Rozdział 26

Suszone śliwki nie pomogły. Siedzę na sofie i wsłuchuję się w szum wiatru, gdy nagle dzwoni moja komórka. To komenda policji z Tromsø, proszą, bym stawił się u nich jutro o jedenastej. Pytam, czy mają jakąś wiadomość od lensmanna albo czy udało im się skontaktować z łodzią, ale mężczyzna podkreśla tylko jeszcze raz, że mam się stawić o jedenastej i że to bardzo ważne, bym przyjechał na czas.

Następnie odkłada słuchawkę.

Postanawiam wziąć kąpiel w nadziei, że ciepła woda pomoże. Napuszczam wody do wanny i się rozbieram. Siedzę przez chwilę na opuszczonej klapie sedesu, patrząc na tryskającą z kranu strugę i parę wodną w powietrzu. Przez chwilę czuję zapach jak pod prysznicami w więzieniu w Stavanger, zaczynam rozpamiętywać tamte minuty – myślę o ciszy, o bólu. A potem o Frei i o przeszkodach, które musi pokonać, by znów do mnie wrócić.

Woda leje się już dość długo. Wstaję szybko z sedesu i zaglądam do środka z wyczekiwaniem, jednocześnie z salonu dochodzi dzwonek telefonu. Odwracam się i wychodzę z rozgrzanej łazienki, by odebrać.

– To ja – dyszy Liz do słuchawki. – Jestem tutaj.

Odciągnąwszy zasłonę, patrzę na przednie światła samochodu stojącego na parkingu z włączonym silnikiem.

– Co tu robisz?

– Zobaczyłam twoje auto z wypożyczalni. – Moja siostra zanosি się kaszlem. – Arvid pojechał z kolegami do domku w górach. Pomyślałam, że cię odwiedzę.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Jeździłam sobie tu niedaleko i...

– Mogłaś po prostu zadzwonić.

– Tak, ale chciałam, żeby to była niespodzianka. Upiekłam babeczki. Nie wiem, jak mi wyszły, ale pomyślałam, że moglibyśmy...

– Drzwi na samym końcu – przerywam jej. – Jestem w wannie.

Otwieram zamek drzwi wejściowych, wracam do łazienki i zakręcam kran. Wanna wypełniła się w trzech czwartych. Wchodzę ostrożnie do środka, układam się wygodnie, nad powierzchnią wody mam tylko głowę i kolana.

– Halo? – Z korytarza dobiega szelest plastikowych toreb, trzaskają drzwi wejściowe. – Thorkildzie, jesteś tu? – szczebiocze Liz. Słyszę, jak zdejmuje kurtkę i buty jednym energetycznym, nieskoordynowanym ruchem.

Emocjonalne wahadło mojej siostry oscyluje między dwoma skrajnymi punktami: w jednym z nich mamy chaotyczną orgię węglowodanów i poczucia winy, w drugim ślepą wiarę w jakąś kosmiczną dobroć i sprawiedliwość, którą w rzeczywistości można znaleźć jedynie w bajkach albo filmach Disneya. Liz posiada także unikalną umiejętność podnoszenia się po porażkach, za każdym razem jest o kilka kilo cięższa, ale zawsze wstaje, maskuje siniaki i skutki psychicznej przemocy, nie tracąc przy tym swojej wiary w dobro. Dalej snuje desperackie fantazje o otaczających ją wspaniałych ludziach – czy to mężu, czy przyjaciółce, czy też swoim własnym bracie.

– O, tu jesteś! – woła z progu łazienki i wciska się do środka. Włosy sterczą jej w jedną stronę, ma czerwone policzki. I dwie plastikowe torby na zakupy, które stawia na podłodze. – Bierzesz kąpiel.

– Zmywam z siebie stare grzechy – mówię, dotykając mokrymi palcami twarzy i przeczesując nimi włosy.

– Ach tak. – Moja siostra podwija rękaw koszuli i podchodzi bliżej. – W takim razie ci pomogę – mówi, sięgając po szampon, który stoi na skraju wanny. – Tak dawno tego nie robiłam. – Wyciska sobie odrobinę na dłoń i stawia butelkę na podłodze obok wanny. – Jak byłeś mały, zawsze musieliśmy ci zasłaniać oczy ręcznikiem – mówi, wmasowując mi szampon we włosy.

– To nie robi się tak zawsze?

– Nie – chichocze Liz. – Ja nigdy nie robiłam takich cyrków. A tobie nie mogła się nalać nawet odrobina wody do ucha, bo się bałeś, że zmoknie ci w środku głowa – śmieje się z palcami w moich włosach.

– Wysoki sądzie – mamroczę z półuśmiechem. – Ten świadek kłamie.

– Myślałeś, że nabawisz się od tego, ach, ach... – Moja siostra wybucha histerycznym śmiechem. – Wodogłowia! O Boże – wzdycha, wracając do mycia mi włosów. – Nie mam pojęcia, skąd brałeś takie pomysły.

– To wszystko kłamstwa.

– Nie mów tak, Thorkildzie. – Liz wymierza mi lekkiego prztyczka w ucho i znów sięga po szampon. – Wiesz, że tak było.

– No dobrze, a teraz wyjdź – mówię, wskazując na drzwi. – Daj staremu chłopu dokończyć kąpiel.

Liz wycofuje się z chichotem z łazienki, zabierając swoje torby, ja zaś zaciskam powieki i zanurzam się cały w wannie. Leżąc na dnie, otwieram oczy. Woda jest mętna od szamponu i szczypie. Leżę tak, aż nie jestem dłużej w stanie wstrzymać oddechu. Wynurzam się, wychodzę z wanny i wkładam ubranie.

Liz czeka na mnie w salonie. Postawiła na stole papierowe talerzyki, kubeczki, kartonowe pudła wypełnione babeczkami i kawałkami brownie, są też serwetki oraz dzbanek świeżo zaparzonej kawy.

– Chodź, siadaj – mówi siostra na mój widok. – Mam nadzieję, że ci posmakują, robiłam je od zera, nie wiem, czy brownie nie wyszło mi za twarde, ale...

– Nie jestem głodny – przerywam jej.

– Ach. – Liz posyła mi pełne smutku spojrzenie.

Siadam obok niej na sofie i nalewam sobie kawy.

– Znalazłem wczoraj w morzu martwą kobietę – mówię, siadając wygodniej z kubeczkiem w dłoni. – Nie miała nawet twarzy.

– Co? – Liz opuszcza na talerzyk nadgryzioną babeczkę z różowym kremem maślanym i cukrową posypką, która zaraz przewraca się na bok.

– Zadzwoń do lensmanna. Miał po mnie przypłynąć ze swoim podwładnym, ale się nie pojawili.

Liz patrzy na mnie bez słowa.

– Są uznani za zaginionych. Mam jutro w Tromsø spotkanie z policją w tej sprawie.

– Z policją? – Moja siostra waha się przez chwilę, po czym dodaje: – Czy oni... wiedzą, kim ty jesteś i co się stało w Stavanger?

Wzruszam ramionami i upijam łyk kawy.

– Z pewnością. Tak czy inaczej, sprawy przybrały dziwny obrót. Nie mam wyboru.

Liz podnosi nadgryzione ciastko i wpycha je sobie do ust w całości.

– Ostatnim razem pozbawili cię stanowiska – mówi, przeżuując. – I posłali do więzienia. – Gryzie i połyka, połyka i gryzie, próbując dokończyć

myśl. – I to ciebie, a przecież... przecież...

– Nie mogli postąpić inaczej – przerywam jej. – To, co się stało w Stavanger, stało się z mojej winy.

– Jak możesz tak mówić? – Liz nakłada sobie na talerzyk dwa kawałki brownie, trzeci bierze do ręki. – Ta dziewczyna i jej chłopak zabrali ci wszystko. Wszystko.

– Daj spokój – mówię. – Nie wiesz, co się stało. Co zrobiłem.

– Bo nie chcesz mi o tym opowiedzieć, Thorkildzie. – Liz zniża głos. – Nie mówisz mi nawet o tym, co się stało wtedy w więzieniu. Co sobie zrobiłeś.

– Bo nie ma o czym gadać.

– Ale możemy o tym pomówić, jeśli tylko chcesz. Arvid wraca dopiero jutro. Mogę z tobą zostać. Posiedźmy tu, porozmawiajmy.

– O czym? – pytam, demonstrując odpychający, asymetryczny uśmiech. – Zaczniemy ode mnie i moich uszkodzeń mózgu czy może od twoich siniaków?

Stoję w oknie, patrząc, jak zapłakana Liz biegnie przez parking ze swoimi torbami. Znów posunąłem się za daleko, dołączyłem do tych wszystkich, którzy ciągną ją w dół, zamiast być dobrym, wspierającym bratem, o którym marzy.

Na dworze jest ciemno, nagie gałęzie zwisają nad dachami aut niczym rurki ssące przerośniętych owadów. W oddali widzę światło mrugające słabo na tle czarnego jak węgiel nieba, gdzieś nad zatoką, nad przekłętą latarnią. Na chwilę oświetlona zostaje cała wysepka, znad chmur rozlega się ciężkie dudnienie.

Miarowe odgłosy idą w parze ze światłem, tańczącym teraz na skałach i powierzchni morza. Jeden z kolegów powiedział mi kiedyś, że ten charakterystyczny hałas wydają łopaty śmigłowca wirujące niemal z prędkością dźwięku.

Wiatr i ciemność sprawiają, że światło szperacza kołysze się lekko na boki, w miarę jak śmigłowiec Sea King odlatuje powoli na północ w poszukiwaniu łodzi z zaginionym lensmannem i jego podwładnym.

– Podjąłem decyzję – szepczę, spoglądając za metalowym ptakiem i słuchając miarowych uderzeń jego skrzydeł. – Jeśli ty nie chcesz przyjść do mnie, to ja pójdę do ciebie. – Światło znika mi z oczu, dudnienie zamiera. –

Muszę się tylko przygotować.

Rozdział 27

Przedostatni dzień z Frei, Stavanger, 25 października 2011

Frei zadzwoniła do mnie już następnego dnia po kursie tańca w Sølvsberget. Siedziałem na spotkaniu z zastępcą komendanta policji i jednym z inspektorów, przeglądając listę dokumentów zgromadzonych w sprawie podejrzanego funkcjonariusza.

– Co robisz?

– Jestem na spotkaniu.

– Kiedy kończysz?

– Cóż... – Zerknąłem na zegarek, odwracając się od stołu. – A o co chodzi?

– Dziś też się spotkamy?

Widziałem, że inspektor śledzi mnie czujnym spojrzeniem, udając, że przegląda listę dyżurów. Zastępca komendanta grzebał bez większego zainteresowania w swoim telefonie, jak zresztą przez całe spotkanie.

– Eee... – wyjąkałem. – Tak, jasne.

– Świetnie. Przyjedziesz po mnie, jak skończysz?

– Dokąd?

– Do wuja Arnego.

– W porządku.

Rozłączyłem się i posłałem wymuszony uśmiech inspektorowi, który skinął mi pospiesznie głową, zebrał swoje papiery, po czym potruchtał za zastępcą komendanta, który zdążył już opuścić salę konferencyjną bez słowa pożegnania.

Frei siedziała na schodach willi w dzielnicy Storhaug zwanej Paradis, przeglądając ulotkę tajskiej restauracji. Na mój widok wsunęła ją z powrotem do skrzynki na listy, dołączyła do mnie i ruszyliśmy razem w stronę centrum.

– Co dziś robiłeś? – spytała, gdy z Frue Terrasse skręciliśmy w Hjelmelandsgata.

– Miałem spotkanie, trochę papierkowej roboty i planowałem wywiad, który mam jutro – odrzekłem. Szliśmy obok siebie, miałem ją na odległość

wyciągniętej ręki. Było bezchmurnie, ciepło i niemal bezwietrznie. W kępie drzew rosnących na rogu z Admiral Cruys gate ćwierkały ptaki latające między nagimi gałęziami.

– Wywiad? – Frei miała na sobie luźny biały top z podwiniętymi rękawami i wąskie szare dżinsy z niskim stanem, torbę na ramieniu oraz białe adidas. Sam nie zdążyłem się przebrać po pracy, wciąż byłem ubrany w koszulę bez krawata i ciemne spodnie od garnituru. Wkładałem ten strój nawet w najchłodniejsze zimowe dni, bo od kiedy skończyłem dwadzieścia pięć lat, czułem się za stary na dżinsy. Zwykle kupowałem też ubrania w hurtowych ilościach, po kilka koszul i par spodni naraz, w tym samym fasonie, ale nieznacznie różnych kolorach. Byłem jak facet z reklamy Dressmanna, tyle że bez uśmiechu i z mniej wyrazistą twarzą.

– Już nie mówicie na to „przesłuchanie”?

– Owszem. Wywiad to taka kalka z angielskiego. Niektórzy lubią nazywać te seanse, zwłaszcza jeśli zaprasza się na nie policjantów, rozmowami albo właśnie wywiadami. Dzięki temu tworzy się zdrowy dystans między tym, co przesłuchiwanym robią na co dzień w pracy, a tym, co czeka ich w konfrontacji z nami w Jednostce Specjalnej – wyjaśniłem z uśmiechem.

– I to pomaga?

– Żebyś wiedziała.

Frei zmierzyła mnie wzrokiem. Spojrzenie miała szczere, zaciekawione, ale było w nim coś jeszcze, jakieś napięcie.

– To z kim jutro będziesz miał tę „rozmowę”?

– Z jednym funkcjonariuszem z tutejszej komendy.

– W jakiej sprawie?

– Poważnego zaniedbania obowiązków służbowych.

– To znaczy?

– Przecież studiujesz prawo.

Frei przystanęła.

– Wiesz już, o co go będziesz pytał?

– Oczywiście. To bardzo ważne, żeby planować takie seanse z wyprzedzeniem, mieć w głowie scenariusz, ułożyć pytania o znaczeniu taktycznym i uszeregować je we właściwej kolejności.

– Skąd możesz z wyprzedzeniem wiedzieć, o co będziesz pytał?

– W przesłuchaniach tego typu zdarza się, że podejrzany zdążył już

złożyć wyjaśnienia. Ma się poza tym dowody, protokoły przesłuchań świadków i oskarżenia wniesione przez funkcjonariusza, który zgłosił do nas sprawę. To wszystko stanowi punkt wyjścia dla przesłuchania. Mam już całkiem niezłe pojęcie o sprawie i ludziach w nią zaangażowanych. Najważniejsze jest właściwie znalezienie takiego momentu na przeprowadzenie rozmowy, który będzie odpowiedni z punktu widzenia taktyki.

– Co masz na myśli?

– Cóż, w każdym śledztwie przesłuchuje się zazwyczaj na początku osobę zgłaszającą do nas nieprawidłowość, świadków, poza tym daje się możliwość złożenia wyjaśnień podejrzanemu, prawda?

Frei skinęła głową, a ja ciągnąłem:

– Najpierw zbieramy niezbędne informacje o tym, co się wydarzyło, i tworzymy z tego wiarygodną linię chronologiczną, coś w rodzaju scenariusza. Dopiero wtedy przesłuchanie podejrzanego jest taktycznie właściwe, w momencie gdy wiemy już na tyle dużo, by informacje, które on podaje w rozmowie, można było na bieżąco kontrolować i ewentualnie odrzucać jako niezgodne z prawdą.

– Kto doniósł na tego człowieka?

– A czy ja powiedziałem, że ktoś na niego doniósł? – Uśmiechnąłem się nieznacznie i potrząsnąłem głową.

– Czyli rozmawialiście już z tym kto – Frei zawahała się i posłała mi krzywy uśmiech: – ewentualnie doniósł na tego funkcjonariusza?

– Oczywiście. To bardzo ważne, by jak najszybciej ustalić, czy chodzi o zwykłą skargę, czyli sprawę do rozpatrzenia przez komisję dyscyplinarną, czy może zachodzi podejrzenie popełnienia czynu karalnego. Większość przypadków, które do nas trafiają, została skierowana do Jednostki Specjalnej zupełnie błędnie, chodzi z reguły o zwyczajne skargi albo kwestie dyscyplinarne, sprawy, w których nikt nie złamał prawa. Odsiewamy je zazwyczaj dość szybko, bez konieczności przeprowadzenia wywiadu.

– Ale to nie jest taki przypadek, prawda?

– Nie. Człowiek, którego będę przesłuchiwał jutro, jest zamieszany w inną sprawę. Prowadziliśmy ją wcześniej, ale została umorzona. Możliwe więc, że zmienimy zarzuty. Zobaczymy.

Szliśmy dalej wąską uliczką w kierunku centrum. W koronach drzew po obu stronach szosy ćwierkały ptaki.

– Zmienicie na co?

– Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć – odpowiedziałem, uśmiechając się pod nosem. Spacer przez półwysep, między drewnianymi i kamiennymi domami, przy dźwiękach ćwierkania ptaków i szelestu jesiennych liści zdecydowanie dobrze mi robił. Czułem się jak ktoś inny, nie jak Thorkild Aske ze wszystkimi jego brakami, punktami odniesienia i zaczepienia, wszystkimi miejscami, w których musiał być, ludźmi, z którymi musiał się spotykać i charakteryzować ich według wyznaczonych kryteriów, byłem bezimiennym człowiekiem skupionym na stukaniu obcasów o asfalt, zapachach jesieni i kroczącej obok kobiecie.

– Czy ten człowiek ma kłopoty?

Frei przystanęła nagle i zmierzyła mnie wzrokiem, tym razem dłużej niż ostatnio.

– O co pytasz? – Staliśmy w cieniu rozłożystego drzewa o pniu w kolorze morskich alg.

– O nic. – Frei zamruwała, po czym chwyciła mnie za ramię i pociągnęła za sobą.

Stałem jak wryty.

– Co się stało? Znasz tego funkcjonariusza?

Frei nie chciała na mnie spojrzeć.

– Nie, to nic takiego – rzuciła pospiesznie. Starannie omijała wzrokiem moją twarz. Zbliżyła się do mnie, trzymając dłonie między nami i pochylając głowę tak, że lokami musnęła moją brodę. – Uspokój się. Jestem ciekawa, to wszystko.

Przysunąłem się do niej powoli. Zdałem sobie sprawę, że oddycham nosem, bezgłośnie i mechanicznie, że staram się trwać w bezruchu, jakby każde najmniejsze drgnięcie mięśnia mogło spowodować, że miraż, który miałem przed oczami, rozwieje się bezpowrotnie.

Frei uniosła nagle wzrok, a ja bez chwili zastanowienia nachyliłem się nad nią. Moje usta musnęły przelotnie jej górną wargę i koniuszek nosa, zanim odskoczyła w tył. Cofnęła się o kilka kroków, w kierunku kamiennego ogrodzenia przy drodze.

– Co robisz? – Oczy miała szeroko otwarte, ramiona skrzyżowała na piersi, jakby chciała się w ten sposób przede mną obronić.

– Ja... przepraszam. – Sam cofnąłem się o krok, powiększając jeszcze przestrzeń, która nagle między nami wyrosła. – Boże, wydawało mi się, że...

– Nie – westchnęła Frei, kręcąc głową ze zrezygnowaną miną. – My dwoje nie jesteśmy... Nigdy nie możemy być...

Nie dokończyła zdania, odwróciła się na pięcie i zaczęła biec przed siebie, nie oglądając się na mnie.

Stałem jak wryty, spoglądając za nią do chwili, gdy zniknęła mi z oczu.

– Kłamiesz – szepnąłem przez zaciśnięte zęby. – Cały czas kłamiesz.

Odwróciłem się w końcu i ruszyłem z powrotem tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, skręcając wreszcie w Storhaugveien i kierując się w stronę dworca autobusowego. Twarz mnie paliła, płonął we mnie ogień wściekłości i wstydu. Chciałem jak najszybciej wrócić do hotelu.

Wiedziałem, że posunąłem się za daleko. Nie tak miałem to rozegrać. Zaczynałem tracić kontrolę nad sytuacją.

Poniedziałek

Rozdział 28

Do Tromsø docieram dopiero krótko przed pierwszą. Prom z Olderdalen do Lyngseidet został odwołany i muszę jechać naokoło. Po długiej drodze przez śnieżną chlapę zalegającą na dziurawych drogach boli mnie całe ciało.

Stan wody jest wysoki, morze sięga krawędzi przystani, a kiedy skręcam w Grønnegata, kierując się na centrum, stwierdzam, że ulica została zalana. Po obu jej stronach stoją ludzie z Zarządu Dróg, koparki ładują topniejący śnieg do czekających wywrotek.

Pada śnieg z deszczem. Wsiadam z auta, wchodzę do budynku komendy i melduję się przy kontuarze. Krępa, na oko dwudziestopięcioletnia kobieta prosi, żebym poczekał, ja zaś znajduję sobie miejsce na niewygodnej ławce między dwiema doniczkami z plastikowymi roślinami i kulkami keramzytu.

Po pięciu czy sześciu minutach uchylają się drzwi i jakiś mężczyzna pyta, czy nazywam się Thorkild Aske. Kiwam głową i wstaję, widząc, że przywołuje mnie gestem. Mężczyzna znika za drzwiami, nie czekając na mnie. Znajduję go na końcu wąskiego korytarza ze zdjęciami wcześniejszych komendantów na ścianach. Stoi przed wejściem do biura.

– Tutaj – mówi mężczyzna. W dłoni trzyma kubek z kawą, pod pachą ma teczkę z dokumentami. Przytrzymuje mi drzwi. – Czekaliśmy na pana.

Pomieszczenie jest prawie puste, na ścianach ma lamperie, na podłodze zaś linoleum. W środku stoi prostokątny stół z dwoma krzesłami po jednej i niewygodnym stołkiem po drugiej stronie. Oprócz tego nie ma tu żadnych mebli. Mógłbym ich poinstruować, że w dzisiejszych czasach powinno się traktować przesłuchiwanego jak równego sobie. Krzesła są z reguły identyczne, niewielki stół ustawiony przed rozmówcami, nie pomiędzy nimi. To przynajmniej, zdaniem współczesnej psychologii, stymuluje do bardziej otwartej komunikacji.

– Zapraszam. – Towarzyszący mi policjant jest wysoki, wysportowany, ma błękitne oczy i wąskie wargi. – Proszę usiąść. – Pokazuje mi twardy, niewygodny stołek.

– Dziękuję serdecznie – przystaję. – A proszę powiedzieć, nie mógłbym

wziąć sobie jednego z tamtych krzesel? Bo ten mebel wydaje mi się bardzo niewygodny.

– Właściwie to... – zaczyna policjant.

– Świetnie! Dziękuję! – Chwytam krzesło, zamieniam je miejscami ze stołkiem, po czym na nie opadam. – O czym będziemy dziś rozmawiać?

– Chwileczkę – mamrocze mężczyzna i wygląda na korytarz. Zdaje się, że nikt nie przybędzie mu na ratunek. Zamyka w końcu drzwi, podchodzi do stołu i siada na drugim wygodnym krześle.

– No dobrze – mówi, otwierając teczkę. – Możemy wypełnić te papiery – proponuje. – I tak musimy poczekać.

– Super. – Ogarnia mnie natychmiast przeraźliwa niechęć do całej tej sytuacji, w której nie mam pełnej kontroli nad rozmową. Podobnie wyglądały przesłuchania po tym, co się stało z Frei. Ulf powiedziałaby pewnie, że u podstaw mojej infantylniej potrzeby sabotowania każdej takiej sytuacji leży błędnie przeze mnie rozumiana duma zawodowa. Ale ja po prostu nie mogę inaczej.

– Zaczniemy od danych osobowych – mówi funkcjonariusz.

– Nie macie tu komputerów?

– Mamy, rzecz jasna.

– No dobra: Thorkild Aske, urodzony szóstego stycznia 1971.

– Gdzie?

– W Skuflavik na Islandii.

– Obywatel norweski?

– Tak. Mam na to nawet gdzieś zaświadczenie, jakbyście chcieli zobaczyć.

Funkcjonariusz macha ręką, nie unosząc wzroku znad papierów.

– Stanu wolnego?

– Rozwodnik.

– Zawód?

– Poszukujący pracy. Macie może jakieś wolne stanowiska?

– Z tego co rozumiem, pracował pan wcześniej w Jednostce Specjalnej do spraw Policji w Bergen?

– Zgadza się. Ale już tam nie pracuję.

– Wiemy o tym.

– Oczywiście.

Mężczyzna waha się przez chwilę, po czym ciągnie, nie patrząc na mnie:

– Został pan skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci i niedawno odbył pan do końca karę więzienia. Proszę powiedzieć...

– Może ustalmy po prostu, że wiem, że wy wiecie, i przejdźmy do meritum sprawy?

Policjant wreszcie podnosi wzrok.

– Proszę powiedzieć, co panu wiadomo o zdarzeniach, które miały miejsca na... – przerzuca kilka kartek w teczce – Blekholmen. – Notuje coś na kartce i dodaje: – W nocy z soboty dwudziestego czwartego października na niedzielę dwudziestego piątego.

– Nie znaleźliście ich jeszcze?

– Nie – rzuca krótko, nie patrząc na mnie. – Proszę powiedzieć, w jakich godzinach pan tam przebywał?

– Od szóstej zero zero w sobotę rano do piątej zero zero w niedzielę. A łódź? Zlokalizowaliście ją?

Do pomieszczenia wchodzi mężczyzna. Jest starszy zarówno od swojego kolegi, jak i ode mnie, ma srebrzyste nitki we włosach, szczupłą sylwetkę i długi, ostry, orli nos, nadający jego twarzy szlachetny rys. Przystaje na chwilę nad twardym stołkiem i siada na nim w końcu, gdy dociera do niego, że żaden z nas nie zamierza mu ustąpić.

– Komisarz Martin Sverdrup – przedstawia się, podając mi rękę. Pochodzi z północy, ale używa tego dziwnego hybrydowego dialektu, który czasami słyszy się u pochodzących ze wsi polityków, gdy występują w telewizji albo trafiają do wyższych stołecznych kręgów.

Jego uścisk ręki jest mocny, budzi zaufanie.

– Thorkild Aske – odpowiadam i odchylam się na krześle.

Martin Sverdrup zaciera ręce i wzrusza kilka razy ramionami, jakbyśmy byli trójką dobrych przyjaciół rozmawiających przed kominkiem o pogodzie i wyprawie na ryby. Nadszedł czas budowania relacji poprzez trywialne pogaduszki. To metoda mająca w założeniu ułatwiać przejście do trudniejszych pytań. Innymi słowy: system KREATIV znany jest także policji w północnej Norwegii.

– Kawy? – zaczyna Martin Sverdrup jowialnie, wskazując skinieniem głowy drzwi.

– Co takiego? – Postanawiam nie dać się złapać na ten haczyk.

– Kawa, herbata... napije się pan?

– Nie, dziękuję.

– Napój gazowany? Albo woda?

– W porządku, woda może być.

– Nie mamy takiej drogiej, butelkowanej, ze sklepu, ale z kranu też jest bardzo dobra. – Martin Sverdrup zerka na kolegę, który zamarł nad papierami z długopisem w dłoni i tępy wyrazem twarzy, po czym znów zwraca się do mnie: – Zakładam, że to panu nie przeszkadza?

– Zapomnijmy o wodzie – mówię. – Zamiast tego poproszę filiżankę rumianku. – Patrzę na funkcjonariusza, który wciąż gapi się przed siebie. – Albo wody z syropem. Macie może pomarańczowy?

– Ech, nie wiem... – Martin Sverdrup posyła koledze pytające spojrzenie. – Steinar? Mamy?

– Co takiego? – Mężczyzna odkłada długopis i patrzy na szefa, jakby właśnie został wybudzony z głębokiego snu.

– Syrop. Nie wiesz, czy może...

– Dajmy sobie spokój – przerywam mu. – Poproszę kawę. Czarną.

– Świetnie. Doskonale. – Martin Sverdrup znów spogląda na swojego towarzysza. – Przyniesiesz nam?

Steinar podaje szefowi teczkę, arkusz papieru, który zaczął wypełniać, oraz długopis, po czym wstaje i znika za drzwiami.

– Dobrze, panie Aske. – Martin Sverdrup omiata wzrokiem wypełnione pola formularza. – Porozmawiajmy o panu. Wie pan, czemu się tu spotykamy?

– Zakładam, że tak.

– Świetnie.

– Owszem. Genialnie.

– Cudownie. Proszę pozwolić, że przejdziemy do sedna.

– Proszę bardzo.

– Proszę mi najpierw powiedzieć, dlaczego pan tu jest i co pan robił na wyspie?

– Rodzice chłopaka, który w poprzedni weekend gdzieś tam zniknął, zapłacili mi, żebym tu przyjechał i go poszukał. Jego matka tego lata kupiła dla niego wyspę i latarnię, chłopak robił tam remont, chciał otworzyć hotel. Po przyjeździe skontaktowałem się z lensmannem i spotkałem się z nim oraz jego zastępcą u nich w biurze. Zawieźli mnie potem do Skjellvik, stamtąd następnego ranka popłynąłem łodzią na wyspę.

– A kiedy potem rozmawiał pan z Bjørkangiem albo jego zastępcą

Arntem Eriksenem?

– Tego samego wieczora, kiedy znalazłem w morzu kobietę.

– Kobietę, ach tak. Zechce pan coś więcej o niej powiedzieć?

– Młoda, najwyżej dwadzieścia kilka lat, jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ciemne półdługie włosy. Ubrana w koszulę nocną i T-shirt.

– Rysy twarzy?

– Brak.

– Brak?

– Brakowało jej twarzy i jednego przedramienia. Zdaje się, że leżała w wodzie przez dłuższy czas. Zwłoki były we wczesnym stadium hydrolizy, miały już ten mydlany wygląd, który...

– A potem zniknęły?

– Owszem.

– Tak nagle.

– Ktoś się wynurzył z wody i zabrał je ze sobą.

– Jak wyglądał ten ktoś?

– Miał na sobie skafander nurka.

– Widział pan albo słyszał łódź?

– Nie.

– Ten człowiek wyszedł prosto z wody?

– Prosto. Jak rakietą. – Unoszę dłoń nad stołem, jakbym demonstrował lot samolotem. – Ziuum, ziuum.

Komisarz wykrzywia niechętnie usta, starając się ignorować moje gesty i wydawane przeze mnie dziwne dźwięki.

– Ma pan jakieś przypuszczenia co do tego, kto to mógł być albo co się stało ze zwłokami?

– Nie lubię gdybać.

Martin Sverdrup przechodzi do nowej strony formularza.

– I co pan zrobił?

– Zadzwoiłem do Bjørkanga, jak tylko wyciągnąłem zwłoki na ląd, i kazałem mu przypłynąć jak najszybciej.

– Która była godzina?

Wyciągam komórkę i odszukuję rozmowę w rejestrze połączeń.

– Szósta po południu, kilka minut później rozmawiałem też z jego zastępcą.

- Kiedy kontaktował się pan z nimi następnym razem?
 - Już wcale.
 - Na pewno?
 - Na sto procent.
 - Przyjmuje pan aktualnie jakieś leki?
 - Całe stopy.
 - OK. – Sverdrup drapie się po dłoni. – Przepraszam za to pytanie, może zrobimy sobie chwilę przerwy. Co pan na to?
 - W porządku – mówię i trochę się rozluźniam. – Znaleźliście ich?
- Martin Sverdrup kręci powoli głową.
- Nic, żadnego śladu?
- Ten sam ruch głową, tylko jeszcze wolniejszy.
- Prowadzimy poszukiwania wokół miejsca, w którym naszym zdaniem doszło do awarii łodzi. Szukamy wraku echosondą, prawdopodobieństwo, że go znajdziemy, jest naszym zdaniem duże. Prędzej czy później.
 - Lepiej prędzej niż później – wchodzę mu w słowo.
 - Przychodzi panu do głowy, czemu mieliby zabierać ze sobą sprzęt do nurkowania?
 - Co proszę?
 - Sprzęt do nurkowania. Z hangaru w porcie zniknął sprzęt, którego wydanie nie jest nigdzie udokumentowane. Zakładamy, że zabrali go ze sobą do łodzi.
- Czemu Arnt albo Bjørkang mieliby wkładać skafandry do nurkowania i płynąć na wyspę tylko po to, by zabrać ze sobą zwłoki, a mnie zostawić tam jak ostatniego idiotę? I jeśli to faktycznie był jeden z nich, to gdzie jest teraz? Uświadamiam sobie, że jeśli policja faktycznie pracuje teraz z takim scenariuszem, zakładając, że mężczyźni byli na wyspie równocześnie ze mną, a potem zniknęli, to o ile szybko się nie znajdą, konsekwencje mogą być dla mnie niewesołe. Bardzo niewesołe.
- Kto nurkuje w czasie sztormu? – pytam w końcu.
 - Cóż, według tego, co przed chwilą pan powiedział, widział pan takiego człowieka na własne oczy. Więc pewnie ten, kto ukradł kobiecie zwłoki, które pan ponoć znalazł.
 - Może mi się tylko przyśniło – odpowiadam kwaśno.
 - A jest taka możliwość? – pyta Sverdrup z wahaniem.
 - Nie.

– Na pewno?

– Co ja tu właściwie robię, Martinie? – Rozkładam ręce w geście poirytowania. – Może mi powiesz, jaki jest mój status w tej sprawie?

– Świadka, rzecz jasna – odpowiada komisarz pośpiesznie.

– Na razie – rozlega się nagle głos od drzwi, w których staje mężczyzna ze wzrokiem wbitym prosto we mnie. Podchodzi do nas szybko, chwytając oparcie wolnego krzesła, odsuwa je od stołu i siada na nim okrakiem tuż naprzeciwko mnie. Mój były szef w Jednostce Specjalnej kiwa głową, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Powiedz, Martinie – mówi Gunnar Ore, splatając dłonie na oparciu krzesła i nachylając się nade mną – jak się właściwie powinno przesłuchiwać oficera śledczego? Wiesz?

Rozdział 29

– Jak się miewasz, Gunnarze? – pytam.

– Doskonale – odpowiada Gunnar Ore. Jego potężne owłosione przedramiona stały się od naszego ostatniego spotkania jeszcze bardziej muskularne i opalone. Był wtedy jeszcze moim szefem w Jednostce Specjalnej. – A ty?

– Jak pączek bez masła.

– Świetnie.

– Nieprawdaż?

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem bez słowa.

– Co tu robisz? – pytam w końcu. – Wciąż pracujesz w Jednostce Specjalnej?

– Nie, wróciłem do Delty.

– Do antyterrorystów?

– Zgadza się. – Gunnar Ore kiwa głową, ani na sekundę nie odrywając ode mnie wzroku.

– Chyba jako zaopatrzeniowiec?

Wąskie wargi zaciskają się w cienką kreskę na jego opalonej twarzy. Gunnar ma pięćdziesiąt trzy lata, mimo to każdy miesiąc jego ciała jest idealnie wytrenowany, nawet muskulatura twarzy napina się i rozluźnia elegancko pod skórą, gdy zaciska zęby. Kiedy przyszedł do nas jako nowy szef zachodniego oddziału Jednostki Specjalnej, krążyły już o nim plotki, że dwadzieścia lat wcześniej brał udział w akcji w Torp i jest, tu cytat: „wytrawnym strzelcem”. Gunnar Ore oczekiwał szacunku wszędzie, gdzie się pojawiał, a ludzie mu go okazywali, niezależnie od tego, czy mieli z nim wcześniej do czynienia czy nie. To było coś, co po prostu miał we krwi, z czym najprawdopodobniej przyszedł na świat.

– Nie, wciąż jestem w aktywnej służbie – odpowiada mi w końcu, uśmiechając się po raz pierwszy. – Konkretnie misje, jak w starych, dobrych czasach. Lubię czuć adrenalinę, mimo że treningi sprawnościowe są dla mnie dużo trudniejsze niż kiedyś. Czas nie działa na korzyść żadnego z nas.

– Co tu robisz, Gunnarze?

Ore uśmiecha się nieznacznie, po czym znów zaciska wargi.

– Chętnie ci opowiem, Thorkildzie. Kilka dni temu otrzymałem telefon od niejakiego lensmanna Bjørkanga. Pytał, co mu mogę powiedzieć o moim byłym podwładnym z Jednostki Specjalnej nazwiskiem Thorkild Aske, który pojawił się nagle na gościnnej północy w poszukiwaniu jakiegoś Duńczyka, który im się utopił przy morskiej latarni. Wyjaśniłem temu człowiekowi, że Thorkild Aske to nazwisko, którego miałem nadzieję nigdy więcej nie usłyszeć. Że ta żałosna kreatura zawiodła zaufanie wszystkich współpracowników, zniszczyła im, a szczególnie mnie osobiście, reputację, działając z pogwałceniem wszystkiego, w co wierzyliśmy. I że jego zaangażowanie w taką sprawę jest ostatnim, czego się mogłem spodziewać.

Patrzę, jak zaciskają się mięśnie jego szczęki, gdy syczy do mnie przez zęby. Gunnar Ore pochyla się nade mną:

– Masz pojęcie, jaki to był wstyd siedzieć tam i być zmuszonym bronić człowieka z mojej własnej jednostki, który się czegoś takiego dopuścił? Prowadzenie pojazdu pod wpływem narkotyków, nieumyślne spowodowanie śmierci!? Jak sądzisz, jak to się odbiło na mnie, na nas, na całej jednostce? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

– Manipulacja i informacja – mówię po dłuższej chwili nieprzyjemnego milczenia i wzajemnego mierzenia się wzrokiem.

– Coś ty, kurwa, powiedział? – Gunnar Ore przysuwa się do mnie bliżej.
– Co mówiłeś?

– Pytałeś, jak przesłuchiwać specja od przesłuchań. Cóż, w każdej takiej sytuacji chodzi w gruncie rzeczy o dwie kwestie: manipulację i informację. Nawet gdy przesłuchuje się kogoś, kto sam ma w tym doświadczenie i zna metody. Ale najważniejsze jest to, co trzeba zostawić za drzwiami pokoju przesłuchań.

– To znaczy? – Martin Sverdrup chwyta długopis, zupełnie jakby był tutaj na kursie komunikacji interpersonalnej. Gunnar Ore siedzi natomiast zupełnie nieruchomo, wpatrując się we mnie. Jest tak blisko, że czuję zapach wody po goleniu Hugo Boss i truskawkowej gumy do żucia.

– Siebie samego. Prowadzący przesłuchanie oficer powinien być jak czysta kartka, jak woda w akwarium, bez uprzedzeń, bez złości, wściekłości ani innych zaburzających obiektywizm uczuć. Należy sprawić, by przesłuchiwany dostrzegł swoją własną odpowiedzialność za sytuację,

w której się znalazł, dowiadując się jednocześnie, czy zostały wyczerpane znamiona czynu karalnego. Żeby to zrobić, należy zbudować jakąś formę zaufania.

– Być, innymi słowy, kimś w rodzaju dziwki – syczy Gunnar Ore, wbijając paznokcie w oparcie krzesła. Zaciska dłonie w pięści.

– Jeśli tak to chcesz nazwać – odpowiadam spokojnie. – Potem zaczyna się gra: manipulacja i informacja. Jeśli mamy przed sobą kogoś, kto sam jest dobry w tę grę, można zacząć od małego oszustwa. Pomieszać trochę fikcję z faktami, zrobić wrażenie, że wie się więcej niż w rzeczywistości, odebrać przesłuchiwanemu poczucie kontroli nad sytuacją.

– Czyli nie korzystać z systemu KREATIV? – Na twarz Gunnara Ore wraca półuśmieszek.

– Ech, nie – odpowiadam, kręcąc głową. – On w przypadku takich ludzi zupełnie się nie sprawdza. Tu trzeba wytoczyć cięższe działa. Moim zdaniem głównie techniki psychologicznej manipulacji. Zaproponowałbym zacząć od wtargnięcia w sferę osobistą przesłuchiwanego, zrobienia groźnego wrażenia. Bo to jest coś, czego on się nie będzie spodziewał.

– Na przykład tak? – Gunnar Ore przysuwa się do mnie jeszcze bliżej, tak że nasze twarze niemal się dotykają.

– Doskonale. Gdybym był tobą, może zrobiłbym kilka rundek dobrego gliny i złego gliny, intensyfikując nacisk i obietnice nagrody. – Wskazuję ruchem głowy Sverdrupa. – Macie idealne warunki.

– Nie – rzuca Ore ochryple. – Co jeszcze?

– Może atak na ego? Dobrze przeprowadzony zamach na poczucie własnej wartości przesłuchiwanego, tak żeby ten zaczął usprawiedliwiać siebie i swoje działania, mówiąc o nich, wyjaśniając je. Technika Reida czy wykorzystanie wariografu to wątpliwe narzędzia, ale może warto by je było wykorzystać, zwłaszcza w połączeniu z jedną albo kilkoma metodami, o których wspomniałem.

– To wszystko? – syczy Gunnar Ore przez zaciśnięte zęby.

– Nie – dodaję spokojnie. – Ma się też przecież... *Verschärfte Vernehmung*.

– Tak. – Gunnar kiwa głową. – Wreszcie mówimy tym samym językiem.

– Co to takiego? – pyta Sverdrup ciekawie.

– Zaawansowane metody przesłuchań. Stosowane przez Gestapo w czasie wojny, z grubsza te same, których dziś używają Amerykanie.

Zabawne, co?

– Co jeszcze? – Gunnar Ore niecierpliwie bębni palcami w oparciu krzesła. – To wszystko? Czy znasz jeszcze jakieś sztuczki?

– Co jeszcze? Cóż, nie zapominajmy o możliwości podania środków psychoaktywnych. Ale to już naprawdę bardzo zaawansowane metody.

– Jeśli wierzyć plotkom, to aktualnie sam sobie takie środki dawkujesz. – Słyszę, jak zgrzyta zębami.

– Ale – ciągnę, zupełnie nie zwracając na niego uwagi – zawsze istnieje możliwość, że przesłuchiwany cierpi na jakąś formę zaburzenia osobowości, a wtedy reguły gry szybko się zmieniają.

– Czemu? – Martin Sverdrup zaciska palce na długopisie.

– Słuchaj go uważnie – mówi Gunnar Ore. – On się na tym naprawdę zna. Teraz gra na swoim boisku.

– Jakies siedem procent ludzi na całym świecie cierpi na tę czy inną formę psychopatii. Pod tę kategorię podpada połowa wszystkich osadzonych w amerykańskich więzieniach; ci ludzie są odpowiedzialni za osiemdziesiąt procent wszystkich brutalnych przestępstw. To osoby pozbawione empatii, niezdolne do autorefleksji, chroniczni kłamcy nieodczuwający żalu i niebędący w stanie zapanować nad impulsami.

– Wiesz co, Martinie... – Gunnar Ore odwraca się do Sverdrupa. – My też mieliśmy kiedyś takiego jednego w naszym wydziale. Straszna poczwara. – Patrzy znów na mnie. – Oto i on. Psychopata we własnej osobie.

– I co się z nimi robi? – pyta Sverdrup, podejmując desperacką próbę zapanowania nad rozmową. Gunnar Ore cichnie, patrzy mi tylko w oczy, gdy odpowiadam:

– Cóż, wszystkie próby wywołania w psychopacie żalu albo poczucia odpowiedzialności skazane są na fiasko. Ci ludzie nie są w stanie zrozumieć fizycznego, emocjonalnego ani psychicznego bólu, który zadają innym. Ich zachowanie jest dyktowane wyłącznie narcystyczną potrzebą zaspokojenia własnych zachcianek. Przesłuchanie psychopaty może się udać tylko w przypadku, jeśli przesłuchujący zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę i nie próbuje grać na sympatii, żalu ani uczuciach społecznych człowieka, z którym rozmawia.

– I teraz będzie najlepsze – mówi Gunnar Ore. – Słuchaj i ucz się.

Kiwam głową, wiem, co chce osiągnąć Gunnar tą rozmową, ale nie mam pomysłu, jak mógłbym go powstrzymać. Dlatego mówię dalej, próbując się

przygotować na to, co będzie za chwilę:

– Przesłuchujący powinien udawać, że imponuje mu trochę niezależność, pomysłowość i siła w tym, co zrobił przesłuchiwany. Może na przykład stawiać pytania: „Jak dałeś radę zabijać w taki sposób? Tak wielu ludzi? Przez tak długi czas, nie dając się złapać?”. I tak dalej, i tak dalej. Przyznanie się do winy można na psychopacie wymusić, dopiero gdy zaspokoi się jedną albo kilka z jego egoistycznych potrzeb.

– Skąd pan wie o tym wszystkim? – pyta Sverdrup.

– Thorkild przesłuchiwał takich ludzi, kiedy jeździł po Stanach z tym swoim doktorkiem. Ohlenborg, tak się nazywał, prawda? Wielu z tych, z którymi rozmawialiście, to byli... policjanci?

To do tego właśnie miejsca w rozmowie dążył Gunnar Ore od samego początku. Miejsca, w którym może krótko zawrzeć wszystko to, co kiedyś sobą reprezentował, całą tę straszliwą prawdę, którą do końca życia będę nosił uwieszoną na szyi niczym młyński kamień. Ostateczny dowód mojej osobistej zdrady wobec niego, wobec naszego zespołu i całej policyjnej rasy. Piętno, które oznacza, że już do końca życia będę jednym z tych, których obaj kiedyś nienawidziliśmy najbardziej na świecie.

– Tak zwani *cops gone bad* – ciągnie Gunnar. – Policjanci, którzy przeszli na drugą stronę, zaczęli mordować, kraść, gwałcić i niszczyć wszystko na swojej drodze.

– Coś w tym stylu, owszem.

– Tacy jak ty, prawda?

– Pierdol się, Gunnar.

Gunnar Ore zrywa się wreszcie z krzesła, ciska je w kąt pokoju, po czym chwyta mnie za gardło i zmusza, żebym wstał.

– Czemu nie możesz po prostu wpełznąć do jakiejś dziury i zdechnąć?! – warczy, po czym wali mnie wolną ręką w twarz tak, że zataczam się na ścianę po drugiej stronie stołu i osuwam na podłogę.

– Co, do cholery? – słyszę krzyk komisarza. Podnoszę głowę i widzę, jak łapie Gunnara za ramię, jakby próbował powstrzymać rozjuszonego byka przed ruszeniem do ataku.

– To było za naszą drużynę. – Gunnar przyciska do siebie pięści, po czym wrywa się Martinowi Sverdrupowi, podchodzi do mnie i wymierza mi kopniaka w brzuch. Uderzenie jest tak mocne, że wymiotuję, czując jednocześnie, jak piekący ból rozrywa mi podbrzusze. Mieszanina wody,

kawy i świeżej krwi spływa mi po kołnierzu koszuli i kapie na podłogę. – A to już za mnie.

– Do diabła, człowieku! – Martin Sverdrup rzuca się na Gunnara od tyłu, obejmując jego klatkę piersiową, tak szeroką, że ledwie daje radę spleść dłonie. Mimo to udaje mu się cudem odciągnąć Gunnara do stołu, przy którym opada ciężko na jedno z krzeseł. Sverdrup podnosi drugie krzesło, to, które mój dawny szef cisnął o ścianę, i podchodzi do mnie.

– Jak się pan czuje? – pyta, jakby pochylał się właśnie nad biedakiem stratowanym przez rozwścieczonego słonia.

– Wyśmienicie – odpowiadam, spluwając krwią na podłogę między nami. – Jak na wczasach. Nic mi nie jest. – Znow spłuwam i opieram tył głowy o ścianę. Gunnar siedzi przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach, zerkając na nas przez palce.

Komisarz podchodzi do niego i unosi palec wskazujący, jakby był to miecz.

– Proszę posłuchać – odzywa się głosem drżącym ze złości. Zaczął nagle mówić najczystszy północnym dialektem. – Nie wiem, jakie wy dwaj macie między sobą porachunki, ale to jest nie do przyjęcia. Będę musiał...

– Niech pan wyjdzie – szepce Gunnar Ore. Spogląda przez palce na komisarza, który staje jak wryty z uniesionym palcem, jakby próbował sprawdzić kierunek wiatru. – Chcę z nim porozmawiać w cztery oczy.

– Mowy nie ma. To ja...

– Niech pan znikna – powtarza Gunnar. Tym razem w jego głosie daje się słyszeć jakiś głębszy ton, jakąś wibrację, która sprawia, że Martin Sverdrup opuszcza palec i cofa się o krok.

– W porządku – mówię, próbując wstać z podłogi.

– Do diabła – mamrocze komisarz w chwili, kiedy jego podwładny, który właśnie wrócił z kawą, zagląda do pokoju. Młody policjant wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale Sverdrup wchodzi mu w słowo.

– Idziemy, Steinar – rzuca. – Ci dwaj wariaci chcieliby zostać na chwilę sami.

Przewracam się na brzuch i wypluwam jeszcze trochę krwi, po czym podpełzam do wolnego krzesła.

Chwytam się go i podnoszę mozolnie.

– No i już – odkasłuję, kiedy udaje mi się wreszcie usadowić w pozycji, z którą ewentualnie mogę żyć. – O czym teraz będziemy rozmawiać, szefie?

Rozdział 30

– Wyglądasz jak gówno, Thorkildzie – mówi Gunnar Ore, gdy zamykają się drzwi za oboma policjantami.

– Co tu robisz? – pytam.

– Mógłbym spytać cię o to samo. – Gunnar rozpiera się na krześle, rozcierając kostki dłoni, którą mnie uderzył.

– Ann-Mari cię przysłała?

Moja żona Ann-Mari i Gunnar zeszli się po moim wyjeździe do USA. Nie zrobiło to na mnie wrażenia. Byliśmy po rozwodzie, a nasze małżeństwo skończyło się już lata przed tym, nim sformalizowaliśmy rozstanie.

– Ona nawet nie wie, że wyszedłeś z więzienia.

– Owszem, wie – mówię i chwytam arkusz ze stosu dokumentów na stole. Składam go na pół i wycieram nim krew z twarzy. – Znow zaczęła mi wysyłać pocztą wycinki z dziećmi. Dostałem taki list tuż przed wyjazdem na północ, chłopiec i dziewczynka z reklamy H&M. Musisz z nią porozmawiać, żeby z tym skończyła.

– Cholera jasna. – Gunnar Ore znow chowa twarz w dłoniach. – Ona jest po prostu zmęczona – dodaje. – Tak długo staramy się już o dziecko i...

– O adopcję?

– O czym ty gadasz? Wydaje ci się, że ja...

– Ależ na Boga, Gunnarze. – Rzucam przesiąknięty krwią arkusz papieru na stół. – Wiesz przecież, że ona nie może mieć dzieci?

– Co!?! – Ore znow dźwiga się z krzesła z zaciśniętymi pięściami, ale w połowie drogi zmienia zdanie i opada na miękkie siedzenie. – O czym ty, kurwa, mówisz? – szepce zmęczonym głosem.

– Lekarze zdiagnozowali u niej cysty na jajnikach. Już jakieś piętnaście lat temu. Dlatego wysyła mi wycinki, żeby pokazać, co jej odebrałem, kiedy nie chciałem dzieci, a ona jeszcze mogła. Do diabła, człowieku – mówię i spluwam, a Gunnar siedzi przede mną jak sparaliżowany. – Musieli jej wszystko usunąć, bo były podejrzenia, że rozwinie się z tego rak. Jajniki, macicę, węzły chłonne, wszystko, by zapobiec ewentualnym przerzutom.

Skąd twoim zdaniem ma tę bliznę na brzuchu?

– Zraniła się – szepce nagle Gunnar Ore. – Zraniła się tam nożyczkami tego wieczora, kiedy przyszedłem do domu i powiedziałem jej o tobie i tej dziewczynie we wraku pod Sandnes. Naćpany policjant zabijający w aucie dziewczynę człowieka, którego przyjechał przesłuchiwać?! Wyobrażasz sobie, jaki byłby z tego cyrk medialny, gdybyśmy nie zareagowali na czas? – Gunnar uderza dłońmi w stół i kręci głową. – Cała ta robota, którą musieliśmy odwalić, żeby trzymać te sępy z dala od sprawy. U nas w jednostce i na komendzie w Stavanger. Przykro mi to mówić, ale byłoby chyba najlepiej, gdybyście oboje...

Rozlega się pukanie do drzwi, po chwili zagląda do nas młody policjant z dwoma parującymi kubkami.

– Ech, mam kawę – zwraca się z wahaniem do Gunnara.

Prostuję się na krześle i biorę od niego jeden z kubków.

– Ja dziękuję. – Gunnar rozciera kułak dłonią. – Ale napiłbym się wody.

– Nie mamy butelkowanej, tylko z kranu...

– Wszystko mi jedno, kolego. Duża szklanka, zimna woda. Zmykaj.

Młody mężczyzna kiwa głową.

– Dwie sekundy.

– Raz-dwa! – syczy Gunnar, nie podnosząc wzroku. Policjant zerka na moją twarz, przenosi spojrzenie na pięść Gunnara, po czym robi w tył zwrot i wychodzi.

– Czy oni naprawdę myślą, że jestem zamieszany w zniknięcie lensmanna i tego chłopaka? – pytam, dmuchając na kawę.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Gunnar. – Chociaż co ja tam, kurwa, wiem. Jestem tu tylko przejazdem. W przyszłym tygodniu prowadzę szkolenie dla kadetów z Akademii Wojskowej. Musiałem tu tylko zajrzeć i sprawdzić, czy to faktycznie jesteś ty. – Wybuchu śmiechem. – I oto tu jesteś, we własnej osobie.

– Znowu razem – odpowiadam. – Tak miło, brakuje nam tylko kiełbasek na patykach i kakao.

Młody policjant wraca, niosąc szklankę oraz dzban z wodą i kostkami lodu, który stawia na stole. Gunnar upija duży łyk, po czym odstawia szklankę i wstaje:

– Słuchaj – mówi, celując palcem w moją twarz. – Nie dzwoń do mnie, OK?

– Masz to jak w banku.

Odwraca się, by wyjść, przystaje tuż przy policjancie, który zamarł przy drzwiach w pozycji na baczność, z rękoma opuszczonymi po bokach i wzrokiem wbitym w stół, na którym walają się zakrwawione papiery z jego teczki. Gunnar znów zwraca się do mnie:

– Przy okazji: nie dzwoń też do Ann-Mari i nie wysyłaj jej SMS-ów, nie wpadaj do mojego biura na Grønland, nie wysyłaj kartek z urlopu, maili ani zaproszeń do grona przyjaciół na Facebooku, nie pozdrawiaj mnie machaniem ręki z przeciwnej strony ulicy. Nic z tych rzeczy. I trzymaj się z dala od naszych kolegów w Bergen. Wpełznij z powrotem do wraku auta, powieś się pod prysznicami, gówno mnie to obchodzi. Po prostu zniknij. Ty już nie istniejesz, Thorkildzie Aske, rozumiano?

– Jak najbardziej.

– I jeszcze jedno. Stąd też się wynoś. Odczep się od tej sprawy, nieważne jak by się miała rozwinąć. Nie masz tu nic do roboty.

– Niedługo – odpowiadam.

– Nie niedługo, tylko teraz.

– Trzymaj się, Gunnarze!

– Idź do diabła!

Gunnar znika za drzwiami, a dwie sekundy później pojawia się Sverdrup, zagląda do środka jak wystraszony pies. Gdy tylko się upewnia, że wroga nie ma już na horyzoncie, wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi na klucz. Obaj mężczyźni siadają, młody funkcjonariusz sięga po nowy arkusz ze stosu papierów, przykrywa nim ostrożnie zakrwawioną kartkę na biurku, chwytą długopis i zaczyna pisać.

– OK – zaczyna Sverdrup, składając powoli dłonie w uroczystym geście, mającym symbolizować spokój i kontrolę nad sytuacją. – Już po wszystkim – cmoka w swoim maskowanym północnym dialekcie i spleta palce. – Zaczniemy może od początku. Proszę opowiedzieć o wszystkim własnymi słowami.

Gdy wreszcie kończymy, proszą mnie, bym trzymał się z dala od sprawy, a jednocześnie nie wyjeżdżał zbyt daleko, dopóki nie skończą poszukiwań. Wychodzę z komendy i jadę do centrum handlowego, które odwiedziłem pierwszego wieczora po przylocie. Najpierw udaję się do apteki, gdzie kupuję duphalac, potem do perfumerii, w której ta sama co ostatnio ekspedientka

sprzedaje mi flakonik tych samych perfum. Nie uśmiecha się do mnie, próbuje zachować spokój, zupełnie jakby to był napad z bronią w ręku.

Wychodzę na ulicę i widzę, że o brzeg przystani uderzają spienione fale. Wsiadam do auta, wyjeżdżam z miasta, kieruję się na północ, jadę przez ciemność między skalnymi zboczami, mijając butwiejące stojaki do suszenia ryb oraz zniszczone dachy obór zdmuchnięte na ziemię przez wiatr. Mijam wyrzucone przez morze drewno, słupy i kawałki desek leżące na brzegu między wodorostami, patrzę, jak wiatr gna w kierunku lądu ciężkie deszczowe chmury.

Rozdział 31

Wracam do domu opieki w Skjellvik dopiero po piątej. Wiatr się uspokoił. Nie widać nigdzie śmigłowca ani łodzi ratunkowej, fiord to drgająca granatowa masa szumiąca niespokojnie w popołudniowych ciemnościach. Wyławiam z kieszeni komórkę i dzwonię do Harveya.

– *Yes.* – Jego głos zdaje się beztroski. – *Mr. Aske, is it not?*

– *The very one* – odpowiadam, a Harvey wybucha śmiechem. Wyobrażam sobie, jak siedzi przy oknie u siebie w kuchni i podnosi kubek kawy z prądem w geście toastu.

– Znaleźli łódź. – Poważnieje nagle.

– Co? Jesteś pewny?

– Tak, Johannes właśnie mi powiedział. Usłyszał wieści przez walkietalkie. Jacyś cywile znaleźli ją dziś rano wyrzuconą przez sztorm na brzeg Reinøya. Przy okazji: widziałem dziś inną łódź policyjną niedaleko latarni. Zdaje się, że czegoś tam szukali. Cała załoga miała na sobie białe kombinezony, dopiero niedawno odpłynęli.

– Dupki – szepczę.

– Co takiego?

– Nic. Spotkałem dziś po prostu w Tromsø znajomego z dawnych lat.

– W Tromsø?

– Byłem tam właśnie na przesłuchaniu.

– Ach tak. I nic ci nie mówili, że się tu wybierają?

– Nie.

– Dlaczego?

– Taktyka policyjna – mówię, opierając się ciężko o auto. – Nie ma sensu opowiadać świadkowi albo możliwemu podejrzanemu, co się wie, jeżeli nie ma takiej potrzeby.

Zaczynam analizować chwila po chwili rozmowy z Gunnarem Ore i Sverdrupem. Nie ma możliwości, żeby Gunnar pojawił się tu za sprawą przypadku akurat w momencie, gdy dwaj policjanci znikają, po tym jak mieli mnie odebrać z wyspy. W Tromsø zaczynają już układać scenariusz. Linię

chronologiczną, która zakłada, że jestem zamieszany w zaginięcie Bjørkanga i Arnta.

– Kurwa mać – wzdycham, pochylam się do przodu i chwytam za brzuch.

– Nie brzmi to dobrze, Thorkildzie – mówi Harvey.

– Ani trochę – zgadzam się z nim i próbuję wyprostować. – Powiedz mi, proszę: gdzie jest Reinøya?

– Na południe stąd. W kierunku Tromsø. Pogadaj z Johannesem, on ponoć zna rybaka, który znalazł łódź. Ja muszę płynąć do hodowli, zanim zrobi się ciemno.

– Bjørkang i Arnt zabrali ze sobą sprzęt do nurkowania.

– Skąd wiesz?

– Na policji mi powiedzieli.

– To nie brzmi jak coś, na co by mógł wpaść Bjørkang – mówi Harvey. – Nigdy by się nie zgodził nurkować w taką pogodę, on w ogóle nie za bardzo lubi morze.

– Możliwe, że byli zamieszani w coś nielegalnego?

– Czemu pytasz?

– Ponieważ – zaczynam – człowiek, który tego wieczora wynurzył się z morza, miał na sobie skafander do nurkowania, a policja pytała mnie konkretnie, czy Bjørkang i Arnt mogli mieć jakieś powody, by zabrać ze sobą wtedy sprzęt. No i wreszcie: nikt inny nie miał pojęcia, że znalazłem zwłoki. Jedynym logicznym wnioskiem byłoby więc to, że mieli jakiś związek ze śmiercią tamtej kobiety i nie chcieli, by ktokolwiek się o niej dowiedział. Mam rację?

– To czemu w takim razie zniknęli? – pyta Harvey.

– No właśnie, to mi się nie zgadza – wzdycham. – Dlaczego, do diabła, jeszcze nie wrócili? Problem w tym, że jeśli wkrótce się nie znajdą, to będę miał kłopoty. I to całą ich przekłętą furę, rozumiesz?

– Dlatego że...?

– Mam przeczucie, że śledczy biorą pod uwagę scenariusz, według którego policjanci przyплыли na wyspę tego wieczora, kiedy tam byłem, i potem zniknęli. Jestem ostatnią osobą na świecie, która powinna być zamieszana w sprawę zaginionych stróżów prawa – wzdycham ciężko. Bóle brzucha znów przybierają na sile, muszę się zgiąć wpół w oczekiwaniu, aż skurcz minie.

– Dobrze się czujesz?

– Brzuch – syczę przez zaciśnięte zęby. W drodze z Tromsø wlałem już w siebie dwie pełne miarki duphalaku, ale najwyraźniej bez większych skutków.

– *Tough shit.*

– Całkiem dosłownie.

– Porozmawiaj z Merethe. Z tego co wiem, pomaga czasem pensjonariuszom, kiedy cierpią na zaparcia.

– A jest teraz w pracy? – pytam, czując, że ból rozsadzi mi zaraz podbrzusze.

– Tak, ma dziś dyżur do dziewiątej. Po terapii grupowej będzie pewnie w stołówce – mówi Harvey w chwili, gdy zbliżam się do drzwi mojej kwatery. – Przy okazji – zaczyna, kiedy wyciągam z kieszeni klucze. – Córka tej pary, po której dostałeś mieszkanie, przyjeżdża w środę na pogrzeb. Chce wszystko uprzątnąć i zabrać ich rzeczy na południe. Gdybyś mógł...

– Oczywiście. – Kulę się, gdy nadchodzi kolejny skurcz. – Do usłyszenia – kończę i ruszam w kierunku wejścia do Domu Opieki Skjellviktunet. Najwyższy czas znaleźć żonę Harveya.

Rozdział 32

W korytarzu panuje zupełna cisza. Żadnych wózków inwalidzkich ani balkoników, słycać tylko skrzypienie moich butów, gdy biegnę po świeżo wyszorowanym linoleum.

Stołówka jest pełna ludzi. Wstawiono tu więcej krzeseł, wokół stołów siedzi nieprzebrana rzesza pensjonariuszy. Nikt nic nie mówi. Z jakiegoś powodu odnoszę wrażenie, że cisza jest nerwowa i pełna napięcia.

Pod jedną ze ścian zestawiono razem kilka stołów. Siedzą za nimi dwie osoby zwrócone twarzą do zgromadzonych. Jedną z nich jest siostra oddziałowa Siv, która trzyma w ręku mikrofon. Towarzyszy jej starszy pan z tupecikiem w kolorze zakurzonego brązu, ubrany w hawajską koszulę z krótkim rękawem. Złoty zegarek zapięty na jego przegubie migocze w świetle jarzeniówek.

– Thorkildzie – słyszę konspiracyjny szept i dostrzegam Johannesesa. Siedzi przy tym samym stoliku co ostatnio, razem z Bernadotte i Oline na wózku.

– A ty to kto? – szepce Bernadotte, gdy siadam obok nich. Jej koleżanka kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Jak ty wyrosłeś. Pamiętam, jak byłeś mały, a Agnes zabierała cię na lody. Boże, jak ty wrzeszczałeś, kiedy nie kupowała ci tego, co sobie zażyczyłeś.

– Proszę. – Johannes podaje mi jeden ze swoich czterech kuponów bingo oraz czerwony mazak. – Dwa rzędy – mówi, wskazując kupony skinieniem głowy, zanim mam czas zaprotestować.

– Liczba siedem. Siedem. Siedem – trzeszczy komunikat w głośnikach ustawionych na stołach pod ścianami.

– Co ona mówi? – szepce Bernadotte. – Trzydzieści jeden?

– Nie – odpowiada jej Oline z lekką rezygnacją w głosie. – Siedem. Trzydzieści jeden już było.

Słyszymy ponownie brzęk metalowej klatki z kulami, po czym wytacza się z niej kolejny numer.

– Czterdzieści trzy. Cztery trzy. Czterdzieści trzy.

– Widzieliście Merethe? – pytam, gdy Johannes zaznacza mazakiem pole na kuponie. Jest bez reszty pochłonięty grą, zsunął okulary na koniec nosa i wpatruje się w napięciu w nadrukowane na bonach liczby.

– Będzie przerwa, jak zrobimy trzy rzędy – odpowiada pospiesznie, nie podnosząc wzroku.

– Dwadzieścia jeden. Dwa jeden. Dwadzieścia jeden.

– Bingo! – wrzeszczy Oline, łapiąc mnie za ramię.

– Co? – Patrzę na nią, jakby właśnie miała jakiś atak. Starsza pani wbija mi paznokcie w skórę, wymachując wolną ręką. – Bingo, bingo! – krzyczy i zaczyna mnie szturchać. – Wstawaj, chłopcze! Przecież masz bingo!

Siv wkłada okulary i rozgląda się po stołówce, podczas gdy Oline próbuje mnie ściągnąć z krzesła.

– Padło bingo?

– Tak – odpowiadam ochryple, machając kuponem, jakby to była martwa ryba. – Na to wygląda.

Czekam na faceta ze złotym zegarkiem, który toruje sobie do nas drogę.

– Dobrze – mówi Siv do mikrofonu, gdy jej towarzysz wreszcie do nas dociera. – Możesz zaczynać.

Mężczyzna zabiera mi kupon i odczytuje po kolei liczby z wypełnionego rzędu:

– Pięć, dwadzieścia jeden, trzydzieści jeden, sześćdziesiąt sześć, osiemdziesiąt dwa.

– W porządku – trzeszczy głos Siv w głośnikach. – A teraz drugi.

– Siedem, czterdzieści trzy, pięćdziesiąt siedem, siedemdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt.

– Też w porządku – oznajmia jurorka. – Przygotowujemy się do trzech rzędów. Gra o najwyższą stawkę.

Mężczyzna ze złotym zegarkiem oddaje mi kupon i wraca do stolika z nagrodami. Ogląda niespiesznie każdą z nich, po czym znajduje to, czego szukał, i wraca do nas zadowolony.

– Proszę. – Podaje mi pakowane po pięćdziesiąt sztuk bożonarodzeniowe serwetki z nadrukiem przedstawiającym Świętego Mikołaja i różnego rodzaju zabawy na śniegu.

– Serdeczne dzięki. – Kłaniam się nisko i osuwam na krzesło, gdy tylko juror kończy ścisnąć mi rękę. Nagle czuję na ramieniu dłoń Oline. Staruszka

kiwa z uznaniem głową.

– Zdolny chłopiec – mówi, po czym znów się pochyła nad swoimi kuponami.

– Zaczynamy jeszcze raz – obwieszcza Siv przez mikrofon, po czym znów brzęczą kule i padają kolejne liczby:

– Siedemdziesiąt siedem. Siedem, siedem. Siedemdziesiąt siedem.

Podaję bożonarodzeniowe serwetki Johannesowi, który kręci głową i mi je oddaje.

– Uczciwie wygrałeś, są twoje.

– Pięćdziesiąt dziewięć. Pięć dziewięć. Pięćdziesiąt dziewięć.

– Bingo! – drze się Oline i znów przywiera do mojego ramienia. – Znów ma bingo!

– No do jasnej cholery! – oburza się starszy pan, wali pięścią w stół i odrzuca za siebie mazak.

Zerknąwszy na kupon, stwierdzam, że Oline ma rację. Trzeci rząd też jest już wypełniony. Niechętnie znów wstaję z miejsca i toczę zagubionym wzrokiem po zgromadzonych, czekając, aż znów przedrze się do mnie bingoinspektor. Siv posyła mi pełne uznania skinienie głową, bawiąc się jednocześnie mikrofonem, jakby miała w rękach coś zupełnie innego.

Powtarza się procedura głośnego odczytywania liczb, po czym mężczyzna znów podchodzi do stolika z nagrodami i wraca, niosąc patereę z kloszem, którą stawia przede mną uroczyście.

– Ciasto truflowe? – Johannes szczyrzy zęby w uśmiechu. – Myślałem, że za trzy rzędy miał być tort?

– Nawet nie próbuj, Johannesie – strofuje go mężczyzna ze złotym zegarkiem. – Będzie dopiero po przerwie, przecież wiesz.

Oline nachyla się nade mną:

– Agnes się ucieszy, zobaczysz.

– A teraz mała przerwa na kawę, po której ruszymy z ostatnią partią wieczora – obwieszcza Siv do mikrofonu. Podnosi się i podchodzi do stołu, na który pracownicy domu opieki wystawiają termosy z kawą, cukier i śmietankę.

– Chyba już pójdę – mówię, podsuwając kupon i patereę Johannesowi. Nigdzie nie widzę Merethe, postanawiam więc wrócić do mieszkania, zażyć nową dawkę duphalaku i posiedzieć na klozecie. – Dziękuję za towarzystwo.

– Ciasto jest twoje. – Johannes odsuwa od siebie nagrodę. – Ja i tak nie

znoszę truflę.

– A panie? – Spoglądam zrozpaczony na Bernadotte i Oline, które zgodnie kręcą głowami.

Oline klepie mnie po ramieniu i szepce:

– Patrz pod nogi, mój chłopcze. I pozdrów Agnes.

Podnoszę paczkę serwetek i paterę, po czym ruszam do wyjścia. Za moimi plecami w głośnikach rozlega się trzask, po czym dźwięki czegoś, co brzmi jak nagranie na starej gramofonowej płycie: piszczałki starych kościelnych organów z czasów popularności domów modlitewnych i dziewczęcy głos śpiewający w południowym dialekcie: „...Ciotka mówiła, że aniołowie do domu zabrali ich. Do nieba. Jezusa. Gdybym tak mogła być z nimi. Ach, chcę się zapomnieć...”

– Uciekasz? – pyta kobiecy głos, gdy wreszcie zamykam za sobą drzwi.

– Szukałem cię – odpowiadam, patrząc na Merethe, która podchodzi do mnie z siatką pełną niewielkich różnokolorowych kamieni.

– I mnie znalazłeś – mówi, chwytając mnie wolną ręką za ramię. – W czym ci mogę pomóc?

Rozdział 33

– Długo się tak męczysz? – Ruszamy ku wyjściu z budynku. Merethe wciąż trzyma mnie za ramię, jakbym był jednym z pensjonariuszy, którego trzeba zaprowadzić do pokoju na drzemkę.

– Trochę ponad tydzień – odpowiadam. – Odkąd wyszedłem z więzienia.

– Więzienia? – Czuję, że zwalnia uchwyt. – Ale ty przecież...

– Długa historia. Możesz kiedyś zapytać Harveya.

– Wszystko jedno. – Merethe znów łapie mnie za ramię. – Lubię cię.

– Dziękuję – mamroczę, spoglądając na siatkę z kamieniami. – Do czego ich używasz?

– To moje kryształy – odpowiada Merethe. – Korzystam z nich podczas terapii. Harvey kupuje je w Rosji. – Ścisną moją rękę nieco mocniej. – Tanio.

– Sprzedajesz je?

– Oczywiście. Jaspis, kwarc, zielone awenturyny, które nazywamy kamieniami życzeń, różowe rodochrozyty. Jaskrawoniebieskie lapisy z Afganistanu, ametysty, rodonity, fluoryty w różnych kolorach: białe, czarne, fioletowe, niebieskie, zielone i żółte, niektóre niemal bezbarwne. Szmaragdy, malachity, onyksy, karneole, rubiny, agaty, apatyty, beryle, topazy, sugility, kwarc różowy i skały księżycowe.

– Drogo je sprzedajesz?

Merethe mruga oczami.

– Z pewnym zyskiem, rzecz jasna.

– I to ich będziemy używać, żebym... żebym mógł...

– Właśnie – odpowiada moja rozmówczyni, gdy wchodzimy do mieszkania.

– Ciasta? – pytam, odkładając paterę i paczkę z serwetkami na kuchenny blat.

– Nie, dziękuję – mówi Merethe. – Słyszałam, że to ty wygrałeś trufłowe. Berit je upiekła, to jedna z naszych pensjonariuszek na otwartym oddziale rehabilitacji. – Zagląda do siatki z kamieniami. – Tylko czasem zdarza jej się o czymś zapomnieć. Jej ciasta nie są już takie jak kiedyś, jeśli wolno mi tak

to ująć.

– Super – stękam i opieram się o kuchenny blat, czując, że nadchodzi kolejny skurcz.

– Gotowy? – Merethe wyjmuję dwa kamienie i pociera je o siebie. Przywołuje mnie gestem. – Nie bój się. Kryształoterapia jest zupełnie bezpieczna. Weź koc i połóż się na podłodze, tutaj, przede mną.

W pokoju jest ciepło, zdejmuję sweter i zostaję w samym T-shircie, po czym kładę się na podłodze na plecach.

– Bierzesz leki?

Kiwam głową.

Merethe rozgrzewa kamienie w dłoniach i mierzy mnie wzrokiem.

– Widać.

– Ach tak?

– Mioza. Zwężone źrenice. – Kiwa głową z przymkniętymi ustami. – Ale to nic nie szkodzi. Może ci nawet pomóc. Potrzebujesz czegoś jeszcze, żeby się zrelaksować?

– Radia – odpowiadam ochrypłym głosem. Wyciągam się na podłodze, czekając, aż Merethe je włączy. – I ekspresu do kawy. Nastaw go, proszę.

– Tak? – pyta Merethe. Ekspres syczy, z radia sączą się lekkie taneczne tony pianina.

Kiwam głową.

– Nie, czekaj – mówię nagle, zrywam się z podłogi, chwytam stojącą na stole torebkę i biegnę z nią do łazienki. Odpakowuję flakon z perfumami, zaciskam wargi i powieki, po czym spryskuję sobie twarz. Następnie łykam dwa oxynormy i wracam do salonu.

Merethe czeka na mnie, przysiadłszy na skraju stołu. Marszczy nos, czując intensywny zapach perfum, ale go nie komentuje. Czeką, aż położę się znów na podłodze, po czym klęka nade mną.

– Ludzkie ciało ma siedem czakr – zaczyna, rozgrzewając w dłoni czerwony kamień. – To koła albo centra energetyczne rozmieszczone wzdłuż kręgosłupa. Czakry kontrolują i regulują sposób, w jaki nasz organizm dysponuje energią i przetwarza impulsy. Umieścimy kamienie na tych właśnie punktach, żeby ich wibracje zestroiły się z wibracjami czakr.

Merethe zaczyna układać kamienie w różnych kolorach i kształtach w prostej linii od talii aż do mojego czoła, na którym umieszcza ciemnofioletowy owalny okaz. Następnie podnosi podłużny, wąski

i przezroczysty kryształ, który przesuwa po moim brzuchu nieregularnymi ósemkami, mówiąc coś tak cicho, że nie słyszę jej słów.

Czuję, jak moje myśli zasnuwają się ciężkimi kłębiastymi chmurami, ogarniają mnie jednocześnie spokój i odprężenie, ból mija, ruszają nowe ezoteryczne receptory, które potrafią uruchomić jedynie leki i które nastawione są wyłącznie na odbiór przyjemności. Tabletki wreszcie zaczynają działać.

– Poczułam głęboki smutek – słyszę nagle głos Merethe dochodzący zza gęstej mgły, która nas od siebie oddziela. – Kiedy się poznaliśmy, a ty podałeś mi rękę. Dlatego tak szybko cofnęłam dłoń.

– Co? – bełkoczę. Powieki mam jak z ołowiu, oczy same mi się zamykają.

Czuję kamienie na brzuchu, na piersi, szyi i ten ostatni, na czole. Wszystkie razem zdają się wirować, obracać raz za razem, jednocześnie stopniowo wtapiając się w moją tkankę. Przygniatają mnie do podłogi, tak że się nie mogę ruszyć.

– A potem zobaczyłam ją na parkingu, pomiędzy tobą a Harveyem.

Próbuję coś do niej szepnąć, ale wargi mam nieruchome.

– Jakby się unosiła między wami.

– Frei – jęczę. – Nareszcie.

– Teraz znów czuję jej energię – ciągnie Merethe, kładąc nacisk na każde słowo, jakby mówienie sprawiało jej ból. – Silniejszą, bardziej zdecydowaną, jakby próbowała się tu wcisnąć.

– Widzisz ją?

– Tak.

– Powiesz jej, że muszę z nią porozmawiać. Że podjąłem decyzję. Przyjdę, jeśli ona tego chce.

Słyszę nagle, jak Merethe zaciska zęby tak mocno, że szczęka zgrzyta jej o szczękę.

– Ona marznie. – Merethe zaczyna szczekać zębami, ja zaś czuję, że w pokoju robi się nagle zimniej, jakby ktoś otworzył drzwi, wpuszczając do środka lodowaty podmuch wiatru. – Ciemność, chce mi pokazać coś w ciemności – mówi Merethe, dygocząc, i odwraca się do okna. – Tam.

– Gdzie? Na wyspie?

Merethe nie odpowiada. Siedzi na podłodze obok mnie i drży.

– Zapytaj ją – bełkoczę dalej. – Zapytaj, czemu już nie chce do mnie

przychodzić.

– Unosi się.

– Tak – szepcę rozmarzonym głosem i mrugam oczami. – Oboje się unosimy.

– Tak ciemno.

– Widzisz księżyc? Widzisz go?

– Hałas – szepce Merethe. – Trzask i zgrzyt metalu. Boże, jak mi zimno.

– Wypadek – wzdycham. – O Boże, wypadek.

– Woda. Słyszę ją dookoła, czuję, jak wlewa mi się do ust. – Merethe zaczyna nagle kasłać i z trudem łapać powietrze, jakby się dusiła. – Tak zimno... – Dygocze, usiłując uspokoić oddech.

– Wpuść ją. Musisz ją wpuścić, żebym mógł z nią porozmawiać.

– O Boże! – Merethe kładzie nagle dłoń na piersi. Jej głos się zmienił, jest w nim coś, czego przed chwilą jeszcze nie było. – Coś jest nie tak – jęczy i toczy wzrokiem po pokoju, jakby czegoś szukała. – Nie, czekaj – zwraca się do kogoś. – Nie rozumiem, co do mnie mówisz.

– Frei? – krzyczę podniecony. – Frei, jesteś tu?

– Nie, nie – jęczy Merethe obok mnie. – Nie rozumiem. – Jej dłoń muska przelotnie moje przedramię. Jest zimna jak bryła lodu.

– Frei? – Próbuję wstać, ale ciało mam przygwożdżone do podłogi i nie mogę się ruszyć. Spokój, który jeszcze przed chwilą mnie ogarniał, gdzieś się rozwiął, i czuję, że powoli ogarnia mnie panika. – Czemu nie odpowiadasz?

– Cicho. – Nagle znów czuję przemarznąętą dłoń Merethe na ramieniu. – Bądź cicho, Thorkildzie.

– Co? Nie, puść mnie. Frei! Poczekaj na mnie, jestem gotowy. Przyjdę do ciebie.

Lodowata ręka Merethe puszcza moje ramię i zaciska mi się na ustach.

– Teraz rozumiem – szepce kobieta, zaciskając palce. – To nie Frei. To ktoś inny...

Rozdział 34

Dłoń Merethe ześlizgnęła się z moich ust. Terapeutka klęczy nade mną ze zwieszonymi ramionami. Udaje mi się wreszcie otrząsnąć z narkotycznego letargu i usiąść na podłodze.

Merethe patrzy na mnie nieobecny wzrokiem. Wstaje i odwraca się twarzą do zasłon wiszących w oknie. Szeptem, spoglądając w ciemność:

– Kim jesteś? – Wyciąga przed siebie ręce, jakby była ślepcem, który spotkał na swojej drodze obcą osobę. – Czemu tu przyszedłeś?

Jej oddech paruje. Merethe kołysze się lekko z boku na bok, kręci głową, mruży powieki.

– Nie rozumiem. – Otwiera oczy i wydycha kolejny kłęb pary.

– Co ona mówi?

Merethe znów kręci głową.

– Nie wiem. Nie rozumiem.

Chcę wstać, ale ona wyciąga rękę na znak, że mam siedzieć. Powietrze w pokoju jest ciężkie, zdaje się napierać na zasłony i okno za nimi.

– Ona wskazuje na ciebie – mówi Merethe. – Nie rozumiem, co mówi. To jakiś bełkot, albo może obcy język.

– Frei... – Wgapiam się w zasłony, na które patrzy Merethe. – To ty? – Podnoszę się z podłogi, okrążam stół i pochodzę do okna. – Proszę, powiedz coś. Nie mogę już dłużej czekać. Chcesz, żebym do ciebie przyszedł?

Zaczynam czuć w ustach smak słonej wody. Gdy chwytam zasłony i chcę je odciągnąć, podmuch lodowatego powietrza trafia mnie prosto w twarz. Merethe zaczyna krzyczeć za moimi plecami.

Odwracam się i widzę, że jej klatka piersiowa unosi się i opada, że nie może złapać tchu. Oczy ma czarne ze strachu, całe jej ciało drży.

– Co się dzieje? – pytam zrozpaczony. – Nie rozumiem, co się dzieje!

W następnej chwili cała się wypręża, wypycha pierś w przód i rozkłada ramiona.

– *Mne kholodno.*

– Co? – Kładę dłonie na jej ramionach. – Co powiedziałaś?

– *Mne kholodno!* – powtarza Merethe coraz głośniej i głośniej. – *Mne kholodno! Mne kholodno! Mne kholodno!!!* – Próbuję zasłonić jej twarz dłonią, ale ona odtrąca moją rękę i wpycha sobie palce do ust, jakby tkwiło tam jakieś ciało obce, które natychmiast musi usunąć. Twarz ma mokrą od potu, który zdaje się sączyć z każdego poru.

– Co ty robisz?

– Pomocy – jęczy Merethe. Spojrzenie ma ciemne, oszalałe ze strachu, z jej gardła dobywa się przeraźliwe rżenie. Merethe charczy i z trudem łapie powietrze, jakby miała się zaraz utopić we własnej ślinie.

– Przestań! – błagam, starając się ją zmusić, by wyjęła palce z ust.

– *Mne kholodno! Mne kholodno!!!*

Nagle ją dostrzegam. Nie Merethe, ale tamtą kobietę bez twarzy i zuchwy, ze skórnym kapturem wokół nagiej, zielonej od morskich alg czaszki. Wije się w czerni oczu Merethe, krzycząc przeraźliwie.

– Widzę ją! – krzyczę przerażony i zataczam się w tył. – Boże, widzę ją. W twoich oczach. Jest tutaj. Kobieta bez twarzy. Jest tu!

Krzyki nagle cichną. Merethe patrzy na mnie przerażonym wzrokiem. Wyjmuje palce z ust i pozwala ramionom opaść ciężko wzdłuż boków. Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczy, stojąc przede mną jak skamieniała. Jej ciało kołysze się z boku na bok i w końcu upada na ziemię.

Uderza głową o kant stołu z głośnym hukiem, po czym zamiera na podłodze.

Osuwam się na kolana i próbuję jej pomóc, lecz widzę, że coś jest nie tak z jej szczęką. Próbuję zamknąć jej usta, ale zuchwa ciągle opada, przyjmując zupełnie nienaturalne położenie. Nagle dostrzegam rozerwaną tuż przy uchu skórę i wystającą z rany białą połyskującą kość.

– Poczekaj chwilę, Merethe – szepczę i mam już biec po pomoc, kiedy rozlega się głośne pukanie do drzwi.

W progu staje pielęgniarka oddziałowa Siv razem z młodym salowym.

– Co tu się stało? Pensjonariusze z sąsiedniego mieszkania skarżą się na hałas.

– Wezwijcie lekarza! – mówię, a Merethe jęczy z bólu, gdy puszczam jej szczękę. – Natychmiast!

– Coś ty zrobił?! – krzyczy Siv, a chłopak zaczyna nerwowo szukać komórki.

– Przewróciła się i szczęką wypadła ze stawu. – Siv podbiega do nas

i pomaga mi ułożyć Merethe w pozycji bocznej ustalonej.

– Już idą – obwieszcza salowy, chowając komórkę do kieszeni. Podchodzi do nas, klęka obok rannej i pielęgniarce, ja zaś gramolę się z podłogi, siadam na sofie i dzwonię do Harveya.

Rozdział 35

– Harvey, musisz przyjechać! – krzyczę, gdy tylko odbiera telefon. – Merethe miała wypadek.

– Merethe? – Słyszę, jak wyłącza silnik łodzi i zwraca się do mnie jeszcze raz, głośniej i ostrzej: – Co ty gadasz?

– Przewróciła się w moim mieszkaniu. Zadzwoniliśmy po karetkę. Już jadą. Pospiesz się.

– Właśnie byłem w hodowli. Nigdzie jej nie zabierajcie, dopóki nie przyjadę – rzuca Harvey, uruchamia silnik, po czym się rozłącza.

Kładę telefon na stole i patrzę na Siv i salowego, pochylonych nad Merethe. Pielęgniarka przyniosła koc, którym ją okryła, podłożyła jej też pod głowę ręcznik, by miała miękko. Wygląda na to, że przy uderzeniu o stół została wybita ze stawu cała szczęka, główki kości wypadły z panewek i żuchwa trzyma się tylko na skórze czaszki.

Słyszę oddech Merethe aż tutaj, głośne, nieprzyjemne charczenie. Zupełnie jakby powietrze napotykało przy wydechu opór, trafiało w wargi w jakiś nienaturalny sposób. Za każdym razem gdy ranna musi się poruszyć, wydaje z siebie cichy jęk. Siv trzyma ją za rękę, salowy gładzi ostrożnie jej włosy. Po dziesięciu minutach słyszemy, jak przed budynkiem zatrzymuje się auto i do mieszkania wbiega Harvey z zaciętym wyrazem twarzy i ciemnym, przerażonym wzrokiem.

Przystaje na chwilę na środku salonu, po czym rzuca się na kolana przy Merethe i przytula się do niej.

– Jak do tego doszło? – pyta zwrócony do mnie plecami, pochylając się nad żoną.

– Robiła mi kryształoterapię – zaczynam. – Poprosiłem, żeby mi pomogła z moimi kłopotami żołądkowymi, tak jak zaproponowałaś, ale wtedy ona, a właściwie my, nagle coś zobaczyliśmy, człowieka, który, który...

– Seans? – Harvey odwraca się do mnie gwałtownie. – Mieliście seans?

– T... tak mi się wydaje – odpowiadam zrozpaczony. – Przepraszam, Harvey. Nie wiedziałem, że... ona upadła. Osunęła się nagle na ziemię

i uderzyła o kant stołu.

Harvey siedzi na podłodze, patrząc na mnie dłuższą chwilę, w końcu przywołuje na wargi wymuszony uśmiech.

– Thorkildzie, spokojnie. – Odwraca się z powrotem do żony, nachyla nad nią i szeptem:

– Będzie dobrze. Słyszysz? Z tym też się jakoś uporamy, *honey*.

W oddali rozlegają się syreny. Ostre, pulsujące światło zalewa wkrótce cały parking. Salowy wybiega karetce na spotkanie. Wraca po chwili, prowadząc mężczyznę i kobietę, którzy mają ze sobą walizczkę i rozkładane nosze na kółkach. Mężczyzna pochyla się nad ranną.

– Żuchwa wypadła ze stawów – mówi Siv. – Tu wystaje kość. – Wskazuje ranę przy uchu, mężczyzna kiwa głową, po czym kładzie dłoń na ramieniu Merethe.

– Jest pani przytomna? – pyta, ściskając lekko.

Merethe jęczy cicho, ale zaraz milknie.

– Świetnie – odpowiada mężczyzna, po czym znów zwraca się do Siv: – Kiedy doszło do wypadku?

– Jakies dwadzieścia minut temu.

– Dobrze. Czy pacjentka była cały czas przytomna?

Pielęgniarka posyła mi spojrzenie, po czym kiwa głową.

– OK. – Mężczyzna zaczyna badać głowę i kark Merethe, podczas gdy jego towarzysza ogląda klatkę piersiową, brzuch, przedramiona, uda i łydki. Co chwilę się zatrzymują, pytając, czy ranna odczuwa ból, co Merethe potwierdza cichymi jękami.

Gdy tylko kończą te wstępne oględziny, opatrują ranę przy uchu kompresem i zagląдают jej do ust, szukając ewentualnych źródeł krwawienia. W końcu mężczyzna bada reakcję źrenic, prostuje plecy i spogląda w naszą stronę.

– Damy jej coś przeciwbólowego i przeniesiemy na nosze. To ważne, by cały czas leżała w bezpiecznej pozycji. Trzeba sprawdzać, czy nie krwawi z ust i czy nic jej nie spływa do przełyku. Wolelibyśmy jej nie intubować ze względu na żuchwę, ale musimy być przygotowani na taką konieczność.

Kobieta podaje Merethe zastrzyk przeciwbólowy, a jej towarzysz zwraca się do Siv:

– Jest pani pielęgniarką?

Siv kiwa głową.

– Może pani przytrzymać jej zuchwę? Szybko ją przeniesiemy.

– OK. – Sanitariuszka sięga po dwie płaskie plastikowe deski, które wsuwa ostrożnie między podłogę a plecy Merethe, tak by można było jednym płynnym ruchem położyć ją na noszach.

Gdy ją podnoszą, ciągnie się za nią strużka świeżej, zakrzepłej krwi. Na leżącym na podłodze ręczniku zostały duże ciemne plamy. Personel karetki ustala z Siv, że będzie im towarzyszyła w aucie do Blekøyhamn i dalej, w śmigłowcu do Szpitala Uniwersyteckiego w Tromsø. Salowy otrzymuje natomiast polecenie poinformowania o zajściu pracowników domu opieki.

– Zadzwoń na policję z karetki – mówi Siv, przenosząc spojrzenie z Harveya na mnie. – Nie wiem, co ten facet... – Celuje we mnie krótkim pulchym palcem. – Nie wiem, co on tutaj wyprawiał, ale widać przecież, że jest czymś naćpany i... i...

– Co takiego twoim zdaniem zrobiłem? – pytam.

– Spójrz na nią tylko! – krzyczy Siv. Załoga ambulansu zamiera na chwilę i wbija we mnie wzrok. – Chcesz mi powiedzieć, że tak po prostu się przewróciła?

– Spokojnie – mówi Harvey, stając między mną a Siv. – To ja go poprosiłem, żeby się zwrócił do Merethe. Ma problemy z brzuchem, to wszystko.

Siv chce coś powiedzieć, ale zamiast tego nabiera powietrza i zaczyna od nowa:

– I tak zadzwonię, mając na uwadze wszystko, co tu się ostatnio wydarzyło. A przy okazji pozwól, że ci zwrócę uwagę, Harvey: nie możemy wynajmować kwater dla pensjonariuszy przypadkowym ludziom bez konsultacji z dyrekcją. Rozmawialiśmy już o tym zresztą. Pozbądź się stąd tego człowieka. Tak szybko, jak to możliwe.

Siv podchodzi do noszy, pomaga je podnieść na właściwą wysokość i wychodzi za załogą ambulansu. Gdy tylko zamykają się za nimi drzwi, Harvey zbliża się do mnie.

– Ja... – zaczynam, wstając z sofy.

– Boże, widziałeś ją? – Harvey przyciąga mnie do siebie, łapie za T-shirt na karku i zaciska na nim palce. – Widziałeś, jaka była wystraszona?

Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa, wiszę tylko apatycznie w ramionach Harveya, usilnie starając się zapomnieć o wszystkim, co się właśnie wydarzyło. Harvey uwalnia mnie w końcu z uścisku i staje przede

mną, przestępując z nogi na nogę.

– Dzwonili do mnie. – Głos ma ochrypły, zniża go niemal do szeptu.

– Kto?

– Policjanci z komendy w Tromsø. Chcą, żebym się u nich stawił jutro rano. Z początku chcieli rozmawiać ze mną już dziś wieczorem, ale udało mi się to przełożyć.

– Aha – bełkoczę w odpowiedzi i ocieram twarz ramieniem.

– Pytali o ciebie, Thorkildzie. Chcieli wiedzieć, kiedy przyjechałeś, gdzie mieszkasz i jak się zachowywałeś, kiedy płynęliśmy do latarni.

– W takim razie badają scenariusz, według którego Bjørkang i Arnt przybyli na wyspę tego wieczora, kiedy tam byłem – zaczynam. – I stało im się coś złego.

– Kurwa mać – burczy Harvey.

– Lepiej bym tego nie ujął...

– Słuchaj – zaczyna mój rozmówca. Za oknami słychać chrzęst żwiru, po którym toczą się przez parking nosze z Merethe. – Nie chciałem nic mówić, ale teraz czuję, że muszę.

– O co chodzi?

– Jak dziś do mnie dzwoniłeś, płynąłem właśnie do hodowli, musiałem minąć po drodze latarnię... – Waha się przez chwilę. – W drodze powrotnej coś zauważyłem.

– Co?

– Jakby ludzką sylwetkę. Albo może dwie, nie jestem pewien. Było ciemno, przepływałem jakiś kilometr od brzegu. Ale ona siedziała...

– Ona? – pytam, z trudem powstrzymując drżenie ciała.

– Nie wiem, kto to był, ale że kobieta, tego jestem pewien. Nie dostrzegłem jej twarzy, tylko powiewające na wietrze włosy. Widziałem ją przez chwilę, potem już płynąłem pod takim kątem względem hangaru na łodzie, że mi zniknęła. Nie mam nawet całkowitej pewności, czy to był człowiek, czy może jakieś powiewające na wietrze śmieci, ale drzwi do hangaru były otwarte i ogarnęło mnie takie dziwne przeczucie, że ktoś jest w środku. Ktoś, kto się chowa w ciemnościach i tylko czeka, aż zniknę z horyzontu.

Słyszę, jak trzaskają drzwi ambulansu; po chwili pulsujące światło, które cały czas wpadało do środka przez okno, znika w oddali i znów zapada granatowa wieczorna ciemność.

– Muszę lecieć – mówi Harvey, spoglądając za karetką. Zupełnie jakby powrót ciemności wybudził go ze snu, przypomniał mu o dramatycznej sytuacji, w jakiej się znalazł. – Wezmę z domu chłopaka i pojedę za nią.

Harvey wychodzi, nie oglądając się za siebie. Przemierza szybkim krokiem parking i wsiada do pikapa. Gdy tylko znika, odciągam zupełnie zasłony i wpuszczam do środka ciemność. Stoję przed oknem, rozważając, jak szybko wszystko potrafi się spieprzyć, kiedy tylko sprawy przybiorą niepomysłny obrót, czy to przy kuchennym stole z ukochaną osobą, w czasie przesłuchania czy też w życiu jako takim, kiedy człowiek stacza się ku swojej zagładzie i nie jest w stanie wcisnąć hamulca ani zmienić kursu.

– Tym razem wszystko naprawdę wzięło w łeb – mówię do płatków śniegu unoszących się nad parkingiem w świetle ulicznej latarni. Gdzieś daleko, nad wyspą, rozstały się na chwilę chmury, pod skrawkiem czystego nieba krąży stado ptaków, a wąski promień księżycowej poświaty pada przez moment na skały. Nagle dostrzegam światło palące się w jednym z okien głównego budynku, świetlisty kwadrat w zimnych ciemnościach.

– Harvey miał rację. – Przyciskam twarz do szyby. – Ona tam na mnie czeka. Najwyższy czas się stąd zabierać.

Rozdział 36

Jestem zdyszany, gdy wreszcie dopadam stojącego na parkingu auta. Jadę nad zatokę, do hangarów na łodzie i parkuję w miejscu, gdzie zatrzymali się lensmann i jego zastępca, kiedy przyjechaliśmy tu obejrzeć łódź Rasmusa w hangarze Harveya. Wyskakuję z auta, biegnę zygzakiem w kierunku przekrzywionego przez wiatr stojaka do suszenia ryb, starając się ominąć kałuże w torfie i śliskie fragmenty skał.

Ptaki na niebie przypominają kukielki w teatryku cieni, unoszą się i opadają nad kwaterą latarnika, powoli i z gracją, na niemal nieruchomych skrzydłach. Widzę też inne ptaki, na morzu wokół latarni, czarno-białe, tańczące na falach niczym chińskie lampiony.

Hangar jest podzielony na dwie części, w głębi ma pomieszczenie na sieci, widzę w nim różne narzędzia, zielone szklane kule, liny i skrzynki, na ścianie zaś wisi zielona plastikowa łódka bączek. Powieszono ją na dwóch hakach, o jeden z nich zaczepiony jest dziób, o drugi – rufa. Jest tak niewielka i lekka, że bez żadnego kłopotu zdejmuję ją ze ściany i zaciągam na brzeg.

Woduję łódkę i wskakuję do środka. Cała wyspa i morze wokół niej skąpane są w srebrzystej księżycowej poświacie. Stado ptaków na niebie przypomina wachlarz, latarnia i pozostałe zabudowania oświetlone są jasnymi promieniami padającymi przez wyrwę w chmurach – nici łączące dwa obracające się wokół siebie punkty.

– Tak jak my, Frei – łkam, a łzy i smarki płyną mi po twarzy. – Jak my.

Gdy w końcu przybijam do zniszczonego kikuta pomostu, strasznie bołą mnie plecy. Rzucam plecak na brzeg, po czym gramolę się z bączka i staję na skałach. Biegnę do hangaru na łodzie, otwieram drzwi... Nikogo tam nie ma, więc ruszam dalej przez wyspę. Przystaję u stóp kamiennych schodów, zadzieram głowę i spoglądam na szczyt latarni. Zimne, srebrne promienie księżyca sprawiają, że cała konstrukcja zdaje się świecić. Nabieram powietrza i biegnę dalej.

Pojedyncze krople deszczu i ostre morskie powietrze chłószczą moją

twarz, ale nie zadaję sobie trudu, by zapiąć kurtkę albo wpuścić T-shirt w spodnie. Drzwi do głównego budynku zabezpieczone są biało-czerwoną taśmą policyjną. Zrywam ją i ciskam na ziemię. Wchodzę do środka i biegnę prosto do baru.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wyrzucam z siebie, przystając przy kontuarze. W powietrzu unosi się słaby zapach cebuli, zapach, którego nie było tu ostatnio, ale który zdaję się rozpoznawać. Okna zakryte są czarnymi plastikowymi workami. Wszystkie oprócz jednego. Na podłodze stoi zapalona lampa robocza, wycelowana w tę właśnie odsłoniętą szybę.

Podchodzę do okna i je otwieram. Na dworze jest zupełnie ciemno. Wyrwa w chmurach zdążyła się zamknąć.

– Za późno – wzdycham.

Stoję tak przez kilka minut, gapiąc się na pokrywę chmur nad moją głową, czekając w nadziei, że znów pojawi się pęknięcie, ale na próżno, napływają nowe chmury, nie ma księżyca, nie ma światła, nie ma Frei. Tylko czarna zapora, której nic nie jest w stanie sforsować. W końcu zamykam okno i wychodzę z baru.

Czuje, że nadszedł czas na kolejną próbę wyciśnięcia z siebie ciężaru, który zaklinował mi się w brzuchu, więc schodzę do piwnicy, gdzie mieści się teraz dyskoteka oraz – zgodnie z wiszącą na ścianie tabliczką – toalety.

Drzwi na dole są zamknięte na kłódkę, a ja nie mam klucza. Robię w tył zwrot i biegnę po schodach do foyer, a potem na piętro. Powietrze jest tu ciężkie, wilgotne, unosi się w nim kwaśny zapach palonego drewna i wilgotnej tkaniny.

Podchodzę do uchylonych drzwi. Pomieszczenia w tym skrzydle budynku wyglądają, jakby najbardziej ucierpiały na skutek pożaru. Poszycie ścian oraz sufitu zostało zerwane zarówno w pokoju, jak i przylegającej do niego łazience bez umeblowania i sedesu. Na podłodze leżą narzędzia oraz kilka rolek nowej izolacji, jest też lampa robocza. To jedyne pomieszczenie na piętrze, którego remont zdążył rozpocząć Rasmus. Reszta stoi nieruszona od lat osiemdziesiątych.

Kolejny pokój wypełniony jest meblami, pod jedną ze ścian piętrzy się stos poukładanych na sobie rozkładanych wersalek, obok nich stoją różne szafy i meblościanki, a nawet kilka piętrowych łóżek, wszystko z bielonej łągiem sosny. Ściany są osmolone, a dywan ma owalne plamy w miejscach, gdzie został przepalony aż do wiórowej płyty, na której leży.

Zamykam drzwi, wracam do schodów i badam korytarz po drugiej ich stronie. Pierwsze pomieszczenie, do którego wchodzę, ma na drzwiach tabliczkę z informacją, że jest to Sala Spotkań 1. Zasłony leżą na podłodze. W oknach wiszą pajęczyny z licznymi trupami owadów. Jest tu kilka krzeseł, ustawionych w podkowę wokół stołu ze starym komputerem. Na podłodze leży instrukcja edytora tekstów WordPerfect.

Za następnymi drzwiami znajduję siłownię zastawioną rowerami stacjonarnymi, statywami i różnymi przyrządami do ćwiczeń. Są tu też hantle oraz zakurzone lustro. Brakuje jednego wywietrznika, zamiast niego w ścianie zajeżdża czarna dziura. Na podłodze niedaleko drzwi zauważam ptasi szkielet. Dostrzegam drzwi prowadzące do mniejszego pomieszczenia i ruszam z nadzieją w ich stronę.

Wchodzę do malutkiej toalety wyposażonej tylko w sedes i prostą umywalkę. Zrywam spodnie i opadam na deskę klozetową, przeszywa mnie dreszcz, gdy odsłonięta skóra styka się z lodowatą powierzchnią. Mimo to nie ruszam się z miejsca, zamykam drzwi, zostawiając niewielką szparę między nimi a framugą, przytrzymuję klamkę, starając się jednocześnie rozluźnić mięśnie i pozwolić sile ciężenia czynić to, co czynić powinna.

Nic się nie dzieje. W końcu mam już dość siedzenia na klozecie i bezowocnego parcia ze zmarzniętymi pośladkami do dźwięków wiatru gwizdającego w okiennych szparach.

– Pieprzone gównie – warczę, wciągając z powrotem spodnie. Otwieram drzwi na oścież i schodzę na parter. Najwyższy czas zająć się tym, po co tu przyjechałem.

Idę do baru, podchodzę do szklanych półek i ściągam z jednej z nich wypełnioną do połowy butelkę smirnoffa. Wyciągam blistry oraz kilka luźnych listków z pigułkami, wypełniam dłoń tabletkami i kapsułkami w różnych kolorach i kształtach.

– Mam nadzieję, że wystarczy – szepczę, po czym połykam to wszystko, zapijając gorzkim, piekącym w usta płynem z butelki.

Stojąc tam, dostrzegam nagle leżący pod ścianą worek na śmieci i kartonowe pudło, którego nie widziałam tu wcześniej. Podchodzę do niego, by zajrzeć do środka. Zużyte lateksowe rękawiczki i kilka pustych fiolek, które sądząc po zapachu, musiały zawierać luminol.

Luminol to chemiczny odczynnik luminescencyjny, który miesza się z wodą, a następnie spryskuje takim roztworem obszar, na którym szuka się

za pomocą światła UV plam krwi – stąd pewnie czarne plastikowe worki w oknach. Zawarte w krwi żelazo działa jako aktywator i zaczyna świecić na niebiesko, co umożliwia odnalezienie nawet najmniejszych śladów, nawet tych, które usiłowano usunąć za pomocą chemikaliów.

Wybieram w komórce numer i naciskam zieloną słuchawkę na ekranie.

– Gunnar Ore – mówi głos po drugiej stronie, trochę z zainteresowaniem, a trochę z irytacją.

– To ja.

– Thorkild? Co do... Nie dalej jak siedem godzin temu dość wyraźnie prosiłem, żebyś się trzymał z dala...

– Dlaczego przysłaliście na wyspę techników kryminalnych?

– Co?

– Robiliście tu badania kryminalistyczne – powtarzam. – Dlaczego?

– My? Ja pracuję teraz w Delcie, mówiłem ci przecież. A może odpłynąłeś tak daleko w tę swoją zasraną ćpuńską krainę, że już zapomniałeś? Technika kryminalistyczna to nie moja działka.

– Ale wiesz o wszystkim.

Na moment w słuchawce robi się cicho. Słyszę, jak Gunnar Ore nabiera powietrza, po czym głośno wzdycha.

Kolejny wdech.

– Komenda z Tromsø wysłała prośbę o pomoc do Kripos, a oni zalecili im badania kryminalistyczne na wyspie w związku ze zniknięciem tamtych dwóch funkcjonariuszy, to wszystko.

– Ale dlaczego?

– Tego jesteś chyba w stanie sam się domyślić?

– Więc jednak jesteś w to zaangażowany – stwierdzam, zwracając się głównie sam do siebie, zanim Ore mi przerwie.

– Daj już spokój. Obudź się, człowieku. Co tobie się, kurwa, wydaje? Dwóch zaginionych policjantów, cywil, który zapadł się pod ziemię, a ty biegasz dookoła, bredząc o jakichś morskich potworach i złodziejach trupów bez twarzy. Cholera, stary. Przecież to tykająca bomba. Sprawa spierdolona z takim epickim rozmachem, że zaraz zainteresują się nią media. I to sprawa z twoim nazwiskiem wypisanym wielkimi literami przez całą szerokość. A jak sądzisz, do kogo zaczną dzwonić, kiedy wypłynie nazwisko Thorkild Aske i wybuchnie ogólna panika?

Siedzę w milczeniu dłuższą chwilę, ściskając telefon w dłoniach, aż

w końcu ocieram z twarzy łyżę i smarkę i szepczę do słuchawki:

– Dlaczego sądzicie, że tamci dwaj zeszli na ląd na wyspie tej samej nocy, kiedy zniknęli?

– Przestań już, Thorkildzie. Co ty wyprawiasz?

Toczę wzrokiem po tonącym w półmroku pomieszczeniu i zmuszam się do przełknięcia kolejnego łyku wódki.

– Znaleźliście krew, prawda?

Gunnar chce chyba coś na to powiedzieć, ale gryzie się w język.

– Gdzie? – naciskam.

Cisza.

– No gadaj, gdzie? – Zaczynam spacerować w ciemnościach. – Czy to ma jakieś znaczenie? Dlatego mi nie chcesz powiedzieć?

– Luminol zareagował w barze, w głównym budynku – mówi wreszcie Ore.

– Plamy zamachowe?

– Nie. Ślady pasywne między kafelkami przy komplecie wypoczynkowym.

Plamy zamachowe świadczą o tym, że człowiek został w konkretnym miejscu zabity, a przynajmniej odniósł rany tłuczone lub rąbane, ślady pasywne zaś oznaczają tylko, że dana osoba krwawiła, znajdując się w tym miejscu. Podchodzę do welurowej sofy i kucam. Podłoga jest gładka i zimna, wygląda, jakby ktoś ją niedawno umył.

– Wiecie, czyja to krew?

– Nie.

– Co więc sprawia, że stawiacie na Bjørkanga albo jego zastępcę?

– Czekamy na wyniki analiz.

– Próbujesz mi więc powiedzieć, że na razie, kierując się wyłącznie intuicją, zakładacie, że to krew lensmanna albo jego zastępcy, a nie Rasmusa czy kobiety bez twarzy? Albo zresztą kogokolwiek innego? Tak teraz pracujecie? Daj spokój, Gunnarze. Znaleźliście tu coś. Coś, co do nich należało, ze śladami krwi. Prawda?

– Jak właśnie powiedziałem... – Gunnar Ore podnosi nieco głos, nie tracąc przy tym spokoju – czekamy na wyniki...

– Widziałem dzisiaj upiora – wcinam się, nie pozwalając mu dokończyć tej powtarzanej z wyższością pieprzonej mantry. Wiem, że kłamię, i nie mam zamiaru pozwolić, by ostatnia rozmowa między nami odbyła się wyłącznie

na warunkach, które on dyktuje.

– Naprawdę? Poważnie, Thorkildzie? Upiory. To tu teraz zabrnęliśmy?

– Zobaczyłem go w oczach innej kobiety. To była ona. Upiór bez twarzy. Zwłoki, które znalazłem tu, na wyspie, i którymi nikt zdaje się nie przejmować.

– Cóż, jak mówiłem... – Jego głos staje się nieco bardziej stanowczy. Więcej basów, szybszy puls. – Nie ma na komendzie nikogo, kto wierzyłby, że ta kobieta, o której opowiadasz, w ogóle istnieje. Ludzie są wściekli, że się tam kręcisz, rzucając oskarżenia i insynuacje dotyczące zaginionych funkcjonariuszy o nieposzlakowanej opinii. To żałosne, nawet jak na ciebie.

– A ty – szepcę. – Co ty sądzisz?

– Ja? Cóż, chętnie ci opowiem, Thorkildzie. Sądzę, że jesteś ciężko uszkodzoną maszyną i powinieneś się stąd jak najszybciej zabierać, zanim znów gdzieś upadniesz i będziesz już nie do naprawienia.

– Humpty Dumpty na murze siadł. Humpty Dumpty z wysoka spadł.

– No właśnie – rzuca Gunnar Ore, którego najwyraźniej nie rozbawiło to nawiązanie.

– I wszyscy konni i wszyscy dworzanie...

– Na Boga, człowieku! Zbierz się wreszcie do kupy.

– To jaka jest teoria? Według jakiego scenariusza pracujecie?

– Wiesz przecież, że nie mogę...

– OK, to jaka jest waszym zdaniem moja w tym wszystkim rola? O tym chociaż mógłbyś mi wspomnieć.

Gunnar Ore śmieje się ochryple.

– Spokojnie, Thorkildzie. Nie jesteś typem mordercy, powiedziałem to Sverdrupowi już w pierwszej naszej rozmowie przez telefon. Mimo tego, co stało się z tobą i tą dziewczyną wtedy na Flyplassvegen. Jesteś tchórzem, nie masz charakteru, nie radzisz sobie w trudnych sytuacjach. Powiedziałem mu, że im szybciej pozbędą się ciebie z całej tej sprawy, tym będzie lepiej dla wszystkich stron. – Waha się przez chwilę. – W obliczu przeciwności zawsze wybierasz najłatwiejsze rozwiązanie, tym razem byłeś po prostu na niewłaściwej wyspie o niewłaściwej porze. I to wszystko.

– Co ty, kurwa, chcesz przez to powiedzieć? – Ciężar, który utknął mi w brzuchu, odzywa się nagle, zaciskam więc zęby, czekając, aż skurcz minie.

– Wiesz, o czym mówię.

– O mojej małej próbie wyjścia z więzienia nogami do przodu?

- Jeśli tak chcesz to nazwać.
- Nie powiedziałem ci, co się wtedy stało pod prysznicami – naciskam go dalej. – Chcesz posłuchać?
- Nie – odpowiada kwaśno Gunnar Ore. – Oszczędź tę opowieść dla kogoś, kogo to obchodzi. Po prostu wynoś się stąd, do cholery... – Milknie na chwilę. – Powiedziałeś *tu* – mówi nagle.
- Co?
- Powiedziałeś *tu*, przed chwilą, kiedy rozmawialiśmy o badaniach kryminalistycznych i tych twoich duchach. Jesteś teraz na wyspie, prawda? Tym razem to ja pozwalam sobie nie odpowiedzieć.
- Do jasnej cholery, Thorkildzie. – Słyszę, że mój rozmówca zaraz eksploduje, ale nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Wreszcie zacznę czuć na sobie działanie owadzich jaj i alkoholu, zalewają mnie kolejne fale o wysokich grzbietach i głębokich dolinach.
- Wszystko się zaraz skończy – szepczę, biorę butelkę smirnoffa pod pachę, po czym siadam na podłodze oparty o karton lamp Murano i przymykam oczy.
- Czy nie wspominałem ci, że pod żadnym pozorem nie powinieneś...
- Przepraszam, szefie – cedzę tak wyraźnie, jak tylko potrafię. – Ale jak sam powiedziałeś: mam zwyczaj uciekać od odpowiedzialności i chyba już czas, bym leciał dalej. Krrraa! Krrraa!

Rozdział 37

Nie jestem pewien, jak długo tak siedzę po zakończonej rozmowie z Gunnarem Ore. Ale nagle jakby wraca mi jasność umysłu. Uświadamiam sobie, że słyszę muzykę: uporczywe, hałaśliwe pobrzękiwanie automatycznej perkusji i syntezatora z lat osiemdziesiątych. Prawie jakbym się obudził w sam raz na imprezę.

Stawiam butelkę smirnoffa na podłodze. Przewraca się i odtacza kawałek ode mnie. Podnoszę głowę i otwieram oczy, kark mam sztywny, obolały. W barze jest ciemno i zimno, dużo bardziej, niż kiedy tu przyszedłem.

Podnoszę się z trudem i wychodzę na korytarz, gdzie muzyka jest głośniejsza. Staję u szczytu schodów prowadzących do zamkniętej dyskoteki w piwnicy, gdy nad uporczywe tony syntezatora wzbija się nagle kobiecy głos: *...I feel the night explode when we're together. Emotion overload in the heat of pleasure...*

Schodzę na dół, by stwierdzić, że pancerne drzwi, wcześniej zamknięte na kłódkę, stoją teraz uchylone. Na ścianie, którą za nimi dostrzegam, tańczą żółte, zielone i niebieskie światła. Wiszą na niej w symetrycznych rzędach szklane gabloty oklejone białymi plakietkami, ale nie widzę stąd, co jest na nich napisane ani co się kryje za szkłem.

...Take me I'm yours. Into your arms. Never let me go. Tonight I really need to know... – śpiewa dalej kobiecy głos, ja zaś przeciskam się przez uchylone drzwi i wchodzę do czegoś w rodzaju przedsionka przerobionego na szatnię, naprzeciwko mnie dostrzegam otwarte na oścież podwójne drzwi. Po lewej stronie mam puste haczyki na płaszcze, po prawej – wejścia do damskiej i męskiej toalety. Panuje tu zaduch, wszystko sprawia wrażenie, jakby nikt nie zaglądał w to miejsce od czasów, gdy modnisie z lat osiemdziesiątych przestali tu tańczyć jakieś trzy dekady temu.

Podchodzę do pierwszej szklanej gabloty, przytwierdzonej do betonowej ściany na wysokości moich oczu. Automatyczna perkusja przyspiesza, zbliża się refren: *...Tell it to my heart. Tell me I'm the only one. Is this really love or just a game?*

W środku leży ptasie gniazdo. Nurzyk zwyczajny (*Uria aalge*) – głosi plakietka na gablocie. Na kamiennej płytce leżą dwa jaja. Są jadownicie zielone, nakrapiane ciemnymi nieregularnymi plamkami tworzącymi na skorupach wzory podobne do płomieni. Obok wisi gablota z dwoma jajami alki, szarawymi w ciemnobrązowe cętki, ułożonymi w imitacji skalnej rozpadliny.

Idę wzdłuż ściany, mijając kolejne ptasie jaja, i kieruję się do dyskoteki. Kafelki na podłodze ułożone są tu w szachownicę, tak samo jak w szatni. Reszta wyposażenia to stal i szkło, ściany i sufit zostały pomalowane na pastelowe kolory.

Pod sufitem wiruje w takt muzyki lustrzana kula. Z głośników zaczynają się sączyć klasyki, które pamiętam z czasów młodości. Na podłodze, obok budki dla didżeja stoją dwie wytwornice dymu, co jakiś czas wypluwające na pusty parkiet kolejne jasne kłęby. Męski głos śpiewa: *...never gonna give you up, never gonna let you down. Never gonna run around and desert you...*

Nie najlepsza akustyka, kurz i sztuczny dym stwarzają dość upiorną atmosferę, pulsujące światłem chmury pyłu w kolorze siarki unoszą się nad barowymi łozami i parkietem.

W budce didżeja został zamontowany stroboskop, raz po raz posyłający w głąb sali ostre rozbłyski. Światło odbija się od lustrzanej kuli i rozbiega w setki mniejszych błyskawic.

– Co to jest za miejsce? – bełkoczę, unosząc dłoń na wysokość nosa, i poruszam palcami. W tym świetle ruch jest urywany, mechaniczny. Zupełnie jakbym wszedł do własnego narkotycznego snu, w którym wszystko fruwa nad ziemią.

Zamieram w chwili, kiedy znad parkietu wzbija się kolejna chmura dymu. Cząsteczki kurzu krążą wokół mnie i wiją się w tym dziwnym świetle niczym zorza polarna na nocnym niebie. Mój wzrok pada nagle na coś w głębi sali.

Coś, czego na pewno nie powinno tam być.

Rozdział 38

Tabletki i alkohol sprawiają, że ciało mam lekkie, jakby odłączone od mózgu. Zataczam się przez parkiet w kierunku kobiety, która siedzi w łoży w głębi sali, zaraz przy wyjściu awaryjnym, z głową opartą o ścianę.

Wiem, że jeśli ma mi się udać to, co postanowiłem, potrzeba mi czegoś więcej. Wielkiego finału tego przedstawienia nie popsuje żadna zardzewiała rura ani inne wybrakowane rekwizyty.

Na stoliku przed nią palą się dwie świeczki do podgrzewacza, wstawione do słoików po dzemie. Wygląda, jakby zasłaniała się dłonią, jakby spała albo po prostu odwróciła się na chwilę od muzyki, dymu oraz irytujących świateł.

Kobieta bez twarzy wciąż ma na sobie cienką nocną koszulę i T-shirt. Jej ciało i głowa są poszarzałe i pokryte cienką warstewką popiołu, co sprawia, że przypomina mumię, jedną z tych, które ogląda się w telewizji w filmach o Pompejach czy podobnych miejscach.

Świeczki w słoikach gasną w chwili, gdy docieram do stolika. W powietrze wzbijają się rozżarzone cząsteczki kurzu, tańczą chwilę przed moją twarzą niczym chmara świetlików, po czym dopalają się i znikają.

– Czekasz na kogoś?

Kobieta milczy, opadam więc ciężko na sofę po drugiej stronie stolika. Ściana wydaje się wilgotna i zimna, jakbyśmy siedzieli w domu na dnie morza, a lodowata woda napierała ciężko na betonowe mury po drugiej stronie.

Pochylam się i odgarniam ostrożnie jej gęste, jadowicie zielone włosy. Są zimne, sztywne i skrzypią jak zamarznęte mokre ubranie. Otrzeputuję popiół i stwierdzam, że jej ciało pokrywa gładka przezroczysta błona. Jest zamarznęta jak wyciągnięty właśnie z zamrażarki kawałek mięsa albo ryby.

– Co tu robisz? – Znów pochylam się ciężko nad stołem i ostrożnie otrzepuję sztywne zwłoki z kurzu. Czuję się, jakbym usuwał sadzę z topiącego się śniegowego bałwana, brud zostawia na gładkiej lodowej błonie szare smugi w miejscach, gdzie jeszcze przed chwilą była moja dłoń. Pod spodem widać siną skórę i brunatne plamy pośmiertne.

Wycieram rękoma stolik między nami, zgarniając dziesięciolecia kurzu i śmieci na podłogę i odsłaniając szklany blat. Czuję się, jakbym siedział w miejscu zarezerwowanym dla martwych i umierających, na stacji przesiadkowej, gdzie oboje, ja i kobieta bez twarzy, czekamy na dalszą podróż, przejście od jednej formy do drugiej.

Muzyka cichnie nagle, wygląda na to, że sprzęt ma już dość, i w sali zapada nieprzyjemna cisza. Przerywa ją tylko szum silniczka obracającego lustrzaną kulę pod sufitem i rozlegające się co jakiś czas ochryple wydechy wytwornic dymu.

– Czy gdzieś tu mógł się zakraść błąd? – Wycieram szklany blat rękawem, próbując go doczyścić. – Może zamieniłyście się miejscami? – Opróżniam kieszenie z pudełek, blistrów i listków z tabletkami, wybieram z nich leki i układam je na stoliku. – Bo widzisz, byłem tu umówiony z kimś innym.

Układam pigułki i kapsułki w rzędy tak, że w końcu udaje mi się z nich zbudować słowo. Wskazuję na imię uformowane z czterech liter i unoszę wzrok na siedzącą przede mną lodową postać.

– Z nią. – Rozglądam się dookoła z uśmiechem. – To dla nas cała ta impreza.

Teraz, gdy ucichła muzyka, także kurz chyba trochę opadł. Podnoszę kilka tabletek tworzących belkę litery F, staram się wytworzyć dość śliny i w końcu połykam je z trudem. Mam już sięgać po kolejne, gdy nagle znów rozbrzmiewa muzyka. Z początku z głośników dobiega tylko nieprzyjemny zgrzyt, ale wkrótce przebijają się przez niego perkusja i głęboki męski głos, który śpiewa: *...Ooh, give you up, oh, give you up. Oh, never gonna give, never gonna give...*

Kurz znów wzbija się w powietrze i zaczyna wirować w rytm dudniących basów. Wyciągam komórkę i wybieram ostatni numer. Zanim będę gotowy, muszę porozmawiać z jeszcze jedną osobą.

– Thorkildzie? – Głos Liz jest miękki, ciepły i jak zawsze zabarwiony pełną ambiwalencji niepewnością co do tego, który Thorkild tym razem do niej dzwoni.

– Cześć, Liz – bełkoczę, próbując jednocześnie zasłonić usta przed cisnącym się do nich kurzem.

– Gdzie jesteś?

– Na dyskotece – rzucam, podnosząc ze stołu kolejne pigułki.

– Co proszę?

– Jestem na dyskotecę – powtarzam spokojnie, przenosząc wzrok na mechaniczną lustrzaną kulę, która skrzypi cicho, obracając się wokół własnej osi. W wytwornicach chyba skończył się dym, maszyny wydają z siebie tylko regularne charczące odgłosy, wypluwając na parkiet kłęby kurzu, który miesza się zaraz z masami fruwającymi po lokalu. – Na wyspie.

– A... ale...

– Ktoś zorganizował tu dla nas imprezę.

– Dla kogo? – pyta Liz zaniepokojona. – Nie rozumiem?

– Imprezę dla zmarłych – zmiatam ze stolika resztki F i całe R – i tych, którzy wkrótce do nich dołączą. – Wsypuję owadzie jaja do ust, tocząc spojrzeniem po wnętrzu tej surrealistycznej tancbudy wypełnionej kurzem i pulsującym światłem.

– Gniewasz się na mnie?

– Nie, Liz. Nie gniewam się. – Ciało przestało mnie boleć, rozlewa się po nim dziwne uczucie, to samo, które towarzyszyło mi, gdy wsiadałem na pokład samolotu do Stanów. Było to zaledwie kilka dni po tym, jak podpisaliśmy z Ann-Mari papiery, w których prosiliśmy o rozwiązanie naszego małżeństwa raz na zawsze.

Mediacje i czas spędzony w separacji nie pomogły, nic nie było nam w stanie pomóc, wiedzieliśmy to wtedy już od dawna. Separacja tylko jeszcze nas od siebie oddaliła. Siedziałem więc, wyglądając przez niewielkie okienko i patrząc, jak samolot wzbija się nad chmurami. A gdy w końcu zaczął podchodzić do lądowania po drugiej stronie oceanu, uświadomiłem sobie nagle, że po jedenastu i pół godziny podróży z samolotu na Miami International Airport wysiądzie nowy Thorkild. Podobnie jak nowy Thorkild został wyniesiony spod pryszniców w więzieniu w Stavanger półtora roku później, a jeszcze nowszy przekroczył bramę zakładu karnego nie dalej jak tydzień temu.

Właściwie to tych Thorkildów było całkiem sporo. Zbyt wielu ich się narobiło. Jeszcze przed całą tą historią, kiedy drugi z kolei zostawił pierwszego w domu na Islandii, by pojechać z mamą i Liz do Norwegii, do Oslo, tak dawno, dawno temu. Ale ten tu, teraz, będzie ostatni. Czas Thorkildów dobiegł końca.

– Mówiłem ci o tamtej rurze, Liz? – Wypełniający salę od podłogi po sufit kurz gryzie mnie w oczy i nos. Cegła w brzuchu nadal ciśnie, mimo że

nie ma najwyraźniej zamiaru ruszyć się ani o milimetr.

– Nie – szepce moja siostra. – W ogóle nie mówiłeś mi o niczym, co się zdarzyło w więzieniu.

Pochylam głowę na bok, tak że na wpół siedzę, na wpół leżę z twarzą zwróconą ku ścianie i kobiecie po drugiej stronie stolika.

– W takim razie najwyższy czas – bełkoczę i zamykam oczy. – Zanim zamkną się drzwi, a kapela pojedzie do domu.

Rozdział 39

Więzenie w Stavanger, 13 lutego 2012

Robert, kochanek Arnego Villmyra i partner do tańca Frei, którego poznałem na kursie w Sølvsberget, przysłał mi do więzienia list z prośbą o spotkanie. Widziałem go przez okno na parkingu w aucie razem z Arnem. Długo się całowali i obejmowali, Robert wysiadł w końcu i ruszył do więziennej bramy.

Więzenie w Stavanger miało cztery pokoje odwiedzin. Odsiadywałem karę w oddziale PÓLNOC razem z osiemnastoma innymi skazanymi. Ponieważ właśnie trwały ferie zimowe, trzy pokoje były zamknięte. Wolna została tylko sala do widzeń rodzinnych. Na ścianach wisiały dziecięce rysunki, stały tu pudła z Ikei wypełnione zabawkami i niewielki stolik do rysowania. Na skórzanej sofie siedziały dwa wielkie pluszowe Kubusie Puchatki, rozparte każdy w swoim końcu, z rozłożonymi łapkami, jakby w oczekiwaniu, aż ktoś je przytuli.

– Gotowy? – spytał strażnik, gdy stanęliśmy w otwartych drzwiach. Dostrzegłem Roberta idącego korytarzem w towarzystwie innego funkcjonariusza. Miał splecione dłonie i pochyloną głowę, jakby przybył tu właśnie jako nowy więzień i szykował się na spotkanie z kolegami spod celi. – Macie pół godziny – dodał strażnik. – Potem odwiedza nas kobieta z synkiem, który ma pierwszy raz w życiu zobaczyć ojca. Zarezerwowaliśmy dla nich ten pokój na resztę dnia.

– W porządku – odparłem, spoglądając na dziecięcy kącik. Był tam stół ustawiony na niebiesko-żółtej macie, na nim czekały przybory do rysowania i zabawki. Obrazek na macie wyobrażał dwie żyrafy jedzące owoce z nienaturalnie wysokiej jabłoni.

– Zaczekaj tutaj – powiedział strażnik i zamknął drzwi.

Robert oraz prowadzący go funkcjonariusz byli już tak blisko, że słyszałem ich kroki za drzwiami.

Podszedłem do sofy i usiadłem obok jednego z Puchatków. W następnej chwili w progu stanął Robert.

– Dobrze, panowie. Pół godziny. Będę na korytarzu.

Mój gość przystanął na chwilę, czekając, aż zamkną się za nim drzwi. Był tak samo nienagannie ubrany jak w trakcie naszego ostatniego spotkania, miał na sobie spodnie od garnituru, białą koszulę, parkę i modny szalik. Jego twarz wydała mi się z bliska trochę mniej subtelna.

– Proszę siedzieć – powiedział, gdy chciałem wstać na jego powitanie. Rozwiązał szalik i położył go na dziecięcym stoliku razem z kurtką. Przeczesał gęste czarne włosy dłońmi, po czym usadowił się w drugim końcu sofy. Nie miał najwyraźniej sumienia sadzać Kubusia Puchatka na zimnej podłodze, bo wreszcie wziął go na kolana.

– Właściwie nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni – zaczął, nie próbując nawet zainicjować uścisku dłoni.

– Racja – odparłem. – Widzieliśmy się wtedy na kursie tańca, ale to wszystko. Czego pan chce?

Robert skinął w milczeniu głową, nie odpowiadawszy na moje pytanie. W liście napisał tylko, że ma mi coś do powiedzenia, coś, o czym powinniśmy pomówić. Po wypadku wróciłem do Bergen, do wynajmowanej kawalerki, w której oczekiwałem na rozprawę. Zostałem zawieszony w moich obowiązkach oficera Jednostki Specjalnej, kiedy tylko przyszły wyniki badań toksykologicznych krwi. Odezwał się do mnie tylko mój szef, Gunnar Ore, który zadzwonił i kazał mi trzymać się z dala od biura i kolegów oraz nie rozmawiać z prasą. Zakończył rozmowę, życząc mi, żebym zdechł.

– Jak tam... – Robert zmarszczył nos, po czym dokończył: – Jak tam twarz?

Instynktownie podniosłem dłoń do czerwonej blizny w kształcie półksiężyca, którą miałem pod okiem. Przesunąłem palce w kierunku policzka, gdzie popękana skóra tworzyła wzór przywodzący na myśl gwiazdę, uciskając na kanaliki łzowe pod powierzchnią.

– Goi się – odpowiedziałem i cofnąłem dłoń, gdy tylko sobie uświadomiłem, że dotykam twarzy.

– Goi się, to dobrze. – Robert rozsiadł się wygodniej. – Pochowaliśmy Frei w domu, w Tananger. – Odwrócił się do mnie, zakładając nogę na nogę. – Może pan pojechać na grób, kiedy pana stąd wypuszczą. Jeśli pan zechce. Arne i reszta rodziny dają zgodę.

– Dziękuję. – Zacisnąłem palce na uchu Kubusia Puchatka.

– Jej rodzice już wrócili do siebie. Arne czeka na mnie w aucie, nie chce

z panem rozmawiać.

Pokiwałem głową, nie wypuszczając niedźwiedziego ucha.

– To ja dałem Frei GHB. – Robert splótł palce na brzuszku trzymanego na kolanach misia. – Dlatego musiałem tu przyjechać. Żeby to panu powiedzieć.

– Dlaczego? – spytałem lodowato.

Robert spojrział na mnie z dziwną miną.

– Nie wie pan? – Potrząsnął głową. – Cóż – dodał – mnie się wydaje, że pan wie.

Wzruszyłem ramionami, wciąż miętosząc Puchatkowe ucho.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie, być może nie ma. – Robert patrzył na mnie jeszcze jakiś czas w milczeniu, po czym dodał: – Ale musiałem to panu powiedzieć.

– A ze swoim partnerem, który tam na pana czeka, i z jej rodzicami pan o tym rozmawiał?

– Oni wiedzą – odparł z dziwnym półuśmiechem, przywodzącym na myśl raczej bolesny grymas. – Pan wiedział, że ona się z kimś spotykała – ciągnął Robert. – Z... policjantem z komendy w Stavanger?

Znów wzruszyłem ramionami. Poczułem, że robi mi się zimno. Mój żołądek skurczył się boleśnie.

– Z Simonem Bergelandem – powiedziałem wreszcie.

– Tak, właśnie. Z człowiekiem, którego przyjechał pan przesłuchać w tej całej sprawie. Złodziej, zbir i ogólnie rzecz biorąc, duppek po Akademii Policyjnej. Jego świat miał się zawalić wraz z pańskim przybyciem do miasta.

Miętoliłem dalej ucho misia. Siedziałem na sofie bez słowa, czując, jak wszystko się we mnie przewraca.

– Dlaczego? – powtórzyłem.

– Dlaczego co, Thorkildzie? – Półuśmiech Roberta zmienił się w grymas wyrażający wyłącznie obrzydzenie i pogardę, nawet nie wobec mnie, ale wobec nas, tego, że siedzimy tu we dwóch, a Frei leży zimna i martwa w trumnie gdzieś w Tananger. Oparł brodę na głowie misia, przygryzając dolną wargę.

– Dlaczego ona to zrobiła?

– Na początku była po prostu ciekawa, kim jesteś. Moim zdaniem chciała się też dowiedzieć czegoś o Simonie, o tym, czym się faktycznie zajmował.

Dzień po waszym spotkaniu w Sting Frei przyszła do domu i spytała, czy mogę jej załatwić GHB.

– Jaki był plan?

– Trudno to nazwać planem – zaczął Robert. – Nie wiem wszystkiego, nie chciałem wiedzieć, ale chyba mieliście zostać zatrzymani do kontroli przez policję drogową, naćpani GHB, to by chociaż dało Simonowi chwilę oddechu. A może nawet przyczyniło się do umorzenia sprawy, kto wie.

– Kontrola policyjna... – Nagle znów poczułem w ustach kwaśny, cierpki smak cydru. – Naprawdę? – dodałem, próbując przełknąć ślinę. – Jakie to oryginalne.

– Simon wysłał jej SMS-a, że tego wieczora ma być kontrola na drodze do Tananger, i poprosił, by dopilnowała, żebyś się nadziała na tę kontrolę pod wpływem narkotyków. Opowiedziała mi o tym, kiedy przyniosłem jej butelkę z cydrem. Dobry Boże... – Robert jęknął i ukrył twarz w dłoniach. – Nie masz pojęcia, jak teraz tego żałuję.

– Na drodze do Tananger? – Zamarłem na chwilę i wyprostowałem plecy. – Co masz na myśli?

– Drogówka – odparł Robert, podnosząc na mnie wzrok. Półuśmieszek znów wrócił na jego wargi. – Zatrzymywali kierowców na końcu Tanangervegen.

– Nie – wyszeptałem, kręcąc głową. – Nie, nie, nie! – Spojrzałem na Roberta, ze wszystkich sił usiłując zapanować nad uczuciem, które zaczęło we mnie wzbierać. – Mylisz się. To nie mogło być na Tanangervegen. To...

– Nie, Thorkildzie. – Robert spoglądał na mnie spokojnie pomiędzy uszami przerośniętego misia. – Nie myślę się. – Posadził Puchatka na podłodze, wstał i podszedł do mnie. – Ale wy wcale nie jechaliście do Tananger – powiedział, muskając moje ramię dłonią. – Prawda?

Nie odpowiedziałem. Byłem zmarznięty, czułem się całkiem obnażony. Każdy najmniejszy ruch sprawiał mi ból. Cierpienie zupełnie nowego typu, takie, o którym nawet nie wiedziałem wcześniej, że istnieje. Które nie przemija, które nie miało przeminąć już nigdy.

Robert miał powiedzieć coś jeszcze, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Strażnik wetknął głowę do środka i oświadczył:

– Kończy się wam czas, panowie.

Siedziałem na sofie nieruchomo. Robert zaczął wkładać kurtkę i szalik.

– To chyba już wszystko. – Skinął głową, zasuwając zamek parki. –

Zgodzisz się ze mną? – Odwrócił się do drzwi, ale zanim wyszedł, obejrzał się jeszcze przez ramię.

– Żegnaj, Thorkildzie. Chyba nie musimy się już więcej spotykać.

Nie czekał na moją odpowiedź.

Gdy strażnik odprowadził mnie do celi, sięgnąłem zaraz po ręcznik i kosmetyczkę i ruszyłem do sali gimnastycznej.

– Jak mogłaś? – szeptałem sam do siebie, przemierzając szybkim krokiem parkiet i mijając dwóch mężczyzn, którzy rozwieszali właśnie siatkę do gry w siatkówkę. – Jak mogłaś mi to zrobić? – Przystanąłem przy jednej z szafek ze sprzętem, wyjąłem z niej skakankę, po czym ruszyłem w kierunku szatni i pryszniców po drugiej stronie sali.

Szatnia była pusta. W powietrzu unosiła się para, na podłodze między ławkami zostały niewielkie kałuże.

Wszedłem pod prysznice. Po ścianach płynęły strumienie wody, pod sufitem, tam gdzie biegły rury, unosiły się kłęby pary. Wróciłem do szatni, uchyliłem drzwi i wyjrzałem. Dwaj wieszający siatkę mężczyźni zniknęli, światło w sal gimnastycznej było zgaszone. Zamknąłem drzwi i zaciągnąłem pod prysznice jedną z ławek.

Gdy tylko ustawiłem ją na miejscu, odkręciłem wodę we wszystkich natryskach, ustawiając ją tak, by była gorąca. Wskoczyłem na ławkę i zarzuciłem skakankę na grubą rurę przykręconą do sufitu śrubami. Powtórzyłem tę procedurę dwukrotnie, po czym zawiązałem pętlę na końcu liny.

Zeskoczyłem z ławki, podszedłem do pryszniców po mojej prawej stronie, które wyłączyły się automatycznie po minucie, i znów je uruchomiłem. Starsze natryski po lewej nie były zautomatyzowane i wciąż pluły gorącą wodą, której strumienie chłostały podłogę, wzbijając w powietrze jeszcze więcej pary.

Szybko wskoczyłem z powrotem na ławkę, chwyciłem pętlę w obie dłonie i wsunąłem w nią głowę. Hałas wody bębniącej o podłogę i szumiącej w zardzewiałych otworach odpływów po obu stronach był ogłuszający. Para skraplała się na mojej skórze, sprawiając, że już nie było mi zimno. Zamykała pory, łagodziła nieco straszny ból, o którym nie byłem w stanie zapomnieć.

Chwyciłem linę nieco ponad pętlą, obiema rękami, wbiłem palce stóp

w kant ławki i odepchnąłem się mocno. „No i już, Thorkildzie – pomyślałem, gdy moja głowa została nagle szarpnięciem posłana w przód ku klatce piersiowej, a lina na szyi zacisnęła się bezlitośnie. – Najgorsze już za tobą”.

Moje ciało zaczęło się powoli obracać wokół własnej osi, nogi machały w powietrzu, desperacko szukając punktu podparcia. Pysznice po mojej prawej stronie znów się wyłączyły. Ogarnęła mnie złość, że nie mogły mi towarzyszyć do końca. Nagle moje spojrzenie padło na zegar wiszący w szatni, ledwie widoczny zza chmur pary. Okrągła metalowa tarcza z grubymi wskazówkami. Trzy minuty po piątej.

„Czemu nie pojechaliśmy tego wieczora do Tananger, Frei? Boże, czemu nie mogliśmy po prostu jechać do Tananger...”

Rozdział 40

– Wykorzystała cię. – Głos Liz wyrywa mnie z letargu, w który sam się wprawilem swoją opowieścią. Otwieram oczy w chwili, kiedy silniczek lustrzanej kuli nad parkietem wreszcie postanawia skapitulować. Zupełnie jakby mechanizm zdążył sam się przemielić na tysiące drobnych kawałeczków plastiku i metalu, które teraz już tylko wirują wokół siebie pod migoczącą powierzchnią. – Manipulowała tobą, chciała pozbawić cię pracy. Nienawidzę jej – szłocha Liz z goryczą. – Wiem, że nie żyje i że nigdy jej nie poznałam, ale i tak jej nienawidzę.

– Nie rozumiesz – bełkoczę z trudem, usiłując wyprostować plecy. – Ale to nie twoja wina. Oboje tacy jesteśmy. Dlatego wybieramy sobie takich ludzi jak Arvid czy Ann-Mari, zniszczonych, niepotrafiących tworzyć więzi, którzy nigdy nas nie rozumieją, nigdy się do nas nie zbliżą. Ale nie tak powinno być, Liz. Ja cały czas wiedziałem o Frei i Simonie Bergelandzie. Jej nazwisko było w aktach sprawy. Frei prowadziła ze mną grę, a ja jej na to pozwoliłem. Manipulacja i informacja, prawda? Tym się właśnie zajmują ludzie tacy jak ja, przecież wiesz. Manipulatorzy myśli.

– Ja... nie rozumiem...

– Nie zdążyłaś jeszcze pojąć, że twój brat jest iluzjonistą? Pieprzonym mistrzem świata w grze *smoke and mirrors*, tak pochłoniętym swoją rolą, że... że... – Zgubiłem nagle refren tej niezbornej przemowy, zgarniam więc ostatnie tabletki leżące na stoliku między mną a kobietą bez twarzy. Dłonie mi drżą, z trudem prowadzę je po blacie. Sporo pigułek i kapsułek spada na podłogę albo między moją kurtkę a koszulę, nim wreszcie podnoszę pełną garść do ust.

– Spotkałeś go w końcu? – Słyszę, że Liz próbuje przejąć kontrolę nad rozmową, skierować ją na inne tory. – Tego jej chłopaka?

– Nie. Nie przyjechał wcale na przesłuchanie. Potem jeszcze słyszałem, że Jednostka Specjalna go szukała, ale nigdy go nie przyskrzynili. Puf – wybucham śmiechem. – Rozpłynął się we mgle.

Żegnam zamarznąłą kobietę bez twarzy skinieniem głowy, po czym

wstaję i zataczam się na parkiet. Muzyka znów ucichła. Na sali panuje zupełna cisza, przerywana jedynie astmatycznym rżeniem wytwornic dymu i szcękaniem zepsutej lustrzanej kuli pod sufitem.

Odzyskuję równowagę, chwytając się jednego z filarów oddzielających parkiet od reszty pomieszczenia. Stoję przy nim przez chwilę, starając się zachować pion i jednocześnie przebić spojrzeniem chmury kurzu. W końcu mój wzrok pada na białego ludzika na zielonej tabliczce oznaczającej wyjście awaryjne, biorę wdech, zbieram się w sobie i zataczam w kierunku drzwi.

Próbuję zamortyzować uderzenie, łapiąc wolną dłonią metalową klamkę, ale pudłuję i walę w drzwi twarzą, nie czując przy tym żadnego bólu.

– Nie rób tego – słyszę szept Liz, gdy podnoszę komórkę do ucha, opierając się plecami o drzwi. – Nie dam sobie sama rady, Thorkildzie.

– Nie bój się. – Kaszlę i charczę, aż w końcu udaje mi się przełknąć ślinę. – Zimny metal mnie przetopi i już... – Trę oczy, próbując usunąć błonę, którą się zasnuły, ale zamiast tego wciskam w nie tylko sadzę i kurz, zaczynają łzawić, a ja nie czuję w ogóle bólu w policzku. – I będzie koniec. Już żadnych więcej Thorkildów.

Słyszę w słuchawce ciężki i nieregularny oddech Liz, między słowami, których jej zdaniem chcę słuchać, i płaczem, którego nie może powstrzymać. Ale tu nie chodzi o nas, o mnie i Liz. Tu chodzi tylko i wyłącznie o mnie i tę, która czeka na mnie na drugim brzegu rzeki.

Odwracam się i napieram na drzwi całym ciężarem ciała. W końcu się poddają i pozwalają odrobinę uchylić.

Zimne morskie powietrze owiewa mi twarz i wdziera się do płuc. Chmury nad moją głową znów się powoli rozstępują. Idę w stronę skał na brzegu i przystaję przy wielkim kamieniu. Omiatam spojrzeniem otaczający mnie krajobraz.

– Że też tego nie widziałem. – Mlaskam, próbując poczuć na języku słony smak morza. – Nie słyszałem tego, co mi próbowałaś powiedzieć...

Chcę się roześmiać, ale z moich ust wydobywa się tylko raz po raz suchy charkot, gdy potykam się o gładkie kamienie na drodze między wyjściem awaryjnym z piwnicy głównego budynku i nadbrzeżnymi skałami. Fale przed moimi oczami kotłują się, niosąc na grzbietach posklejane kępy wodorostów wielkości ludzkich głów, które uderzają miękko o brzeg.

– Jak pięknie – szepcę, zataczając się po śliskich kamieniach w kierunku wody. Twarz mam zwróconą ku niebu. Widzę głębokie kraterzyki na żarzącej

się tarczy księżycy. Z księżycowych ran płyną rzeki srebra, barwiąc kosmiczny dysk metalicznymi tonami z ciemniejszymi, nieregularnymi plamami na brzegach i płomienistym wzorem wijącym się w mlecznych spiralach bliżej centrum.

– Thorkildzie – kwili do słuchawki Liz. Ledwie ją słyszę. Ryk morza zagłusza jej słowa. – Nie rozłączaj się. Proszę. Obiecuję, że będę lepszą siostrą, przestanę marudzić i ci dokuczać, ja...

Opuszczam dłoń z komórką i staję na brzegu skały.

– Nie pojechaliśmy tego wieczora do Tananger – mamrocę do kotłującej się u moich stóp czarnej wody. Srebrzyste księżycowe strumienie mieszają się na horyzoncie z ciemnym morzem, rozświetlając głębiny niezwykłym blaskiem, srebrzystobłękitnym kosmicznym światłem. Wkrótce i ja opuszczę moją dotychczasową formę i stanę się częścią tej wszechwładnej siły. – Wybraliśmy inną drogę, prawda, Frei? Zupełnie inną drogę.

Podnoszę ręce na boki, próbując zachować równowagę, stawiam ostrożnie jedną stopę przed drugą, ale chwytają mnie torsje, wymiociny spływają mi po brodzie i ubraniu, lecz to już nie ma żadnego znaczenia, woda i tak je zmyje. Tym razem woda zmyje wszystko.

Niebo nade mną wreszcie się otwarło, dwa wirujące wokół siebie zimne kosmiczne punkty zostały połączone. Tunel czasoprzestrzenny jest gotowy. Zamykam oczy, zaciskam wargi i pozwalam ciału upaść w przód.

Roztaczająca się przede mną ciemność bierze mnie w objęcia z cichym plaśnięciem. Obracam się na plecy i leżę tak, kołysząc się w takt pulsu morza: w tę i z powrotem, w miarę jak oddalam się od skał i dryfuję ku srebrzystemu deszczowi.

– Ten jest ostatni – szepczę, gdy słona woda obmywa mi ciało i twarz. – Całkiem ostatni Thorkild.

Rozdział 41

Ostatni dzień z Frei, Stavanger, 26 października 2011

Gdy opuściłem tymczasowe biuro, pokój, którego użyczono mi na pierwszym piętrze gmachu komendy w Stavanger, i zszedłem na dół, Frei czekała oparta o drzwi. Zadzwonili do mnie z dyżurki z wiadomością, że mam gościa. W pierwszej chwili byłem przekonany, że to Simon Bergeland, który wreszcie stawił się na przesłuchanie, i powiedziałem, że już idę.

– Co tu robisz? – spytałem na jej widok. Ruszyłem na jej spotkanie, podwijając rękawy koszuli nad łokcie. Poczulem na skórze lekki wiatr szumiący w nagich gałęziach rosnących przed komendą drzew.

Frei miała na sobie krótką spódniczkę w czarno-biały wzór, czarne adidas i biały luźny sweter z długimi rękawami. Oczy umalowała na czarno, na szyi zapięła sobie ozdobę przypominającą czarną psią obrozę.

– Może się wybierzemy na przejażdżkę? – Wargi miała uszmkowane na czerwono. Pochyliłem się i uściskałem ją niezdarnie, czując bijący od niej zapach alkoholu.

– Nie mogę – odparłem, gdy się ode mnie odsunęła. Zobaczyłem, że jej oczy są czerwone, jakby niedawno płakała. – Czekam na kogoś.

Frei, mimo że z trudem trzymała się na nogach, posłała mi wymuszony uśmiech.

– On nie przyjdzie – zaśmiała się hałaśliwie, napierając na mnie ciężko. Poczulem ciepło jej ciała.

– Skąd wiesz?

– Bo ja wiem wszystko – odparła ze śmiechem i znów się ode mnie odsunęła. Zrobiła kilka kroków w tył i oparła się o latarnię, ściskając w dłoniach butelkę z cydrem.

– Nie wątpię. – Stałem przez chwilę, tylko na nią patrząc, rozkoszując się zapachem perfum i szamponu, który zostawiła na mojej koszuli. Przede wszystkim chciałem po prostu poddać się tej iluzji, splunąć na konsekwencje, podejść do niej, wziąć ją w ramiona i zatopić twarz w jej włosach.

– To co, jedziemy?

– Daj spokój, Frei.

– Proszę.

Rozłożyłem ręce i spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta. Przesłuchanie Simona Bergelanda miało się zacząć przed trzema godzinami. Byłem zresztą pewien, że już go nie zobaczę, chyba że to właśnie na spotkanie z nim mieliśmy teraz jechać.

– Gdzie chcesz się wybrać?

– Do Tananger. – Frei rzuciła mi butelkę z cydrem.

Odkręciłem ją i wypłem łyk. Był strasznie kwaśny, przywiódł mi na myśl kwas z baterii.

– A co się dzieje w Tananger? – spytałem, oddając jej butelkę.

– Poczekaj, to się przekonasz.

Zerknąłem jeszcze raz na zegarek i powiedziałem wreszcie:

– W porządku. Ale ja prowadzę.

Zadzwoiłem do drzwi, oficer dyżurny wpuścił mnie do środka. Pobiegnąłem na górę, uprzątnąłem biurko i spakowałem sprzęt audiowizualny, który przygotowałem na przesłuchanie. Ostatni raz wybrałem numer Simona Bergelanda, ale jego telefon wciąż był wyłączony.

Frei stała przy moim aucie, pałac papierosa. Wsiedliśmy do środka bez słowa, wyjechałem z parkingu tyłem i skręciłem na Lagårdsveien.

– Czy jestem piękna? – spytała nagle, nie patrząc na mnie. Była odwrócona do okna i migoczących za nim świateł miasta.

– Szalenie. Co się dzieje w Tananger?

– Ty przecież nic o mnie nie wiesz – ciągnęła Frei, zupełnie nie przejawsz się moim pytaniem.

– To powiedz mi w takim razie, kim jesteś. – Ruszyłem wskazaną przez nią drogą, wjechałem na pierwsze rondo, które wyprowadziło nas na drogę krajową i dalej, na wychodzącą z miasta E39. Poczulem nagle w piersi dziwne mrowienie rozchodzące się na barki i twarz.

– Mogłabym być twoja – rzuciła nagle Frei, odwracając się do mnie. Oczy miała ciemne, jakby się czegoś bała. – Tak naprawdę.

– Nie, nie sądzę – odparłem, próbując się uśmiechnąć, ale poczułem, jak coś spina mi mięśnie pod skórą twarzy i powstrzymuje uśmiech.

– Czemu nie? – Frei wyjęła butelkę z cydrem z uchwytu na kubki i zaczęła obracać ją nerwowo w dłoniach. Otworzyła ją, wypła łyk, zakręciła i nadal się nią bawiła. – Właśnie powiedziałeś, że twoim zdaniem jestem

piękna.

– Szalenie piękna – dodałem.

– No to o co chodzi?

– To przecież tylko zabawa, prawda? – Uliczne latarnie już świeciły, na niebie powoli rozwiewały się deszczowe chmury.

Frei przestała się bawić butelką i znów wyjrzała przez okno.

– A gdybyśmy byli tylko we dwoje? – szepnęła z twarzą przy szybie.

– A to jest nas więcej? – Odwróciłem się teatralnym gestem w stronę tylnego siedzenia. – Hm, nikogo tu nie ma. A po twojej stronie?

Miałem ochotę powiedzieć, że wiem wszystko o niej i tym policyjnym łotrze, którego karierę próbowała ratować, powiedzieć, że w końcu przyskrzynię tego dupka, wgniotę go w ścianę, nieważne do czego byłaby zdolna się posunąć, by go ocalić. Ale tego nie zrobiłem. Coś wciąż mnie powstrzymywało. Żałosna, naiwna wiara w to, że tak długo, jak długo żadne z nas nie przerywa gry, to wszystko jest prawdziwe. Że zbliżyły nas do siebie nie tylko okoliczności, nie jesteśmy jedynie dwoma zimnymi cieniami, które otarły się o siebie przypadkiem na ulicy, ale ludźmi z krwi i kości, mężczyzną i kobietą, którzy ku sobie dążą.

– Tak – powiedziałem wreszcie. – Może gdybyśmy byli tylko we dwoje.

– Mimo że wiesz, że nie jestem taka, za jaką mnie miałeś, że ciągle kłamię, że wykorzystuję...

– Tak – przerwałem jej. – Niezależnie od wszystkiego, skoro już musisz wiedzieć.

Zobaczyłem, że uśmiecha się z twarzą przy oknie i znów zaczyna obracać butelkę w dłoniach.

– Dziękuję.

– Dziękuję? – Poczułem nagle ciepło rozlewające się po mojej piersi, karku i twarzy. Lekkie, przyjemne łaskotanie, które sięgało aż do brzucha. Wybuchnąłem śmiechem i śmiałem się nieskończenie długo. – Dlaczego mi dziękujesz?

– Musiałam po prostu wiedzieć.

– Ale nie jesteśmy tylko we dwoje, prawda?

Frei wyprostowała się na siedzeniu i wreszcie spojrzała mi prosto w oczy. Wycelowała we mnie wskazujący palec.

– Jeden – powiedziała, po czym wskazała na siebie: – Dwa.

– Zabawne. – Wybuchnąłem śmiechem, a łaskoczące ciepło zaczęło się

rozlewać po całym moim brzuchu. Zacisnąłem dłonie na kierownicy. Jej zimne objęcie sprawiało, że czułem mrowienie w rękach, coraz silniejsze, jakbym miał pod skórą coś, co chciało wyjść na zewnątrz.

– Wow! – Frei spoglądała na mnie z otwartymi ustami.

– Co? – Ścisnąłem kierownicę jeszcze mocniej. Czułem się, jakby moje ciało miało zaraz odlecieć z siedzenia, jakbyśmy byli dwojgiem kosmonautów odbywających trening w jakimś podróżującym torem parabolicznym statku NASA.

– Czyżbyśmy właśnie mieli wspólne objawienie?

– A mieliśmy?

– Tak sądzę – zaśmiała się.

– No właśnie, powiedz mi, gdzie mam skręcić, bo ja...

– Już minąłeś zjazd – powiedziała Frei. – Dawno temu.

– Kurwa – wymamrotałem, rozglądając się za parkingiem albo zatoczką. Musiałem się mocno koncentrować, by spokojnie siedzieć w fotelu. – Mam zawrócić?

– Nie.

– To nie jedziemy do Tananger?

– Nie zawracaj. – Frei położyła mi głowę na ramieniu. – Chcę jechać dalej.

Nad moją głową między chmurami otworzyła się czarna dziura. Świeciło z niej ostre światło. Nie to zimne, granatowe, do którego o tej porze roku przywykłem, ale cieplejsze, bardziej ziemskie, zupełnie jakbym wpatrywał się w rozżarzoną srebrną płytę. Chmury rozstały się jeszcze bardziej i zrozumiałem, że to księżyc.

Chciałem powiedzieć Frei, że wygląda, jakby krwawił. Że z jego migoczącej powierzchni spływa gęsta srebrzysta lawa, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, gdzieś pod mną rozległ się głuchy łoskot. W następnej chwili leciałem, unosząc się nad fotelem z dłońmi wciąż ściskającymi kierownicę. Frei leciała obok mnie, patrzyłem, jak jej przerażona twarz odwraca się od mojej, a włosy otaczają jej głowę niczym aureola. Chwilę potem rozległ się huk i poczułem, że uderzam głową o kierownicę.

Ostatnie, co zapamiętałem, to gorzki, metaliczny smak cydru w ustach. Czułem go nadal, gdy następnego dnia odzyskałem przytomność i gdy mi powiedzieli, że Frei nie żyje.

Wtorek

Rozdział 42

„To wcale nie jest nowy Thorkild”. Oto pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy, gdy odzyskuję przytomność. Nocne niebo nad moją głową jest zimne i pogrążone w ciemnościach, rozsiane na nim martwe gwiazdy mrugają niczym kocie oczy. Woda wokół mnie pluska i chlupocze, ja zaś kołyszę się na falach.

Leżę na czymś w rodzaju tratwy z wodorostów, toreb na zakupy, kawałków liny, plastikowych płacht i innych śmieci dryfujących na środku morza. Odwracam głowę i widzę, że trzon tratwy stanowi zniszczony pomost, oderwany przez sztorm od nabrzeża w czasie mojego pierwszego pobytu na wyspie.

– Dobry Boże – jęczę i nagle mój wzrok pada na pisklę siedzące kilka metrów ode mnie; ono także znalazło schronienie na tej wyspie ze śmieci dryfującej przez noc. Pisklak jest duży, ma brązowe, białe nakrapiane pióra i czarny dziób. Przypomina orła i siedzi nieruchomo, wpatrując się we mnie bystrych oczami drapieżnika. W końcu odwraca się do mnie, otula szczelniej skrzydłami i wciska łepkę w pierś.

– Pomocy – szepczę, spoglądając za nim. – Możesz mi pomóc? – W następnej chwili pojawia się ból, najpierw w szyi, policzku, potem w brzuchu – pulsujące, bolesne ciśnienie w moich trzewiach wraca ze wzmożoną siłą.

Kieruję wzrok ku niebu i zaciskam powieki, a ból rozrywa mi podbrzusze. Gdy rozchylam je na powrót, stwierdzam, że jedno z kocich oczu spadło z nieboskłonu i zbliża się ku ziemi jak kometa.

– Uaa... – wyję, a orli pisklak zaczyna uderzać skrzydłami o boki.

W miarę jak spadająca gwiazda się do nas zbliża, wypełniając niebo światłem, pisklę porzuca walkę. Przyciska skrzydła do ciała, zadziera łepkę i otwiera dziób w ostatnim wysiłku ocalenia się przed zagładą albo może w oczekiwaniu na jedzenie.

Chcę podnieść ręce, by osłonić twarz przed ostrym światłem, ale nie mogę. Jedna z moich dłoni jest zaklinowana. Odwracam głowę w bok, żeby

sprawdzić, co się z nią stało, i mój wzrok pada na szarą rękę wystającą z płataniny wodorostów i odpadków. Białe sztywne palce zaciśnięte są na moich, jakbyśmy się ze sobą witali.

Dotykam martwej ręki opuszkami palców. Jej powierzchnia jest zimna i gładka w dotyku, jakby dłoń należała do manekina. Cofam ramię i próbuję uwolnić się z uścisku, gdy nagle mój wzrok znów przyciąga spadająca gwiazda.

Wisi teraz tuż nad moją tratwą niczym ziejący ogniem smok, posyła na wszystkie strony strumienie spienionej wody, powodując, że tratwa kołysze się niebezpiecznie. Próbuję się czegoś przytrzymać, krzyczę z bólu i strachu, z nieba lecą na mnie kawałki plastiku, morska piana i woda.

Nagle rozlega się pluśnięcie niedaleko miejsca, w którym leżę, i widzę, jak zbliża się do mnie ciemna postać, przecinająca powierzchnię wody. Orle piskłę skuliło się w kupkę brązowo-białych piór, z której wystaje tylko dziób. Reszta ptasiego łepka schowana jest w puchu.

– Puszczaj! – ryczy do mnie głos; tuż obok mnie wyrasta z wody człowiek.

Kręcę głową, trzymając się kurczowo tratwy i lodowatej martwej dłoni.

– Puszczaj – powtarza mężczyzna, wskazując na unoszące się obok niego w wodzie metalowe nosze. – Inaczej nie będę mógł cię zabrać do śmigłowca.

Znów spoglądam na małego orła. Dostrzegam pod piórami jedno oko, ptak syczy na mnie i chowa łepkę pod skrzydłem. Mężczyzna obok mnie zaczyna odginać moje palce zaciśnięte na brzegu tratwy jeden po drugim.

– Puszczaj, słyszysz? Puść się, inaczej nie załaduję was do kosza!

W końcu się poddaję, nie mam już siły, mężczyzna zaś chwyta mnie za ramiona i zaczyna ściągać ze śmieciowej wyspy. Z wodorostów wyłania się cały człowiek, którego wlecjemy za sobą do metalowych noszy.

– Ty lecisz na górę pierwszy – mówi spokojnie mężczyzna, kiwając głową. – A jego ja potem zabiorę ze sobą. OK?

W końcu puszczam także martwą rękę, ratownik ładuje mnie do kosza i przypina rzemieniami. Macha w kierunku światła i zostaje na dole z trupem. W następnej chwili czuję, jak coś wyciąga mnie z wody, jak unoszę się w kierunku światła ze szczękającymi zębami i drżącymi wargami.

Gdy załoga wciąga kosz do śmigłowca, moje spojrzenie pada po raz ostatni na piskłę na kikucie pomostu, oderwanym przez sztorm od wyspy kilka dni wcześniej: ptak wstał i macha skrzydłami w deszczu piany

i morskiej wody wzburzanej przez łopaty śmigłowca.

– Hej! Słyszysz mnie? – pyta jeden z mężczyzn w helikopterze, owijając mnie kocami i folią. Kosz znów wędruje w dół.

Chcę coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie zebrać w płucach dość powietrza. Mężczyzna kładzie mi dłoń na policzku. Dopiero teraz czuję, jaki jestem przemarznięty. Ledwie wyczuwam ciepło jego ręki przenikające przez moją skórę.

– Hej, tylko mi teraz nie zasypiaj – ciągnie mężczyzna, klepiąc mnie po twarzy.

Jesteśmy w kapsule utkanej z miarowego hałasu śmigła. Kosz wraca po chwili na górę. Leżące w nim ciało zostaje wyciągnięte, ułożone na podłodze obok mnie i także owinięte w koce i folię. W końcu na pokład wchodzi ratownik, zamykając za sobą drzwi śmigłowca.

– Widzieliście kiedyś coś takiego? – Rozpina ramię pod kaskiem i zdejmuje go z głowy.

– Co? – Jego towarzysz odwraca się do niego. – To jeden z tych zaginionych policjantów?

– Nie – odpowiada ratownik spokojnie. – Z całą pewnością nie.

Drugi mężczyzna unosi koc tak, że głowa leżących obok mnie zwłok opada na bok, twarzą w moją stronę. Jest nabrzmiąta, zupełnie jakby mięśnie oderwały się od czaszki. Do twarzy przylepiły się rozgwiazdy, po oczach zostały tylko dwie jamy, w których wiją się morskie żyjątka – żadnych myśli, żadnych słów ani tego, za czym tak desperacko tęsknili Anniken Moritzen i Arne Villmyr, oczekując w Stavanger na wieści.

– I to nie wszystko – zaczyna ratownik.

Jego towarzysz chwyta głowę Rasmusa, odwraca ją od mojej twarzy i spogląda na kolegę.

– Nie wszystko? O co ci chodzi?

– Nie widzisz? – pyta ratownik ostrzejszym tonem – co jest przyczepione do zwłok?

– Kurwa mać – szepce mężczyzna zaskoczony.

– Ja też w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi.

– Co to ma być? – Mężczyzna kręci głową, po czym odwraca się do mnie. – Ej, ty! – Kilka razy pstryka mi palcami przed nosem. Przesuwa się, demonstrując mi oderwane od ciała przedramię. Widzę kości promieniową i strzałkową wystające z sinego mięsa i grube, nabrzmiąte palce dłoni,

przypominającej nadmuchaną lateksową rękawiczkę.

– Czyje to ramię? – pyta mężczyzna z paniką w głosie. – Słyszysz mnie? Co tu się dzieje?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Hałas łopat śmigłowca osnuwa wokół mnie nić, kokon, w którym nie czuję zimna, bólu ani niczego innego. Zapada ciemność.

Rozdział 43

Kiedy następnym razem odzyskuję przytomność, leżę przypięty pasami do łóżka, które jest właśnie wynoszone ze śmigłowca, toczy się po asfalcie, pokonuje drzwi i wjeżdża na długi wąski korytarz. Podróż kończy się w sali pachnącej sterylną czystością i wypełnionej maszynami, kablami, różnymi piszczącymi urządzeniami oraz ludźmi, którzy, zdaje się, specjalnie tu na mnie czekali.

Łóżko zostaje ustawione między maszynami. Podchodzi do mnie jakaś mężczyzna i nachyla się nade mną, dwaj pozostali rozcinają na mnie ubranie – jeden zaczyna od kołnierzyka koszuli, drugi od nogawek spodni.

– Hej! Słyszysz mnie?

Z trudem otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Wiesz, gdzie jesteś? – Mężczyzna unosi moje powieki palcami i świeci mi w oczy latarką.

Kręcę głową.

– Nazywam się doktor Berg. Jestem ordynatorem oddziału ratunkowego w Szpitalu Uniwersyteckim w Tromsø. Jeśli możesz coś powiedzieć, to krzycz. Postaraj się nie zasnąć. OK?

Staram się pokiwać głową, próbując jednocześnie powstrzymać opadające powieki.

Doktor Berg odwraca się do stojącego obok niego mężczyzny i zamienia z nim kilka słów, po czym znów się nade mną pochyla.

– Wiesz, czemu tu jesteś? – Kładzie mi dwa palce na klatce piersiowej i stuka w nie drugą ręką, po czym powtarza to samo po drugiej stronie mostka. Zwraca się następnie do jakiejś trzeciej osoby stojącej przed białą tablicą tuż przy moim wezgielciu.

– Obrzęk płuc raczej wykluczamy. – Mężczyzna zapisuje coś szybko na tablicy. – Odmę opłucnej też, ale zróbmy na wszelki wypadek prześwietlenie. – Doktor Berg znów zwraca się do mnie: – Powiedz – odzywa się spokojnym, niemal kojącym, głębokim głosem – gdzie jesteś?

– Rasmus – szepczę w chwili gdy młody, krótko ostrzyżony mężczyzna usuwa spode mnie strzępy pociętego mokrego ubrania i zaczyna przyczepiać mi do ciała elektrody. – Gdzie jest Rasmus?

– Martin! – komenderuje doktor Berg, nie odrywając ode mnie wzroku. – Hipotermia?

– Objawy łagodne do umiarkowanych.

– Temperatura?

– Trzydzieści dwa i trzy dziesiąte stopnia Celsjusza. Rośnie.

Doktor Berg chwytą mnie za dłoń i ściska jedną po drugiej opuszki palców.

– Czujesz to?

Kiwam głową, lekarz podnosi drugą moją rękę i powtarza procedurę.

– Boli?

Znów potwierdzam skinieniem.

Doktor Berg puszcza moją dłoń i nachyla się nade mną.

– Wiesz, jak się nazywasz?

– Thorkild – szepczę, próbując usiąść na łóżku i zobaczyć, gdzie jestem i co właściwie robią ci wszyscy uwijający się wokół mnie ludzie. – Thorkild Aske. – Człowiek przy tablicy zapisuje moje imię i nazwisko drukowanymi literami na samej górze.

– Cewnik? – pyta pielęgniarz, który skończył właśnie przyczepiać elektrody. Biegną od nich kable łączące mnie z jakąś brzęczącą maszyną.

Doktor Berg kiwa głową i odwraca się w stronę młodej jasnowłosej kobiety, która podchodzi do łóżka. Staje obok pielęgniarza z elektrodami. W ręku ma długi, cienki gumowy wężyk, który podaje pielęgniarzowi, następnie chwytą mój penis i gestem daje znać, żeby jej oddać rurkę.

– Proszę się rozluźnić – mówi pielęgniarz. – Wszystko się niedługo skończy.

– Co? Moje życie? – próbuję powiedzieć, ale moje słowa toną w ślinie i zebranych w gardle śluzie. Zespół uwijających się wokół mnie ratowników sprawdza moją saturację, tętno, ciśnienie i temperaturę, sumiennie zdając raport człowiekowi, który uzupełnia informacje o parametrach na tablicy. Jasnowłosa kobieta wprowadziła gumowy wężyk tak głęboko do mojej cewki moczowej, że na świat wygląda już tylko niewielka jego część. Pielęgniarka wpompowuje przez nią powietrze, a może jakiś płyn, po czym rusza do kolejnego pacjenta.

– Jak się znalazłeś na morzu? – Doktor Berg pochyla się znów nade mną, w tej samej chwili pielęgniarki zaczynają ustawiać nad moją klatką piersiową ciężką aparaturę rentgenowską. – Wpadłeś do wody?

Kręcę głową.

– Rzeka.

– Rzeka? Spłynąłeś do morza?

Znów kręcę głową i próbuję się odwrócić, ale doktor Berg nie daje mi spokoju.

– Hej, posłuchaj mnie. Jak długo byłeś w wodzie?

Staram się dać mu do zrozumienia, że nie mam pojęcia.

– Boli cię coś?

– Brzuch – odpowiadam.

Doktor Berg kładzie tam ostrożnie rękę.

– Tutaj? – pyta, unosząc wzrok.

Kiwam głową w chwili, gdy jego dłoń trafia na cegłę.

– Rozumiem. – Lekarz zwraca się do mężczyzny przy tablicy. – Zaparcie.

Próbuję zamknąć oczy, zapomnieć na chwilę o hałasie, ale za każdym razem gdy to robię, doktor Berg wciska mi palce w kolejne miejsca na ciele, zadając kolejne pytania. Czuję, że powoli, lecz nieuchronnie odzyskuję czucie, a receptory bólu wracają do ustawień fabrycznych.

Pielęgniarki odsuwają maszynę do rentgena, do doktora Berga podchodzi technik laboratoryjny z jakimś wydrukiem. Wymieniają szeptem kilka zdań, po czym technik wychodzi. Berg pochyla się nad strzępami mojego ubrania i zaczyna przeglądać kieszenie. Po chwili wraca do mnie, kładzie dłoń na moim czole i odciąga mi powieki.

– Wziąłeś coś z tego? – Podsuwa mi pod nos puste blistry, fiolki i listki po tabletkach i kapsułkach. – Wziąłeś?

Próbuję zamknąć oczy, ale Berg otwiera mi je na siłę, czytając jednocześnie nazwy na etykietkach, które mężczyzna przy tablicy skwapliwie notuje.

– Co brałeś? Sobril? OxyCotin? OxyNorm? Ile?

Udaje mi się na chwilę przymknąć powieki, ale lekarz znów wciska mi palce w oczy.

– Ile?

– Wszystkie – odpowiadam na wydechu.

Berg zostawia mnie w spokoju, cofa się o kilka kroków i przywołuje

stojącego przy drzwiach technika.

– Dobrze, panie i panowie – rozlega się jego głos. – Chyba mamy już wszystko na tablicy. – Zamknąłem już oczy, zaciskając powieki tak mocno, że teraz będzie mi je musiał otwierać obiema rękami. – Mamy tu nieudaną próbę samobójczą. Wobec tego – lekarz klaszcze w dłonie i dodaje: – sprawdzamy zdjęcia rentgenowskie pod kątem krwawienia, wykluczamy tamponadę serca i kończymy z nim tutaj. Przewieźcie go po wszystkim na OIOM.

Czuję, jak ludzie wokół mnie zaczynają się wycofywać jeden po drugim, słyszę szcęknięcie narzędzi i szuranie gumowych przewodów o wykładzinę. Nagle znów rozlega się głos doktora Berga:

– Wszyscy skończyli? Martin, temperatura? Teemu, Janne, wy przygotujecie raport i przewieźcie pacjenta na górę. A reszta niech się już szykuje na następnego delikwenta. Noc jeszcze młoda, panie i panowie.

Rozdział 44

Zatracam się w wizjach. Jestem w nich razem z kobietą, nie wiem kto to, bo nie widzę jej twarzy. Znajdujemy się w jakimś mieszkaniu, jestem sobą, takim jak teraz, tyle że bez zniszczonej twarzy. Siedzimy, nie, przechadzamy się po jasnym pokoju o wysokich oknach. Ona ma na sobie jedną z moich koszul i drepcze bosa po ciepłej drewnianej podłodze, jakbyśmy grali w jakiejś taniej reklamie jogurtu. Ta scena jest tak prawdziwa, tak intensywna, że gdy się budzę ze snu albo wracam do rzeczywistości, czuję się, jakbym przez przypadek wybrał niewłaściwe drzwi i ogarnia mnie panika. Rozglądam się dookoła, szukam dłonią klamki, ale drzwi już nie ma. Jestem tylko ja, zupełnie sam, w jakiejś zimnej poczekalni.

Ulf mówi, że to mój schron. Fantazja, w którą uciekam w chwilach, gdy mam ochotę umrzeć, mój raj, moje siedemdziesiąt dwie dziewice. Alibi, które dają samemu sobie, gdy życie staje się zbyt trudne. Ulf ma rację co do wielu rzeczy. Pewnie także co do tego. Jedyne problem w tym, że on nie rozumie. Nie ma pojęcia, jakie to trudne. Nie pojmuje, że nie ucieka się *do* otchłani, tylko próbuje się uciec *przed* nią. Pustka to nie zimne ciało w trumnie pod ziemią. Pustka to ja. Thorkild Aske, w tym mieszkaniu o wysokich oknach. Sam.

Budzi mnie młody jasnowłosy pielęgniarz gmerający przy moich genitaliach.

– Spokojnie – mówi kojącym głosem, gdy drgam zaskoczony i próbuję przykryć się kołdrą. – Wyjmę tylko cewnik. Jedzie pan dalej, na nefrologię. A potem zrobimy panu lewatywę i zobaczymy, czy to coś pomoże na ten pana brzuch.

Nastał ranek, a przynajmniej jest widno za oknem. Sala ma kształt kwadratu, stoją w niej cztery łóżka, po dwa pod każdą ze ścian. Ciało mam odrętwiałe, brak bólu budzi we mnie strach.

– Proszę mi dać lusterko – mówię, gdy pielęgniarz wyciągnął już wężyk z mojej cewki moczowej i włożył go do metalowego naczynia w kształcie sosjerki.

– Lusterko? – Mężczyzna zerka na mnie podejrzliwie, zdejmując rękawiczki. – A po co?

– Chcę zobaczyć swoją twarz.

– Nie możemy dać panu lusterka.

– Czemu nie?

– Ponieważ... – zaczyna pielęgniarz, ale potem do głowy przychodzi mu chyba pomysł na kompromis, który w jego mniemaniu utnie dyskusję. – Jak będę wytaczał łóżko z pokoju, mogę podjechać pod umywalkę. Wtedy się pan przejrzy, ale pod warunkiem że nie wykręci mi pan żadnego numeru.

– Numeru? Jakiego na przykład?

– Chyba pan wie, co mam na myśli – odpowiada pielęgniarz, po czym chwyta niewielkiego pilota, naciska guzik i unosi zagłówek łóżka.

Blizna biegnąca od oka przez prawie całą twarz jest niemal niewidoczna na tle szarawej skóry. Wargi i policzki mam anemiczne, przezroczyste jak u zdechłej ryby.

– To samo – szepczę, odwracając się od lustra.

– Co pan ma na myśli? – pyta pielęgniarz i ustawia łóżko tak, by się zmieściło w drzwiach.

– Twarz – wzdycham. – Jest ta sama.

– A czego się pan spodziewał?

– Nowego Thorkilda – mamroczę i próbuję odwrócić się na bok, ale ból brzucha skutecznie uniemożliwia mi ten manewr. Leżę więc na plecach, gapiąc się w sufit, a pielęgniarz wiezie mnie korytarzem do windy. W końcu przybywamy na kolejną stację.

– Będzie pan dzielił pokój z kolegą – mówi mężczyzna, zatrzymując łóżko przed drzwiami. – Przynajmniej do południa. Proszę spróbować odpocząć.

Na łóżku pod oknem siedzi łyśy, na oko siedemdziesięcioletni mężczyzna. Twarz ma bladą, sękatę dłoń spoczywają na jego kolanach niczym połamane gałęzie. Wpatruje się w coś za szybą.

– Jak długo tu zostanę? – pytam.

Starszy pan przy oknie odwraca się w naszą stronę. Obrzuca nas apatycznym spojrzeniem, po czym wraca do wyglądanego na świat.

– Zatrzymamy pana na obserwacji, dopóki funkcje nerek i wątroby nie wrócą do normy. – Pielęgniarz wskazuje skinieniem głowy drzwi łazienki. – Proszę tam na mnie poczekać, zaraz przyjdę i panu pomogę – dodaje,

podchodząc do umywalki.

Siadam na opuszczonej klapie sedesu i czekam. Po chwili rozlega się ostrożne pukanie do drzwi i w progu staje pielęgniarz z uśmiechem na ustach, irygatorem do lewatywy w jednej ręce i wężykiem przypominającym wyrośniętą zmiję, okręconym wokół drugiej.

– Gotowy?

– Nie mogę się doczekać. – Wzdrygam się, gdy pielęgniarz kładzie irygator na brzegu umywalki i wsuwa rękawiczki. Rozkłada ręcznik na podłodze między kabiną prysznicową a sedesem.

– Proszę się położyć na ręczniku i odwrócić do mnie plecami.

Kłękam na podłodze i ściągam szpitalne majtki, po czym kładę się, wspierając policzek na dłoniach.

– A tak w ogóle, to mam na imię Jens – mówi młody mężczyzna. Słyszę, że jego oddech staje się nieco cięższy. – Z początku może być trochę nieprzyjemnie – ciągnie, wprowadzając końcówkę rurki tam gdzie należy. – Ale postaram się być delikatny.

– Mhm – stękam, zaciskając powieki i podciągając kolana do brzucha. Nigdy chyba jeszcze nie towarzyszyło mi tak dobitne jak teraz poczucie śmierci cywilnej.

Jens mówi do mnie z dziwną, absurdalną swobodą w głosie. W jednej ręce trzyma irygator, w drugiej zaś rurkę. Co jakiś czas naciska torebkę, by zwiększyć przepływ płynu, albo podnosi grzbiet dłoni do czoła, opowiada o zupełnie trywialnych sprawach, takich jak poziom wody odnotowany ostatnio w mieście albo nadchodząca zima, ja zaś odpowiadam mu monosylabami. Zupełnie jakbyśmy byli starymi znajomymi odbywającymi ten upokarzający rytuał ze świadomością, że nic to między nami nie zmieni.

– No i już! – Jens opuszcza rękę i umieszcza irygator na podłodze za moimi plecami. Kładzie dłoń na moim gołym pośladku. – Zaciśnij teraz mocno zwieracz i trzymaj tak długo, jak możesz, to bardzo ważne. Najlepiej jakieś pięć czy sześć minut po wyciągnięciu rurki, żeby oleje miały czas zadziałać.

Jens klepie mnie po pośladku, po czym wkłada irygator, rurkę i jednorazowe rękawiczki do białej plastikowej torby, którą następnie związuje tasiemką. Podnosi klapę sedesu i dodaje:

– Leż tu sobie i zaciskaj zwieracz tak długo, jak dasz radę. Kiedy poczujesz, że już nie możesz wytrzymać, wskocz po prostu na kibelek

i pozwól siłom natury zrobić swoje. Ja poczekam za drzwiami.

– Dobra – stękam głosem zduszonym od powstrzymywanych łez, starając się jednocześnie zacisnąć wszystkie mięśnie na drugim końcu.

Jens zamyka za sobą drzwi, po chwili słyszę, jak włącza radio i podkreca głos. *...I am ashamed 'cause I don't know myself right now. And I am 43* – śpiewa męski głos; muzyka, ton po tonie, dąży do burzy, która się zaraz rozszaleje.

Z początku dzieje się niewiele, czuję tylko, jak olejki napierają na cegłę w moim brzuchu z jednej i mięśnie zwieracza z drugiej strony.

Ciśnienie, potrzeba rozluźnienia mięśni brzucha wzbierają w takt z rosnącym parciem. Czuję się jak rozdymany powietrzem balon, ale już postanowiłem utrzymać wszystko w środku do końca piosenki. Między innymi dlatego, że zupełnie straciłem poczucie czasu, leżąc tak na podłodze i koncentrując się na zaciskaniu zwieracza.

...They say that I should go outside more and drink lots of water all the time, but that does not seem to be working, 'Cause you still have not come back to me.

W końcu coś się dzieje. Wzbiera we mnie jakaś siła, najpierw tylko w formie jednego kłującego pęcherzyka powietrza, ale tym razem jest inaczej, parcie nie ustaje, pęcherzyk nie pęka tak jak wiele innych wcześniej, zwiększając tylko ból, ale rozpoczyna wędrówkę na południe, przyłącza się do niego wiele innych, nowych, słyszę je i czuję.

W następnej chwili coś jakby puszcza, zaczyna się przemieszczać, jakby liczący wiele milionów lat lodowiec poddał się wreszcie i zaczął, milimetr po milimetrze, osuwać się do fiordu, ku roztopowym wodom na dnie doliny.

...Why don't you love me anymore? – pyta wokalista urażonym, chwytającym za serce głosem, a ja prostuję trochę nogi, przeciągam się odrobinę, sondując poziom bólu. *...Tell me, why don't you love me anymore? Just in case you didn't hear me ask before... Tell me why don't you love me anymore?*

Lodowiec znów się przemieszcza. Tym razem muszę też rozluźnić odrobinę zwieracz, cienka strużka olejków wydostaje się ze środka, spływa po mojej skórze na rozgrzany ręcznik. Zaciskam mięśnie jeszcze bardziej, jednocześnie prostuję nogi na tyle, bym mógł się odwrócić i dokładnie sprawdzić, w którym miejscu jest sedes.

Refren się kończy, stery przejmuje syntezator, kolejne tony mieszają się

ze sobą, atakując zmysł słuchu, ja zaś czuję, że już dłużej nie wytrzymam. Odwracam się szybko na plecy, potem przewracam na brzuch, chwytam krawędź sedesu, podciągam się i opadam na klozet w momencie, gdy olejki strzelają ze mnie, trafiając w porcelanę wnętrza muszli.

W następnej chwili czuję, że lodowiec ruszył. Jak szarżujący mastodont pędzi w dół, gnany siłami ciężenia, powoli, lecz nieuchronnie brnie ku wyjściu przez świeżo naoliwione tunele. Nadchodzi crescendo, czas na oczyszczenie, piosenka w radiu kończy się rozdzierającym wrzaskiem.

– Nareszcie – szepczę, wciskając łokcie w uda.

Rozdział 45

– W porządku? – Jens zagląda do łazienki i patrzy na mnie ze współczuciem, bębniąc palcami we framugę.

– Jeszcze żyję – stękam. Stoję przed lustrem i obmywam twarz zimną wodą. – Co teraz? – pytam, wychodząc z łazienki. Radio zostało wyłączone.

– Może trochę odpoczniesz? Musisz być wykończony po tym wszystkim, przez co przeszedłeś.

– A potem?

– Potem przyjdzie do ciebie lekarz i wspólnie ustalicie, co dalej. – Jens się uśmiecha i zabiera się do wyjścia.

– Moje leki – przypominam sobie i ogarnia mnie nagle paniczny lęk. Uświadamiam sobie, że nie zostawił mi żadnych owadzych jaj.

– Tak?

– Potrzebuję czegoś na sen. Ja...

– Zapytam lekarza dyżurnego – mówi Jens i wychodzi.

Siadam na łóżku i zasłaniam oczy klapkami dłoni. Po kilku minutach wraca Jens, niosąc mi dwa dziesięciomiligramowe analgetyki oxynorm.

– Proszę – mówi. – Coś na sen.

Po wyjściu Jensa leżę w łóżku bez ruchu. Senny i apatyczny, zwracam nagle uwagę na jakiś dźwięk, dwa krótkie piknięcia i potem głębszy metaliczny zgrzyt dobiegający z podłogi, niedaleko mojego łóżka.

Po chwili znów coś piszczy.

Odwracam się na bok i próbuję zajrzeć pod łóżko. W plastikowej torebce z moimi pociętymi na strzępy ubraniami świeci mała zielona dioda.

Przysuwam się bliżej i wysypuję zawartość torebki na podłogę. W powietrzu unosi się kwaśny zapach morskiej wody i mokrych ubrań, wciska mi się w nos i tchawicę. Moja komórka przeżyła jakimś cudem przygodę na morzu.

Sięgam po nią i wciągam pod kołdrę. Kontrolka baterii miga, sygnalizując, że telefon za chwilę się wyłączy. Pierwszy sygnał, który usłyszałem, był pewnie dźwiękiem przychodzącej wiadomości, kolejne miały

informować o rozładowanej baterii. SMS jest od Gunnara Ore, na tyle krótki, że czytam go, zanim ekran komórki gaśnie:

Oficjalne przesłuchanie jutro o trzeciej. Oficer śledczy z Kripos w drodze.

Policja ma już, innymi słowy, wyniki badań pobranych na wyspie próbek. Pewnie potwierdzili, że znaleziona krew należy do Bjørkanga albo jego zastępcy. Fakt, że posłali po kogoś z policji kryminalnej, musi oznaczać, że mają już także linię chronologiczną, z której są zadowoleni, i uznali, że to dobry strategicznie moment na kolejną rozmowę z podejrzanym.

Upuszczam telefon na podłogę i odwracam się na bok, przykrywając głowę kołdrą.

– Znów się zaczyna – szepczę sam do siebie w dusznych ciemnościach. – Tym razem cię ukrzyżują, jeśli czegoś nie zrobisz.

Chcę zamknąć oczy, gdy fala oksykodonu zalewa mi mózg, ciągnąc mnie w głębinę. Ale wbrew temu odrzucam kołdrę i siadam na łóżku. Podnoszę się ostrożnie i podchodzę do mężczyzny przy oknie. Mrowienie w dłoniach i stopach podpowiada, że receptory bólu też budzą się do życia.

– Przepraszam, czy może mógłby mi pan pożyczyć telefon?

Mężczyzna mierzy mnie bez słowa wzrokiem, po czym w końcu wskazuje na wiszącą w nogach jego łóżka kurtkę. Podchodzę do niej i znajduję komórkę w jednej z kieszeni.

– Dziękuję, postaram się szybko uwinąć – mówię, zabieram telefon do swojego łóżka, siadam i wybieram numer Anniken Moritzen.

– Znalazłem go – szepczę, gdy tylko odbiera. – Znalazłem Rasmusa.

– Tak – odpowiada mi głucho. Odgłosy w tle sugerują, że jest w biurze, mimo wiadomości, która musiała do niej już dotrzeć. Chyba że w domu ma ten sam hałasujący sprzęt. – Zadzwoił do mnie dziś rano jakiś facet. Gdzie byłś? Cały dzień próbuję cię złapać.

– Przedstawił się?

– Co? O co ci chodzi?

– Ten facet, który do ciebie dzwonił. Jak się nazywał?

– Ech... – zaczyna Anniken.

– Może Gunnar Ore?

– Nie, chyba raczej Sverdrup albo jakoś podobnie. Chyba miał na imię Martin. A o co chodzi?

– Nieważne, zapomnij. To bez znaczenia. Co ci powiedział?

– Że znaleźli w morzu jakiegoś człowieka i że to ich zdaniem mój syn.

– Mówił coś jeszcze?
– Pytał, czy Rasmusowi towarzyszył na wyspie ktoś jeszcze.
– I co ty na to?
– Wyjaśniłam, że wcześniej tej jesieni było u niego kilku kolegów, ale że dawno temu wyjechali.
– Wspominał coś o kobiecie?
– Tak. Pytał, czy była tam z nimi jakaś dziewczyna, czy Rasmus mógł kogoś poznać tam, na północy. Powiedziałam, że był sam. – Słyszę, że Anniken Moritzen zaczyna szlochać, głos ma stłumiony, mimo że słuchawkę trzyma tuż przy ustach. – Co tam się właściwie dzieje? – szepce wreszcie.
– Przepraszam, Anniken – odpowiadam. – Przepraszam, że nie mogłem zrobić nic więcej.
– Nie, poczekaj, Thorkildzie – prosi kobieta po drugiej stronie słuchawki. Przerывam rozmowę i wyłączam telefon. I tak nie jestem teraz w stanie nic dla niej zrobić. Resztę tej drogi musi przebyć sama. To jedyny sposób. Starzec przy oknie zerka na mnie przelotnie.
Wstaję i podchodzę do jego łóżka.
– Nie mogę obudzić zmarłych do życia, prawda? – pytam, wkładając telefon z powrotem do kieszeni jego kurtki. – Sam się przecież z trudem jeszcze trzymam na nogach.
Leżę, gapiąc się w sufit i próbując przywołać myślami mężczyznę i kobietę w mieszkaniu o wysokich oknach. Zamiast tego pojawia się drapieżny ptak, a za chwilę wyrasta między nami ręka. Chwyta mnie i nie chce puścić, nieważne jak bardzo wrzeszczę i się wrywam.
Otwieram oczy i siadam na szpitalnym łóżku, z trudem łapiąc oddech. Mój sąsiad nadal tkwi na swoim stanowisku przy oknie, wpatrując się w świat za szybą rozmarzonym wzrokiem.
– Kurwa – warczę, odrzucając kołdrę. – Kurwa, kurwa, kurwa! – Zrywam taśmę, która utrzymuje wenflon w moim ramieniu, wyciągam go i rzucam na podłogę. Następnie ruszam w stronę drzwi.
Muszę się dowiedzieć, co ja tam właściwie znalazłem.

Rozdział 46

Otwieram drzwi i wyglądam na korytarz. Całe moje ciało się trzęsie, włoski na rękach stoją mi dęba, zimna podłoga drażni nagie stopy dotykiem lodowatych palców. Mam na sobie tylko prosty, zapinany z przodu szpitalny kitel.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdzam, że szpitalne prosektorium nie znajduje się wcale w piwnicy budynku. Wręcz przeciwnie, jest na poziomie siódmym, zaledwie dwa piętra pode mną.

Winda staje, drzwi rozsuwają się ze zgrzytem. Podchodzę do wejścia oznaczonego jako „A7 Patologia Kliniczna”. Za nim jest kolejny korytarz z recepcją i dyżurką. Dalej widzę kilka par drzwi po obu stronach, z dyżurki dochodzą głosy i stłumiony śmiech. W recepcji nie ma nikogo. Przemykam się na palcach i staję pod drzwiami oznaczonymi jako sala sekcyjna i kostnica. Tuż za nimi mieszczą się przebieralnia, szatnia i prysznic. Po przeciwnej stronie widzę kolejne drzwi, prowadzące do samej sali sekcyjnej i chłodni, w której przechowywane są zwłoki. Zapach uderza mnie, jeszcze zanim łapię za klamkę.

Przystaję przed otwartą szafką w przebieralni. Tuż przy niej stoją trzy pary wysokich gumowych butów. Wyjmuję z szafki zielony uniform i wkładam je na szpitalny kitel: spodnie, koszulkę i płaszcz. Zmarznięte stopy wsuwam w wysokie gumki, podchodzę do drzwi sali sekcyjnej i ostrożnie je uchylam.

W pomieszczeniu jest jasno, ściany są białe, całe wyposażenie z błyszczącego metalu. Na półkach leżą piły, fiolki, misy, elementy wag, szczypce, nożyce i skalpele. Na środku sali, wokół stołu sekcyjnego, stoi plecami do mnie grupa dziesięciu czy dwunastu ludzi.

Mam już zamknąć drzwi, gdy słyszę za plecami głos:

– Ty też spóźniony?

Staję twarzą w twarz z młodą kobietą o jasnych prostych włosach związanych w węzeł na karku. Uwija się właśnie w szatni, na ramieniu ma zawieszony aparat fotograficzny i próbuje zapiąć zielony płaszcz.

- Jestem Astrid – mówi. – Technik kryminalny z policji.
- Cz... cześć – jąkam i chwytam się framugi drzwi, żeby nie upaść.
- Będę uczestniczyć w sekcji razem z wami.
- Świetnie – odpowiadam, starając się powstrzymać drżenie ciała.
- Jesteś jednym ze studentów, prawda? – Kobieta wkłada buty i podchodzi do mnie. – Ojej, nie wyglądasz najlepiej – mówi, podając mi dłoń. – Myślisz, że dasz sobie radę?
- Przepraszam – zaczynam niepewnie. – Nie jestem dziś w formie.
- To ten zapach, prawda?

Kiwam z emfazą głową, Astrid zaś przysuwa się do mnie, kładzie rękę na mojej piersi i szeptem:

- Obawiam się, że muszę cię o czymś uprzedzić. Ci morscy topielcy są zawsze najgorsi. – Mruga i klepie mnie lekko po ramieniu, po czym otwiera drzwi sali sekcyjnej na oścież i prowadzi mnie w kierunku grupy czekającej przy metalowym stole.

Astrid sięga do stojącego przy drzwiach kosza, wyjmując z niego czepek, maseczkę, rękawiczki i pokrowce na buty. Podaje mi drugi taki sam zestaw. Mija studentów i staje po drugiej stronie stołu razem z patologiem oraz technikiem sekcyjnym.

Podchodzę niepewnie do zgromadzonych i znajduję sobie miejsce z tyłu. Uczestniczyłem już wcześniej w wielu sekcjach zwłok, w pierwszych jeszcze jako student akademii policyjnej. Zapach i stres są zazwyczaj takie same, zmysły dostosowują się przeważnie do tego, co się dzieje wokół, i człowiek w końcu znajduje jako taki dystans, niezbędny do przetrwania tego groteskowego spektaklu.

Tym razem zaczynam żałować, gdy tylko moje spojrzenie pada na leżący na stole czarny worek z ciałem. Nogi mam jak z waty, boli mnie brzuch. Czuję, że pocę się pod czepkiem, pierwsze krople spływają mi po skroniach.

Z trudem utrzymuję się na nogach. Kwaśny, ostry zapach wydzielany przez ciało w worku przepełnia mnie absurdalnym przecuciem, że po rozsunięciu suwaka wyłoni się spod plastiku moja własna poorana bliznami twarz.

– Dobry Boże – szeptem i szturcham niechcący stojącego przede mną studenta. Chłopak wzrusza ramionami i przesuwa się odrobinę, co przynajmniej mogę odczytać jako znak, że wciąż jestem człowiekiem, a nie

tylko zbolałym workiem mięsa bez większego znaczenia i sensu.

– Jesteśmy już wszyscy? – Patolog wita się z technikiem kryminalnym, a potem toczy po zgromadzonych surowym spojrzeniem. – Astrid jest z policji. Będzie tu dziś z nami, bo najprawdopodobniej w grę wchodzi śmierć z przyczyn innych niż naturalne, i policja poprosiła o sądowo-lekarską sekcję zwłok. – Drapie się po nosie grzbietem dłoni, po czym dodaje: – Zaraz zobaczycie dlaczego.

– Czy mogę o coś zapytać? – odzywa się młody chłopak azjatyckiego pochodzenia, z wielkomijskim akcentem z okręgu Trøndelag.

– Ależ proszę bardzo – odpowiada mu sucho patolog. – Pytania są mile widziane. Po to właśnie tu jesteście.

– Czytałem gdzieś, że niedługo pojawią się roboty przeprowadzające sekcje wirtualnie i że odejdzie się zupełnie od tradycyjnych...

Patolog unosi dłoń i przekrzywia lekko głowę na bok, zupełnie jakby to pytanie go bawiło.

– Ależ zobacz, drogi studencie. – Milknie na chwilę, po czym mówi: – Zapach, cięcie i dotyk dostarcza nam medycznego wglądu w sytuację, którego nie zastąpi żadna maszyna. Ale z drugiej strony nie należę do tych, co stoją na drodze postępowi, więc kto wie. – Przenosi wzrok na Astrid, która przygotowuje aparat fotograficzny. – Może masz tu coś do dodania?

Astrid podnosi wzrok znad aparatu i kręci głową.

– Cóż... – Patolog chwyta suwak worka na zwłoki i zaczyna go rozsuwać. – Zaczynamy. Proszę pamiętać, jeśli ktoś się gorzej poczuje, może usiąść albo wyjść. Szpitalna stołówka to idealne miejsce, żeby jeszcze raz przemyśleć wybór swojej kariery, może dojdziecie do wniosku, że wolicie się zajmować elektryką albo handlem detalicznym.

Zapach uderza nas, gdy tylko suwak zaczyna wędrować w dół. Plastik szeleści, kilkoro studentów zaczyna lekko chwiać się na nogach i oddychać przez usta, opierając się równocześnie dla zachowania równowagi na ramieniu kolegi lub koleżanki. Twarz, która wyłania się z worka, jest żółtawa, niemal bezbarwna i od chwili kiedy ją widziałem, zdążyła jeszcze bardziej opuchnąć. Skóra jest gruba, ciastowata, z nierównościami na policzkach i wokół ust.

– No i już – mówi patolog, gdy razem z technikiem sekcyjnym usunął plastikowy worek i zwłoki leżą przed nami wyciągnięte na stole. Rasmus Moritzen ma na sobie skafander do nurkowania, który popękał w kilku

miejscach i który jest nienaturalnie wybrzuszony w okolicach talii oraz wokół ud. Anniken miała rację: jej syn wypłynął, by ponurkować, i nigdy nie wrócił.

Studenci stoją bez słowa, wpatrując się w to samo co ja: oderwane przedramię, przyczepione do nadgarstka Rasmusa opaską zaciskową.

– Do tego dojdziemy w swoim czasie – mówi patolog. Technik chwytą za przytwierdzoną do stołu sekcyjnego główkę prysznicową i zaczyna płukać worek. Składa go w końcu i kładzie na mniejszym metalowym stoliku obok.

– Jakie dwa podstawowe pytania musimy sobie zadać przy oględzinach człowieka znalezionego w morzu? – Patolog omiata nas spojrzeniem, Astrid robi w tym czasie pierwsze zdjęcia.

Jedna ze studentek podnosi rękę:

– Trzeba sprawdzić, czy denat był martwy, czy jeszcze żył, gdy znalazł się w wodzie.

– Czyli ustalić, czy przyczyną śmierci było utonięcie. Dobrze. A jak to robimy?

– Analizując okoliczności zgonu – odpowiada studentka. – Czyli to, kiedy denat znalazł się w wodzie, a także zwracając uwagę na znaleziska poczynione w trakcie samej sekcji.

– Zdolna dziewczyna – odpowiada patolog bez cienia satysfakcji, po czym zwraca się do Astrid, która uporała się już z pierwszą serią zdjęć: – Masz coś do dodania? Jako technik kryminalistyki?

– Analizujemy znaleziska faktyczne i techniczne, porównując je następnie z ustaleniami poczynionymi w trakcie samej sekcji, by sprawdzić, czy do siebie przystają.

– Co do tej pory udało się stwierdzić w toku śledztwa?

Astrid wiesza sobie aparat na ramieniu. Jej wargi umalowane są bladym brzoskwiowym błyszczkiem, który skrzy się dyskretnie w ostrym świetle lampy.

– Denat zaginął w zeszły weekend – zaczyna. – Policja założyła, że utonął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Dzisiejszej nocy został znaleziony, gdy dryfował na morzu razem z wodorostami i różnymi odpadami oraz innym człowiekiem, który jest obecnie pacjentem na oddziale nefrologicznym tego szpitala.

– Żyje po tak długim czasie? Jak to możliwe? – pyta patolog.

– To nie tak. Zwłoki znalazł przypadkiem niedoszły samobójca, który

wczoraj wieczorem rzucił się do morza. Wiemy tylko tyle, że ci dwaj mężczyźni byli jakoś ze sobą powiązani.

Cofam się o krok, odsuwając się od studentów i szukając jakiegoś miejsca, w którym mógłbym usiąść. Coraz trudniej mi zapanować nad drżeniem mięśni, kręci mi się w głowie, czuję bolesny ucisk w skroniach i brzuchu. Przysuwam sobie stołek i opadam na niego, gdy znów rozlega się głos patologa:

– No i jeszcze to.

Nabieram powietrza i znów wstaję, tym razem stawiam biały stołek w pobliżu, tak bym mógł z niego skorzystać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Patolog toczy spojrzeniem po zebranych i zatrzymuje wzrok na mnie.

– Jak już pewnie zwróciliście uwagę, do zwłok przyczepione jest za pomocą opaski uciskowej ciało obce. – Podnosi ostrożnie sinozielonkawę przedramię leżące tuż obok zimnego trupa Rasmusa Moritzena. – Wygląda na to, że należało do kobiety, na podstawie powierzchownych oględzin można szacować, że leżało w wodzie dłużej.

Macha przedramieniem tak, że dłoń zgina się w nadgarstku, pozwala Astrid zrobić zdjęcie i odkłada je na metalową ławę obok Rasmusa.

– Niedoszły samobójca znaleziony ledwie żywy, zwłoki człowieka zmarłego ponad tydzień temu i niezidentyfikowana trzecia osoba, która przeleżała w wodzie co najmniej miesiąc. Spróbujcie mi to wyjaśnić – tryumfuje patolog, po czym mruga do Astrid, która uśmiecha się nieznacznie.

– Wiadomo, kim była ta kobieta? – pytam.

– Nie – odpowiada Astrid. – Policja nie ma żadnych zgłoszeń o osobach zaginionych pasujących rysopisem do... – Zerka przelotnie na przedramię i przenosi wzrok na mnie. – Do profilu.

– Czy niedoszły samobójca też był przyczepiony opaską do tych dwóch ciał? – pyta młody Azjata.

– Nie. Został znaleziony, gdy dryfował na środku fiordu na kawałku oderwanego od nabrzeża pomostu. Gdyby nie policyjny śmigłowiec szukający w okolicy dwóch zaginionych policjantów nasz samobójca też pewnie leżałby przed nami na stole.

– OK, mam teorię – ciągnie student. – Facet wskoczył do morza, ale znalazł zwłoki i zmienił zdanie, nie chciał już umierać.

– Według naszych ustaleń ten człowiek był powiązany z denatem – mówi Astrid. – Ale nie mogę zdradzić szczegółów.

– Mam inny pomysł! – woła stojący przede mną chłopak z pryszczami na karku. – Ten niedoszły samobójca zabił najpierw kobietę, do której należy ramię, potem tego chłopaka i wrzucił ich do morza.

– Ach, zagadka kryminalna z morderstwem w tle, a my nie zaczęliśmy jeszcze nawet sekcji. – Patolog zasysa policzki. – Cóż, niektórzy lubią zaczynać od końca.

Oddycham z ulgą, czując pod opuszkami palców zimną stal stołka. Pozwalam ciału opaść i ukrywam twarz w dłoniach. Pryszczaty kontynuuje swój debilny wywód ku uciechu wszystkich zgromadzonych:

– Nie potrafił już żyć po tym, co zrobił, i sam wskoczył za nimi do morza.

– Dość już tych bzdur – kończy patolog i zwraca się do Astrid: – A co mówi nasz samobójca? Wiesz coś na ten temat?

– Nie został jeszcze przesłuchany – odpowiada kobieta.

Wciskam palce w skórę na policzku i czuję, jak uruchamiają się receptory bólu, jeden za drugim, aż w końcu cała twarz staje w płomieniach.

– Ale jak się pewnie domyślacie – ciągnie Astrid – będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

– Dobra, panie i panowie. Dość częściej gadaniny, moje dzieci. – Patolog klaszcze delikatnie w dłonie. Ostatni raz nabieram powietrza i wstaję ze stołka w chwili, gdy mężczyzna pochyla się nad martwym ciałem Rasmusa Moritzena. – Zaczynamy sekcję.

Rozdział 47

– Zaczynamy od odnotowania tego, w co denat jest ubrany. – Patolog nachyla się nad twarzą leżącego na stole sekcyjnym Rasmusa Moritzena. – W tym konkretnym przypadku jest to bardzo proste. Denat ma na sobie skafander suchy do nurkowania. Bez płetw ani żadnego innego sprzętu.

Na skafandrze widać popękania i rozdarcia od wysokości stóp aż do szyi. Techniczka kryminalna Astrid robi zdjęcia i notuje najważniejsze spostrzeżenia, patolog dokonuje w tym czasie niezbędnych pomiarów i oględzin. Z tyłu głowy, przy zagłębieniu w czaszce, znajduje kilka matowych, martwych rozgwiżd. Skóra jest tu ciemniejsza, niemal brązowa, a włosy wyrwane albo zdarte razem ze skórą.

– Co to takiego? – Pryszczaty student wskazuje zagłębienie w czaszce.

Patolog podnosi na niego wzrok.

– Rana głowy – odpowiada kwaśno i na kilka nieznośnych sekund wbija wzrok w twarz studenta. – Dojdziemy do tego w swoim czasie. – Wraca do obrażeń na plecach, cały czas wymieniając półgłosem uwagi ze swoim kolegą. Gdy w końcu są zadowoleni, odwracają ciało z powrotem na plecy i zaczynają zdejmować z niego skafander.

Mam wrażenie, że patrzę na manekina o kończynach z wypełnionych piaskiem szmacianych worków. Ramiona i nogi zwisają bezwładnie, patolog i technik sekcyjny walczą ze skafandrem. Głowa Rasmusa opada ciężko w tył, usta są otwarte, żuchwa się kołysze, gdy obaj mężczyźni wreszcie rozbierają go do pasa. Jedna z rozgwiżd odlepia się nagle i ześlizguje po mokrych włosach na metalowy blat. Technik sekcyjny podnosi ją i wrzuca do żółtego kontenera na odpady przy jednym z końców stołu.

Mężczyźni układają zwłoki z powrotem na blacie, po czym patolog ostrożnie podnosi głowę i układa ją w tej samej pozycji co wcześniej, zwróconą lekko do góry, z otwartymi ustami. Później powoli zdejmuje z ciała denata skafander i bieliznę, tak że Rasmus zostaje zupełnie nagi. Następuje kolejna runda pomiarów i fotografowania, od nóg w górę. Każda najmniejsza plamka i ranka zostaje zarejestrowana i skatalogowana.

Gdy przychodzi wreszcie kolej na głowę, technik sekcyjny usuwa ostatnie rozgwiązdy zgromadzone wokół zagłębienia w potylicy za pomocą dużej pęsety i wrzuca je jedną po drugiej do kontenera na śmieci. Naszym oczom ukazują się rozerwana skóra i naga kość czaszki.

– Uraz *ante mortem*? – Astrid pochyla się nad raną z aparatem i robi szybko trzy zdjęcia pod trzema różnymi kątami.

– Możliwe. – Patolog przemywa ranę wodą z główki prysznic, następnie gąbką usuwa z niej algi i drobne morskie żyjątka. – W przypadkach takich jak ten trudno to jednoznacznie stwierdzić, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi obrażenia głowy. Zobaczmy, co nam wyjdzie w badaniu histopatologicznym.

– Może oberwał śrubą silnika łodzi?

– Nie – odpowiada patolog. – W takim przypadku mielibyśmy kilka większych ran ciętych głowy i karku.

– Jak wygląda tkanka w miejscu urazu?

Lekarz bada ranę palcami.

– Równa powierzchnia, sama kość czaszki nie jest pęknięta. Sugeruje to pojedyncze nagłe uderzenie. Ewentualne urazy *coup* i *contre-coup* pomogą nam ustalić, czy rana powstała w wyniku upadku, czy też ciało było w momencie uderzenia nieruchome.

– Pierwsze wrażenie?

– Rana tłuczona – odpowiada cicho patolog. – Ale będziemy wiedzieć więcej, dopiero gdy wyjmemy mózg. Cóż, chłopcy i dziewczęta, przechodzimy do kolejnego punktu i otwieramy denata. W tym przypadku skorzystamy z techniki *en masse* i najpierw usuniemy organy klatki piersiowej, które przebadamy w pierwszej kolejności, a potem zajmiemy się osobno organami jamy brzusznej.

Technik sekcyjny podnosi ostry skalpel i staje tuż nad górną częścią ciała Rasmusa. Wykonuje głębokie cięcia wzdłuż obojczyków, od barku do barku. Następnie chwytając skórę i ją odciąga, odsłaniając szyję od brody w dół. Oczom zgromadzonych ukazują się szarozółtawa tkanka tłuszczowa i brunatne mięśnie.

Technik wykonuje nowe cięcia po bokach ciała, od pachy do kolca biodrowego. Żebra zostają następnie przecięte specjalnymi kleszczami – nożycami o zakrzywionych ostrzach przypominających ptasi dziób. Mężczyzna odkłada narzędzia i podnosi mostek z odciętymi żebrami.

Z otwartej klatki piersiowej wydobywa się ciężki, duszący zapach.

Patrzę, jak technik podwiązuje większe naczynia krwionośne, po czym za jednym zamachem wyjmuję organy: płuca, serce, wątrobę i woreczek żółciowy, trzustkę, śledzionę i nerki. Narządy odkłada na metalową tacę, na której zostają od siebie oddzielone, następnie mężczyźni oglądają i opisują ich powierzchnię, przekrój, struktury, arterie, naczynia limfatyczne, włókna tkanek i nerwy. Każdy organ jest też ważony na specjalnej wadze. Na koniec pobrane zostają próbki do posiewów, analiz chemicznych oraz innych badań.

– OK – zaczyna patolog, podnosząc płuca obiema rękami i demonstrując je nam. Wyglądają na rozdęte, ich powierzchnia jest marmurkowa i ciastowata. Są sine z ciemnoczerwonymi plamami, gdy patolog lekko ścisną jedno z nich, z płuca wypływa przejrzysta ciecz. – Czym jest utonięcie?

– To uduszenie w sytuacji, gdy nos i usta znajdują się pod wodą – rzuca wysokim falsetem gorliwy student w pierwszym rzędzie.

– Wodą?

– Każdym płynem – kontruje ktoś inny.

– Kto mi wyjaśni mechanizm utonięcia? – pyta patolog, pozwalając kilku stojącym z przodu studentom dotknąć powierzchni płuc, które trzyma w rękach.

Znów odzywa się przyszczaty delikwent:

– W momencie gdy człowiek ma nos i usta zanurzone w wodzie lub innej cieczy, zaczyna walczyć o oddech. Ale ta walka zamiera, w miarę jak delikwent traci siły, a okres tonięcia rozpoczyna się w chwili, kiedy nie może już dłużej wstrzymać oddechu: dochodzi do aspiracji cieczy, czemu towarzyszą często odruch wykrztuśny i wymioty, potem następuje utrata przytomności, po kilku zaś minutach śmierć.

– Na utonięcie nie ma jednego przepisu – mówi patolog. – Dlatego należy szukać dowodów na to, że delikwent żył w momencie, gdy znalazł się w wodzie, oraz wykluczyć ewentualne naturalne przyczyny śmierci. No dobrze, panie i panowie. Oznaki utonięcia. Czego mamy szukać?

– Biała piana w drogach oddechowych i ustach to znak, że delikwent żył, gdy znalazł się pod wodą – odpowiada z dumą przyszczaty.

– Cóż, mój drogi studencie... – Patolog wykonuje szeroki gest ręką. – Czy będziesz tak dobry i nam to zademonstrujesz?

Chłopak pochodzi i pochyła się nad zwłokami Rasmusa, który leży przed nim z otwartą klatką piersiową, pustymi jamami oczodołów

i rozdziawionymi ustami. Trudno mi go sobie wyobrazić jako chłopaka w spodenkach Liverpoolu, stojącego przy grillu razem z matką i dziadkami. „To nie on, to coś innego” – myślę w chwili, gdy pryszczaty pochyla się z dłońmi na kolanach i wyciąga szyję. Zagląda najpierw do ust trupa, potem przekręca jego głowę i kark tak, by móc zajrzeć do nosa.

– Dla tych z was, którzy chociaż trochę uważają na zajęciach... – zaczyna patolog po dłuższej chwili obserwowania studenta, który wykonał w tym czasie imponującą liczbę niewygodnych zgięć szyi, by zajrzeć jak najgłębiej do dróg oddechowych trupa; pryszczę na jego karku wyglądają, jakby miały za chwilę eksplodować – oczywiście jest, że tracimy teraz tylko czas. Procesy gnilne niszczą wspomnianą pianę w drogach oddechowych, już po krótkim czasie zmieniając ją w brunatną ciecz z bąbelkami gazów, rodzaj pseudopiany, którą nasz przyjaciel obecnie wdycha, robiąc z siebie idiotę przed resztą grupy.

Pryszczaty prostuje pospiesznie plecy i cofa się ze wstydem na swoje miejsce.

– Można sprawdzić, czy płuca są wypełnione wodą – proponuje inny student.

Patolog kiwa głową.

– Owszem, ale płyn w płucach gromadzi się także w przypadku ich obrzęku albo niewydolności serca, przedawkowania narkotyków lub urazów głowy. Więc co jeszcze?

– Ciała obce w drogach oddechowych, płucach i żołądku.

– To może wskazywać na utonięcie, owszem, tyle że woda dostaje się do gardła, tchawicy i oskrzeli także po śmierci, w mniejszych ilościach również do przełyku i żołądka. Ale do pęcherzyków płucnych już nie, prawda? – Patolog naciska kciukami na płuca, które trzyma w rękach, jakby szukał czegoś w ich głębokich strukturach. – Właśnie – mówi wreszcie. – Proszę sprawdzić tutaj.

Stojący z przodu student pochyla się i muska palcami miejsce wskazane przez patologa na każdym z płuc.

– A czym są pęcherzyki płucne?

– Strukturami z naczyniami włosowatymi, w których tlen dostaje się z płuc do krwi.

– Czasami da się to wyczuć w płucu, ale najczęściej trzeba obejrzeć przekrój pod mikroskopem, by potwierdzić znalezisko. Mam swoje

podejrzenia – mówi patolog tajemniczo, po czym odkłada płuca do metalowego naczynia razem z resztą organów klatki piersiowej.

Odwraca się następnie do Astrid, która zapisuje coś w notesie.

– Chciałabyś coś dodać?

Astrid kręci głową.

– W takim razie przechodzimy do jamy brzusznej – oświadcza patolog.

Technik sekcyjny wykonuje niezbędne cięcia, po czym wyjmuje z ciała ofiary trzęsącą się galaretowatą masę, w skład której wchodzi żołądek i jelita, po czym kładzie ją na blacie obok trupa. Ciężki, duszący fetor krwi i odchodów miesza się ze zgniłym zapachem morza i wodorostów, co sprawia, że trudno jest oddychać nawet przez usta.

– W tej fazie sekcji najbardziej przydają się nasze zmysły – mówi patolog. Sięga po narzędzie przypominające chochlę i po litrową miarkę, które podaje technikowi. Mężczyzna zaczyna nalewać do miarki brunatny płyn wypełniający jamę brzuszną trupa, patolog zaś podchodzi do poskręcanych jelit.

– Niewielka ilość wody w żołądku może sugerować, że delikwent poniósł szybką śmierć albo był martwy już w chwili, gdy trafił do wody.

Chwyta skalpel, oddziela żołądek od jelit, po czym zamyka miejsca cięcia zaciskami. Następnie otwiera żołądek kolejnym cięciem i przelewa jego zawartość do metalowej miski.

Żołądek wypełniony jest zielonkawą cieczą. Pływają w niej niewielkie mięczaki, niektóre jeszcze żywe. Wiją się w stojącym przed nami naczyniu.

– Znaleziska mówią tu same za siebie – mówi patolog i wraca do badań leżących przed nim organów, obchodząc się z nimi z tą samą delikatną skrupulatnością co z narządami klatki piersiowej.

– Jak się na razie czujecie?

– Dobrze – odpowiadają studenci unisono, ale patolog podnosi wzrok i patrzy prosto na mnie.

– A ty? Cichy jak myszka w ostatnim rzędzie? – Wskazuje na mnie zakrwawionym palcem. – Z tobą też wszystko dobrze?

Kiwam głową.

– Masz jakieś pytania?

Kręcę głową.

– Mdli cię? Jesteś zmęczony? Skacowany? A może to po prostu jeden z tych dni?

– Jeden z tych dni.

– Cóż, w tym zawodzie nie może ich być. Nie istnieją. Zrozumiano?

Kiwam głową, a patolog znów zwraca się do grupy:

– Najpierw mózg, potem lunch.

Daje znać technikowi, który porządnie opłukuje dłonie w żółtych rękawicach pod kranem. Następnie wkłada okulary ochronne, zdejmując ze ściany elektryczną piłę do kości, po czym staje u wezłowania stołu sekcyjnego.

– Cofnijcie się na czas piłowania – mówi patolog i cała grupa robi kilka kroków w tył. Technik uruchamia piłę na próbę. Astrid także się cofa, zasłaniając dłonią obiektyw aparatu.

Technik sekcyjny odkłada na chwilę piłę i wykonuje skalpelem długie cięcie na potylicy trupa. Chwyta skórę i ściąga ją z czaszki. Następnie prowadzi skalpel w kierunku czoła, odsłaniając kość także w tym miejscu, odkłada narzędzie i znów uruchamia piłę.

Odgłos jest ostry i nieprzyjemny, zapach drażni nozdrza. Technik prowadzi ostrze piły pewnym, precyzyjnym ruchem i w końcu odpiłowuje górę czaszki. Zaciskam nos palcami, gdy mężczyzna odcina nerwy utrzymujące mózg w miejscu, po czym wyjmuje go i kładzie na ławie przed sobą.

Astrid podnosi aparat, podchodzi bliżej i robi zdjęcia, patolog daje jej chwilę, potem wyciera skalpel, podnosi mózg i umieszcza go na metalowej tacy.

– Uraz *coup* płata potylicznego – mówi, wskazując ostrzem skalpela punkt w tyle głowy, tam gdzie było wgłębienie w czaszce. – Jakie informacje da nam ewentualny uraz *contre-coup* płata czołowego albo jego brak?

– Przy obrażeniach odniesionych na skutek upadku – zaczyna niepewnie przyszczać zza pleców jednego z kolegów – często można znaleźć pasujący uraz *contre-coup* w płacie czołowym. Jeśli natomiast denat stał w momencie uderzenia bez ruchu, takiego urazu nie będzie.

– I co, zaczynacie się niecierpliwić? – Patolog dzieli mózg na dwie równe części i kładzie je przed sobą płaszczyzną cięcia do góry. Wskazuje ostrzem pofałdowaną strukturę płata czołowego. – Czysto – mówi. – Nie ma żadnych oznak urazu.

Celuje nagle we mnie skalpelem.

– Ty tam, zmęczony. Jak się nazywasz?

– Aske – odpowiadam słabym głosem, próbując wyprostować plecy i oddychać normalnie pod maską chirurgiczną.

– OK, Aske. Czego się na razie dziś nauczyliśmy? Albo inaczej: czego ty się dziś nauczyłeś? Opowiedz nam, proszę.

Chrząkam, a studenci odsuwają się ode mnie, jakby wiedzieli, że skończy się to kolejnym werbalnym upokorzeniem.

– Że policja miała rację. Istnieje podejrzenie zabójstwa.

– Ach? A dlaczego tak uważasz? – Patolog odkłada skalpel i krzyżuje ramiona na piersi. Astrid podnosi wzrok znad notatek i zerka na mnie z ciekawością. – Czemu nie stwierdzimy, że to wypadek przy nurkowaniu? Że chłopak uderzył się w głowę i utonął?

– Uraz mózgu sugeruje, że stał nieruchomo. To wyklucza upadek – odpowiadam i odchrząkuję, próbując zaczerpnąć powietrza. – Biorąc dodatkowo pod uwagę okoliczności i fakt, że denat był przyczepiony opaską uciskową do kobiecego ramienia...

– W takim razie jesteś zdania, że możemy wykluczyć takie rzeczy jak choroba dekompresyjna, ostry obrzęk płuc, odma opłucnowa i zator gazowy jako potencjalne przyczyny śmierci. Czy to próbujesz powiedzieć?

Kiwam głową, nie orientując się do końca, co oznaczają te wszystkie słowa.

Patolog mierzy mnie przez chwilę wzrokiem w milczeniu, po czym w końcu stwierdza:

– Dziwne rozumowanie jak na studenta medycyny. – Przebiera palcami w powietrzu. – Cóż, Aske... – Przekrzywia głowę. – W takim razie możemy chyba spakować manatki i posłać Astrid, by aresztowała tego biednego niedoszedłego samobójcę z nefrologicznego, co?

– To chyba nie zda się na wiele – szepczę, ale lekarz znów wchodzi mi w słowo.

– Wygląda na to, że pan Aske, zamiast czytać podręczniki, naoglądał się tych wszystkich seriali z serii CSI. Podobnie jak wielu z was nie pojmuję, że naszym zadaniem jest zbadanie i dokumentacja patologicznych znalezisk, które tutaj widzimy, a następnie zaszycie zwłok i odwiezienie ich do chłodni. *Job done*. Patologów rozwiązujących zagadki kryminalne możemy sobie oglądać w telewizji po powrocie z pracy, zajadając popcorn z naszym kotem czy tam patyczakiem. Nasza robota to określone procedury. Mięso i krew. Trupy do pokrojenia. Darem od śmierci dla życia jest wiedza, Aske. Wiedza,

a nie jakieś tam zgadywanki i debilne insynuacje.

Mężczyzna kończy wreszcie przebierać palcami i zdejmuje rękawiczki, które rzuca do kontenera na śmieci razem z maską chirurgiczną.

– Cóż, chłopcy i dziewczęta, dość już mam gadania do zmęczonych studentów i zwłok o pustych czaszkach. Idziemy na lunch. Po przerwie będzie histologia. – Przysuwa się do Astrid, która pakuje aparat fotograficzny, i dodaje szeptem: – Z jakiegoś powodu zawsze mam po sekcji straszną ochotę na czekoladę Toblerone. A ty?

Rozdział 48

Wytaczam się z sali sekcyjnej, zrywam z siebie w szatni płaszcz i zdejmuję buty. Wypadam na korytarz, zanim do przebieralni wchodzi następna osoba. W windzie pozbywam się rękawiczek, czepka, spodni i maski chirurgicznej, zwijam wszystko w kulkę, którą chowam w wózku z pościelą do prania przy windzie towarowej, zaraz przy wejściu na oddział nefrologiczny.

Starszy pan przy oknie zniknął, mimo że jego ubrania wciąż leżą na niezasałanym łóżku. Wchodzę do łazienki i stoję przed lustrem. Twarz mam popielatą, oczy matowe, pozbawione życia. Moja fryzura przypomina gniazdo ptaka, który zarzucił dbanie o porządek, szczecina sterczy z białych policzków niczym kolce jakiejś żyjącej w morskich głębinach ryby.

Próbuję się uśmiechnąć, przywołać na wargi najbardziej podstawowy wyraz twarzy, jaki ma w swoim repertuarze ludzkość, ale zupełnie nic się nie dzieje. Mięśnie odmawiają współpracy. Uświadamiam sobie nagle, że to, co widzę w lustrze, to pośmiertna maska. Odlew twarzy. Dotykalne wspomnienie po kimś, kogo już nie ma, coś, co muszę nieść ze sobą, gdziekolwiek pójdę.

Podnoszę leżącą na umywalce jednorazową maszynkę i zaczynam się golić, mozolnie zdrapuję szczecinę z każdej bruzdy i blizny mojej zniszczonej twarzy, po czym przechodzę do drugiego, zdrowego policzka. Kończę, rozbieram się i wchodzę pod prysznic.

Woda jest zimna. Staję pod strumieniem, zamykam oczy i namydlam ciało, twarz, nawet włosy, próbując zmyć z siebie ciężki, duszący fetor sali sekcyjnej.

Cały czas widzę przed sobą Rasmusa Moritzena. Nie tego pozbawionego włosów, bez mózgu i wnętrzości, którego oglądałem na metalowym stole piętro niżej, ale jako zestawienie młodego mężczyzny ze zdjęcia Anniken Moritzen i martwego ciała leżącego obok mnie na pokładzie śmigłowca. Rasmus Moritzen został zamordowany. Rasmus Moritzen jest przywiązany, nie, przypięty opaską zaciskową do kobiety, którą znalazłem na wyspie. Bjørkang i jego zastępca nadal są uznawani za zaginionych, zdaniem policji

też tam dotarli. A to oznacza, że wszyscy, którzy wiedzieli kobietę, którą znalazłem w morzu, lub mieli z nią jakiś kontakt, albo są martwi, albo zniknęli bez śladu.

Kończę się myć, podchodzę do lustra i rysuję palcem wskazującym kółko na zaparowanym szkle. Kreślę oczy, nos i usta, po czym pochylam się nad rysunkiem.

– Oprócz mnie – mówię do uśmiechniętej wesoło buzi, na której skrapla się para wodna. – I ciebie.

Sprawca. Gunnar Ore i technicy kryminalni mieli rację przynajmniej co do tego. Istnieje jakiś sprawca. Człowiek, który wynurzył się z morza i zabrał zwłoki, to najprawdopodobniej także morderca Rasmusa.

Pochylam się jeszcze bardziej nad lustrem. Krople wody na szkle są już tak duże, że zaczynają spływać, rozmazując oczy, nos i usta rysunkowej twarzy, która wygląda teraz, jakby płakała.

– Czy zabrałeś kobietę bez twarzy do dyskoteki, ponieważ wiedziałeś, że nigdy nie opuścę tego miejsca żywy? – pytam rozpływającą się twarz. – Czy to jakaś gra? Informacja i manipulacja? O to tu chodzi?

Stoję przed lustrem do chwili, aż system wentylacyjny wysysa z łazienki całą wilgoć, a szkło na powrót staje się suche.

– No dobra – mówię, nie odrywając wzroku od swojego odbicia. – W takim razie zagrajmy. – Odwracam się i wychodzę.

Rozdział 49

Podchodzę do krzesła, na którym nadal wisi marynarka starszego mężczyzny, przeszukuję kieszenie i w końcu trafiam na telefon. Siadam na swoim łóżku i wybieram numer Ulfa.

– Cześć, Ulf. To ja. Twój ulubiony pacjent.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile przez ciebie spadło na mnie gów...

– Jak tam sprawy w Stavanger? – pytam, starając się odegnąć burzę przekleństw.

– A może tak wziąłbyś jakiś solidny kij i wsadził sobie... – terapeutyczne zazwyczaj vibrato jego bergeńskiego dialektu terkocze na wysokich obrotach – ...prosto w dupę, ty pierdolony debilu! Ruth jest na mnie wściekła, że w ogóle zgodziłem się tobą zajmować i...

– Ruth? Kto to jest Ruth?

Ulf milknie na chwilę, po czym dopowiada już nieco spokojniej.

– Moja partnerka, mieszkamy razem. Poznałem ją jakiś czas temu na konferencji w Drammen.

– Myślałem, że ma na imię Solveig.

– Nie. – Ulf odchrząka. – Solveig wyprowadziła się tego samego dnia, kiedy poleciałeś na północ. Wzięła ze sobą Fridę i wróciła do Bergen.

– Przykro mi.

– Co zrobić, co powiedzieć. Takie rzeczy się zdarzają. Psychiatrom też. – Ulf zaciąga się papierosem. – No dobra. Co się dzieje, Thorkildzie Aske? Będziesz tak dobry i mi powiesz? Coś ty tam zmalował?

– O co ci chodzi?

– Słuchaj... – Ulf znów jest chyba bliski eksplozji, ale zdusza w sobie wściekłość, nabiera powietrza i mówi: – Parę minut temu skończyłem właśnie rozmawiać z doktorem Weidemannem z oddziału nefrologicznego szpitala w Tromsø, chciał dowiedzieć się czegoś więcej o pacjencie, który trafił do nich tej nocy. O moim własnym Thorkildzie Aske, który jego zdaniem rzucił się do morza naszpikowany moimi lekami. Moimi lekami?

– Z technicznego punktu widzenia leki były moje – koryguję. – Poza tym

nie trafiłem do morza.

– Co!? Co!! Do jasnej... – Tym razem Ulf nie jest już w stanie zapanować nad wściekłością. Po płomiennej tyradzie, w której grozi mi między innymi śmiercią oraz przymusowym pobytem w szpitalu psychiatrycznym na spartańskiej kuracji paracetamolem i truxalem, uspokaja się wreszcie i jest gotów rozmawiać dalej.

– Dobra – prycha. – Co się dzieje?

– Znalazłem w morzu Rasmusa. Został zamordowany.

– Zamordowany?

– Sekcja wykazała ranę tłuczoną głowy i śmierć na skutek utonięcia. Jego ciało było przypięte opaską zaciskową do oderwanego ramienia kobiety, zakładałam, że tej, którą znalazłem na wyspie.

– Sekcja? Ramię kobiety? Co do... – Ulf milknie i nabiera powietrza. – OK, OK, OK – powtarza między oddechami. – Możemy o tym porozmawiać później. Gadaj dalej. Co się teraz z tobą dzieje?

– Właśnie robili mi lewatywę.

– Świetnie, doskonale – mamrocze Ulf w roztargnieniu i zapala kolejnego papierosa.

– Ulf – zaczynam. – Nie zastanawiałem się, jak to...

– Hej. Hej! Nie teraz! Zajmiemy się tym, kiedy wrócisz do domu. Bo wracasz, prawda?

– Jeszcze nie teraz.

– Co? Pakuj się natychmiast i szoruj do Stavanger. Ta sytuacja zupełnie wymknęła się spod kontroli, przecież ty nie masz czego szukać w sprawie kryminalnej. Zaraz zadzwonię do Anniken i jej powiem, że to zaszło za daleko, że już nie możesz jej pomóc. A ty wrócisz dziś do domu.

– Nie ma takiej możliwości – kontruję pospiesznie. – Mam jutro przesłuchanie na policji i chyba się z tego nie wywinę.

– Przesłuchanie? – pyta Ulf nieco łagodniej. – Dlaczego?

– Badania kryminalistyczne przeprowadzone na wyspie wykazały, że jest tam krew jednego z zaginionych funkcjonariuszy. I chyba znaleziono coś jeszcze, coś, co da się bezpośrednio powiązać z jednym z nich.

– Ale co to ma wspólnego z tobą?

– Te ustalenia wskazują na to, że Bjørkang i jego zastępca byli na wyspie tego samego wieczora co ja.

– I?

– Słuchasz w ogóle, co do ciebie mówię? Dwaj policjanci zaginęli po tym, jak popłynęli na wyspę, by zabrać stamtąd niestabilnego psychicznie, autoagresywnego byłego funkcjonariusza z uszkodzonym mózgiem, który dopiero co wyszedł z więzienia.

– O kurwa!

– Tym razem wszystko wyjdzie na jaw – ciągnę. – Frei, całe to gówno, nieważne, czy jestem winny czy nie. – Waham się przez chwilę, ale ciągnę: – Ona tam znów była, kiedy wróciłem na wyspę. Nie Frei, tylko kobieta bez twarzy. Siedziała na dole, w dyskotecie. Przynajmniej tak mi się wydaje, dlatego znów muszę tam popłynąć. Zobaczyć, dowiedzieć się, gdzie biegnie granica między fantazją i rzeczywistością. I to zanim do nich pójde. Przed przesłuchaniem.

– Teraz rozumiem. – Ulf gasi papierosa i niezadowolony wypuszcza dym. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Tak. Wyciągnij mnie stąd.

Ulf odchrząkuje.

– OK. A gdzie jesteś?

– Na nefrologii. Nie chcą powiedzieć, kiedy mnie wypuszczą.

– OK, OK – mamrocze Ulf, próbując zapanować nad stresem. – Jeśli stanowisz ich zdaniem zagrożenie dla samego siebie, masz objawy psychozy albo poważnej choroby umysłowej, pewnie będą chcieli cię zatrzymać na przymusową obserwację na oddziale psychiatrycznym.

– I jak długo będę musiał tam siedzieć?

– Do dziesięciu dni – odpowiada Ulf.

– Nie mam na to czasu.

– Obawiam się, że nie masz też wyboru.

– Pomóż mi, Ulf – zaczynam błagać, słysząc kroki na korytarzu. Ktoś po mnie idzie. – Pomóż mi, do diabła.

– Jest już za późno, Thorkildzie – wzdycha Ulf. – Tym razem wpadłeś w odmęty systemu zbyt głęboko, bym mógł cię wyłowić. Posiedź tam sobie te dziesięć dni, moim zdaniem dobrze ci to zrobi, zwłaszcza biorąc pod uwagę to wszystko, co się stało. Może uda mi się coś zrobić, żeby trochę skrócić ten czas, to całkiem możliwe, pod warunkiem że będziesz...

– Czas już się skończył, Ulf – szepczę w chwili, gdy drzwi uchylają się nieznacznie, a do pokoju zagląda lekarz.

– Thorkildzie! – krzyczy mój psychiatra, gdy mam już kończyć rozmowę.

- Tak? – Podnoszę komórkę z powrotem do ucha. – O co chodzi?
- Tylko bez żadnych numerów.
- Numerów?

Rozdział 50

– O, już pan wrócił – mówi lekarz. W jednej ręce ma kubek z kawą, w drugiej zaś brązową kopertę, którą zasłania brodę jak wachlarzem. Ma południowo-wschodni dialekt, szpakowate włosy i jest mniej więcej w moim wieku.

– O czym pan mówi?

– Zaglądaliśmy tu jakiś czas temu.

– Byłem w toalecie – wyjaśniam. – Kłopoty z brzuchem.

Lekarz marszczy nos, a ja próbuję wykonać gimnastykę twarzy niezbędną do wyprodukowania wiarygodnej zażenowanej miny. W pokoju wciąż unosi się zapach z sali sekcyjnej. Zupełnie jakby zdążył już wnikać w ściany i pościel.

– Gdzie pańskie ubrania?

– Rozcięto je na mnie na oddziale ratunkowym, powinny leżeć gdzieś tu w torbie.

– Ma pan kogoś, kto mógłby przynieść panu nowe?

– Nie.

Lekarz opuszcza wzrok na swoje buty.

– OK – mówi po chwili. – Zaraz zobaczę, czy uda mi się załatwić coś dla pana z naszego magazynu. – Siada na krześle przy łóżku. – Jak się pan czuje?

– Staro – odpowiadam lakonicznie.

– Doktor Weidemann. – Lekarz podaje mi żylastą, opaloną dłoń o perfekcyjnych paznokciach.

– Pacjent Aske – odpowiadam, opadając z powrotem na łóżko. Ciało wydaje mi się nagle ciężkie, jakby odpłynęła z niego cała energia. – No i co? – zaczynam po załatwieniu tych kwestii grzecznościowych. – Jestem już uleczony? Szybko poszło.

– Jest tak... – Doktor Weidemann wzdycha i zaczyna na nowo: – Postanowiliśmy skierować pana na obserwację na oddział psychiatryczny w Åsgård z uwagi na...

– Nie, dziękuję – odpowiadam, uśmiechając się tak szeroko, jak tylko

pozwalają mi mięśnie twarzy. – *Just dropped in to see what condition my condition was in.* Muszę ruszać dalej.

– Prawo jest po naszej stronie.

– Jakie prawo?

– Skierowanie wynika z paragrafu trzeciego, punkt drugi ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. To przepis o przymusowej obserwacji psychiatrycznej do dziesięciu dni.

– Po co to wszystko?

Lekarz patrzy na mnie zrezygnowany, dopiero teraz widzę, że oczy ma podbiegnięte krwią.

– Biorąc pod uwagę to, co się stało, mamy powody podejrzewać, że stanowi pan zagrożenie dla samego siebie.

– Ach tak?

– Proszę. – Podaje mi kopertę. Ważę ją w dłoni, patrząc na mężczyznę, który wygląda, jakby miał się zaraz złożyć na dwoje.

– Mogę przeczytać?

– Ależ tak, tak, oczywiście. Znajdzie pan tam pismo o stosowaniu środków przymusu w psychiatrii z zacytowaną podstawą prawną.

Na dworze zapada powoli zmrok. Wiatr zaczyna świszcząć w okiennych szparach. W drzwiach mojego pokoju stoją zaś dwaj mężczyźni. Jeden jest młody i krótko ostrzyżony, drugi nieco starszy, z ogoloną głową. Obaj wyglądają, jakby mieli wykupiony dożywotni karnet na siłownię i pokończone doktoraty ze środków bezpośredniego przymusu.

– A to co za jedni?

– Są tu, żeby pomóc.

– Panu?

Weidemann kręci głową.

– To na wypadek gdyby pan potrzebował asysty.

– Do czego?

– Do czegokolwiek.

– Kiedy mam jechać na ten oddział psychiatryczny?

– Teraz, albo tak szybko, jak tylko będzie pan w dość dobrej formie.

– A mogę odmówić?

– Tak.

– Świetnie. W takim razie odmawiam.

– Ale... – Weidemann macha dłonią niczym białą flagą. – Ale... –

powtarza z nową siłą – w takim razie będzie pana musiała odwiedzić policja.

– No dobra. To jadę sam.

– Taksówką czy karetką? Jørn i Jørgen pana odeskortują.

– Nie mam pieniędzy.

– W takim razie my się tym zajmiemy.

Rozkładałam ręce w geście rezygnacji.

– Zdaje się w takim razie, że nie pozostawiono mi wyboru.

– Świetnie. – Doktor Weidemann podnosi się z krzesła i podchodzi do drzwi. Pielęgniarki wchodzą do środka i stają przede mną z uśmiechem. Nie jest to bynajmniej serdeczny, uprzejmy uśmiech, którym pozdrawiamy znajomych, lecz raczej lodowata maska zdająca się mówić: „Jesteśmy tacy twardzi, że nawet stojąc przed tobą, czubkiem bez gaci, który nie ma nic do stracenia, nadal się uśmiechamy”.

Ściskam uroczyście w dłoniach brązową kopertę i odwzajemniam uśmiech. Staram się być tak uprzejmy, jak tylko umożliwiają mi to okoliczności.

– Hej! – wołam za Weidemannem, gdy ten wychodzi z pokoju.

– Słucham? – Lekarz odwraca się do mnie.

– Dacie mi pół godziny? – Kładę dłoń na brzuchu i wykrzywiam twarz. – Chyba jeszcze nie doszedłem do siebie po tej lewatywie.

– Oczywiście – odpowiada mi. – Tymczasem zobaczę, czy uda mi się znaleźć dla pana jakieś ubranie.

Pielęgniarki zostają przy drzwiach, ja zaś wstaję z łóżka i drepczę zgięty wpół do łazienki, gdzie zamykam za sobą drzwi i odkręcam kran umywalki.

Siadam na zamkniętej klapie sedesu i wyciągam telefon starszego pana, który udało mi się ukryć w dłoni. Najwyższy czas wziąć na siebie odpowiedzialność i wykazać odrobinę inicjatywy, jak zwykł mawiać Gunnar Ore, gdy nasza policyjna drużyna piłkarska przegrywała z reprezentacją kancelarii adwokackiej z biurowca po drugiej stronie ulicy.

– Thorkild? – dyszy Liz, słysząc mój głos. – To ty. Tak się bałam...

– Później, siostrzyczko – szepczę do słuchawki najciszej jak potrafię. – Potrzebuję twojej pomocy. Teraz, natychmiast.

Rozdział 51

Albo do magazynu rzeczy znalezionych trafiają tu rzeczy bardzo dziwnych ludzi, albo doktor Weidemann ma jakieś specyficzne, właściwe lekarzom poczucie humoru, którego do końca nie rozumiem.

Mam na sobie obcisłe lycrowe spodenki z ciemnymi niebiesko-zielonymi paskami po wewnętrznych stronach ud, w typie noszonym głównie przez narkomanów, muzyków zespołów heavymetalowych i nastolatków z bloku wschodniego. Na górę dostałem gruby, szary wełniany golf, który strasznie mnie gryzie i sięga mi mniej więcej do pasa, co oznacza, że gdy się prostuję, mam odsłonięty prawie cały brzuch.

W charakterze obuwia otrzymałem parę spranych, zniszczonych i w każdym tego słowa znaczeniu znoszonych adidasów. Moje własne, mokre i pocięte ubranie zapakowano w żółtą reklamówkę z supermarketu. Czuję się jak żywy bohater plakatu promującego jakąś akcję antynarkotykową na północy kraju. Jørn i Jørgen prowadzą mnie korytarzem do windy, każdy z nich pilnuje mnie ze swojej strony. Mają mnie zwieźć na dół i zapakować do taksówki do Åsgård, na oddział psychiatryczny uniwersyteckiego szpitala położonego na zachodnim wybrzeżu Tromsøya.

Mam wrażenie, że moi towarzysze, Jørn i Jørgen, rozkoszują się niezręczną ciszą, która panuje między nami, gdy jedziemy windą; żadnych spojrzeń, żadnych słów, tylko zimne uśmiechy, zupełnie jakby brali udział w zawodach, w których przegrywa ten, kto pierwszy się odezwie albo zademonstruje jakiegokolwiek inne ludzkie odruchy.

– Hej ty? – zwracam się do Jørna albo Jørgena po mojej prawej stronie.

Pielęgniarka nie odpowiada, ale patrzy na mnie, jakby czekał na to, co będzie dalej.

– Wiesz, co jest czerwone i robi blob-blob? – pytam, nie odwracając wzroku od drzwi windy, która przystaje, drzwi się rozsuwają, ale nikt nie wsiada. – Nie wiesz? – Drzwi zasuwały się z powrotem, jedziemy w dół. – Cóż, nie pozwól, bym trzymał cię w niepewności dłużej, niż to konieczne. To... – Wstrzymuję na chwilę oddech, po czym rzucam: – Ostatnia szansa.

Może jednak zgadniesz, co to takiego?

Jørn albo Jørgen po mojej prawej stronie wciąż nie odpowiada, a Jørn albo Jørgen po lewej nawet nie mruga, koncentruje się tylko na odgrywaniu roli żywej statuy, uważnie słuchając.

– No dobra, powiem. To... czerwony blob blob! – wypalam, po czym szturcham go lekko w ramię, śmiejąc się i klepiąc z zadowoleniem żółtą reklamówkę.

Winda znów staje, Jørn i Jørgen dają mi znać, że to już parter i że czas wysiadać. Ruszamy szerokim jasnym korytarzem kończącym się obszernym pomieszczeniem, z tego co rozumiem, holem wyjściowym. Roi się w nim od ludzi, nie jestem w stanie dostrzec między nimi samych drzwi.

– A ty? – Trącam lekko drugiego Jørna albo Jørgena, tego po lewej. – Wiesz, co jest czerwone i robi blob-blob?

On też mi nie odpowiada, idzie przed siebie zdecydowanym krokiem, przeciskając się między wózkami inwalidzkimi, ciężarnymi nastolatkami, ludźmi z kończynami w gipsie, zabandażowanymi pacjentami oraz ich krewnymi.

– No właśnie – mówię i kiwam głową w chwili, gdy mijamy dwóch mężczyzn przy drabinie wymieniających właśnie jarzeniówkę. – Ja też tak powiedziałem – ciągnę. – Ale nie miałem racji. To właśnie jest takie śmieszne. To nie czerwony blob blob. Nie tym razem. Tylko borówka z silnikiem. Rozumiesz? Za każdym razem jest co innego. Nie da się wygrać. – Znów go trącam. – Nie ma takiej możliwości.

– Hej – szepce Jørn albo Jørgen po mojej prawej. – Może się trochę uspokoimy? OK?

Po drugiej stronie drabiny, na której dwaj mężczyźni wymieniają jarzeniówkę, widzę rząd czerwonych krzeseł, za nim z kolei półmetrowej wysokości regał z plastikowymi roślinami w donicach wypełnionych keramzytowymi kulkami. Regał wydziela spory obszar, gdzie pacjenci i ich krewni siedzą w grupkach przy stolikach, niektórzy czytają gazety, inni coś jedzą lub rozmawiają przez telefon.

– Ależ tak, tak, oczywiście – odpowiadam. – Chciałem tylko wyjaśnić, że ta sama zagadka...

– Tak, rozumiemy. – Jørn albo Jørgen po mojej lewej stronie podnosi odrobinę głos. – Nie można jej odgadnąć, bo odpowiedź cały czas się zmienia.

– Właśnie! – Wybucham śmiechem i znów szturcham go lekko w ramię. – Nie da się zgadnąć. Nieważne, ile razy się próbuje. – Pochylam się nad nim kolejny raz, udając, że chcę mu dać jeszcze jednego nieszkodliwego kuksańca, ale zamiast tego popycham go z całych sił prosto na czerwone krzesła zajmowane przez pacjentów i ich krewnych, tak że przelatuje nad regałem ze sztucznymi roślinami i wpada między stoły po drugiej stronie. Ciskam żółtą reklamówkę z moimi mokrymi, pociętymi ubraniami w twarz drugiego Jørna albo Jørgena po prawej, ten zaś traci równowagę i wpada na drabinę, na której stoi właśnie jeden z mężczyzn. Jarzeniówka wypada z rąk robotnika i roztrzaskuje się na podłodze.

A ja ruszam pędem przed siebie.

Skrećam w lewo i biegnę w stronę grupy ludzi w płaszczach stojących przy wejściu do apteki, wpadam w wąski korytarz, zdający się prowadzić do głównych drzwi, który okazuje się niestety ślepą uliczką.

Odwracam się i chcę biec z powrotem, ale młodszy Jørn albo Jørgen rzuca się na mnie, tak że obaj wpadamy w kartony z przecenionymi artykułami wystawionymi przed apteką.

Wymachuję ramionami, chwytam buteleczkę kremu do opalania, przecenionego o połowę, i rzucam nią w twarz młodszego Jørna albo Jørgena, gdy ten znów próbuje mnie pochwycić. Zrywam się z podłogi i biegnę w stronę recepcji. Nad kontuarem wisi duża tabliczka ze strzałką pokazującą, którą do wyjścia.

Nagle dostrzegam starszego Jørna albo Jørgena. Stoi pomiędzy mną a słupem. Za plecami ma wyjście. Trzyma dłonie uniesione nad biodrami i prycha niczym lekko poirytowany byk, posyłając mi wściekłe spojrzenie. Zwalniam lekko na ten widok i przypominają mi się sceny pojedynków ze starych westernów, w których mieszkańcy miasteczka – w tej roli malownicza zbieranina pacjentów po wylewie i cierpiących na raka, spragnionych dymka palaczy – rozbiegają się na wszystkie strony, pozostawiając na ulicy tylko dwóch rewolwerowców. Jedyne kłopot w tym, że żaden z nas nie ma broni, chyba że szybko zabierzemy jednemu z widzów balkonik albo podwędzimy z apteki krem na kurzajki.

Zwiększam tempo, ale nie biegnę w kierunku oczekującego na mnie byka, zamiast tego odskakuję na prawo, przebiegam między stołami i wpadam z powrotem w korytarz, którym tu przyszliśmy. Kątem oka dostrzegam, że starszy Jørn albo Jørgen przedziera się między ludźmi

z zamiarem odcięcia mi drogi ucieczki.

Forsuję niski regał i pędzę w kierunku wind, w nadziei że jedna z nich będzie czekała otwarta, gotowa, by mnie stąd zabrać. Odwracam się na chwilę i stwierdzam, że zarówno Jørn, jak i Jørgen są zaledwie kilka metrów za moimi plecami. Nie zdążę odjechać, zaraz mnie dopadną. Otwieram przeszklone drzwi zaraz obok wind, zatrzaszukuję je i przytrzymuję. Oddech mam świszczący, twarz zalaną potem.

Po drugiej stronie Jørn i Jørgen naciskają na szkło, dysząc i posapując. Za moimi plecami słyszę zaniepokojony szmer głosów ludzi zebranych przy kontuarze.

– Możemy w czymś pomóc? – pyta stojąca za nim młoda kobieta.

Nie mam dość tchu ani czasu, by jej odpowiedzieć. Zamiast tego puszczam drzwi i ruszam pędem wzdłuż ściany, słysząc za plecami przeraźliwy huk.

Otwieram identyczne drzwi po drugiej stronie pomieszczenia i znów wypadam na korytarz, po drugiej stronie wind. Mijam pierwsze szklane drzwi w chwili, gdy otwiera je młodszy Jørn albo Jørgen. Rzucą się na mnie, ale ja uskakuję, czuję, jak jego palce ześlizgują się po obcisłym materiale moich spodenek. Może dlatego taka garderoba jest popularna wśród muzyków rockowych, narkomanów i młodzieży z bloku wschodniego: odzianego w nią człowieka złapać jest równie łatwo jak dwumetrową biegającą parówkę.

– Stój, do diabła – dyszy za mną starszy Jørn albo Jørgen, ja zaś ściskam mocniej żółtą reklamówkę i pędzę przed siebie w kierunku wyjścia.

Zimne powietrze trafia mnie w twarz jak ostrze noża, przeszywa gruby wełniany sweter, ale ja nie zwalniam ani na chwilę. Po prawej ręce mam taksówki, trzy auta stojące wzdłuż krawężnika. Gdzieś dalej huczy ciężka maszyna na zamkniętym obszarze niedaleko wejścia, gdzie prowadzone są jakieś roboty budowlane.

Mój wzrok pada na samochód.

Spluwam, próbując pozbyć się z ust smaku krwi. W brzuchu czuję palenie, podobnie jak w policzku, mimo to nie daję sobie ani sekundy wytchnienia, bo już w następnej chwili za moimi plecami otwierają się z impetem drzwi. Nie muszę się nawet odwracać, by wiedzieć, że dwaj pielęgniarze depczą mi po piętach, zdecydowani, by zademonstrować przypadkowej publiczności swoje kompetencje z zakresu zakładania

zapaśniczych chwytów, walki na macie, unieruchamiania, podduszania i łamania rąk.

– Czekaj, kurwa! – krzyczą chórem, ja zaś biegnę wzdłuż taksówek do nie najmłodszego już forda mondeo czekającego na jałowym biegu.

– Jedź, Liz! – wrzeszczę, otwierając tylne drzwi i rzucając się na siedzenie.

– C... co? – pyta moja siostra, spoglądając na mnie z przerażeniem. Twarz ma białą, czoło i włoski nad górną wargą zroszone kropelkami potu, zupełnie jakby to ona właśnie przed kimś uciekała.

– Jedź, do cholery! – powtarzam i zatraskuję drzwi w momencie, kiedy Liz dociska gaz do dechy.

Rozdział 52

Auto pędzi tunelem pod cieśniną Tromsøysund prowadzącym z Breivik na wyspie Tromsøya do Tomasjord na stałym lądzie.

– Tak się o ciebie bałam – szepce Liz, zaciskając ręce na kierownicy. Siedzi na samym skraju fotela, jej oddech paruje na przedniej szybie. – Od naszej ostatniej rozmowy prawie w ogóle nie spałam. Myślałam, że ty...

– Nie masz się już czym martwić, siostrzyczko.

Odwraca się do mnie.

– Co się z tobą działo? – Omiata szybko spojrzeniem mój karygodny strój. – Czemu jesteś tak dziwnie ubrany?

– Wpadłem do morza – odpowiadam, wyjmuję z żółtej reklamówki moją komórkę i podłączam ją do kabla ładowarki wpiętego w gniazdo zapalniczki.

– Musieli rozciąć na mnie ubranie na oddziale ratunkowym.

– A... ale...

– Po prostu jedź.

Liz obnaża krzywe poźółkłe zęby o niezdrowych dziąsłach.

– Nie rozumiem...

– Tu nie ma zbyt wiele do zrozumienia, Liz. Różne rzeczy się dzieją. Prawda? Rzeczy, o których nie zawsze mamy ochotę rozmawiać.

Liz zwija usta w nadąsaną trąbkę i o nic już nie pyta. Nauczyła się, kiedy dobrze siedzieć cicho. Jej słuźalczy, wbity do głowy instynkt przetrwania włącza się w takich sytuacjach automatycznie. Wszystko dzięki licznym brutalnym lekcjom, których przez lata udzielał jej ten pomiot zwący się jej mężem.

– Czemu musieliśmy się tak spieszyć? – pyta słabym głosem, gdy wreszcie zbiera w sobie dość odwagi, by otworzyć usta. – Znów masz kłopoty?

– Nie – odpowiadam, nabierając powietrza. – Nie miałem zwyczajnie czasu, by pojechać z nimi tam, gdzie chcieli mnie zabrać.

– Pamiętam ojca. – Liz uśmiecha się nagle, gdy wyjeżdżamy z podmorskiego tunelu. – Jak go wtedy przyprowadzili do domu. Byliśmy

jeszcze mali.

– O czym mówisz?

– Był wtedy w Kleppspitalin. Kilka lat przed tym, jak się rozstali z mamą. Byłeś taki mały, pewnie nie pamiętasz.

– Nie – odpowiadam kwaśno. Wciąż jeszcze nie doszedłem do siebie po pościgu, moje ciało drży, domagając się odpoczynku, jedzenia i leków uspokajających.

– Jesteś pewien? – marudzi Liz. – Nie pamiętasz, jak...

– Słyszałaś, co mówiłem? – warczę na nią z wściekłością, od której na nowo eksploduje mój policzek. – Przecież ci tłumaczę, że nie pamiętam!

– Dobrze, już dobrze – mówi Liz. – Nie pamiętasz. – Mój wybuch wściekłości sprawił, że drga i puszcza kierownicę. Auto zjeżdża na chwilę w kierunku pobocza, ale w końcu moja siostra odzyskuje kontrolę i nad samochodem, i nad sobą samą.

– Przepraszam, Thorkildzie. Przepraszam. – Zaciska palce na kółku i przysuwa się jeszcze bliżej przedniej szyby, jakby chciała pokazać, że teraz naprawdę się postara, teraz pokaże i mnie, i całej reszcie świata, że Elisabeth potrafi prowadzić auto, a nie tylko zajadać ciasto i się nad sobą użalać.

Dobrze pamiętam, jak przyprowadzali ojca po tym, kiedy zniknął, by się pozbierać po niepowodzeniach w życiu domowym i rodzinnym. Siedzali go wtedy na krześle przy kuchennym stole, siedział tam godzinami, gapiąc się pustym wzrokiem na deszcz i morze za oknem. Zupełnie jakby wracał z innej planety i potrzebował czasu, by znów się u nas zaaklimatyzować. Tłumaczyłem to sobie tak, że ojciec nosi w sobie jakąś chorobę, sprawiającą, że on gnije od środka, niszczącą to wszystko, kim mógłby być, i zamiast tego umieszcza w jego miejscu tę dziwną istotę o ziemistej cerze, która biega po okolicy i płacze za Islandią, kilkoma kępkami mchu albo strumieniem na żwirowej pustyni pod wulkanem.

– Gdzie jedziemy? – pyta Liz, odzyskując wreszcie panowanie nad sobą.

– Muszę wrócić do Skjellvik, załatwić parę spraw i zabrać stamtąd auto, a jutro mam przesłuchanie.

– Przesłuchanie? Znowu?

– Gunnar Ore jest w mieście.

– Gunnar? A co on tu robi?

– Wciąż nie jestem pewien – wzdycham ciężko, a Liz zwilża swoje grube wargi końcem języka. Niebo jest niemal bezchmurne, powietrze zimne, lód

skuł niewielkie kałuże na chodnikach. Sprawdzam komórkę i stwierdzam, że podładowała się już na tyle, by można ją było włączyć. Dzwonię do Anniken Moritzen.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Wciąż na północy.

– Chcą, żebym tam przyleciała go zobaczyć. Wsiadam w samolot jutro rano. – Waha się przez chwilę, po czym dodaje: – Mógłbyś być przy mnie, kiedy tam pójde, żeby go... obejrzeć?

Patrzę na swoje odbicie w oknie. Moja dłoń wędruje instynktownie ku nierównościom na twarzy, palce muskają poszarpane linie i blizny, znajdując w końcu punkty nacisku. Wbijam je mocno w zniszczoną tkanę.

– O co chodzi, Thorkildzie? – pyta Anniken, gdy się nie odzywam.

– Rasmus został zamordowany – szepczę.

– C... co?

– On nie zginął w wypadku, Anniken. Ktoś go zabił.

– Ale... – zaczyna moja rozmówczyni, przerywa jednak, gryzie się w język i milknie. Liz zerka na mnie z troską z fotela kierowcy, lecz i ona nic nie mówi.

Zsuwam palce z policzka, toczę wzrokiem po okolicy i morzu, na którym tańczy przy brzegu plastikowa łódka, szarpiąc za linę cumowniczą.

– Czy on mógł tu kogoś spotkać? Kobietę?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Wiem – ciągnę. – Ale czy on by ci powiedział, gdyby kogoś spotkał?

– Rasmus nikogo nie miał – odpowiada Anniken Moritzen. – A gdyby miał, to na pewno nie dziewczynę. Był gejem – dodaje. – Jak jego ojciec.

– To znaczy, że jej nie znał – mówię.

– Co takiego?

– Próbuję jakoś połączyć ze sobą te wszystkie luźne nici. Żeby znaleźć w tym jakiś sens. – Pocieram rozszarpany policzek wolną ręką. Ucisk w brzuchu staje się coraz bardziej bolesny.

– Czy Rasmus brał narkotyki? – pytam przez zaciśnięte zęby.

– Co?

– Nie ma szans, żeby był wmieszany w coś nielegalnego?

– Przestań. – Słyszę, że Anniken z trudem zachowuje nad sobą kontrolę.

– Chcę, żebyś przestał mówić – dodaje, a potem milczy przez chwilę. Słyszę tylko jej stłumiony oddech. – Możesz po prostu tam być? – pyta błagalnym

tonem. – Kiedy przyjadę?

– OK – odpowiadam i wypuszczam powietrze. – Zadzwoń do mnie, jak wylądujesz. Przy okazji: Arne z tobą będzie?

– Nie.

– A wie o wszystkim?

– Tak. Wie.

– Powiedział może coś o...

– Nie. I nie chce z tobą rozmawiać. Jeszcze nie.

– OK, Anniken. Będę na ciebie czekać.

– Do widzenia, Thorkildzie.

– Boże – szepce Liz, gdy się rozłączam. Przez całą moją rozmowę siedziała zupełnie cicho. – W co ty się wpakowałeś?

Rozpieram się na siedzeniu z twarzą zwróconą ku morzu.

– Podczas przesłuchania Ore, chłopcy z komendy i oficer śledczy z Kripos powiedzą mi, że mają dowody na obecność Bjørkanga i jego zastępcy na wyspie tego samego wieczora, kiedy tam byłem.

Wstrzymuję oddech, patrzę na czubki drzew za oknem, w końcu wypuszczam powietrze i ciągnę:

– Przedstawię mi scenariusz, w którym uzależniony od leków były policjant morduje tamtych dwóch, a potem, dręczony wyrzutami sumienia i obrzydzeniem do samego siebie, rzuca się do morza, gdy wokół sprawy robi się gorąco. Potem poproszą, bym przedstawił swoją wersję. Będą siedzieć przede mną w milczeniu i słuchać, jak opowiadam o kobiecie, którą znalazłem w morzu, o człowieku, który ją zabrał, o dyskotece, o wszystkim. Na koniec oświadczą, że mi nie wierzą, i zaczną nalegać, żebym opowiedział prawdziwą historię. Wyznał prawdę.

– Skąd o tym wiesz?

– Ponieważ, Liz – odwracam się do siostry – sam bym tak zrobił. Biorąc pod uwagę znaleziska na wyspie i moje wyjaśnienia, w które mnie samemu trudno wierzyć, doszli pewnie do wniosku, że mają już wystarczająco dużo informacji. Możliwe nawet, że czują się dość pewnie, by mnie aresztować niezależnie od przebiegu przesłuchania, pod warunkiem że się ich zdaniem w końcu złamię. Nawet jeśli jeszcze nie mają zwłok.

– A co z Rasmusem i tą kobietą, którą znalazłeś? Przecież cię tu nawet nie było, gdy zostali zabici.

– Będą to rozpatrywać jako osobną sprawę, która pozostanie nierozwiązana do momentu, gdy wypłynie drugie ciało. A jestem pewien, że nie wypłynie – dodaję. Odwracam się do okna, za którym między drzewami tańczą płatki śniegu. – No i ci dwaj policjanci.

– Co z nimi?

Zostawiam pytanie zawieszone między nami, próbując przywołać w myślach twarze Bjørkanga i Arnta, takie, jakimi je zapamiętałem z naszego spotkania w biurze lensmanna. Nie jestem sobie w stanie ich przypomnieć, pozostają szarymi, pozbawionymi konturów cieniami kotłującymi się gdzieś na drugim planie.

– Muszę to ustalić przed przesłuchaniem. To dla mnie jedyna droga ratunku...

Rozdział 53

Liz zatrzymuje auto na parkingu Domu Opieki Skjellviktunet. Dochodzi wpół do dziewiątej wieczorem, na dworze zapadły już ciemności. Powietrze jest zimne i ostre, gdy wysiadamy z samochodu i obieramy kurs na moje tymczasowe mieszkanie.

– Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem – szepczę do Liz, kiedy idziemy po żwirowej ścieżce do drzwi kwatery, którą wynająłem od Harveya. Gdy przechodzimy obok wejścia do domu opieki, zerkam w tamtą stronę z niepokojem, bojąc się, że w drzwiach stanie oddziałowa Siv w eskorcie policji, że zgarnie mnie do Åsgård, gdzie w psychiatryku czeka już na mnie łóżko. Ale nie dostrzegam nikogo, wokół nas panuje cisza, zupełnie jakby cała zatoka zapadła w sen.

Wyjmuję z żółtej reklamówki klucz, obracam go bezszelestnie w zamku, delikatnie wpycham Liz do środka i zamykam za nami drzwi.

– Tylko nie zapalaj światła – szepczę.

Ciasto truflowe stoi wciąż na paterze w kuchni, kamienie Merethe leżą porozrzucane na stole w salonie i na podłodze. Liz siada na sofie, ja zaś wyjmuję z bagażu czyste ubranie i zabieram je do łazienki.

Zatrzymuję się na chwilę w półmroku przed lustrem, patrzę na twarz w odbiciu. Jest taka zmęczona, taka szara. Zlewa się niemal w jedno z ciemnym tłem.

– Nikogo tam już więcej nie ma, prawda? – szepczę do cienia w lustrze. Żadnych więcej Thorkildów, których mógłbym przywołać, gdy zrobi się zbyt trudno albo kiedy nadarzy się odpowiednia okazja. Został mi tylko ten poszarzały wór kości. *Dobry Boże.*

W końcu chwytam ściereczkę, przecieram twarz i myję się pod pachami, zdejmuję strój podarowany mi przez szpital i wkładam własne ubranie.

– Wszystko w porządku? – pyta Liz, gdy wchodzę na palcach do salonu. Na kuchennym blacie szumi ekspres do kawy, obok niego stoi patera z podniesionym kloszem. Liz siedzi w ciemnościach z porządnym kawałkiem ciasta truflowego w dłoniach. Latarnie na parkingu i światło bijące od wejścia

do domu opieki rzucają złotawą poświatę, która sączy się do środka przez zaciągnięte zasłony i dzięki której możemy w ogóle się widzieć.

– Dla ciebie też ukroiłam – mówi Liz, wskazując na kartonowy talerzyk.

– Dziękuję, ale ty jedz. Muszę zadzwonić w jedno miejsce. – Mam już usiąść obok niej, gdy za oknem pojawia się nagle światło. Przez szparę między zasłonami widzę policyjny radiowóz, który stacza się powoli ze szczytu wzgórza i mija dom opieki, kierując się do centrum Skjellvik.

– To ciebie szukają? – pyta Liz z ustami pełnymi ciasta.

Kiwam głową i zasuwam zasłony.

– Pewnie przysłali wóz ze Skjervøy.

Liz przestaje na chwilę przeżuwać i spogląda na mnie.

– Spokojnie – szepczę, sięgając po telefon. – Nie znajdą nas tutaj.

Siadam w fotelu i wybieram numer Gunnara Ore, który odbiera, zanim zdążył wybrzmieć pierwszy sygnał.

– Wielka ucieczka? – pyta kwaśno. – Mądry ruch, Aske. Naprawdę bardzo mądry.

– Tak, właśnie więcej przez góry ku szwedzkiej granicy – odpowiadam. – A potem będę się do końca życia ukrywał na andaluzyjskich stepach, przebrany za pasterza owiec albo matadora, w zależności od tego, co bardziej się nada. To się może udać, Gunnarze. To się może udać.

– Ty idioto – rzuca ochryple mój były szef. – Jesteś poszukiwany przez policję. Wiesz przecież, że szpital musi zgłosić każdą ucieczkę pacjenta psychiatrycznego.

– Niech sobie szukają.

– Wiesz także pewnie, że policja w ostatnich dniach jeździ po okolicy uzbrojona?

– Co?

– Chłopcy są wyposażeni w ostrą amunicję, Aske. A w twoim przypadku jest mowa o poszukiwaniach ukrywającego się mordercy funkcjonariuszy. Co jeszcze muszę powiedzieć, żebyś zrozumiał, jak to się skończy?

– Chciałem tylko powiedzieć, że stawię się jutro na to przesłuchanie – mówię.

– Za późno – kontruje mój były przełożony. Mam świadomość, że policja z Tromsø poprosiła go o pomoc, gdy tylko trafiła do niej wiadomość, kto zbiegł ze szpitala. Mimo to muszę z nim pomówić, mimo że perspektywa skończenia jako trofeum strzeleckie jakiegoś nieopierzonego i nadgorliwego

gliniarza budzi we mnie strach. Nie mam innego wyjścia.

– Gdzie jesteś? – pyta Gunnar po chwili milczenia.

– Jestem z Liz – odpowiadam.

– Z twoją siostrą? A więc to ona odebrała cię ze szpitala. OK, teraz rozumiem. Dlaczego? Jeśli mogę spytać? Dlaczego zwiąłeś?

– Przesłuchanie – odpowiadam w chwili, kiedy Liz stawia przede mną kubek gorącej kawy, a przed sobą talerzyk z kolejnym kawałkiem ciasta. – Nie mogę się na nie stawić, dopóki nie będę wiedział.

– Czego?

– Na czym stoję. Bo o to tu przecież chodzi.

– Wróciłeś do Skjellvik? – bardziej stwierdza, niż pyta Gunnar Ore.

– Przyjadę na to przesłuchanie – szepczę. – Obiecuję. Daj mi czas do jutra, w imię dawnych czasów. Możesz to dla mnie zrobić?

– Zagrałeś tę kartę już cztery lata temu, Thorkildzie – odpowiada Gunnar.

– Ale dobrze, zapomnę o tej rozmowie do jutra, do godziny trzeciej. W imię dawnych czasów, jak to określiłeś.

– Dziękuję.

– Wypchaj się. I módl się, żeby policja cię wcześniej nie znalazła. Bo inaczej...

– Wszystko skończy się dla mnie cholernie źle?

– Już się przecież skończyło – rzuca Ore i rozłącza rozmowę.

Odkładam telefon i podnoszę kubek z kawą do ust, ale w połowie drogi muszę go chwycić obiema dłońmi, żeby mi nie wypadł.

– Co się dzieje? – pyta z troską Liz. Trudno mi w ciemnościach wyczytać coś z jej twarzy, mimo że siedzi tuż obok. Jej oddech pachnie zjełczalym truflowym kremem i kawą. – Źle się czujesz?

– Nie myśl o tym. – Odchyłam się na fotelu, by uciec od nieprzyjemnego zapachu. – Ciało mi po prostu przypomina, że już dawno powinienem wziąć leki.

– Mam w torebce pyralginę – mówi Liz. – Arvid ją bierze. Na bóle pleców. Zawsze ją przy sobie noszę, na wypadek gdyby nagle mu się pogorszyło.

Biorę od niej blister i wyciskam całą garść tabletek, które wrzucam sobie do ust, w nadziei że zagłuszą wrzaski w moim wnętrzu.

– I co teraz zrobimy? – pyta Liz, gdy wreszcie czuję się gotowy, by

z nową siłą chwycić kubek z kawą. Za oknem przejeżdża kolejne auto, ale i ono się nie zatrzymuje. Niebo nad latarnią morską jest granatowe.

– Zostaniemy tu na noc, a jutro rano wrócisz do domu.

– A ty?

– Pojadę za tobą autem z wypożyczalni. Muszę tylko najpierw jeszcze raz popłynąć do latarni. – Znów rozpieram się w fotelu i przymykam oczy, masując policzek opuszkami palców. – O Boże – jęczę. – Gdzie oni mogą być?

– Ci dwaj policjanci?

– I kobieta, którą znalazłem w morzu. Wszystko zaczyna się od niej, to jedyne, czego jestem pewien. Zniknęła jako pierwsza, mniej więcej miesiąc temu. Kto tak po prostu ginie na tyle czasu, nie wzbudzając niczyjego niepokoju?

– Ktoś, kto nie jest stąd? – pyta Liz.

– Tak. – Otwieram oczy i prostuję plecy. Chwytam blister z lekami i wyciskam z niego jeszcze dwie tabletki. – Ale nie tylko – dodaję, popijając je łykiem kawy. – Miała tu przyjechać i nie przyszedł jeszcze czas jej powrotu do domu, prawda? Dlatego nikt nie zgłosił jej zaginięcia.

– Była turystką?

Mierzę moją siostrę wzrokiem. Siedzi na skraju sofy z dłońmi złożonymi na kolanach.

– OK, być może. Ale kto przyjeżdża jako turysta w takie miejsce jak to późną jesienią? – pytam.

– Może przyjechała tu do pracy. Z innego kraju?

– I przez miesiąc nie zadzwoniła do męża, chłopaka, dzieci ani rodziny?

– Może nikogo nie ma – mówi Liz.

– W ogóle nikogo? – Upijam kolejny łyk kawy. – Młoda, sama, z jakiegoś odległego miejsca i nikomu jej nie brakuje. Co to za kobieta?

– Może prostytutka?

– Słucham?

– Takie dziewczyny przyjeżdżają do Tromsø, mieszkają przez parę miesięcy w hotelach albo wynajętych mieszkaniach i ruszają dalej – mówi Liz z coraz większym zapałem, widząc, że jestem zainteresowany. – Czytałam o tym w gazecie...

– Świetnie, Liz – mówię, czując, że leki wreszcie zaczynają działać. – Doskonale. Może faktycznie coś jest tu na rzeczy. Młoda kobieta,

prostytutka, ale co ją mogło łączyć z Rasmusem?

– Może zabrał ją ze sobą na wyspę, żeby...

– Nie. – Potrząsam głową. – Rasmus był gejem. Poza tym został zamordowany. Moim zdaniem znalazł ją przypadkiem, nurkując. I co się stało potem?

– Nie wiem – odpowiada Liz.

– Owszem, wiesz – naciskam ją. – Zadzwoił na policję.

– Tak! – mówi Liz, zacierając ręce. Spogląda na mnie, jej oczy błyszczą z podniecenia w półmroku. – Tak właśnie zrobił.

– OK. Zadzwoił na policję, żeby powiedzieć, co znalazł. Dopiszmy ten scenariusz do końca. Bjørkang i Arnt przyplłynęli do Rasmusa i go zabili, bo nikt się nie mógł dowiedzieć o martwej kobiecie? To próbujesz powiedzieć?

Liz kręci głową.

– Ja... ja – jąka się, a jej spojrzenie wędruje ku paterze z ciastem. – Nie wiem, Thorkildzie – kończy wreszcie.

– No właśnie. W tym miejscu wszystko zaczyna się rozłazić. To znaczy: czemu potem nie wrócili i nie grali dalej przedstawienia, po tym jak zabrali zwłoki? Dlaczego się ukrywają?

Liz posyła mi dziwne spojrzenie. Uśmiecha się, jej oczy błyszczą, jakby miała się zaraz rozpłakać.

– O co chodzi?

– Lubię na ciebie patrzeć, kiedy jesteś taki jak teraz.

– Jaki?

– Taki jak w tej chwili, kiedy rozmawiamy, tylko my dwoje. Pamiętasz, jak ojciec i jego koledzy siedzieli przy kuchennym stole i dyskutowali o tym, co trzeba zrobić, żeby chronić Islandię przed krwiożerczym przemysłem?

Rozsiadam się znów w fotelu i odwracam głowę do Liz.

– Ostatni raz widziałem go na początku lat dziewięćdziesiątych – szepczę.
 – W małej wiosce o nazwie Reyðarfjörður, gdzie państwowa spółka energetyczna Landsvirkjun planowała zbudować hutę aluminium. Właśnie się wtedy dowiedziałem, że przyjęli mnie do akademii policyjnej. – Na myśl o tamtej szarej, ciężkiej od deszczu wiosce przymykam oczy i zaciskam wargi. – Te jego białe włosy i broda, Boże – śmieję się. – Ależ on wyglądał.

– I wciąż wygląda tak samo – wtóruje mi Liz, mrugając oczami; zamyka je na chwilę, jakby chciała go przed sobą zobaczyć.

– Ta huta miała być prowadzona przez amerykańską firmę. Ojciec i jego

armia ekologicznych rycerzy pojechali tam, żeby zobaczyć, czy uda im się zorganizować jakąś akcję sabotażową. Był środek lata, siedzieliśmy przy ognisku, pijąc wino i słuchając, jak ojciec mówi o naszym kraju.

– Jaka szkoda, że mnie tam z wami nie było. – Liz kładzie dłonie na piersi.

– Pamiętam, jak tam siedziałem, czekając na właściwą chwilę, by mu obwieścić, że będę policjantem, w Norwegii. Ojciec wyrwał z ziemi garść wrzosów, łzy płynęły mu po policzkach, ginąc w brodzie, płakał po drugiej stronie ogniska, przyciskając do serca ten mały kawałeczek Islandii. „Jak długo jeszcze będą gwałcić islandzką naturę?” – łkał, a ziemia i mech sypały mu się z rąk jak krew płynąca z rany w sercu.

– I mu nie powiedziałaś?

– Nie – rzucam. – Siedzieliśmy tam po prostu wszyscy razem, słuchając ojca, który mówił o dziedzictwie i o naszym kraju. Dopiliśmy wino i zeszliśmy nad fiord, gdzie wepchnęliśmy do morza pierwsze kontenery postawione tam przez inżynierów. Kiedy wróciliśmy, spakowałem namiot i poleciałem z powrotem do Norwegii. Miesiąc później zacząłem studia w akademii policyjnej.

Milczymy przez dłuższą chwilę.

– Może powiesz mi coś o Frei? – pyta w końcu Liz. Głos ma miękki, ostrożny, pewnie taki, jakiego używa, gdy jest sam na sam z tłukącym ją męzem. – Kim ona była i czemu jesteś nią taki... pochłonięty?

– Powinęła mi się noga – mówię, wciąż z zamkniętymi oczami. – Tego ostatniego wieczora w samochodzie wiedziałem już, że ją kocham, przedstawienie się skończyło i nie mogłem zrobić nic, by to zmienić. – Nabieram powietrza i robię długi wydech. – A w następnej chwili już jej nie było.

– To dlatego chcesz umrzeć? – Liz ostrożnie kładzie rękę na mojej dłoni. Dotyk wysyła impulsy, które wędrują w górę ramienia i sięgają mojej twarzy.

– Pozwoliłem, żeby ta jedna chwila miała dla mnie takie znaczenie – szepczę. – Ale kto jest w stanie tak żyć? Tylko jedną jedyną chwilą?

– Nigdy więcej tego nie rób – łka Liz i rzuca się, by mnie objąć, wciskając mnie w fotel, który trzeszczy pod naszym ciężarem. – Słyszysz mnie, Thorkildzie? Nie wolno ci już nigdy czegoś takiego zrobić.

– Boże! – stękam, próbując ją z siebie zepchnąć.

– Obiecuj mi. – Jej twarz jest tuż nad moją, Liz trzyma mnie w żelaznym

uchwycie.

– Nie mogę...

– Owszem – naciska, nie puszczając mnie. – Jeśli mi to obiecasz, to nigdy już tego nie zrobisz. Nie złamiesz danego mi słowa. Wiem o tym. Wiem...

Podejmuję kolejną próbę uwolnienia się, ale Liz nie chce mnie puścić, przywarła do mnie, jakbym był kołem ratunkowym, i w końcu nie mam wyboru, muszę skapitulować.

– Dobrze, siostrzyczko – mówię, zapadając się w fotel. – Obiecuję...

Środa

Rozdział 54

Budzę się w fotelu, zaalarmowany krzątaniem Liz w kuchni. Sprzątnęła z podłogi kamienie Merethe i ułożyła je w stosie na stole. Włączam komórkę i widzę, że mam całą masę nieodebranych połączeń i wiadomości. Odsłuchuję kilka nagranych na pocztę głosową wiadomości od Ulfa, najwyraźniej niepokieszonego z powodu ucieczki ulubionego pacjenta. Wyłączam komórkę, podchodzę do Liz i nalewam sobie kubek świeżo zaparzonej kawy.

– W nocy znów przejeżdżał tędy radiowóz. Jak już zasnęłeś – mówi moja siostra z uśmiechem. Jej poprzetykane siwizną jasne kędziory sterczą na wszystkie strony, najbardziej przypomina chyba figurkę jednego z trolli Iva Caprino. Stoi nad zlewem, nucąc pod nosem, ze szczotką do mycia naczyń w jednej dłoni i kartonowym talerzykiem w drugiej.

– Świetnie. – Przytulam ją na dzień dobry, zabieram kubek, wracam na fotel i wyciskam dwie tabletki z blistra, który dostałem od niej wczoraj. – Możemy jechać, tam gdzie stoi moje auto przy hangarach na łodzie.

– Jak chcesz się dostać na wyspę? – pyta Liz, wyciągając korek ze zlewu.

– Znam kogoś, kogo mogę poprosić o pomoc – odpowiadam, rozmasowując zeszywniały kark. – A potem pojedę do Tromsø na przesłuchanie.

– Co będzie dalej?

– Cóż, to już nie zależy ode mnie, Liz – mówię, przywołując na wargi krzywy uśmieszek. – Prawda?

– Ale jeśli znajdziesz tych dwóch policjantów, nie będą przecież mogli...

– Tak, wiem – wzdycham, popijając tabletki kawą.

– Wiem, że ich znajdziesz – mówi Liz, podnosząc na mnie wzrok znad szczotki do naczyń i posyłając mi uroczyście, uduchowiony uśmiech. – A potem wszystko będzie dobrze. Naprawdę w to wierzę. Poczulałam to, gdy się dziś rano obudziłam. To będzie dobry dzień.

– Ach? – burczę, potrząsając głową. – Cóż, skoro tak mówisz, to pewnie masz rację...

Sprzątamy mieszkanie, po czym zanosimy mój bagaż do samochodu i jedziemy na parking przy hangarach na łódzie w Skjellvik. Zostawiam Liz za kierownicą, sam spieszę do auta z wypożyczalni i odpalam silnik. Cały czas zerkam czujnie na szczyt wzgórza, obawiając się, że za chwilę zobaczę staczający się z góry radiowóz na sygnale.

– Życz mi powodzenia, siostrzyczko – rzucam przez otwarte drzwi, dając jej znak, że może odjechać.

Liz posyła mi znaczące spojrzenie, po czym wychyla się przez okno.

– Pamiętaj, co obiecałeś – mówi. Jej wargi drżą.

– Tak, Liz. Pamiętam.

W następnej chwili odpala silnik mondeo, wycofuje auto i rusza w górę zbocza, nie zadając sobie trudu, by podnieść szybę czy wyłączyć kierunkowskaz.

Gdy jej auto jest już na wysokości domu opieki, dostrzegam nagle w lusterku Johannes. Idzie prosto w kierunku mojego auta. Ma na sobie garnitur, swoje rzadkie siwe włosy zaczesał na tył głowy. Wiatr od morza chwyta je i unosi, sprawiając, że podrygują nad jego czaszką.

– O... – Podchodzi i wita się ze mną. – Nadal tu jesteś?

– Tak, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Słyszałem, że szuka cię policja.

– A owszem. To tacy pomocni ludzie, nieprawdaż?

Johannes chrząka i przeczesuje włosy pomarszczoną dłonią. Próbuje przygładzić fryzurę, ale wiatr znów ją chwyta, gdy tylko unosi rękę. Ma na sobie eleganckie spodnie w szare i czarne paseczki, trochę na niego za krótkie i nieco sprane – kolory wyblakły, a tkanina jest zmechacona. Przynajmniej buty ma porządne, czarne, na grubej podeszwie. Na górze włożył pogniecioną koszulę i bury sweter w serek; on także sprawia wrażenie znoszonego. Jako odzież wierzchnia służy mu szykowny ciemny płaszcz, który sięga mu do kolan.

– Harvey powiedział mi, że twój kolega znalazł łódź Bjørkanga i Arnta – mówię.

– Tak, była na nabrzeżu na Reinøya – odpowiada Johannes. – Ładna łódka, w ogóle niepoobijana i niezniszczona. Brakowało w niej tylko sprzętu do nawigacji.

– Co masz na myśli?

– Był wyrwany – wyjaśnia Johannes. – Zostały tylko sterczące kable.

– GPS Rasmusa też zniknął – zaczynam. – Zupełnie jakby ktoś nie chciał, byśmy wiedzieli, gdzie się wybierali albo skąd wracali.

Johannes kiwa głową w zamyśleniu.

– Muszę popłynąć do latarni – mówię. – Możesz mi pomóc?

– Cóż... – Johannes zaczyna grzebać w żwirze noskiem buta. – Właśnie idę na pogrzeb Andora i Josefine. – Nie wie, co zrobić z dłońmi, w końcu wsuwa je do kieszeni spodni.

– Mogę zaczekać.

Wzdycha ciężko.

– No dobra, mogę cię tam chyba przewieźć po ceremonii.

– Wsiadaj, podwiozę cię.

Johannes zatrząskuje drzwiami auta i zapina pas. Gdy tylko odpalam silnik, wyciąga paczkę tytoniu z wewnętrznej kieszeni płaszcza i kładzie ją sobie na kolanach. W kilka sekund zwija idealnego papierosa, którego wsuwa sobie między wargi i zapala zapałką.

– Myślisz, że Merethe tam będzie? – pytam, wyjeżdżając tyłem z parkingu i obierając kurs na dom opieki. – Na pogrzebie?

Johannes, wciąż z papierosem w ustach, splata dłonie na kolanach i kręci młynka kciukami.

– Nie wiem – mówi, wypuszczając kłęb dymu nosem. – Naprawdę nie wiem.

Rozdział 55

Czuję się niezwykle żwawo, gdy wysiadam z Johannesem przed kościołem i przyłączam się do konduktu człapiących powoli, siwych, łysawych lub zupełnie łysych, pomarszczonych, zgiętych wół i kulejących mężczyzn i kobiet, odprowadzających zmarłych na ostatni spoczynek.

Wierni, którzy zajęli już miejsca na twardych niebieskich ławach z drewna, posyłają nam ciekawskie spojrzenia. Johannes wskazuje jeden z tylnych rzędów, w którym siedzą dwie starsze damy w kołnierzach z lisa i eleganckich kapeluszach.

Mam już siadać, gdy mój wzrok pada na Harveya. Zajął miejsce kilka rzędów przed nami, po przeciwnej stronie nawy, towarzyszy mu jego syn. Merethe nigdzie nie widzę.

Zamierzam już ruszyć do wejścia, gdy przed kościołem zatrzymuje się minibus. Wyskakują z niego dwaj pielęgniarze i podchodzą do tylnych drzwi razem z kierowcą, który otwiera je i opuszcza rampę.

– Merethe. – Wstrzymuję oddech na widok kobiety na wózku, której pomagają wsiąść i wjechać do kościoła.

– Gdzie? – Johannes odwraca się do mnie w chwili, kiedy jedna z dam z naszej ławki chwyta za ogon lisiego kołnierza. Dość bezceremonialnie szturcha swoją towarzyszkę i wskazuje na drzwi.

Nawę wypełnia cichy szum głosów. Ludzie nachylają się do siebie, odwracają i zerkają w stronę Merethe.

– Boże, jak ona wygląda.

– Strasznie. – Johannes kieruje wzrok w stronę ołtarza i stojących przy nim dwóch trumien. Gdzieś w tłumie zaczyna wrzeszczeć dziecko. Głośne, pełne pretensji ryki i przeraźliwy płacz, który rodzice próbują uciszyć prośbą i groźbą.

Metalowa instalacja wokół głowy Merethe składa się z trzech śrub po każdej stronie, jednej w żuchwie oraz jeszcze jednej, która trzyma całą misterną konstrukcję na miejscu. Kąciki ust Merethe są zaklejone białym plastrem.

Włosy ma kunsztownie upięte, ubrana jest w szykowny czarny kostium ze spodniami i białą bluzkę. Pielęgniarki zatrzymują wózek przy ławie, w której siedzą Harvey i chłopiec.

– Muszę z nią porozmawiać – szepcą w chwili, gdy mężczyźni blokują koła wózka. Następnie wychodzą, zamykając za sobą drzwi.

– Po pogrzebie – odpowiada Johannes.

Nawa wypełnia się stopniowo wózkami inwalidzkimi, balkonikami i innymi ułatwiającymi poruszanie się sprzętami, tak że ci, którzy chcą podejść do ołtarza, muszą znaleźć drogę w tym geriatrycznym labiryncie z utwardzanego plastiku i metalu. Johannes wyciąga przezroczystą torebkę, leżą w niej cukierki przypominające kulki na mole w czerwone prążki. Otwiera ją i podsuwa mi pod nos.

– Może polkagrisa?

– Proszę?

– Polkagris – powtarza Johannes nieco głośniej i szeleści torebką, zupełnie jakbym miał kłopoty ze słuchem. – Słodyczne. Szwedzkie.

Sięgam po cukierek i wsadzam go sobie do ust w chwili, gdy pastor wychodzi z zakrystii. Lekko i elegancko manewruje między wiernymi w nawie, wspina się na ambonę, unosi dłonie zwrócone wnętrzem ku sufitowi i toczy wzrokiem po zgromadzonych.

– Wszystko ma swój czas – oświadcza łagodnym, ale też przepęchionym głębokim smutkiem dialektem z południa. Omiata wiernych spojrzeniem, ława po ławie, w końcu zatrzymuje wzrok na najbliższej rodzinie zmarłych, siedzącej w pierwszym rzędzie, tuż przy trumnach. – Także śmierć.

Po tym preludium nawę wypełnia pieśń. *Niech mię przynajmniej ciemności okryją i noc mnie otoczy jak światło.* Pastor wygłasza następnie kazanie, w którym wspomina zmarłych:

– Poświęcili się sobie nawzajem na wiele lat, poświęcili się miłości. A teraz razem postanowili udać się do Boga, naszego Pana w niebie.

Pastor schodzi elegancko z ambony i zbliża się do trumien. Z ławy dla najbliższej rodziny wstają dwie dziewczyny, nastolatki, ubrane w ładne ciemne sukienki i pasujące do nich buty. Pastor i dziewczęta odczytują wspólnie napisy na szarfach wieńców, ludzie podchodzą do ołtarza po kolei i zapalają świece w żelaznych świecznikach. Dziewczęta czytają po szwedzku, pastor – po norwesku.

– A teraz Selma i Christine zaśpiewają dla swoich dziadków psalm. –

Pastor składa dłonie i odsuwa się dyskretnie. Po chwili z głośników zaczyna płynąć muzyka z płyty CD, dziewczęta śpiewają.

Wrzeszczący bachor wreszcie się uspokoił. W kościele zapadła nagle cisza, słychać tylko sporadyczne cmokanie albo pokasływanie zmęczonych płuc podłączonych do starych układów oddechowych.

Patrzę na tył głowy Merethe. Kobieta nie porusza się wcale, siedzi tylko z opuszczonymi ramionami. Metalowe śruby sterczą na boki niczym owadzie czułki. Harvey jest tuż obok. Trzyma dłonie złożone na kolanach, wzrok ma wbity w podłogę.

Wygląda, jakby marzył. Jego ramiona unoszą się i opadają, jakby nad nimi nie panował, co jakiś czas potrząsa głową i kołysze się w przód i tył. Płacze. Łka jak dziecko, gdy zaś muzyka cichnie, a dziewczęta odchodzą od ołtarza, nawa wypełnia się jego rozdzierającym szlochem.

Rozdział 56

– Jak myślisz, o co chodziło? – pytam, gdy pastor kończy nabożeństwo, a ludzie zaczynają wstawać z miejsc. Grabarze zajmują miejsce przy trumnach. Dopiero gdy je podnoszą i ustawiają się w szyku, dociera do nich, że nie precisną się z nimi przez zatłoczoną nawę. Stoją, spoglądając po sobie, niepewni, co robić w tej sytuacji.

Paru pielęgniarzy z domu opieki, świadomych wagi sytuacji, daje znać swoim kolegom. Ci zaś zaczynają pospiesznie pomagać pensjonariuszom na wózkach, kilkoro podnosi kule i balkoniki tych, którzy nadal siedzą. Wracają mężczyźni, którzy przywieźli Merethe. Chwytają jej wózek każdy po swojej stronie i pchają go w kierunku wyjścia.

– Sporo ostatnio przeszedł – mówi Johannes, gdy nawa w końcu się opróżnia, a grabarze zaczynają wnosić pierwszą trumnę. Pozdrawia mężczyzn pełnym szacunku skinieniem głowy. – Sam przecież tam byłeś, jak jego żona dostała tego ataku. To było dla niego na pewno bardzo trudne.

– To nie był atak. – Podchodzę do brzegu ławy w oczekiwaniu na dogodny moment, by dołączyć do strumienia ludzi.

– Cóż – mamrocze Johannes i znów kiwa głową, tym razem pozdrawiając wychodzącego Harveya. Ale on nas nie widzi, wpatruje się przed siebie pustym wzrokiem i mija nas, ściskając odruchowo rękę chłopca w swojej dłoni.

Przyłączamy się do żałobników, Johannes wyjmując torebkę z tytoniem. Obrzuca wzrokiem kroczących przed nami ludzi, którzy po wyjściu skręcają w lewo, obierając kurs na cmentarz.

Na dworze świeci słońce. Ciepłe promienie padają na parking, kościół i kordon żałobników stojących teraz wokół rozkopanego grobu przy cmentarnym murze, w którym za chwilę zostaną złożone trumny.

Stoimy trochę z tyłu i z trudem słyszymy pastora, który czyta Pismo Święte. Nagle widzę kątem oka jakiś cień i już po chwili spoglądam w poszarzałą twarz Harveya.

– Widzieliście ją? – Wskazuje skinieniem głowy wzniesienie przy

ostatnich grobach, na którym stoi wózek Merethe w obstawie pielęgniarzy. Kobieta siedzi z dłońmi złożonymi na kolanach i spogląda na synka, który bawi się przy płynącym wzdłuż ogrodzenia strumyku. Mały biega w tę i z powrotem, w ręku ma kij, którego koniec zanurzył w wodzie, rozbryzgując ją na wszystkie strony.

– Zablokowali jej żuchwę i zaszyli mięśnie, trzeba ją karmić przez sondę.

– Tak cię przepraszam, Harvey – mówię i odwracam się do niego. – Ja...

– Nie, Thorkildzie. – Harvey patrzy mi w oczy. – To ja powinienem cię przeprosić. Byłem strasznie zdenerwowany, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, bardzo się bałem, ale powinienem był przecież dostrzec, w jakim jesteś stanie, i przypilnować, żeby ciebie też zabrali do szpitala. Zamiast tego zacząłem bredzić coś o latarni i upiorach.

– Nie przejmuj się tym – chrząkam. – Zresztą już mi dużo lepiej. A jak ona się czuje? – pytam, usiłując zmienić temat rozmowy.

– Cóż, nauczyliśmy się ze sobą rozmawiać. Ja gadam, a ona pisze odpowiedzi na kartkach. Za tydzień albo dwa będzie mogła wrócić do domu. Lekarze mówią, że wyzdrowieje, że z czasem dojdzie do siebie. Mam tylko nadzieję, że wydobrzeje, zanim ruszą nagrania. Tak strasznie się na nie cieszyła.

Wierni zmówili już modlitwę, grabarze opuszczają trumny do ziemi.

– Znalazłeś Duńczyka – zaczyna Harvey w chwili, gdy pastor rzuca na wieka garść piasku, otwiera Biblię i zaczyna czytać. – Kiedy tam byłeś... na morzu – jąka. – Był przyczepiony do kobiecego ramienia?

Kiwam głową. Pastor zamyka Biblię i zaczyna błogosławić zebranych.

– Teraz przynajmniej nikt już nie może powiedzieć, że ją sobie wymyśliłem.

– Policja wie, kim ona jest?

Potrząsam głową.

– Jakież wieści o Bjørkangu i Arncie?

– Policja z Tromsø zorganizowała miniaturową łódź podwodną i zwróciła się o pomoc do Kripos. Po południu ma ktoś od nich przyjechać.

– Wciąż są zdania, że masz jakiś związek z ich zniknięciem?

– Jak najbardziej – odpowiadam. – Wybieram się nawet dzisiaj na kolejne przesłuchanie. Muszę tylko najpierw coś załatwić. Zobaczyc, jak się rzeczy mają, jeśli rozumiesz, o co chodzi. – Wyjmuję z kieszeni kurtki klucz do mieszkania i podaję go Harveyowi. – Dzięki za pomoc.

– *No problem.* – Harvey chowa go w kieszeni spodni. – Rodzina chce tam dziś posprzątać.

– A ty jak się właściwie miewasz? Ciebie też wezwali na przesłuchanie. Wczoraj, prawda?

Harvey kręci głową.

– Nie pojechałem. Nie jestem jeszcze w stanie. Ta cała historia z Merethe. Boże. – Przygryza dolną wargę i odwraca się ode mnie. – Tak się o nią bałem.

Pogrzeb zbliża się już do końca, wierni składają ręce i odśpiewują ostatni psalm. Ostrożnie kładę dłoń na ramieniu Harveya.

– Mógłbym z nią pomówić?

– Tak – odpowiada.

Merethe ukryła dłonie w rękawach marynarki. Spogląda na śpiewających ludzi sztywnym wzrokiem. Z każdym wydechem z jej nosa buchają dwa obłoczki pary. Jeden z pielęgniarzy okrywa ją kocem.

– Oczywiście, że możesz.

Ruszamy ku Merethe w chwili, gdy wierni zaczynają się rozchodzić. Harvey idzie pierwszy, Johannes i ja podążamy tuż za nim. Chmury rozstępują się nad naszymi głowami. Zatoka jest spokojna, woda migocze w słońcu.

– Cześć – mówię niepewnie, gdy podchodzimy do wózka. Pielęgniarze cofają się o kilka kroków, jeden z nich zapala papierosa, po czym obaj odwracają się do nas plecami. – Ja...

Merethe unosi dłoń na znak, że mam zamilknąć. Sięga do kieszeni marynarki i wyjmuje z niej notatnik. Zaczyna coś pisać, ja zaś oglądam ukradkiem metalową konstrukcję na jej głowie. Usta ma suche, nienaturalnie rozchylone. Dolna warga nieco zwisa, co sprawia, że Merethe przypomina trochę pacjentkę po wylewie, ze sparaliżowaną częścią twarzy.

Podaje mi notatnik i mierzy mnie wzrokiem. *To nie była ona*, napisała na kartce. Kiwa nieznacznie głową.

– Wiem – mówię. Oddaję jej notatnik, a ona pisze dalej.

Tak mnie bolało – czytam. – *Jakbym z każdym oddechem miała w ustach coraz więcej wody. Jakbym się topiła.*

– Próbowałem ci pomóc, ale nie mogłem...

Merethe potrząsa głową, pisze coś jeszcze i podaje mi notatnik.

To nie twoja wina. To ja ją wpuściłam.

– Ja też ją widziałem – mówię.

Merethe kiwa głową.

Mówiła do ciebie.

– Do mnie? Co masz na myśli?

Merethe pisze coś jeszcze, wyrywa kartkę z notatnika i kładzie ją na mojej otwartej dłoni.

– Nie rozumiem – szepczę, patrząc na litery składające się w jakieś dziwne słowo i zachodząc w głowę, czy Merethe nie ma przypadkiem jakiegoś ataku i nie zaczęła stawiać na papierze przypadkowych znaków.

– Wygląda mi na rosyjski. – Harvey spogląda na kartkę. Jest blady, kołysze się lekko na nogach, jakby miał zawroty głowy; musi się oprzeć o wózek, by nie upaść.

– Wiesz, co to znaczy? – pytam.

Merethe patrzy na nas obu, po czym pochyla się na wózku.

– Zimno mi – syczy przez zaciśnięte zęby.

– Co?

Merethe chwytą moją dłoń i mocno ją ściska. Jej palce są nienaturalnie gorące, tak bardzo, że czuję, jak ciepło wędruje po moim ramieniu aż do twarzy. Klatka piersiowa unosi się za każdym razem, gdy nabiera powietrza. Merethe wskazuje na kartkę z notatnika i zapisane na niej dwa słowa.

– Zimno... mi.

– Tak ci powiedziała? Że jej zimno?

Kobieta kiwa głową i wypuszcza powietrze. Puszcza moją rękę, pisze coś jeszcze na kolejnej kartce, wyrywa ją i podaje mi ze smutkiem w oczach.

Żegnaj, Thorkildzie.

– Żegnaj – mówię, składając kartkę. Wkładam ją do kieszeni spodni, po czym wszyscy wymieniamy uprzejmości i się rozstajemy.

Ruszam z Johannesem w kierunku samochodu, mijając ostatnich żałobników. Słońce już na dobre przebiło się przez chmury.auta wytaczają się jedno po drugim z parkingu i zjeżdżają na główną drogę.

– Słuchaj – zaczynam, gdy stoimy już przy moim samochodzie z wypożyczalni. – Pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałem, Arnt wspominał coś, że w Tromsø są coraz większe problemy z prostytutką i narkotykami.

– Tak – odpowiada Johannes. – Wystarczy poczytać gazety, tam o tym wszystkim piszą.

– Wiesz, skąd przyjeżdżają te kobiety?

– Owszem – rzuca niechętnie mój towarzysz. – Stamtąd, skąd spirytus, papierosy, tytoń i cała reszta tego gówna. Z Rosji.

– No właśnie – odpowiadam, po czym wsiadam do auta i odpalam silnik.

Rozdział 57

– Co masz nadzieję tam znaleźć? – pyta Johannes, gdy zatrzymuję auto na parkingu przy hangarach na łódzie.

– Odpowiedzi – mamroczę tajemniczo, lustrując wzrokiem spokojną tafłę wody między brzegiem zatoki a wysepką z latarnią morską.

– Na jakie pytania?

– Kim jest kobieta bez twarzy. Kto zabił Rasmusa. Gdzie są Bjørkang i Arnt. I może jeszcze czy jestem szalony czy nie – mówię, otwierając drzwi i wysiadając na parking.

– Nieźle – mruczy Johannes.

Słony wiatr od morza owiewa mi twarz i kłuje lekko skórę. Otwieram szybko bagażnik i zmieniam ubranie.

Przeprawa trwa kilka minut. Johannes kieruje się na kikut pomostu przy latarni morskiej i przybija do brzegu. Chwytam linę, wysiadam, cumuję łódkę do sterczącego ze skały kawałka żelaza zbrojeniowego.

Wracam, by pomóc Johannesowi wysiąść. Stary rybak mierzy mnie wzrokiem.

– I co teraz?

– Idziemy do głównego budynku. Do dyskoteki w piwnicy. Byłem tu zaraz po seansie z Merethe.

Johannes zatrzymuje się przed drzwiami wejściowymi przebudowanej kwatery latarnika. Taśmy policyjne, które zerwałem przy okazji mojej ostatniej wizyty, leżą zmięte pod ścianą.

– Seansie? Jakim seansie?

– Ktoś był w pokoju razem z nami, jakaś kobieta. W jej oczach. Mówiła coś, krzyczała.

– Co ty opowiadasz? – jąka się Johannes. Stoi jak wryty w drzwiach, ja tymczasem wchodzę do foyer. – Jakiś... upiór?! – krzyczy za mną.

Przystaję i spoglądam na niego. Słysząc szelest plastiku, w powietrzu czuć kwaśny zapach zgnilizny.

– Wiesz, że Merethe jest jasnowidzką?

Johannes spluwa i marszczy nos.

– Nie lubię takich historii – oświadcza, wkraczając niechętnie do foyer. – Na samą myśl przechodzą mnie dreszcze. Niektóre rzeczy lepiej zostawić w spokoju.

Mijamy zabezpieczone plastikiem ściany w foyer i ruszamy w stronę schodów.

– A co ona mówiła? – pyta Johannes, gdy stajemy u ich szczytu.

– Proszę?

– Powiedziałeś, że coś mówiła.

Sięgam po kartkę, którą dostałem od Merethe, i podaję ją Johannesowi.

– *Mne kholodno* – mówię.

– Co? – Johannes posyła mi pytające spojrzenie. – Co powiedziałeś?

– *Mne kholodno* – powtarzam. – To znaczy *zimno mi*, po rosyjsku.

Twarz Johannesesa blednie gwałtownie.

– To niemożliwe – szepce, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem.

– O co chodzi?

– Nie, nic – mamrocze nieco apatycznie, wspierając się o poręcz schodów.

– Co się stało, Johannesie? – Kładę dłoń na jego ramieniu.

– Ja... – zaczyna, podnosząc na mnie wzrok. Oczy ma szeroko otwarte, jego wargi drżą. – Po prostu zdaje mi się, że gdzieś to już słyszałem.

– Gdzie?

Johannes robi głęboki wdech i prostuje plecy. Wyjmuje tytoń z kieszeni płaszcza. Pierwsza bibułka rozdziera się, zanim jeszcze zdąży wyciągnąć ją z paczki, by skrócić papierosa.

– Była taka łódź – zaczyna, zgniatając bibułkę w dłoni. – Rosyjski trawler, który zatonął tu wcześniej tej jesieni, nie wiem, czy o nim słyszałeś.

– Bjørkang mi wspominał. Co z nim?

– Był w drodze do Tromsø, kiedy zaczęły się kłopoty z silnikiem. Rozszalał się straszny sztorm, łódź zatonęła. Cała załoga dostała się na ląd, tej samej nocy przewieziono ich do Tromsø.

Johannes wyciąga nową bibułkę i układa w niej tytoń. Zwija ją powoli, metodycznie, uzyskując idealną cylindryczną formę. Unosi następnie swoje dzieło do ust, by zwilżyć brzeg papierka śliną. Skręt się rozrywa, gdy tylko dotyka koniuszka jego języka.

– Słyszałem ich przez walkie-talkie – ciągnie drżącym, ścisłym

głosem. – Na początku tylko krzyki i nawoływania po rosyjsku, a potem złapali kontakt z łądem i zaczęli mówić po angielsku, kilka krótkich zdań. Później zrobiło się cicho.

– Wiesz, z kim rozmawiali?

– Nie. Było za dużo zakłóceń na linii i trwało to tylko moment, potem zapadła cisza. – Johannes zniża głos, jakby to, co za chwilę powie, go przerażało. – A kilka godzin później tej samej nocy usłyszałem to.

– Co takiego?

Johannes wyciąga jeszcze jedną bibułkę, układa w niej nową szczyptę tytoniu.

– Musiałem na chwilę wyjść i położyć kamień na klapie do piwnicy, żeby wiatr mi jej nie zerwał. Kiedy wróciłem do domu, usłyszałem dochodzące z salonu trzaski. Zdjąłem buty i wszedłem do środka. Zielona dioda na walkie-talkie mrugała, zupełnie jakby ktoś nadawał albo przynajmniej naciskał guzik nadajnika i nic nie mówił.

– To był ktoś z tej łodzi?

Johannes mierzy mnie wzrokiem. Oczy ma zmrużone i ciemne. Kąciki warg wędrują w dół, jakby jego usta próbowały się odwrócić od reszty twarzy.

– Stałem przed walkie-talkie i czekałem, na wypadek gdyby osoba, która nadawała, chciała się odezwać. Byłem ciekawy, kto to może być. – Patrzy na mnie z tym dziwnym wyrazem twarzy, będącym połączeniem strachu i zaskoczenia. – To znaczy, zdarza się, że ktoś z okolicznych szkieców da sobie w nocy w szyję, więc o tej porze można usłyszeć w eterze właściwie wszystko. Ale tym razem coś było inaczej, czułem to za każdym razem, gdy mrugała zielona dioda. Dopiero kiedy usiłowałem odpowiedzieć...

– Co się stało?

– Usłyszałem głos. Do dziś próbowałem sobie wmawiać, że może po prostu dolałem tego wieczora trochę za dużo spirytusu do kawy albo dałem się zwieść temu uczuciu, które człowieka ogarnia, gdy siedzi sam w domu, a za oknami szaleje sztorm, że to były tylko jakieś trzaski na linii, wiatr albo coś takiego. Ale teraz...

Czuję, że robi mi się zimno. Jakby mój mózg już wiedział, co zaraz powie Johannes, i zaczął wysyłać sygnały ostrzegawcze do ciała.

– Co?

– To był głos kobiety. – Johannes wykrzywia twarz w bolesnym grymasie. – Szeptala tak cicho, że gdyby nie ta zielona dioda, wziąłbym to za szum wiatru. Dwa słowa w obcym języku, potem dioda zgasła, a ona już się nie odezwała.

– Boże – rzucam i robię głęboki wdech. – Co ty mi opowiadasz?

Rozdział 58

– Na pewno chcesz, żebyśmy tam zeszli? – Johannes wreszcie odpalił skręta. Spogląda na mnie niechętnie przez chmurę tytoniowego dymu.

– Tak. Muszę wiedzieć – odpowiadam i wychylam się przez poręcz, próbując zajrzeć do piwnicy, znaleźć wzrokiem drzwi, które były ostatnio uchylone. To właśnie gdzieś tam na dole przebiega granica między fantazją a rzeczywistością. – To jedyny sposób.

Stoimy tak przez chwilę, każdy z nas pogrążony we własnych rozmyślaniach, wpatrując się w ciemności na dole. W końcu Johannes gasi papierosa i wkłada peta do pudełka z zapalnikami. Ostatni raz wymieniamy spojrzenia, po czym zaczynamy schodzić.

Metalowe drzwi u stóp schodów stoją otwarte. W sali za nimi jest ciemno i zupełnie cicho. Wyjmuję komórkę, włączam w niej funkcję latarki i wchodzę do pomieszczenia z gablotami. Ślady butów, które zostawiłem w czasie mojej ostatniej wizyty, pokryły się cienką warstewką kurzu. Idę po nich do ściany z wypchanymi ptakami. Przypominają w półmroku rekwizyty z amerykańskiego dreszczowca z lat siedemdziesiątych, gdy spoglądają na mnie zza zakurzonych szyb martwymi szklanymi oczami.

– Nigdy tu wcześniej nie byłem. – Johannes się wzdryga, podchodząc do mnie i lustrując wystawę.

– Bo też to nie miejsce w twoim stylu – mamrocę, idąc dalej wzdłuż gablot do drzwi dyskoteki. Przystaję w progu. Wokół nas panuje całkowita cisza. Muzyka, lustrzana kula, stroboskopy i wytwornice dymu są wyłączone. Pod sufitem unoszą się pojedyncze drobinki kurzu. Betonowe ściany pomalowane na pastelowe kolory nadal są poszarzałe i upstrzone plamami od wilgoci, jak wtedy, gdy ostatnim razem wędrowałem przez te księżycowe krajobrazy.

– Chodź – mówię, idąc w głąb sali. – Wtedy siedziała tam.

Mijamy budkę didżeja i przystajemy na środku parkietu. Nad wyjściem ewakuacyjnym majaczy ledwie widoczna zielona tabliczka z białym ludzikiem.

Idę dalej, serce na chwilę przestaje mi bić.

– Pusto – stwierdzam, przystając nad łożą z zakurczonym stołem. Słoiki ze świeczkami zniknęły. Powietrze jest tu ciężkie, unosi się kwaśny zapach. – Nie ma jej tutaj.

– Dzięki Bogu – wzdycha Johannes z ulgą. – Przez chwilę już myślałem, że mi stanie pikawa. – Zaczyna wydłubywać peta z pudełka z zapalnikami, ale w końcu zmienia zdanie i odkłada go na miejsce. – Ależ tu śmierdzi – stwierdza, unosząc pudełko do twarzy, jakby było chirurgiczną maską.

Światło latarki pada na zagłębienie w sofie, wytarty kurz w miejscu, gdzie ostatnim razem siedziałem. Na drugiej kanapie, zajmowanej wtedy przez kobietę bez twarzy, dostrzegam zakrzepłą plamę po jakiejś substancji.

– Ale tu była – mamroczę i kucam przy stole. Na podłodze znajduję kałużę z lepkiej, cuchnącej kaszy, która zdaje się wylewać spod stołu. Zatykam sobie nos wolną dłonią, próbując oddychać ustami, i nachylam się nad nią. – Była tu tamtego wieczora.

– No i co? – Johannes rozgląda się niecierpliwie, zatykając nos. – Znalazłeś coś?

Kieruję na niego światło latarki, po czym przenoszę je na podłogę.

– Ślady stóp – odpowiadam.

Widzę odciski moich własnych, stawianych niepewnie butów, prowadzące na parkiet i stamtąd równą linią do wyjścia awaryjnego. Dostrzegam także inny, mniej wyraźny trop, który zaczyna się w łożu, w której siedziałem, pokrywa się częściowo z moimi śladami i kończy w tym samym miejscu.

– Wygląda na to, że ktoś tu przyszedł i wyniósł ją tą samą drogą, którą ja wyszedłem – mówię. Odwracam się i oświetlam podłogę po drugiej stronie, za budką didżeja. – Niedługo po tym, jak się stąd zmyłem.

– Skąd wiesz? – Johannes jest coraz bledszy. Przesłupuje z nogi na nogę i grzechocze niecierpliwie pudełkiem z zapalnikami. – Przecież nic tu nie widać. I jeszcze ten smród...

– Kurz – odpowiadam, wskazując podłogę i dwie pary wydeptanych na niej śladów. – Widzisz, to są odciski moich butów. Te drugie są mniej więcej tak samo przykurzone.

– Widziałeś tu kogoś ostatnio?

– Nie, ale byłem w takim stanie, że nie zauważyłbym pewnie i tańczącego słonia.

Johannes próbuje się roześmiać, ale smród zapiera mu dech w piersiach. Zamiast tego przyciska więc pudełko z petem do twarzy i rusza za mną. Oświetlam latarką ślady przebiegające obok rzędów zakurzonych kanap obciążonych gnijącą tkaniną, budki didżeja i dalej w kierunku dwóch stojących w rogu stołów bilardowych.

Ślady urywają się za jednym z nich. W kurzu wydeptano tu większe, nieregularne koło. Zielona tkanina stołów jest ledwie widoczna, kule bilardowe leżą na niej w nieładzie. Przypominają miniaturowe domki na makietach, jakie można oglądać w muzeum historii naturalnej – ślady po zaginionych cywilizacjach.

Rozglądam się po sali. Na drugim końcu dyskoteki po jednej stronie znajdują się wyjście awaryjne z zieloną tabliczką i loża, w której ostatnio siedziałem. Po drugiej zaś – drzwi wejściowe, przez które wpada do środka światło. Mniej więcej pomiędzy tymi dwoma punktami majaczy ciemna ścianka budki didżeja.

– Świetny punkt obserwacyjny, prawda? – mówię, gdy podchodzi do mnie Johannes.

– Dla kogo?

– Dla sprawcy – mamroczę, kierując promień latarki na uchylone drzwi między dwoma stojakami na kije bilardowe w głębi sali. – Który lubi ze mną pogrywać – dodaję, podchodzę do drzwi i otwieram je na oścież. Znajduję za nimi ciemne wąskie schody, które prowadzą na parter. – Chodź – rzucam. – Dość już się napatrzyłem.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – pyta Johannes, gdy w końcu wyłaniamy się z ciemności i smrodu, zamykając za sobą drzwi piwnicy. Stoimy w kuchni restauracji na parterze. Są tu duży stół i trzy wielkie zamrażarki. Jedna z nich szumi cicho. Ktoś tu niedawno musiał sprzątać, w powietrzu unosi się zapach środka dezynfekującego.

– Niewątpliwie – odpowiadam, zwracając się do niego z uśmiechem.

– To znaczy?

– Myślę, że ta martwa kobieta była Rosjanką – zaczynam, idąc przez restaurację, w której meble zostały zsunięte w jeden kąt, poustawiane jedne na drugich i zabezpieczone plastikiem oraz białymi płachtami tkaniny. – Możliwe, że prostytutką, która wybierała się do miasta do pracy. To by przynajmniej tłumaczyło, czemu nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Moim zdaniem Rasmus znalazł ją, nurkując, i dlatego został zabity.

– Jezu – burczy Johannes i zaciera dłonie, gdy znów stajemy we foyer. –
Jak to się skończy?

– A ponadto – dodaję z nieznacznym uśmiechem, zwracając się głównie
do siebie – pogłoski o mojej niepoczytalności są mocno przesadzone...

Rozdział 59

– Cóż... – Johannes wkłada pudełko z zapalnikami z powrotem do kieszeni i klaszcze w pomarszczone dłonie, jakby chciał sobie pogratulować, że znów jest na świeżym powietrzu. Wreszcie opuściliśmy główny budynek, stoimy na podwórzu w połowie drogi między latarnią morską a kwaterą latarnika. – Czas wracać na stały ląd, co? – Mruży oczy i mierzy mnie wzrokiem. – Zastanowić się nad obiadem?

– Ten trawler – zaczynam, chowając komórkę do kieszeni kurtki. Wykonuję kilka krótkich ćwiczeń gimnastycznych twarzy, próbując przegonić bolesne mrowienie w policzku. – Wiesz, w którym miejscu zatonął?

– Oczywiście. Wprowadziłem współrzędne do GPS-a, żeby zobaczyć, gdzie była łódź, gdy nadano sygnał SOS. Mam mobilną nawigację.

– To daleko stąd?

– Nie. Tuż przy północnym cyplu wyspy.

– Głęboko tam?

– Niespecjalnie.

Wzdrygam się, gdy obaj toczymy wzrokiem po gładkiej tafli morskiej wody.

– Chyba potrzebuję twojej pomocy – zaczynam po chwili milczenia.

– Zdążyłem się domyślić. – Johannes mruży oczy, oślepiiony na chwilę migoczącymi na wodzie promieniami słońca. – Potrzebujesz też sprzętu – dodaje w końcu.

– Wszystkie niezbędne rzeczy są tu, na wyspie. – Odwracam się w kierunku hangaru na łodzi. – Tam.

– Umiesz nurkować? – Johannes wyciąga z pudełka peta i zapala go, gdy stajemy przed drzwiami.

– Tak. – Otwieram hangar i podchodzę do układu wydechowego awaryjnego agregatu i rury, przy której wciąż leży plastikowa płachta, wcześniej przykrywająca zwłoki kobiety bez twarzy. Idę dalej, do skrzyń ze sprzętem do nurkowania, z jednej z nich wydaję skafander i ocieplacz, buty

nurkowe, rękawice, płetwy paskowe, butle, konsolę, karabińczyk nurkowy, latarkę z uchwytem pistoletowym i jeszcze jedną, przytwierdzoną do maski, a także nóż.

Poza obowiązkowym kursem nurka minowego w wojsku wziąłem niechętnie udział w kilku organizowanych przez Gunnara Ore wyjazdach integracyjnych do jego rodzinnego domu w Nesodden, parę lat temu, kiedy służyłem jeszcze w Jednostce Specjalnej. Każdy z nas musiał wtedy uczestniczyć w nurkowaniu wrakowym albo kursie łowiectwa podwodnego, w głębinie zostali zaciągnięci nawet prokuratorzy.

– Czemu tak cię interesuje ten wrak? – pyta Johannes, gdy wypakowuję sprzęt. Ostatni raz zaciąga się papierosem i gasi żar palcami.

– Wydaje mi się, że kobieta, którą znalazłem na wyspie, była na pokładzie tego trawlera, który przed miesiącem zatonął w drodze do Tromsø. Rasmus mógł odebrać sygnał SOS na swoim walkie-talkie i pewnie postanowił, że zanurkuje przy wraku w ten weekend, kiedy zniknął, że go sobie obejrzy. I wtedy znalazł tę kobietę. To dlatego nikt się nie może o niej dowiedzieć, dlatego sprzęt GPS został wyrwany z łodzi Rasmusa, a także Bjørkanga i Arnta. Bo obie te łodzie były w pobliżu wraku. Nie wszyscy uratowali się z tonącego trawlera, ta kobieta została na pokładzie.

– I ktoś zamordował Rasmusa dlatego, że ją znalazł?

Kiwam głową.

Johannes aż się wzdryga.

– Czy to by znaczyło, że to ją słyszałem tamtej nocy?

Przyciskam palce do policzka, druga ręka sięga instynktownie do kieszeni, w której zazwyczaj trzymam owadzie jaja. Teraz kieszeń jest pusta.

– A... ale... – jąka się Johannes, kiedy mu nie odpowiadam. – Przecież minęło tyle czasu. Łódź musiała już wtedy zatonąć i...

Nasze spojrzenia się spotykają, Johannes nie kończy zdania. Stoimy w milczeniu jakąś minutę, po czym zamykamy drzwi hangaru i zaczynamy ładować sprzęt do łodzi.

– Wciąż nie rozumiem, co twoim zdaniem znajdziesz w tym wraku – zaczyna Johannes.

– Najpierw musimy w ogóle go namierzyć – mówię. Moje ciało przeszywa raz za razem lodowaty dreszcz, mieszając się z bólem w brzuchu, który pojawił się krótko po tym, jak wchodząc do kościoła, wyrzuciłem pusty

blister po pyralginie. Podnoszę kołnierz kurtki i przełykam ślinę w nadziei, że zimne powietrze powstrzyma bolesne skurcze, będące zapewne reakcją na odstawienie mocniejszych leków. – Ale jak to już zrobimy – szepczę – to z pewnością odnajdę w nim jedno.

– To jest? – pyta Johannes, gdy gramolimy się do jego łódki.

Patrzę na niego i wzdrygam się lekko.

– Martwego policjanta.

Rozdział 60

Trzymamy się wybrzeża głównej wyspy. Nasz kurs wiedzie na północ, mijamy nagie górskie zbocza, mniejsze wysepki i szkiery, sterczące z ziemi skały i pagórki oraz pojedyncze piaszczyste zatoczki. Wiatr targa nam włosy i smaga twarze.

– Co to takiego? – pytam, wskazując kilka rzędów pływających pomostów w wąskiej zatoczce tuż przed nami. Są umieszczone jeden obok drugiego na sześciu linach, w odległości mniej więcej dwóch metrów od siebie. Cały obszar ma może jakieś dwieście czy trzysta metrów długości i biegnie na skos przez całą zatoczkę.

Johannes zmniejsza obroty silnika, suniemy po wodzie nieco wolniej.

– Hodowla – wyjaśnia. Przy brzegu widzimy barkę i zacumowany do niej duży niebieski katamaran. Dalej jest pomost wyglądający na nowy oraz spory hangar na łódzie. Zatoczka położona jest pomiędzy dwiema górami o płaskich, ściętych szczytach, na łódzie mającą pomalowany na biało drewniany dom i obora. Panuje tam półmrok, słoneczne promienie nie docierają do gospodarstwa, blokowane przez górskie zbocza. – Harvey hoduje tu omułki. A tam, na łódzie, widać rodzinny dom Merethe.

– Nie ma tu żadnej fabryki – ciągnę, gdy przepływamy nad mielizną. Woda jest w tym miejscu przezroczysta jak szkło. – Gdzie on przetwarza te małże?

– Na katamaranie – odpowiada Johannes. – Z łodzi wypuszcza larwy, zbiera małże, oczyszcza je tam i pakuje, a potem zawozi do magazynu w Tromsø, skąd na paletach jadą potem w wielki świat. W dzisiejszych czasach nic już więcej nie trzeba.

– Wygląda solidnie. – Wskazuję ruchem głowy niebieski katamaran. Z tyłu ma zamontowany spory, ciężki dźwig. Mijamy przystań i wypływamy z zatoki.

– A pewnie, łódzie z cumowaniem bocznym już takie są. Harvey może w niej zbierać te swoje omułki w każdą pogodę.

Z morza przed nami wyrasta kilka mniejszych wysepek i szkierów, na

których ptaki o niebieskawym, niemal metalicznym upierzeniu i białych łepkach suszą w słońcu skrzydła. Niektóre odwracają się od nas spłoszone, inne wyciągają szyje w kierunku łodzi.

– Nie podobają mi się te ptaszyska – mówi Johannes i wzdryga się, gdy podpływamy do największej z wysepek, gdzie sterczący krzywo z morza żelazny pręt wskazuje umiejscowienie podwodnego szkieru. Wokół skupiska wysepek wyrósł cały las wodorostów, szeleszczący sterczącymi ponad wodę łodygami. Kilka nurkujących między zielonymi kępami kaczek trzepocze skrzydłami.

– Co? Dlaczego?

– Kormorany zapowiadają śmierć – mamrocze Johannes i dodaje gazu, gdy tylko mijamy ostatni szkier.

– A, to super – burczę, chowając głowę między ramionami, kiedy zwiększamy tempo i wiatr znów zaczyna smagać moją twarz.

– Trzymaj się! – krzyczy Johannes. – Już niedaleko!

Chwytam się siedzenia obiema rękami. Przed sobą widzę, jak cała wyspa się zwęża i wygina w łuk. Dalej jest już tylko morze.

Po chwili mijamy cypel, Johannes zmniejsza obroty silnika i zaczyna prowadzić łódź po torze przypominającym ósemkę, raz po raz zerkając na trzymane w dłoni GPS i echosondę.

– Tutaj – mówi wreszcie i gasi silnik. Łódź zatrzymuje się i zaczyna leniwie kołysać na lekkich falach.

– Jesteśmy na miejscu? – Podnoszę się i wychylam przez burtę, za którą w jasnym popołudniowym świetle migocze morze. Jesteśmy jakiś kilometr od lądu. Niebo nabrało koloru czerwieni przywodzącej na myśl krew.

– To współrzędne, jakie podali przez walkie-talkie. Echosonda pokazuje, że dno tu lekko opada, dalej robi się głębiej. Nie mamy zbyt wiele czasu. – Johannes zerka na niebo, po czym przenosi wzrok na mnie. – Niedługo się ściemni.

Kiwam głową, sięgam po skafander i wkładam go szybko, nie chcąc się wyziębic na jesiennym chłodzie.

Johannes spogląda na zegarek, po czym wychyla się przez burtę i patrzy na zimną wodę.

– Mam nadzieję, że się mylisz. Że nie znajdziesz tam nawet żadnej łodzi.

– Uwierz mi, ja też – odpowiadam, sprawdzając ciśnienie w butli z tlenem.

Wkładam kamizelkę, chwytam ustnik i sprawdzam regulację, po czym naciągam na twarz maskę i włączam latarkę. Prawda jest taka, że nienawidzę nurkować. Nienawidzę. Ale to jest coś, czego nie sposób uniknąć, podobnie jak wizyta u proktologa, kiedy boli cię dupa, albo obowiązkowa rozmowa z lekarzem od czubków po próbie samobójczej.

Wkładam ustnik między zęby, podnoszę latarkę z uchwytem pistoletowym i sprawdzam, czy działa, po czym siadam na burcie plecami do lustra wody.

– Możemy jeszcze zawrócić – słyszę głos Johannaesa w momencie, gdy odchylam się w tył i pozwalam ciału wypaść za burtę. Po chwili jestem pod powierzchnią.

„Chyba już za późno – myślę, czując zimną morską wodę na skórze między kapturem, maską a ustnikiem. – Za późno, by się cofnąć”.

Rozdział 61

Zimno przeszywa mi twarz. Rzucam się i wierzgam, próbując pobudzić krążenie. Nigdy wcześniej nie nurkowałem późną jesienią; trudno mi wyregulować oddech i choć trochę się rozgrzać.

Po chwili intensywnego wierzganania i miotania się tuż pod powierzchnią uspokajam się w końcu, znajduję rytm pozwalający rozpocząć zanurzenie. Widzę, jak Johannes stoi nade mną, wychylając się za burtę łodzi. Pokazuję mu uniesiony kciuk, po czym odwracam się i zaczynam płynąć w dół. Gdy znów odwracam głowę, mój towarzysz jest już tylko czarnym cieniem gdzieś daleko w górze.

Woda jest przejrzysta, ale wkrótce robi się tak ciemno, że muszę włączyć latarkę, którą trzymam w dłoni. Zaczynam dostrzegać schodzące w dół dno. Miernik głębokości wskazuje siedem metrów. Wysięk, który wkładam w kontrolowanie oddechu, oraz nienaturalne ruchy bioder sprawiają, że zaczynam myśleć o Frei i kursie tańca w domu kultury tego dnia, gdy za nią poszedłem. Uderza mnie, że myślę o niej pierwszy raz od tamtego wieczora na wysepce z latarnią.

– Ty tam. Chodź! – rozkazuje mi instruktorka przechadzająca się z dumą przed nami, siedzącymi w półkolu wokół niej. Ma na sobie buty z wysokim obcasem, spódnicę do połowy uda, ciemne loki związała w koński ogon. Wyciąga rękę w moim kierunku, zupełnie jakby przywoływała nieposłusznego psa.

Podnoszę się i podchodzę do niej niechętnie, zostawiając Frei siedzącą na podłodze.

– OK, *señor*, jak masz na imię?

– Thorkild.

– *Señor* Thorkild. Tańczyłeś już wcześniej?

– Niewiele.

Instruktorka zwraca się do zgromadzonych:

– Dobrze, panie i panowie. Pary wstają, a ja i *señor* Thorkild przerobimy podstawowe kroki przy prostej rotacji barków i pokażemy wam kilka ruchów

ramion oraz ustawień plecami do siebie.

– Imeldo? – Frei wychodzi na środek parkietu, gdzie stoję w żelaznym uścisku instruktorki. – Mogłabyś zatańczyć z Robertem? A ja zajmę się tym tutaj?

Imelda puszcza mnie i patrzy na Frei.

– Robert? *Sí* – wybucha śmiechem. – *Claro, hermana.* – Jej twarz tężeje, macha na Alvina, który podbiega do sprzętu stereo.

– Który utwór, *señora* Imelda?

– *Dos Gardenias, señor* Alvin.

Po chwili rozlega się jedwabisty męski głos śpiewający po hiszpańsku, Robert sunie z gracją obok mnie i wpada prosto w ramiona Imeldy.

– Co tu robisz, Thorkildzie? – pyta Frei, prowadząc mnie między inne pary.

– Nie wiem – odpowiadam.

Frei podaje mi prawą dłoń, lewą chwytając zewnętrzną część mojego ramienia.

– Czy to ma związek z wujem Arnem albo tą drugą sprawą?

– Nie.

– No to... – waha się. – Przyszedłeś tu tylko po to, żeby zobaczyć, jak tańczę?

– Chyba tak – mamroczę, próbując nadażyć z obrotami. Nad dźwięki muzyki wzbija się głos Imeldy:

– No i teraz wszyscy razem. Biodra, Thorkildzie. Biodra. To bolero. Namiętność, gorąco, zmysłowość, *calma, calma.*

– Jest na coś takiego słowo – ciągnie Frei, gdy Imelda kończy wydawać instrukcje. – Na kogoś takiego jak ty.

– Żałosny – pryham. – Słuchaj... – Chcę ją puścić i odejść, ale Frei spleta palce mocniej z moimi, czuję jej oddech w zagłębieniu nad mostkiem, jej wzrok parzący mi skórę. Twarz ma zaledwie kilka centymetrów od mojej. Wystarczyłoby, żebym się pochylił i ją pocałował.

– A może zaangażowany? – ciągnie Frei. – Ciekawski?

– Za stary.

– Na co?

– Na to. – Znow próbuję się wyrwać, ale Frei nie chce mnie puścić.

– Nie idź – mówi, przytrzymując mnie. – Nie w środku tańca. Możesz sobie pójść, jak skończymy.

– OK – odpowiadam i wstrzymuję oddech, gdy Imelda daje nam znak, że nowy obrót jest tuż za rogiem. – Tańczymy.

Wspomnienie urywa się zawsze w tym momencie. Nie ma dalszej części, a przecież wiem, że niedługo potem się pożegnaliśmy. Ona i Robert poszli w swoją stronę, a ja z powrotem do pokoju hotelowego i notatek z przesłuchania, raportów oraz całego notatnika pełnego zapisków zupełnie bez znaczenia. Wszystko urywa się tutaj, także ja, mimo że obecnie unoszę się pod powierzchnią morza w poszukiwaniu zatopionej łodzi.

– Cholerny idioto! – rzucam i w następnej chwili moje usta wypełnia słona woda. Otwieram oczy i widzę, że w przypiływie poczucia winy zdołałem wypluć ustnik butli do nurkowania.

Wciąż czując zapach jej włosów i obroty naszych ciał, gonię za ustnikiem i wypluwam wodę, próbując jednocześnie wstrzymać oddech.

Po kilku rundach tej komicznej i zupełnie niesynchronizowanej podwodnej gimnastyki chwytam w końcu ustnik i wkładam go sobie z powrotem między zęby. Unoszę się w wodzie z ramionami rozrzuconymi na boki jak u anioła i skupiam na równym oddechu. Zaraz potem czuję, jak moje stopy dotykają dna.

Odpycham się nogami, żeby nie ugrzęznąć w mule, sprawdzam komputer nurkowy i manometr. Znajduję się na głębokości jedenastu metrów, otoczony tylko przez kilkoro rybich zwłok, pogrzebanych częściowo w zamulonym miękkim dnie, i wijące się na nich bliżej nieokreślone bezkręgowce.

Dno opada pod kątem trzydziestu stopni. Gdzieś dostrzegam pojedyncze kamienie czy wystające z mułu kawałki metalowego złomu, na których rozgościły się kolonie morskich alg, rozgwiazd, jeżowców, muszli i ślimaków morskich.

Wciąż marznę, ale odnalazłem rytm, w którym powoli posuwam się w ciemność. Morskie dno musi być chyba najbardziej samotnym miejscem na ziemi. Jałowe, rozmyte i obce. Nigdy nie czułem się bardziej zagubiony i samotny niż w tej chwili, gdy brnę przez muliste dno ku ciemnej ścianie, która nagle się przede mną pojawiła.

Widzę, że wyrastająca z dna morza konstrukcja otoczona jest szarą chmurą wzburzonego osadu. Dopiero gdy sam wchodzę w tę mgłę, orientuję się, że ściana wcale nie jest ścianą, ale kabiną sterowniczą łodzi.

Kabina leży do góry dnem, wspierając się na kamieniu albo skale gdzieś pod mułem. Przez dziurę na górze, powstałą w miejscu, w którym kabina

została oderwana od reszty łodzi, wystają grube rury i taśmy z przewodami i innymi elementami wraku.

Podpływam bliżej i w górę wzdłuż jednej ze ścianek, w końcu jestem tuż nad otworem. Uświadamiam sobie, że próba szukania czegoś w tej plątaninie rur, przewodów i szczątków łodzi zalegających w kabinie byłaby śmiertelnie niebezpieczna.

Płynę dalej, mijając zardzewiałe stopnie schodów. Larwy małży, algi i inne morskie żyjątka zaczęły już rościć sobie prawa do białych metalowych ścianek wokół rzędu bulajów z przodu kabiny sterowniczej. Tuż nad nimi widnieją grube rosyjskie litery układające się, jak zakładam, w nazwę trawlera.

Odgarniam szlam z jednego z bulajów i zaglądam do środka. Pierwsze, co zauważam, to krzesła sterczące z sufitu, to jest tego, co stanowiło kiedyś podłogę kabiny. Kubek na kawę unosi się na powierzchni wody pod kieszenią powietrza, która wytworzyła się tuż nad konsolą sterowniczą. Dalej z tyłu dostrzegam kontury międzynarodowego plakatu z informacją, jak wkładać kamizelki ratunkowe i gdzie są rozmieszczone szalupy.

Tkwią zawieszony w wodzie z maską przyciśniętą do szyby, lustrując unoszące się w środku elementy. Dostrzegam nagle rybę z płaskim łbem, porośniętym kolcami grzbietem i wielkimi paskudnymi oczami, która wypływa przez dziurę w konsoli. Sunie powoli w kierunku kartonowego kubka, który skubie przez chwilę, po czym okrąża go, próbując dobrać się do niego z drugiej strony. Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy, po czym nieurodziwa istota zawraca i znika między złączami paneli na ścianie.

Cofam się i sprawdzam manometr, po czym, chcąc odczytać pomiar, rozglądam się za drogą wyjścia z mgły otaczającej wrak. Dostrzegam gruby kabel, który wygląda, jakby był przytwierdzony do kabiny sterowniczej, a potem nikł gdzieś w ciemnościach.

Podpływam bliżej i kładę na nim dłoń. Kabel wibruje, napięty i bez wątpienia przymocowany do czegoś po drugiej stronie. Ostatni raz sprawdzam manometr i zawory, po czym łapię przewód obiema rękami i schodzę po nim dalej w ciemność, ku temu, co czeka mnie na jego końcu.

Rozdział 62

W miarę jak schodzę niżej, pojawia się coraz więcej martwych, gnijących ryb i większych elementów oderwanych od wraku, rozrzuconych na morskim dnie. Z mułu wystaje także coś, co wygląda, jakby mogło być rufową pochylnią. Łódź musiała się stoczyć w głąbiny, rozrzucając po drodze talie, plastikowe szpule na liny, przewody oraz zgniecione pojemniki do mrożenia ryb.

Na dwudziestym siódmym metrze zatrzymuję się na chwilę, sprawdzam znów miernik głębokości i manometr. Przede mną wyrosła z morskiego dna kolejna ściana z ciemnej stali. Trawler leży na boku, stępka sterczy w górę pod kątem. Wygląda to tak, jakby napięty kabel był jedynym, co powstrzymuje wrak przed stoczeniem się jeszcze głębiej. Wokół unosi się taka sama szarawa mgła jak przy kabinie sterowniczej.

Podpływam bliżej i zatrzymuję się tuż przed stępką, przy której leży rozłożony włók. Łódź musiała mieć jakieś czterdzieści metrów długości. Stępka pokryta jest przypominającymi kurzajki porostami, przywarło do niej kilka szarawych kęp wodorostów i pojedyncze zimnowodne koralowce. Widzę także parę kolonii korkowca, zwanego ręką topielca, z żółtawymi polipami machającymi do mnie niczym dłonie spod dna wraku.

Słyszę tylko bańki powietrza, które strzelają z zaworów z boku mojej głowy za każdym razem, gdy robię wydech. Gęsta mgła uwięziła i mnie, i trawler w zupełnie innym świecie na dnie morza. Mętna, szara, śmierdząca wodorostami zasłona, która naciska na mnie z każdej strony, wystawia mnie na próbę, jakby chciała sprawdzić, czy moja zbroja faktycznie wytrzyma, czy da radę stawić jej opór.

Cały statek jest niebezpiecznie przechylony i wygląda, jakby w każdej chwili mógł się stoczyć w dół. Jest odkryty między dziobem a dnem, tak że mogę go okrążyć i dotrzeć w ten sposób do płaszczyzny pokładu. Mimo to decyduję się opłynąć trawler od góry, w obawie, że cały ten gigantyczny metalowy potwór obudzi się nagle do życia i zmiażdży mnie swoim ciężarem.

Płynę ostrożnie z dłońmi na dnie łodzi, aż docieram do ziejącej pustką kluzy kotwicznej na uniesionej bakburcie. Kotwica jest oderwana, został tylko łańcuch wyciągnięty z bębna, niknący razem z przednim masztem gdzieś w rozciągającej się przede mną głębinie.

Koło wraku, tuż za strefą wyznaczoną przez mgłę, przepływa kłęb alg unoszących się ku powierzchni, jakby uciekały przed ciemnością w głębinach. „Poszło tak łatwo” – myślę, mijając windę kotwiczną na dziobie i przesuwając się wzdłuż boku łodzi. Więc czemu zacząłem się nagle tak bać? Dlaczego całe moje ciało przepełnia strach przed tym, że już nie wynurzę się na powierzchnię? I to teraz, gdy wiem, że wystarczy tylko wyjąć ustnik i zrobić wdech? Uświadamiam sobie nagle, że końcowa stacja, o której tak długo fantazjowałem, wygląda właśnie w ten sposób. Jest równie zimna, pozbawiona barw i samotna jak to morskie dno.

Chwytam metalowy element barierki, jednocześnie przymykam oczy i staram się spokojnie oddychać. W końcu odzyskuję panowanie nad sobą i mogę posuwać się dalej. Przede mną spod barierki sterburty wystaje roztrzaskana szalupa ratunkowa. Część systemu chłodniczego zwisa z wielkiej dziury w miejscu, gdzie pękł metal, tworząc szeroką, biegnącą przez cały pokład szczelinę. Do przodu, Thorkildzie. Tylko do przodu.

Dno jest tu aż białe od martwych ryb, niektóre wciąż leżą w pudełkach do mrożenia albo są zapakowane w większe plastikowe pojemniki. Zdaje się, że ten cały rybi stos żyje, zmienia kolor z białego na głęboko zielony, rubinowoczerwony i żółty. Gdzieniegdzie pośród tej pulsującej masy strzelają srebrzyste pasemka, to ławice narybku przepływające nad krabami, rozgwiazdami i jeżowcami przybyłymi tu na tę niespodziewaną ucztę.

Brnę dalej, mijam rampy trawlera z rzędami stanowisk do filetowania, pojemniki na sieci i pokrywy luku ładowni, płynąc w kierunku rufy, na której mieściła się kiedyś kabina sterownicza. Z pokładu sterczą w tym miejscu połamane kawałki metalu, rury, przewody i inne elementy wraku, ledwie widoczne w gęstej osadowej mgłę.

Na wysokości rufy zatrzymuję się nad otworem, dwiema ziejącymi czernią dziurami, wyposażonymi w zardzewiałe schodki prowadzące w głąb trzewi statku. Jedne z nich wiodą do kajut i kambuza, drugie zaś do maszynowni oraz pomieszczeń technicznych.

Tuż przede mną wisi wciągarka, której element stanowił kiedyś kabel, po którym tu przyszedłem. Rama jest roztrzaskana, korba skierowana w dół, ku

pokładowi, a sam bęben tkwi wciąż przytwierdzony do podłoża, tam gdzie była kiedyś kabina sterownicza. Śruby po jednej stronie są wyrwane, w miejscu mocowań widać tylko dwie czarne dziury. Kabel przytwierdzony jest do bębna, przebiega przez pokład po stronie sterburty, pod łodzią i potem aż do kabiny sterowniczej kilkanaście metrów wyżej. Gdy tylko ostatnie dwie śruby pękną albo wysuną się z metalowego podłoża, cały trawler stoczy się w głębinę i jeszcze większą ciemność.

Wiem, że istnieje ogromne ryzyko, że kabel pęknie, a wrak wywróci się ostatecznie do góry dnem albo osunie w głębinę i że jeśli podpłynę do niego bliżej, mogę w nim zostać uwięziony. Żadna z tych możliwości nie wydaje mi się szczególnie kusząca teraz, gdy unoszę się nad schodami. Ale jednocześnie w tej ciemności jest coś, co ciągnie mnie w jej objęcia.

Próbuję popatrzeć w górę, ku powierzchni kryjącej się za chmurą z dennych osadów, ale dostrzegam tylko lekkie przebłyski szarości i błękitu.

– Cholerny debil – mamrocze sam do siebie w płynnym podmorskim języku, nie wypuszczając ustnika, i opadam powoli w kierunku wraku pod moimi stopami. Gdy jestem już dość blisko, zaczynam płynąć do schodów wiodących do maszynowni. Wyciągam rękę i trafiam na kawałek metalu, którego mogę się przytrzymać.

Kieruję promień latarki ku ciemnościom i dochodzę do wniosku, że nie sposób dobrać dalej niż do stóp schodów. Ciężkie metalowe elementy – części silnika, cylindry i inny złom – zebrały się tam i blokują wejście.

Podpływam do drugich schodów i świecę do środka: w ciasnym zejściu, które skręca ku górze, wiodąc w głąb łodzi, unoszą się pomarańczowy płaszcz przeciwdeszczowy i samotny kalosz. Droga do kajut jest otwarta.

Wpływam do środka, przytrzymując się stopni, skupiam się na równym oddechu i staram się zachować spokój. Gdy tylko pokonuję schody i drzwi u ich stóp, pojawia się więcej ubrań, pościeli i osobistych drobiazgów, które unoszą się w korytarzu wokół mnie.

Ogarnia mnie dziwny spokój. Brnę od drzwi do drzwi, oglądam pościel, książki, fotografie kobiet z dziećmi oprawione w ramki. Wszystko to pływa w kajutach razem z pojedynczymi małymi rybkami, które tu zbłądziły. Zupełnie jakbym nie był już sam.

Pod tym, co kiedyś było podłogą, unosi się w jednej z kajut różowy plecak, a razem z nim bluza z kapturem i para szmacianych trampek. Na drzwiach nie ma zdjęć rodziny ani plakatów z nagimi paniami. Znajduję za to

sporo artykułów higienicznych, lusterko kieszonkowe i rosyjskie magazyny kobiece, a także książkę z wizerunkiem obejmującej się namiętne pary na okładce. To zdecydowanie nie jest męska kajuta.

Sprawdzam manometr, żeby zobaczyć, ile zużyłem powietrza. Czuję, że zaczynam marznąć, coraz trudniej mi się poruszać w ciasnych przejściach. Najwyższy czas ruszać dalej.

Zawracam i wypływam z kajuty. Gdy tylko jestem już u szczytu schodów, przemieszczam się w kierunku środka pokładu, gdzie położone są luki ładowni i zbiornik ze słodką wodą. Jeden z luków jest otwarty.

Brnę wzdłuż pokładu, docieram w końcu do otwartego luku i zaglądam do środka. Jest tu więcej martwych ryb, są wysokie stosy pudeł wypakowanych rybami tuszami oraz płachty przezroczystego plastiku zwisające z przytwierdzonych do ścian szpul. Niewielkie bąbelki powietrza unoszą się ze stosu gnijącego ładunku, który został w środku.

Kolejny luk jest zamknięty od zewnątrz. Otwieram zamek i unoszę się tak, bym mógł naprzeć na klamkę całym ciałem. W końcu udaje mi się nacisnąć ją na tyle mocno, by właz ustąpił. Odpływam kawałek w górę, tak bym nie został zasypany, gdyby się okazało, że i ten luk jest pełen ryb.

Po chwili, kiedy nic się nie dzieje, wsuwam do środka latarkę, którą trzymam w dłoni, i zaglądam tam ostrożnie. Gdy tylko zbliżam się do luku, ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, jakbym miał za chwilę przerwać czyjaś chwilę skupienia.

Wygląda na to, że w środku jest pusto. Mam co prawda latarkę, którą trzymam w dłoni, i diodę LED zamontowaną na masce nurkowej, ale odnoszę wrażenie, że panujące tu ciemności dławią światło w jakiś szczególny sposób. Jakbym zaglądał do basenu o ściankach pokrytych olejem albo smołą.

Wpływam powoli do luku. Gdy tylko jestem w środku, we wnętrzu wraku rozlega się miarowe dudnienie. Wzburzona nim chmura bąbelków powietrza na chwilę zupełnie mnie oślepia.

Wszystko we mnie krzyczy, by jak najszybciej stąd uciekać, każdy ruch ramion i nóg, który sprawia, że jeszcze bardziej zagłębam się w tę ciemność, przepełnia mnie panicznym lękiem. Gdy tylko odzyskuję widoczność, wracam do badania zawartości luku. Pode mną pełza światło dobiegające z zewnątrz, w wodzie unoszą się cienkie płaty rdzy oderwane od podłoża.

Zastygam mniej więcej pośrodku luku i unoszę się w wodzie, próbując

zapanować nad oddechem, który znów wymyka mi się spod kontroli. Unoszę głowę i patrzę na deszcz rdzawych płatów. I nagle coś nad sobą dostrzegam. Prostuję się, sprawdzam poziom tlenu, po czym reguluję diodę LED na masce nurkowej. A potem zaczynam płynąć ku unoszącemu się nade mną martwemu ciału.

Woda w świetle mojej latarki mieni się jaskrawymi kolorami tęczy, zupełnie jakby była zanieczyszczona benzyną, ropą albo olejem. Ta cienka kolorowa błona przywiera do zwłok, rzucanych w tę i z powrotem rytmicznymi ruchami wody.

Wygląda, jakby unosił się w powietrzu na rdzawym tle, którego elementy spadają na nas niczym śnieżne płatki – czarny podwodny anioł z głową, ramionami i nogami wyciągniętymi w moją stronę jak pozdrowienie przesłane między dwiema różnymi formami istnienia.

Znów się spotykamy. Ale teraz wszystko jest inaczej.

Rozdział 63

Nie sądziłem, że to jego tutaj znajdę. Zastępca lensmanna Arnt Eriksen wciąż ma na plecach butlę z tlenem. Unosi się w luku w kompletnym skafandrze nurka. Twarz ma pomarszczoną, obrzmiałą, jego otwarte oczy wpatrują się pustym wzrokiem w rdzawy deszcz. Usta są rozchylone, żuchwa drży lekko, gdy do niego podpływam. Jakieś brązowe morskie żyjątko próbuje ukryć się w jego krótko przystrzyżonych włosach, ale w końcu rezygnuje i ucieka do nosa martwego policjanta.

Odpycham się ostatni raz nogami, by być na tej samej wysokości co trup, w następnej chwili moje ciało przebija powierzchnię i tak odkrywam kieszeń powietrzną między ścianą kadłuba a wodą w luku.

Światło latarki i cienka błona benzyny albo oleju na powierzchni sprawiają, że cała ta podwodna jaskinia zdaje się jaśnieć, niemal jakbyśmy trafili do laguny, wokół siebie mieli słońce i białe plaże. Iluzja pryska dopiero w chwili, gdy zadzieram głowę i patrzę na zardzewiałe dno łodzi półtora metra nade mną.

Zanurzam się z powrotem, ostrożnie chwytam policjanta za bark, kieruję światło latarki na jego plecy i potylicę, lecz nie znajduję żadnych obrażeń. Zabieram się następnie do ciężkiej pracy mającej na celu obrócenie zwłok tak, bym mógł je obejrzeć z drugiej strony. Okazuje się to nie lada wyczynem – ciało osuwa się do tej samej pozycji po każdej mojej próbie, w końcu decyduję się zdjąć mu z pleców butlę.

Przytrzymuję trupa i zaczynam ściągać uprząż z jednej strony. Robota okazuje się skrajnie wyczerpująca. Ciało jest ciężkie i trudno się nim manewruje, a na dodatek muszę cały czas pracować nogami, by utrzymać się na tej wysokości, i pilnować, by nie chwytać nerwowo powietrza i nie wypuszczać ustnika.

Po długiej przerwie, którą spędzam, leżąc w spokoju i unosząc się obok zwłok, obracam je w końcu i wreszcie udaje mi się zsunąć uprząż także z drugiej strony. Następnie znów chwilę odpoczywam i ciągnę ciało za sobą ku powierzchni.

Gdzieś za plecami słyszę uderzenie butli o ścianę luku. Gdy tylko znów wpływam do skrzęcej się powietrznej kieszeni pod rdzawą kopułą, obracam policjanta na plecy, by go dokładniej obejrzeć.

Uda bolą niemiłosiernie, barki i ramiona mam odrętwiałe. Trudno jest porządnie chwycić śliski skafander, utrzymując jednocześnie ciało nad wodą. Gdy już prawie udaje mi się odwrócić zwłoki, wyslizgują mi się z rąk i błyskawicznie toną w kałuży oleju czy benzyny, ginąc ponownie pod wodą.

Chwytam latarkę i już mam zanurkować, by znów je wyłowić, gdy dostrzegam nagle jakiś kształt nieco dalej. Unoszę się przez chwilę nieruchomo na powierzchni, kierując na niego strumień światła. Zaczynam płynąć w stronę drugiego ciała i uświadamiam sobie, że się pomyliłem. I to tragicznie.

Lensmann Bendiks Johann Bjørkang ma na sobie odzież przeciwdeszczową, odblaskową kamizelkę i kalosze. Jego kurtka jest rozpięta, widać spod niej niebieską koszulę i krawat. Oczy i usta ma zamknięte, jakby leżał tu, w tym wodnym kokonie, i zwyczajnie spał.

Widzę, że z tyłu jego czaszki zebrały się rozgwieżdżone podobne do tych, które podczas sekcji widziałem przyklepione do głowy Rasmusa Moritzena. Ostrożnie usuwam kilka z nich latarką. Istotki o chropowatej skórze przyciskają do siebie ramiona i przyssawki, opadając na dno.

Szare zagłębienie u szczytu czaszki otoczone jest włosami i popękaną skórą – nie ma wątpliwości, że ktoś ugodził w to miejsce ciężkim przedmiotem. Bjørkang był już martwy, gdy znalazł się w wodzie, to także raczej pewne. Widzę, że jego dłonie są spięte takimi samymi białymi opaskami zaciskowymi, jakimi złączono ramię Rasmusa i kobiety bez twarzy.

Nie było więc tak, że jeden z nich zabił drugiego lub sfingował ich wspólne zaginięcie. Policjanci nigdy się nie ukrywali ani nie manipulowali dowodami, próbując skierować podejrzenia na mnie lub kogoś innego. Ostrożnie obracam z powrotem zwłoki lensmanna, tak że leżą znów twarzą do dołu.

Nagle widzę, że coś się porusza w dole, przy pokrywie luku. W pierwszej chwili wygląda to jak cień dużej ryby, która wpływa do środka i zamiera na chwilę, po czym kieruje promień ostrego światła w górę, ku miejscu, gdzie unoszę się na powierzchni.

Teraz już wiem, że to człowiek. Ciągnie za sobą sznur albo jakąś linę, na

której końcu przywiązany jest tobołek wielkości ludzkiego ciała. Nurek wciąga go do środka i wypuszcza linę z rąk. Zastyga na chwilę, po czym chwyta latarkę i znów kieruje jej promień na mnie.

– O Boże – jęczę, unosząc się na powierzchni wody i czekając na człowieka, który płynie do mnie przez luk. – Jaki ja byłem głupi...

Rozdział 64

– *Now, this is what we call a real clusterfuck* – syczy Harvey, wynurzywszy się obok mnie, i wyjmuję ustnik. Celuje we mnie światłem latarki i pneumatyczną kuszą. – *Of epic proportions, am I right?*

Również wypluwam ustnik i robię ostrożny wdech. Powietrze jest ciężkie, duszące i ma gorzki posmak oleju.

– Mój przyjacielu – mówię i spluwam, próbując się pozbyć nieprzyjemnego smaku.

Nasze głosy brzmią tu głucho. Z dna luku unoszą się bąbelki powietrza, pękają na powierzchni wody tuż za plecami Harveya. Za chwilę powierzchnię przebija kobieta bez twarzy. Harvey przyciągnął ją na linie, którą obwiązał sobie wokół pasa. Widzę jej włosy i tył głowy, reszta jest zanurzona w ciemnej wodzie.

– A więc to ty przyplynałeś po nią do latarni tamtej nocy.

Harvey obraca się i celuje promieniem latarki w zwłoki za swoimi plecami. Dostrzegam kaptur z czarnych włosów i pasma skóry wokół czaszki.

– Tak – odpowiada, odwracając się do mnie. – Przez chwilę nawet myślałem, że wskoczysz za nami do wody.

– Kim ona jest?

– Chyba ma na imię Elena. Pochodzi z Archangielska, Murmańska czy tam jednego z tych miast.

– prostytutka?

– Tak.

– Co robiła na łodzi?

– *Money, money, money.* – Harvey próbuje przywołać na usta jeden ze swoich pewnych siebie uśmieszków. Tym razem nie za bardzo mu to wychodzi. Lęk i napięcie siedzą tuż pod skórą twarzy, kąciki ust nie chcą go słuchać, drżą tylko lekko, nie unosząc się. – Mam w mieście dom z mieszkaniami do wynajęcia, sześć kawalerek, które udostępniam Rosjankom przyjeżdżającym tu na kilka miesięcy do pracy.

– Czemu nie chciałeś, żeby ktoś ją znalazł?

– *Well, here's where it gets a bit tricky.* – Czuję, że palce u rąk i nóg drętwieją mi z zimna. Także Harvey ma pobieliałe wargi i okolice oczu. – Arkadij, kapitan trawlera, i ja mieliśmy taką umowę. Przywoził mi z Rosji pewne rzeczy, a przy okazji co jakiś czas dziewczyny, które chciały trochę popracować w mieście.

– Jakie rzeczy?

– *Sex, drugs and rock'n'roll* – odpowiada Harvey. – Spirytus, amfetamina, sterydy. Wiesz, rachunki trzeba jakoś opłacać. Łódź zatonięła błyskawicznie, załoga zdążyła tylko wskoczyć do szalupy. Dopiero jak już byli bezpieczni, dotarło do nich, że zapomnieli o dziewczynie.

– Jak można o kimś tak po prostu zapomnieć?

Harvey wzrusza ramionami.

– Rosjanie. Chleją i ćpają, nieważne, pogoda czy sztorm. Może ona też była czymś nawalona. Kto ich tam wie.

– A potem znalazł ją Rasmus.

Harvey kiwa głową.

– *Wrong place at the wrong time, man.* I to wszystko. Dokładnie tak jak ty.

Milczę, pozwalając mu mówić dalej.

– Sztorm, który zatopił trawler, trwał strasznie długo. Wiatr z północnego zachodu, nie sposób w takich warunkach w pojedynkę manewrować wyciągarką tu, zaraz przy cyplu. Musiałem poczekać. Kiedy pogoda w końcu się poprawiła, przyplłynąłem katamaranem, żeby podnieść swoje rzeczy z dna. I co zobaczyłem w miejscu zatonięcia, tuż nad wrakiem? Ależ oczywiście, RIB-a Duńczyka. Chłopak był na dole już dwa razy, wyłowił z dna kilka moich paczek i znalazł kobietę. Nie miałem pojęcia, co robić, stał odwrócony do mnie plecami i nagle po prostu uderzyłem. A on po prostu upadł i leżał tak bez ruchu.

– Rasmus nie zginął od tego ciosu – mówię, próbując utrzymać się na powierzchni. – On utonął.

Harvey kiwa głową w milczeniu.

– Nie powinieneś był spinać ich opaskami. – Słyszymy, jak woda chlupocze przy ścianach luku za każdym razem, gdy łódź porusza się lekko, poddając się morskim prądom.

– *My mistake* – wzdycha Harvey i drży z zimna, w tej samej chwili

gdzieś z zewnątrz dochodzi do nas kolejny huk. – Zabrałem ich oboje i przyczepiłem do palików na omułki w mojej hodowli. W czasie tamtego sztormu, który je połamał, musieli zostać rozłączeni i odpłynęli, każde w swoją stronę. Boże, ile ja się ich naszukałem.

– Lensmann i jego zastępca nie dotarli tamtego wieczora na wysepkę, prawda?

Harvey potrząsa głową, jakby próbował pozbyć się sprzed oczu jakiegoś natrętnego obrazu.

– Bjørkang zadzwonił z wiadomością, że znalazłeś ją przy latarni. Zrozumiałem, że teraz ktoś na pewno wyłowi także Duńczyka i zobaczy, że oboje byli do siebie przywiązani...

– Więc go zabiłeś?

– Poprosiłem, żeby mnie zgarnęli po drodze, i uderzyłem go w tył głowy bloczkiem, kiedy tylko przybili do brzegu przy mojej hodowli.

– A Arnt?

– Mieliśmy z Arntem takie półprofesjonalne stosunki, poza tym obaj lubiliśmy chadzać na polowania i łowić ryby. Arnt wiedział, że miewam czasami w kanistrach po elektrolicie ruski spirytus. Zrozumiał, co musimy zrobić, jak tylko trochę go uspokoilem. Powiedziałem mu całą prawdę o Rasmusie i Elenie i przekonałem go, że nie ma innego wyjścia, że musimy ukryć zwłoki Bjørkanga w jednym z luków. Potem mogliśmy przecież powiedzieć, że ich łódź się wywróciła, Arnt dopłynął do lądu, a Bjørkanga zabrały fale.

– Arnt nie był w stanie żyć z tym, co zrobiliście. – Uda bołą mnie niemiłosiernie od ciągłej pracy nóg, ostrożnie odpinam pod wodą parę ołowianych obciążników i zrzucam je, nie spuszczać wzroku z Harveya i jego kuszy.

Harvey w pierwszej chwili milczy, kiwa tylko lekko głową do samego siebie, po czym znów się odzywa. Tym razem trochę ciszej.

– Zobaczyłem go we włączu luku, kiedy zaciągnęliśmy tu zwłoki Bjørkanga. Zanim zdążyłem się namyślić, wcisnąłem go do środka i zamknąłem drzwi.

– Zostawiłeś go w ciemnościach, żeby tu umarł z wychłodzenia.

– Nie miałem innego wyjścia. *No other way!* – krzyczy Harvey. Wywołane jego głosem wibracje sprawiają, że od ścian odrywa się znów trochę rdzy, która spada na nasze głowy.

– Harvey miłosierny – parskam i spluwam do wody. – A kiedy postanowiłeś wmieszać w to wszystko mnie?

– Jesteś idealnym kozłem ofiarnym – odpowiada mi głuchym głosem. Jego twarz nagle poszarzała, albo pod wpływem zimna i ciężkiego, dusznego powietrza, albo czegoś innego, może świadomości, kim pozwolił się sobie stać. – Następnego dnia zabrałem do latarni czapkę Bjørkanga i zadbałem, by policja ją znalazła, a także ślady krwi, w barze. Głównie dlatego, że chciałem zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Ach, policyjna czapka – mówię, siłąc się na ponury śmiech. – Wiedziałeś, że po tym nikt już tego nie zostawi.

Harvey mierzy mnie wzrokiem, a ja znów się śmieję.

– Mordercy i te historie, które opowiadają, co? – Potrząsam głową i ciągnę, gdy nie słyszę odpowiedzi. – Widzisz, jak trudno przyznać się przed samym sobą do najprostszych, najbardziej oczywistych rzeczy? Nie wzięłaś zakrwawionej policyjnej czapki przypadkiem ani żeby zobaczyć, co się stanie, tak jak teraz twierdzisz. To kłamstwo. Które powtarzasz, by chronić samego siebie przed... sobą samym.

– *Really?* – Harvey marszczy nos. – A to ciekawe.

– Ludzki mózg jest zaprogramowany tak, by czasem zmieniać albo korygować rzeczywistość. To prastary mechanizm obronny, duch w maszynie, mający za zadanie pomóc nam radzić sobie z traumami i przepracowywać silne doznania zmysłowe. Opowiadasz sobie alternatywną historię, zmieniając szczegóły tak, by pasowały do twojego własnego wyobrażenia o sobie. – Czuję, że muszę się roześmiać, mimo że zęby mi szczękają, a śmiech zamiera w gardle, zanim zdążył się z niego wydobyć. – Dlatego używasz słów takich jak: „nagle”, „zanim zdążyłem się namyślić”, „po prostu upadł” i tak dalej. To wszystko jest gównem, Harvey. Prawda jest taka, że zaczęłaś ze mną grę, scenariusz do niej obmyślałaś już tego poranka, gdy wiozłaś mnie na wysepkę i opowiadałaś tamtą historię z dzieciństwa, o płaczu na bagnach i domku letniskowym twojej rodziny. Nie mówię, że w szczegółach zaplanowałaś, do czego ten scenariusz doprowadzi, ale już wtedy wiedziałaś, jak daleko jesteś gotów się posunąć, bo sprawdziłaś przecież, co ze mnie za typ...

– *What? Substance dependent?* – Harvey rozkłada ręce tak, że latarka wskazuje w jedną stronę, a kusza w drugą. – *A drug addict?*

Przez chwilę rozważam, czy nie rzucić się na niego i nie spróbować

zabrać mu harpuna, ale odległość między nami jest za duża, a po chwili zresztą zarówno grot strzały, jak i promień latarki znów celują prosto w moją pierś.

– Między innymi – ciągnę spokojnie. – Poza tym nie sądzę, by Bjørkang zadzwonił do ciebie tego wieczora, gdy znalazł kobietę. To pewnie kolejne fałszerstwo popełnione przez twój mózg. Może zrobił to Arnt, ale na pewno nie Bjørkang.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Oczywiście. Nie dla mnie, ale dla ciebie, Harvey. Arnt dzwonił wtedy także do mnie, był wzburzony, może nawet się bał. Pewnie zaczął podejrzewać, że zwłoki tej kobiety pochodzą z trawlera. A może się nawet domyślał, że masz jakiś związek ze zniknięciem Rasmusa. Zdaje się, że chciał mi o tym powiedzieć, ale w ostatniej chwili postanowił jednak zaufać tobie i się rozłączył. Potem zadzwonił do ciebie, a ty go przekonałeś, by przypłynął do hodowli, gdzie już na niego czekałeś, gotów zabić. Tu nie ma żadnych zbiegów okoliczności, żadnych przypadków, tylko dwa nowe, zaplanowane z zimną krwią zabójstwa.

– Kłamstwa – warczy Harvey.

– Nikt nie uwierzy w te twoje bzdury o znalezieniu się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie – ciągnę. – Podobnie jak obaj doskonale wiemy, że nie pojawiłeś się tu z kuszą, bo akurat byłeś w okolicy i chciałeś sobie ze mną zapolować na zębacze. Jesteś wyrachowanym mordercą, który niszczy ludziom życie... i przypłynąłeś tu, by znów zabić.

Po całym kadłubie statku roznosi się przeraźliwy łoskot, na nasze głowy spada kolejna rdzawa chmura. Powierzchnia oleistej wody zyskuje czerwonawy połysk w miejscu, gdzie padają na nią strumienie światła z naszych latarek. Harvey mierzy mnie wzrokiem. Oczy ma ciemne, puste, usta na wpół otwarte. Zupełnie jakbyśmy obaj bali się kolejnej sceny mającej nastąpić w tym podmorskim przedstawieniu.

– To się nie mogło skończyć inaczej, Thorkildzie – szepce wreszcie Harvey.

– A ten skomplikowany seans w dyskotecce? Czemu nie mogłeś mnie po prostu zabić tak jak wszystkich innych?

Woda chlupocze o metalowe ścianki luku. Wibracje sprawiają, że odrywa się od nich jeszcze więcej rdzy, która spada na nasze głowy. W trzewiach truchła łodzi rozlega się seria głuchych trzasków.

– Musiałem znów popłynąć z Eleną do hodowli, chciałem ją schować w owczarni i poczekać, aż wszystko się trochę uspokoi. Nie mogłem przecież przez całą zimę trzymać jej w zamrażarce – mówi Harvey, gdy na chwilę robi się cicho. – Usłyszałem cię w barze, rozmawiałeś przez telefon, zapijając tabletki alkoholem, i najwyraźniej chciałeś ze sobą skończyć. Postanowiłem pomóc ci ruszyć w tę drogę. Zorganizować ostatnią imprezę dla ciebie i Eleny. Bóg mi świadkiem, że jej potrzebowaliście.

Wreszcie wybuchają śmiechem. Ochryply rechot odbija się echem od ścian, na głowę sypie mi się rdza i czuję, że jest mi już bardzo zimno.

– Stałem za stołami bilardowymi i na was patrzyłem. Boże, człowieku, zupełnie odleciałeś. Byłeś *wasted*. A najgorsze było to – chichocze Harvey i kręci bezradnie głową – że jak już się rzuciłeś do morza, to wylądowałeś na jedynym większym kawałku drewna w promieniu dziesięciu kilometrów. Takie kompletne, widowiskowe fiasko to też forma sztuki.

Wzruszam ramionami, starając się przywołać na twarz minę pełną pogardy.

– Co mogę powiedzieć? – Lodowaty ból rozrywa mi policzek. – Niektórzy rodzą się szczęśliwcami.

Harvey ostrożnie odkłada latarkę, pozwalając jej unosić się pod powierzchnią wody między nami. Podnosi kuszę i wymierza ją wprost w moją pierś.

– *My friend* – szepce ochryple. – *Your luck is about to run out...*

Rozdział 65

Zwłoki Eleny unoszą się na powierzchni wody jakieś dwa czy trzy metry za plecami Harveya. Za każdym razem gdy napręża się lina, którą ją do siebie przywiązał, na wodzie wokół jej głowy i tułowia widać drobne zmarszczki.

– Planujesz mnie tu zamknąć z całą resztą swoich zwłok? Zorganizować tu sobie prywatny cmentarz? Niektórzy mordercy mają takie miejsca dla swoich ofiar, bo chcą je zachować na wieczność. Rozmawiałem w Stanach z wieloma takimi ludźmi.

– Znalazłem się w naprawdę popierdolonej sytuacji, to wszystko. W takiej, którą można albo zaakceptować, albo pójść na dno. *Man will fight back when he's pushed into a corner.* – Harvey spogląda na mnie z ukosa, po czym dodaje: – W każdym razie większość ludzi.

Jego głos odbijający się od ścian kadłuba, echo tego głosu i trzaski wydawane przez łódź, zimno, rdzawy deszcz i wciskające się do płuc ciężkie powietrze sprawiają, że zaczyna mnie mdlić i kręci mi się w głowie.

– Nasłuchałem się wielu zwierzeń morderców i innych kryminalistów, Harvey – zaczynam, próbując odzyskać jaką taką kontrolę nad rozmową. – Zbyt wielu. Znam wszystkie słowa, mechanizmy, których używają, by usprawiedliwić swoje działania sami przed sobą i przed resztą świata. Wiem też, że to, co powiesz, nie ma żadnego znaczenia. Upiory, które starasz się ukryć tu, na dnie morza, nie znikną tak po prostu. Będą cię nawiedzać przez resztę życia.

Harvey mierzy mnie wzrokiem. Tym razem nie próbuje się nawet uśmiechać.

– Na świecie są dwa typy morderców, wiedziałeś o tym? Chyba nie. Nieważne, ile osób zabijają, to nie stanowi kryterium podziału. A wiesz, co nim jest? Istnieje jeden czynnik, który pozwala odróżnić jednych od drugich.

– Nie – odpowiada Harvey, wciąż celując we mnie kuszą. Jestem już tak zmarznięty, że mówienie przychodzi mi z trudem, mimo to zmuszam się do rozmowy, wypycham kolejne słowa przez szczękające zęby i zaciskające się konwulsyjnie szczęki. Bo wiem, że gdy zostanie powiedziane już wszystko,

czeka mnie tylko zimny grot strzały.

– Tym czynnikiem – ciągnę – jest poczucie winy towarzyszące większości morderców. Owszem, będą starali się zapomnieć, wyprzeć lub zataić to, co zrobili. Ale są też inni, osobna rasa morderców, która reaguje inaczej. Ci ludzie przeglądają się w swoich czynach. Kolekcjonują zabitych niczym trofea. Miarę wszystkich swoich dokonań. No a ty, Harvey, nie jesteś kolekcjonerem trofeów, prawda?

Harvey potrząsa lekko głową w milczeniu.

– To, co zrobiłeś, sprawia ci ból. I on już odciska na tobie piętno, widzę to po twojej twarzy.

Harvey umilkł, opuścił ramiona, dłonie, w których ściska kuszę, są zanurzone w wodzie.

– Sam jeszcze tego nie wiesz – mruczę dalej. – Bo nadal znajdujesz się w oku cyklonu; gotuje się w tobie adrenalina, wciąż jesteś w szoku po tym, co się ostatnio wydarzyło, działasz kierowany paniką. Uderzasz we wszystko i wszystkich, którzy przypominają ci o tym, co zrobiłeś, bo wciąż ci się wydaje, że to jest coś, co możesz z siebie zmyć, od czego dasz radę uciec.

Przysuwam się bliżej Harveya, nie przestając mówić, niczym linoskoczek ostrożnie i powoli stawiający krok za krokiem na naprężonym drucie.

– *You fucked up* – szepczę. – Jesteśmy na dnie morza, wewnątrz wraku wypełnionego martwymi ludźmi. Mógłbyś powpychać swoje upiory do każdego luku na tym statku, a i tak nie starczyłoby miejsca. Nie uciekniesz przed tym. Kripos jest w mieście, sprawdzą rejestr połączeń, kto z kim i kiedy rozmawiał. Mają miniaturową łódź podwodną, niedługo przeszukają dno i w końcu trafią na wrak.

– To się wciąż może udać – odpowiada Harvey głuchym głosem.

– Przestań pieprzyć i się rozejrzyj! – syczę, po czym dostaję napadu kaszlu. Uderzam dłońmi w lustro wody, próbując zaczerpnąć powietrza. – Unosisz się – wyduszam z siebie, gdy mój wzrok pada na grot strzały przebijający lustro wody między nami. – Unosisz się w luku tego wraku na morskim dnie, z trupem, którego ciągniesz za sobą na linie, i twierdzisz, że wszystko wciąż może się udać? Że ty, Merethe i wasz synek będziecie żyć jak wcześniej? Cierpisz na urojenia. Harvey, wiem o tym. Ja też na nie cierpiałem.

– To ty masz urojenia – odpowiada Harvey lodowato, zaciskając palce na kuszy – jeśli myślisz, że ta historia może się jeszcze inaczej potoczyć.

Wiem, że Harvey ma rację. Ale mogę tylko dalej naciskać, krążyć wokół niego coraz bliżej i bliżej, w poszukiwaniu jakiejś drogi, którą mógłbym do niego dotrzeć.

– Twoje upiory prędzej czy później do ciebie wrócą. – Zastygam i mierzę go wzrokiem. – Kiedy będziesz sam, w trakcie obiadu z żoną albo wieczorem, kiedy położysz małego spać. Przyjdą do ciebie. I będziesz musiał je dzielić z tymi, których kochasz. Z Merethe i chłopcem.

– Nigdy się nie dowiedzą.

– Twoja żona widzi martwych ludzi. To jej praca. A ty w takie rzeczy wierzysz, sam mi przecież mówiłeś.

Harvey mruga kilka razy, mocno zaciskając powieki.

– Nigdy się nie dowiedzą – powtarza mechanicznie.

– A co z małym? Co, jeśli odziedziczył jej zdolności? Jeśli to do niego przyjdą upiory, gdy zechcą się upomnieć o swoje?

– C... co? – Harvey traci na chwilę równowagę, musi zamachać rękoma, by utrzymać się nad powierzchnią.

– Ja ją widziałem, Harvey – mówię, wskazując na siną grudę mięsa, którą ciągnie za sobą na linie. – Widziałem Elenę. W oczach twojej żony. Słyszałem jej krzyki. – Jestem teraz zaledwie jakiś metr od niego i zniżam głos. – Nie rozumiesz – mówię nieco łagodniej – że ja wiem. Wiem, co cię czeka, i dlatego ci o tym opowiadam. Żebyś wiedział, że przed tym nie uciekniesz. To już do ciebie przywarło, gdzieś w twoim wnętrzu, i już nigdy nie zniknie. Jedyne, co możesz zrobić, to stawić temu czoła, przyznać się, co zrobiłeś, i ponieść tego konsekwencje. Dla siebie, dla Merethe. Dla waszego syna.

Harvey znów zamilkł. Za jego plecami rozlega się plusk, gdy ciało uderza w ścianę luku. Wygląda, jakby myślał, zastanawiał się nad czymś, próbował uporządkować chaos w swojej głowie. Podczas przesłuchania zawsze staramy się dotrzeć do rozstajów dróg takich jak te, miejsca, w którym delikwent musi zdecydować, czy chce dalej łąć, czy też zmienić zeznania i się przyznać, porzucić kłamstwa i wziąć odpowiedzialność za samego siebie. Mimo to jestem boleśnie świadomy, że tu, na dnie morza, w sytuacji rozmowy z wielokrotnym zabójcą, trzymającym dodatkowo w dłoniach kuszę, konsekwencje podjęcia przez niego niewłaściwego wyboru mogą się dla mnie okazać nader dotkliwe.

Harvey w końcu znów podnosi na mnie wzrok. Już widzę w jego oczach,

że podjął decyzję. Nie ma zamiaru się przyznawać ani brać na siebie odpowiedzialności za cokolwiek. To nie ten typ.

– Kurwa mać – szepce ochryple, znów unosząc kuszę. – A wystarczyłoby, jakbyś skoczył do morza.

Chcę się obrócić i zanurkować w wodzie, by się ratować, ale Harvey wypuścił już strzałę. Czuję, jak przeszywa mi dłoń i zagłębia się w ciało między górnymi żebrami, jednocześnie impet odrzuca mnie w tył.

– Pomagam ci tylko w tym, czego nie dałeś rady zrobić sam! – słyszę w ciemnościach krzyk Harveya. Ból w klatce piersiowej jest tak intensywny, że chcę krzyczeć, ale gdy tylko otwieram usta, wdziera się do nich morska woda. Strzała przygwoździła mi rękę do piersi, czuję piekące klucie na wysokości pachy.

– *Was that a hit or a miss?*

Dostrzegam Harveya po przeciwnej stronie luku. Trzyma w dłoni czerwoną linę, którą zaczyna ciągnąć w swoją stronę.

– *Found you* – tryumfuje i pociąga za nią mocniej, tak że lina napręża się między nami. – *And that's a hit!* – oświadcza, szarpiąc sznur z całej siły.

Wydaję z siebie krzyk, gdy padam do przodu, i zaczynam się do niego zbliżać. Palący ból na wysokości pachy promieniuje do piersi. Zupełnie jakby ktoś próbował wyrwać z mojego ciała solidny kawał mięsa. Harvey ciągnie mnie do siebie, ja zaś odwracam głowę i dostrzegam strzałę, która przeszła przeze mnie na wylot – jej grot wystaje z tyłu, tuż pod moim ramieniem.

Próbuję zahamować wolną ręką, ale na niewiele się to zdaje. Przypominam sobie nagle, że mam przecież nóż w pochwie na biodrze. Zaczynam szukać go po omacku, starając się jednocześnie utrzymać głowę nad wodą.

Martwe ciało za plecami Harveya podpływa w jego kierunku, on zaś przyciąga mnie coraz bliżej siebie. Jestem ustrzeloną zdobyczą, zupełnie jak upolowana harpunem ryba.

Gdy wreszcie udaje mi się namacać nóż, dzieli nas zaledwie kilka metrów. Próbuję rozpaczliwie wyszarpnąć ostrze z pochwy. Harvey pociąga za linę tak, że upadam na wodę zwrócony do niego twarzą.

Palący ból w piersi cichnie wreszcie, kiedy udaje mi się wyciągnąć nóż i przeciąć przytwierdzoną do strzały linkę. Pracuję wolną dłonią i nogami, w końcu ustawiam ciało z powrotem w pionie.

– *And what are you gonna do with that little thing?* – pyta Harvey,

spoglądając na ostrze, które trzymam w wyciągniętej ręce. Wiem, że nie mam szans na zdziałanie czegokolwiek z tylko jedną wolną dłonią, nawet broń mi nie pomoże. Harvey puszcza odciętą linkę, znów podnosi kuszę i znów we mnie celuje. W świetle latarki widzę, że wyciąga nową strzałę z kieszeni na udzie i wsuwa ją do karabinka. Zaczyna pompować broń.

Wykorzystuję tę chwilę, padam na plecy i odpycham nogami, próbując uciec. Widzę, że Harvey rzuca się za mną w pogoń.

– *What's the matter, why are you trying to get away? I thought you wanted to die?* – Za jego plecami napręża się lina, zwłoki kobiety bez twarzy płyną w ślad za nim.

Po kilku metrach muszę się poddać. Nogi mam zmarznięte, ból w piersi sprawia, że z trudem łapię powietrze. Ledwo utrzymuję się na powierzchni, zaczynam kasłać i rzygać kwasami żołądkowymi.

Harvey zatrzymuje się kilka metrów ode mnie i celuje. Oświetla mnie latarką, którą trzyma pod pachą, w drugiej ręce dzierży kuszę.

– Idź do diabła! – charczę, czując, jak krew zalewa mi gardło. Podnoszę rękę z nożem i trzymam ją przed sobą w rozpaczliwej próbie osłonięcia się przed tym, co zaraz nastąpi.

– *I'm sorry, Thorkild.* – Harvey wynurza kuszę z wody i celuje prosto w moją pierś. Za jego plecami rozlega się głośne pluśnięcie. Widzę, że Elena podpłynęła do niego i jest teraz tuż za nim. On też to zauważa i odwraca się, by na nią spojrzeć.

Wygląda na to, że trup zaplątał się w łączącą ich linkę, i kiedy Harvey wykonuje ten gwałtowny ruch, zwłoki wynurzają się nagle z wody i przygniatają go swoim ciężarem.

Harvey wydaje z siebie przeraźliwy wrzask i spanikowany oddaje strzał. Widzę, że strzała przeszła brzuch Eleny, grot wystaje po drugiej stronie. Harvey wypuszcza kuszę z rąk, zaczyna obracać się w wodzie i krzyczy coraz głośniej. Próbuje odepchnąć trupa od siebie, wymachuje rękoma, starając się uciec do tyłu. Ale lina zaciska się tylko jeszcze mocniej wokół wirujących ciał, żywego i martwego. Wrzaski Harveya rozbrzmiewają echem między ścianami luku.

Latarka uwięziona w kłębiącej się przede mną plątaninie cieni, rąk i nóg posyła na wszystkie strony cienkie promienie światła. Harvey miota się i wymachuje ramionami, próbując uciec z uścisku trupa. Słyszę, jak z trudem chwyta oddech i charczy. Nagle w luku rozbrzmiewa przeraźliwy, ochrypliwy

wrzask. Zaraz potem oba ciała znikają pod wodą i już się nie wynurzają.

Rozdział 66

Pojedyncze bąble powietrza przebijają powierzchnię w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą unosili się Harvey i martwa kobieta. Gdzieś pod moimi stopami dostrzegam blade promienie światła, niczym królicze nory w ciemnościach, ale Harveya ani Eleny nie widzę.

Moje ciało jest ciężkie, odrętwienie rozlewa się z przebitej strzałą piersi. Nogi pracują, utrzymując mnie nad powierzchnią, ale brzuch i biodra, do których wciąż mam przytwierdzoną resztę ołowianych obciążników, ciągną mocno w dół. Ciężkie, zgniłe powietrze pali mnie w płucach, za każdym razem gdy robię wdech, czuję, że za chwilę się uduszę.

Zaczynam szukać wolną ręką ustnika od butli, siła odśrodkowa przechyla moje ciało na bok. Wierzgam i wykonuję nieporadne ruchy ramieniem, próbując wrócić do pionu. Od tej gimnastyki moją pierś i pachę przeszywa oślepiający ból.

Po trzecim obrocie czuję wreszcie pod palcami coś miękkiego. Tym razem zostaję w wodzie, do góry nogami, próbując wstrzymać oddech i nie ruszać się za bardzo, równocześnie rozplątując węzyk przytwierdzony do ustnika. Gdy wreszcie mogę zacisnąć zęby na gumowym ustniku, czuję się, jakby zaraz miały eksplodować mi płuca.

Ten wysiłek zupełnie mnie wyczerpał. Powoli tracę czucie w nogach, balast ciągnie mnie w dół. Uświadamiam sobie, że muszę odzepić ostatnie obciążniki przy udach, inaczej opadnę na dno i już tam zostanę.

Przez ustnik oddycha mi się coraz ciężiej, może dlatego, że w butli zaczyna brakować powietrza, a może strzała przebiła mi płuco. Panel z odczytami wszystkich parametrów mam na przygwożdżonej do piersi dłoni. Nie mogę wobec tego sprawdzić, ile mi zostało czasu. Do rezerwowej butli też się nie dostanę z tylko jedną ręką.

Pode mną wciąż widzę światło rzucane przez latarkę Harveya. Królicze nory zniknęły, został tylko jeden przypominający gwiazdę świetlisty punkt gdzieś daleko w ciemnościach. Szamocząc się w wodzie, zgubiłem gdzieś swoją maskę, zamontowana na niej dioda LED musiała zostać zniszczona.

Żółtawy punkcik pode mną jest jedynym źródłem światła, jakie dostrzegam. Próbuję skupić wzrok, czując jednocześnie, jak ogarnia mnie senność. Z każdym ruchem coraz silniejsza, bardziej uporczywa i namolna.

Za każdym razem gdy patrzę na światło, staje się ono coraz mniej żółte, a coraz bardziej czyste i krystaliczne. Po dłuższej chwili nie jestem już nawet w stanie utrzymać się w pionie. Ciało się obraca, nogi unoszą, leżę w wodzie na boku. Tym razem nie mam już siły powrócić do poprzedniej pozycji, wiszę tylko w wodzie, tracąc i odzyskując przytomność, moje ciało dryfuje na oleistej powierzchni.

Wokół mnie jest cicho. Nie wiem już, czy jestem nad wodą czy pod nią. Straciłem czucie w palcach, jedyne, czego jeszcze jestem świadom, to ból w piersi i pod pachą. Próbuję poruszyć wolną ręką i się obrócić. Wargi mam odrętwiałe, nie czuję już ustnika, mimo że zaciskam zęby na jego gumie.

Nagle otwieram oczy. Wrak wydaje z siebie kolejny głośny trzask, zaraz po nim słyszę dudnienie, ze ścian sypią się drobinki rdzy. Moja twarz wynurza się z wody i dostrzegam cień, ciemniejszy i bardziej spoisty niż reszta ciemności, prawie tak, jakby wisiał nade mną człowiek. Jednocześnie czuję na języku smak perfum.

Mrugam oczami raz za razem, jakbym chciał spłukać z nich sen i brudną, rdzawą słoną wodę. Cień opada ku mnie.

– Kim jesteś? – pytam, nie poruszając wargami i nie przestając się unosić. Wynurzam się z wody i nieświadomości na krótkie chwile, tylko po to, by za moment znów zniknąć pod powierzchnią.

Nikt nie odpowiada. Cień otula mnie i przenika, po całym moim ciele rozlewa się intensywne ciepło. Macham wolną ręką i odwracam się w kierunku cienia, który jest teraz pode mną. Próbuję go chwycić, przyciągnąć to ciepło z powrotem do siebie. Ale zamiast tego zaczynam się zanurzać.

Nie jestem pewien, czy faktycznie się poruszam, czy też to, co widzę, to tylko mój duch – cienka błonka ektoplazmy, która wypływa z martwego ciała, mieszając się z morską wodą. Mimo to brnę dalej, odpycham się nogami i ręką, ciągnę ciało przez rdzawy deszcz, przygryzając ustnik tak mocno, jak tylko potrafię.

Gdzieś przede mną znów pojawia się żółtawe światło. Przez chwilę mój wzrok pada na Harveya i Elenę w bladym blasku latarki uwięzionej między ich martwymi, związanymi liną ciałami. Oczy Harveya są szeroko otwarte,

wpatrują się w ciemność z przerażeniem, trupy tańczą wokół siebie w wybijanym przez morskie fale rytmie. Głowa Eleny unosi się nagle na wysokość twarzy Harveya, ciemne włosy z tyłu jej głowy przybierają kształt rozłożonego wachlarza, zwłoki obracają się dalej, a światło między nimi gaśnie.

Dostrzegam przed sobą wejście do luku i zaraz obok niego – trupa Arnta. Chłopak leży teraz na dnie z odwróconą ode mnie twarzą. Bjørkanga nigdzie nie widzę. Po chwili wypływam już z luku i znów jestem przy morskim dnie usłanym martwymi rybami. Cień sunie dalej, niespiesznie mijając kadłub wraku, cały czas pozostając na granicy mojego pola widzenia. Co jakiś czas wiruje, innym razem zdaje się pulsować atramentową czernią, pokazującą mi drogę w spowijającej trawler mgle.

Posuwamy się szlakiem wyznaczonym przez martwe ryby, mijamy oderwaną kabinę sterowniczą, brnąc ku bladej niebieskiej poświacie nad nami. W miarę jak błękit staje się coraz jaskrawszy, wierzgam nogami coraz mocniej, pomagając sobie ręką, by jak najszybciej dotrzeć na powierzchnię. Niechcący wyrywam sobie ustnik spomiędzy zębów, ale nie zwracam nawet na to uwagi. Każda moja komórka skupiona jest na tym błękitcie, na ciepłe, które z niego promieniuje.

Przebijam lustro wody z charczącym, skierowanym ku niebu krzykiem. Morska woda wypływa mi z nosa i ust, a ja leżę na powierzchni, drąc się z radości. Niebo wciąż jest jasne, mimo że zaczęło już zmierzchać, ale to mrok tysiąc razy bardziej świetlisty od tego, z którego właśnie wypłynąłem. Cień gdzieś się rozwiął, został mi tylko posmak perfum na koniuszku języka.

Dostrzegam przed sobą łódź Johanna i katamaran Harveya. Są do siebie przycumowane. Nie widzę nigdzie Johanna, podpływam bliżej i zaczynam mozolny proces gramolenia się na pokład. Dostrzegam go dopiero, gdy siadam na relingu. Johannes leży na dnie łodzi, między konsolą a burtą. Ma zdartą skórę na głowie, nieco ponad uchem. Wokół niego chlupocze kałuża zabarwionej krwią morskiej wody.

– Johannes – wyduszam z siebie, podciągając się do konsoli. Przechyliłam się przez siedzenie, kaszlę, bekam i z trudem łapię powietrze. – Johannes! – Wypływam jeszcze trochę krwi, jeszcze trochę słonej wody i padam nad nim na kolana.

Kładę dwa palce na jego szyi i wyczuwam słabe tętno.

– Nie umieraj, kurwa – szepczę i zaczynam pełzać po dnie łodzi

w poszukiwaniu moich rzeczy. W końcu znajduję komórkę. Podczołguję się z powrotem do Johannesesa, opieram o burtę bokiem, który nie został przebity, wybierając drżącymi palcami numer na policję. Gdy tylko kończę rozmowę, kładę sobie telefon na kolanach i chwytam Johannesesa za rękę.

Po dłuższej chwili czuję na udzie wibracje. Gdzieś nad moją głową skrzeczy mewa. Otwieram oczy i stwierdzam, że dzwoni moja komórka. Nieznany numer, kierunkowy ze Stavanger. Puszczam dłoń Johannesesa, by odebrać.

– Tak, słucham – stękam, z trudem przytrzymując słuchawkę przy uchu.

– Thorkild Aske?

– Chyba tak – szepczę ochryple.

– Cześć, Thorkildzie. Z tej strony Iljana z Urzędu Pracy. Masz może teraz parę minut?

– Mam nadzieję – odpowiadam, kaszląc w słuchawkę. – Naprawdę mam nadzieję.

– Byłeś u nas w zeszłym tygodniu i zarejestrowałeś się jako osoba poszukująca pracy, prawda? Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że załatwiłam ci już rozmowę kwalifikacyjną w agencji rekrutacyjnej tu, w mieście. Chodzi o dużą firmę telekomunikacyjną, która potrzebuje ludzi do działu obsługi klienta w Forus. Brzmi interesująco, prawda?

Wpuszczam telefon z dłoni, opieram głowę o burtę i znów chwytam rękę Johannesesa.

– Kurwa – bełkoce, ściskając ją mocniej. – Chyba w końcu nie zdążę na to przesłuchanie...

Czwartek

Rozdział 67

Drgam nerwowo, gdy włącza się mechanizm łóżka, i czuję, jak moja głowa i plecy lekko się unoszą. Próbuję przewrócić się na bok i inaczej ułożyć, ale w tej samej chwili czuję piekący ból w piersi.

– Obudził się pan, widzę – mówi potężny mężczyzna górujący nade mną niczym jaskiniowy niedźwiedź. – Obrócił się pan przez sen – dodaje, kładąc ostrożnie rękę na moim ramieniu.

– Gdzie jestem? – pytam półprzytomnym głosem, próbując wydobyć z zakamarków pamięci jakiekolwiek wspomnienie o tym, jak tu trafiłem.

– Na oddziale intensywnej opieki medycznej Szpitala Uniwersyteckiego w Tromsø – odpowiada mężczyzna. – Nie pamięta pan, że wczoraj odłączyliśmy respirator?

Potrząsam ostrożnie głową.

– Proszę. – Mój opiekun chwyta mnie ostrożnie za bark i unosi, wsuwając mi jednocześnie poduszkę pod plecy.

– Co pan wyprawia? – Wyrywam mu się, ale rozdzierający ból między żebrami sprawia, że łapie mnie kaszel wprawiający całe łóżko w drzenie.

– Tylko spokojnie – ostrzega mężczyzna. – Chcę panu tylko pomóc. Odwrócił się pan we śnie na plecy – ciągnie. – A musi pan leżeć na boku, przecież jeszcze dziś rano o tym rozmawialiśmy.

Tym razem już nie stawiam oporu, lekarz podpira mi plecy poduszką tak, że mogę się przetoczyć na lewy bok.

– Przy okazji, miałem pana pozdrowić od doktora Berga z oddziału ratunkowego – ciągnie mężczyzna. Okrąża łóżko i staje po drugiej stronie. – Powiedział mi, że trafił pan do niego wczoraj bardziej martwy niż żywy. Zresztą podobnie jak pana przyjaciela. – Odczekuje chwilę, po czym dodaje: – Berg kazał też powiedzieć, że nie chce już pana więcej oglądać na ratunkowym. I że powinien pan odbyć z kimś dłuższą rozmowę o kierunku, który przybrało pańskie życie. Najlepiej ze specjalistą.

– Tak – stękam. – Rozumiem. Czyli... – Próbuję zwilżyć wargi końcem języka, lekarz podaje mi szklankę wody z nocnego stolika przy łóżku. – Ten

drugi – zaczynam. – Ten, co tu trafił razem ze mną. Gdzie on jest?

– Też u nas, leży na innej sali. Uraz głowy, stracił dużo krwi, ale stan jest stabilny. Ludzie z jego pokolenia potrafią naprawdę dużo znieść.

Spoglądam na swoją klatkę piersiową. Jest opatrzona dużym kompresem, wokół którego poprzyczepiano mi do skóry elektrody. Ich przewody prowadzą do ekranu monitorującego akcję serca. Prawy nadgarstek, ten, który przeszła strzała, mam w gipsie, do jednego z palców przypięto mi klips pulsoksymetru.

– Jak rozległe mam obrażenia? Tym razem chyba poważniej się uszkodziłem.

– Cóż – zaczyna lekarz i nabiera powietrza. – Strzała z kuszy pneumatycznej złamała trzecią kość śródreczą i uszkodziła czwartą, stąd ten gips. Wygląda to dobrze, nastawiliśmy kości, powinny się prawidłowo zrosnąć. Wciąż nie można wykluczyć pewnego uszkodzenia nerwów i ścięgien, ale jak na razie jesteśmy dobrej myśli. Strzała przebiła następnie ciało między żebrami, przesywając *lobus medius*, czyli płat środkowy prawego płuca, po czym grot wyszedł pod pachą. Dlatego założyliśmy panu dren, nie chcemy, by klatka piersiowa wypełniła się krwią.

– Fascynujące – stwierdzam bez przekonania.

– Miał pan ogromne szczęście, panie Aske. Sam fakt, że strzała ominęła wszystkie ośrodki nerwowe, w tym splot ramienny, i tylko drasnęła naczynie doprowadzające krew do całej ręki, jest właściwie cudem. Także w tym przypadku istnieje oczywiście ryzyko komplikacji, mogą być kłopoty z czuciem w prawym ramieniu, ale tak jak mówię, jesteśmy dobrej myśli.

– Kiedy mnie wypuścicie?

– Zostanie pan u nas kilka dni. Chcemy mieć pewność, że wszystko jest w porządku. Proszę korzystać z ciszy i spokoju, spróbować odpocząć. – Lekarz rusza do drzwi, ale przystaje w progu i odwraca się do mnie: – Ach, jeszcze jedno, prawie zapomniałem. Ma pan gościa.

– Kto to?

– Policjant. Jeśli pan chce, mogę mu powiedzieć, że...

– W porządku – odpowiadam i znów sięgam po szklankę z wodą. W ustach mam sucho. Język jest opuchnięty, zdaje się, że receptory smaku nie działają jak trzeba.

– Twoje zdrowie. – Gunnar Ore staje w nogach łóżka i unosi kartonowy kubek w geście toastu. – Nasz własny pieprzony Herkules Poirot, co nie?

– Idź do diabła – kaszlę.

– Ty też.

– Świetnie, to może wybierzemy się do niego razem, kiedy stąd wyjdę.

– Może. – Gunnar Ore przysuwa sobie krzesło i siada przy łóżku po stronie, w którą jestem zwrócony. – I jak się miewa nasz bohater? – Pochyla się nade mną.

– Jak widać. – Podnoszę kołdrę, demonstrując mu kompres i elektrody na piersi. – Nigdy nie czułem się lepiej. A jeszcze na dodatek zostałem zaproszony na rozmowę w sprawie pracy. Jedyna w swoim rodzaju szansa na karierę zastępcy w dziale obsługi klienta. Wieść gminna niesie, że dają nawet umowę na stałe, jeśli człowiek zakasa rękawy i naprawdę się postara.

Gunnar Ore potrząsa głową.

– Jesteś, kurwa, niemożliwy – stwierdza. – Kto by pomyślał, że cię na coś takiego stać? Zawsze miałem cię za faceta, który walczy z wiatrakami i potrafi zanudzić na śmierć gadaniną. – Znow kręci głową. – Co za świat. – Wstaje i odstawia krzesło na miejsce. – Cóż, kolego, chciałem cię zobaczyć ostatni raz przed wyjazdem do kolejnej jednostki. Wiesz, że są ludzie, którzy już się nie mogą doczekać rozmowy z tobą, prawda?

Kiwam głową.

– Trochę ci tam pomogłem na komendzie, rozmawiałem ze Sverdrupem i chłopcami z Kripos, opowiedziałem im, kim jesteś, to znaczy, kim kiedyś byłeś, żeby mogli cię potraktować tak, jak na to zasługujesz, kiedy już ruszy całe przedstawienie.

– Dziękuję.

– Nie, nie, nie. To niczego nie zmienia. Ale nikt inny nie powie, że zdziałałeś tu cokolwiek dobrego, nie licz na to nawet. A jeśli twoje nazwisko pojawi się w gazetach obok mojego, to cóż, sam chyba wiesz, czego się możesz spodziewać. – Ore odstawia kartonowy kubek na nocny stolik, stuka kostkami dłoni w metalową barierkę łóżka. – Dojdź do siebie, zniknij i trzymaj się ode mnie z daleka. OK?

– Do zobaczenia, Gunnarze.

– Nie – powtarza Ore. – Nie, Thorkildzie. Pozwól, że powiem to jeszcze raz, bo panowie z ostatniego rzędu chyba nie słyszeli. – Pochyla się nisko nade mną i syczy przez zaciśnięte zęby: – Dojdź do siebie, zniknij i trzymaj się ode mnie z daleka. OK? Nie jesteś już policjantem.

Prostuje plecy, chce wyjść, ale przystaje przy moim łóżku i rozkłada rękę.

- Jesteś... emerytem.
- Potencjalnym specjalistą do spraw obsługi klienta z widokami na stałe zatrudnienie! – krzyczę za nim.
- A idź w cholere! – Gunnar Ore znika za drzwiami i maszeruje do windy, pogwizdując.
- Ty też – szepczę, sięgając po kartonowy kubek z gorącą kawą. – Ty też...

Rozdział 68

Anniken Moritzen jest wyraźnie wzburzona, gdy odbiera telefon. W tle słychać pobrzękiwanie szklanek i sztućców, melodię jakiejś szwedzkiej ballady.

– Cały dzień próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Przepraszam. Byłem... zajęty.

– Wciąż jesteś na północy?

– Anniken, wiem, co się stało z Rasmusem – mówię.

– Co? – Po drugiej stronie trzaskają drzwi, muzyka zostaje ściszona. – Co powiedziałeś?

– Miałaś oczywiście rację – ciągnę. – Rasmus nie robił nic złego. Wypłynął, żeby ponurkować, i znalazł coś, czego nie powinien był znajdować. I to kosztowało go życie.

– Kto to zrobił?

– To bez znaczenia. Ten człowiek nie żyje.

Po tych słowach następuje dłuższa chwila milczenia, mam wrażenie, że słyszę przez słuchawkę padający w Stavanger deszcz.

– Możemy o tym porozmawiać, kiedy tu przylecisz. Obawiam się, że nie odbiorę cię z lotniska, ale jutro...

– Nie mogę tam jechać sama – zaczyna Anniken. – Muszę popłynąć do latarni, trzeba zabrać stamtąd rzeczy Rasmusa, trzeba...

– Arne nie może ci pomóc?

– Nie, jest w Houston i wraca dopiero jutro późnym wieczorem.

– Zadzwoń do Ulfa. Tak czy inaczej, będzie chciał wskoczyć do pierwszego samolotu na północ, kiedy się dowie, że jestem w szpitalu. Znowu. Spotkam się z wami jutro, jak tylko mnie wypiszą.

Nie chcę mówić więcej przez telefon. Zależy mi tylko na tym, by wiedziała, że już po wszystkim, spełniłem swoją obietnicę, a ona może rozpocząć żałobę. Że odtąd nie musi czuwać i pielęgnować w sobie nadziei na to, co już niemożliwe, że może zacząć tęsknić. To ważne, by nie bać się tęsknoty, by ją do siebie dopuścić. Bo ona wiąże to, co jest, z tym, co było

kiedyś. Pozwala ci iść dalej, bez konieczności porzucenia tego, co straciłeś. Mogłem jej to powiedzieć, wyjaśnić, że o tym wiem, ale to by i tak nie pomogło. Bo do tych wniosków trzeba dojść samemu. Być na nie gotowym.

Dzwonek telefonu wrywa mnie ze snu, w którym jestem znów razem z Harveyem, w trzewiach zatopionego trawlera.

Przecieram powieki, próbując zapomnieć o przerażeniu w oczach Harveya w chwili, gdy się odwrócił i runęły na niego zwłoki Eleny. Odbieram połączenie, jego rozpaczliwy krzyk wciąż dźwięczy mi w uszach.

– Mówi Aske.

– Znalazłeś go – odzywa się Arne Villmyr.

– Kolejny grób. – Prostuję się na łóżku. – Tak jak prosiłeś.

– Tak jak prosiłem – prycha Arne Villmyr pod nosem. – Zupełnie jakby ktoś mógł prosić o taki los.

– Przepraszam, Arne. Chciałbym, żeby...

– Nie ma za co przepraszać. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Nie myśl, że cię obwiniam, nawet o to, co się stało z Frei. Byłeś wtedy tylko czynnikiem, który zmienił nasze życie. Tym samym, który zwrócił nam teraz Rasmusa. Jedno nie równoważy drugiego, ale jestem wdzięczny, że mój syn wróci niedługo do domu. I że Anniken będzie mogła odwiedzać jego grób. Tylko tyle i aż tyle. Tak po prostu jest.

– Myślisz, że ona... – zaczynam, ale zatrzymuję się w połowie zdania.

– Co? – pyta Arne. – Czy ona cię kochała?

– Tak.

Arne Villmyr wybucha krótkim ponurym śmiechem, brzmiącym przez słuchawkę jak ochrypłe gulgotanie.

– Frei szybko się zakochiwała. Zbyt szybko – dodaje. – Ale ty chyba znasz odpowiedź na to pytanie lepiej niż inni, prawda? Tylko ty wiesz, co się wtedy stało w samochodzie i gdzie tak naprawdę jechaliście. Chciałbym móc powiedzieć więcej, ale nie mogę. To wszystko już skończone. Bądź zdrow, Aske.

Rozdział 69

W szpitalnej sali jest ciemno. Nad umywalką za łóżkiem pali się słabe światło. Drzwi skrzypią, po czym uchylają się nieznacznie. Po chwili wjeżdża przez nie wózek inwalidzki.

Wtacza się do środka niemal bezszelestnie i dopiero gdy dosięga go słabe światło znad umywalki, rozpoznaję twarz siedzącej w nim kobiety, okoloną metalowymi śrubami.

– Merethe – szepczę, pochylając się na łóżku.

Wózek podjeżdża do nocnego stolika, Merethe wyciąga rękę i chwyta moją dłoń, wyciąga ją spod kołdry i mocno ściska. Patrząc jej w oczy i natychmiast się rozluźniam. Znam to spojrzenie aż nazbyt dobrze, każdego poranka widzę je w lustrzanym odbiciu.

Merethe patrzy na mnie przez chwilę, po czym sięga po notatnik i długopis.

Jak można wieść równolegle dwa zupełnie różne życia? – pisze na kartce, którą mi pokazuje.

Zaciskam powieki, próbując wycisnąć z pamięci ostatni obraz Harveya i Eleny, ciasno splecionych na dnie luku. Gdy otwieram oczy widzę, że Merethe pisze coś jeszcze.

– Harvey myślał, że musi iść tą drogą – mówię do niej. – Dla ciebie i dla chłopca, ale...

Merethe znów unosi notatnik: *Widzę go gdzieś na dalszym planie, kiedy zamykam oczy. Jakby się bał wyjść mi na spotkanie.*

– A Frei? – szepczę ochryple. – Ją też wciąż widzisz?

Merethe mierzy mnie wzrokiem i chwyta długopis.

Kiwam głową, patrząc na zapisane przez nią słowo, po czym podnoszę wzrok na jej twarz, na zaciągnięte niemal do końca zasłony. Majaczą za nimi kontury górskiego wierzchołka, nad którym wiatr pędzi po nocnym niebie ciężkie deszczowe chmury. Przez mgnienie oka wydaje mi się, że coś między nimi dostrzegam, słabą srebrzystą poświatę gdzieś w tej szarej kipieli, ale potem te chmury zasłania kolejny obłok.

Po chwili całe niebo jest czarne.